

r

OLGA
TOKARCZUK
BIEGUNY

Wydawnictwo©
Literackie

Jestem

Mam kilka lat. Siedzę na parapecie, wokół mnie porzucane zabawki, przewrócone wieże z klocków, lalki o wytrzeszczonych oczach. W domu jest ciemno, powietrze w pokojach powoli studzi się, przygasa. Nikogo nie ma; odeszli, zniknęli, słyszeć jeszcze ich słabnące głosy, szurania, echa kroków i odległy śmiech. Za oknem — puste podwórze. Ciemność łagodnie spływa z nieba. Osiada na wszystkim jak czarna rosa.

Najbardziej dotkliwy jest bezruch: gęsty, widzialny — zimny zmierzch i słabe światło sodowych lamp, grzęznące w mroku w odległości zaledwie metra od swego źródła.

Nic się nie wydarza, marsz mroku ustaje przed drzwiami do domu, cały zgiełk ciemnienia ucicha, tworzy gęsty kożuch, jak na stygnącym mleku. Kontury budynków na tle nieba rozciągają się w nieskończoność, tracą powoli ostre kąty, winkle, krawędzie. Gasnące światło zabiera z sobą powietrze — nie ma już czym oddychać. Mrok sący się teraz przez skórę. Dźwięki zwinęły się w sobie, cofnęły ślimacze oczy; orkiestra świata odeszła i przepadła w parku.

Ten wieczór jest krańcem świata, wymacałam go przez przypadek w czasie zabawy, niechcący. Odkryłam, ponieważ zostawili mnie na chwilę samą, nie ustrzegli. Jest jasne, że oto znalazłam się w pułapce, zamknięta. Mam kilka lat, siedzę na parapecie, patrzę na ostygłe podwórze. Zgaszono już światła w szkolnej kuchni, wszyscy odeszli. Betonowe płyty podwórka nasiąkły mrokiem i zniknęły. Pozamykane drzwi, opuszczone klapy, zasunięte rolety. Chciałabym wyjść, ale nie ma dokąd. Tylko moja obecność nabiera wyraźnych konturów, które drżą, falują, i to boli. W jednej chwili odkrywam prawdę: nic się już nie da zrobić — jestem.

Świat w głowie

Pierwszą swoją podróż odbyłam przez pola, piechotą. Długo nikt nie zauważył mojego zniknięcia, dlatego udało mi się pójść całkiem daleko. Przeszłam cały park, a potem — polnymi drogami, przez kukurydzę i wilgotne, pełne kaczeńców łąki, pokratkowane rowami melioracyjnymi — do samej rzeki. Zresztą rzeka była i tak wszędzie obecna na tej nizinie, przesiąkała pod poszyciem traw, oblizywała pola.

Gdy wspięłam się na wał ochronny, zobaczyłam ruchomą wstęgę, drogę, która wypływała poza kadr, poza świat. I jeśli ktoś miał szczęście, mógł zobaczyć na niej barki, płaskie wielkie łodzie, które sunęły w obie strony, nie zważając na brzegi, na drzewa, na

stojących na wale ludzi, traktowanych zapewne jako niestałe, niegodne uwagi punkty orientacyjne, świadków ich pełnego gracji ruchu. Marzyłam, żeby, gdy dorosnę, pracować na takiej barce, a najlepiej — stać się samą barką.

To nie była wielka rzeka, to zaledwie Odra; ale i ja wtedy byłam mała. Posiadała swoje miejsce w hierarchii rzek, co sprawdziłam potem na mapach, dość drugorzędne, ale zauważalne, wicehrabina z prowincji na dworze królowej Amazonki. Mnie jednak zupełnie wystarczała, wydawała się ogromna. Płynęła jak chciała, od dawna nie regulowana, skłonna do wylewów, nieobliczalna. W niektórych miejscach przy brzegu zaczepiała o jakieś podwodne przeszkody i wtedy powstawały w wodzie wiry. Przepływała, defilowała, zajęta swoimi celami ukrytymi za horyzontem, gdzieś daleko na północy. Nie było można zawiesić na niej wzroku, bo wyciągała go za horyzont, aż traciło się równowagę.

Nie zwracała na mnie uwagi, zajęta sobą, zmienna, wędrująca woda, do której nigdy nie można wejść dwa razy, jak się później dowiedziałam.

Co roku pobierała słońną opłatę za noszenie na grzbiecie barek — bo i co roku ktoś się w niej topił, a to dziecko przy kąpieli w upalne dni lata, a to jakiś pijany, który dziwnym trafem zatoczył się na moście i pomimo barierki wpadł do wody. Topielców zawsze poszukiwano długo i z wielkim hałasem, co trzymało całą okolicę w napięciu. Organizowano nurków i wojskowe motorówki. Według podsłuchanych

relacji dorosłych znajdowane ciała były spuchnięte i blade — woda wypłukała z nich wszelkie życie, tak zamazała rysy twarzy, że bliscy mieli kłopot z rozpoznaniem zwłok.

Stojąc na przeciwpowodziowym wale, wpatrzona w nurt, zdałam sobie sprawę, że — mimo wszelkich niebezpieczeństw — zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość; że znieruchomiałe musi ulec rozpadowi, degeneracji i obrócić się w perzynę, ruchome zaś — będzie trwało nawet wiecznie. Od-tąd rzeka stała się igłą wbitą w mój bezpieczny stały krajobraz parku, inspektów, gdzie wstydliwymi rzadkami wschodziły warzywa, i chodnika z betonowych płyt, na których grało się w klasy. Przekłuwała go na wylot, wyznaczała wertykalnie trzeci wymiar; robiła w nim dziurę, i dziecięcy świat okazywał się zaledwie gumową zabawką, z której z sykiem uchodziło powietrze.

Moi rodzice nie byli do końca plemieniem osiadłym. Wiele razy przeprowadzali się z miejsca na miejsce, aż w końcu zatrzymali się na dłużej w prowincjonalnej szkole, daleko od porządnej drogi i kolejowej stacji. Podróżą stawało się już samo wyjście za miedzę, wyprawa do miasteczka. Zakupy, składanie papierów w urzędzie gminy, zawsze ten sam fryzjer na rynku przy ratuszu, w tym samym fartuchu, prany i chlorowanym bez skutku, bo farby do włosów klientek zostawiały na nim kaligraficzne plamy, chińskie znaki. Mama farbowała włosy, a ojciec czekał na nią



w kawiarni „Nowa”, przy jednym z dwóch stolików wystawionych na zewnątrz. Czytał lokalną gazetę, w której zawsze najciekawsza była rubryka kryminalna z doniesieniami o obrabowaniu piwnic z powideł i korniszonów.

Te ich turystyczne wakacyjne wyjazdy, strachliwe, skodą zapakowaną pod sufit. Długo przygotowywane, planowane wieczorami na przedwiośniu, gdy ledwie zszedł śnieg, lecz ziemia jeszcze nie otrzeźwiała; trzeba było czekać, aż odda w końcu swoje ciało pługom i motyczkom, aż da się zapłodnić i potem już zajmie im czas od rana do wieczora.

Należeli do pokolenia, które jeździło z przyczepami kempingowymi, ciągnąc za sobą namiastkę domu. Kuchenkę gazową, składane stoliki i krzesła. Plastikowy sznur do rozwieszania prania na postojach i drewniane klamerki. Ceraty na stół, nieprzemakalne. Turystyczny komplet do pikniku — kolorowe plastikowe talerze, sztucce, solniczki i kieliszki.

Ojciec kupił gdzieś w drodze, na jakichś pchlich targach, które z matką szczególnie lubili odwiedzać (gdy nie fotografowali się akurat pod kościołami i pomnikami), wojskowy czajnik — miedziany instrument, naczynie z tubą w środku, do której wkładało się garść patyków i zapalało. I choć na kempingach można było korzystać z elektryczności, gotował wodę w tym imbryku, dymiąc i bałaganiąc. Klęczał nad gorącym naczyniem i z dumą wsłuchiwał się w bulgot wrzątku, którym zalewał torebki z herbatą — prawdziwy nomada.

Rozsiadali się w oznaczonych miejscach, na polach kempingowych, zawsze w towarzystwie takich samych jak oni, ucinając sobie z sąsiadami pogawędkę nad skarpetami suszącymi się na linkach namiotów. Ustalano trasy podróży z przewodnikiem, starannie zaznaczając atrakcje. Do południa kąpiel w morzu albo w jeziorze, a po południu wyprawa do starożytności zabytków miast zakończona kolacją — najczęściej były to weki: gulasz, kotlety mielone, klopsy w sosie pomidorowym. Trzeba było tylko ugotować makaron albo ryż. Wieczne oszczędzanie pieniędzy, złoty jest słaby, to grosz świata. Poszukiwanie miejsc, gdzie można się podłączyć do prądu, i potem niechętnie pakowanie się, żeby ruszyć dalej, zawsze jednak w metafizycznej orbicie domu. Nie byli prawdziwymi podróżnikami, bo wyjeżdżali po to, żeby wrócić. A wracali z ulgą, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Wracali, żeby zebrać z komody stopy listów i rachunków. Zrobić wielkie pranie. Ziewających ukradkiem przyjaciół zanudzić na śmierć pokazywaniem zdjęć. To my w Carcassonne. A tu żona, w tle Akropol.

Potem cały rok wiedli życie osiadłe, to dziwne życie, kiedy rankiem wraca się do tego, co zostawiło się wieczorem, gdzie ubranie przesiąka zapachem własnego mieszkania, a stopy niestrudzenie wydeptują ścieżkę na dywanie.

To nie dla mnie. Widocznie brakowało mi jakiegoś genu, który sprawia, że gdy tylko przystanie się na dłużej w jakimś miejscu, zaraz zapuszcza się korzenie. Wiele razy próbowałam, ale moje korzenie zawsze

były płytkie i wywracał mnie byle jaki podmuch wiatru. Nie umiałam kiełkować, zostałam pozbawiona tej roślinnej zdolności. Nie ciągnę soków z ziemi, jestem anty-Anteuszem. Moja energia bierze się z ruchu — z trzęsienia autobusów, z warkotu samolotów, z kołysania promów i pociągów.

Jestem poręczna, nieduża i dobrze spakowana. Mam mały żołądek, niewymagający, mocne płuca, zwarty brzuch i silne mięśnie ramion. Nie biorę żadnych leków, nie noszę okularów, nie używam hormonów. Strzygę włosy maszynką, raz na trzy miesiące, prawie nie stosuję kosmetyków. Mam zdrowe zęby, może niezbyt równe, ale całe, tylko jedną starą plombę, bodaj w dolnej lewej szóstce. Wątrobę mam w normie. Trzustkę — w normie. Nerkę prawą i lewą w wyśmienitym stanie. Moja aorta brzuszna jest w normie. Pęcherz moczowy — prawidłowy. Hemoglobina — 12,7. Leukocyty — 4,5. Hematokryt — 41,6. Płytki krwi — 228. Cholesterol — 204. Kreatynina — 1,0. Bilirubina 4,2 i tak dalej. Moje IQ — jeśli się w to wierzy — 121; wystarczy. Mam szczególnie rozwiniętą wyobraźnię przestrzenną, prawie ejdetyczną, natomiast marną lateralizację. Profil osobowości niestały, chyba niegodny zaufania. Wiek — psychologiczny. Płeć — gramatyczna. Książki kupuję raczej w miękkich okładkach, żeby bez żalu móc je zostawić na peronie, dla innych oczu. Niczego nie kolekcjonuję.

Skończyłam studia, ale w gruncie rzeczy nie nauczyłam się żadnego zawodu, czego bardzo żałuję;

mój pradziadek był tkaczem, bielił utkane płótno, rozkładając je na stoku, wystawiając na palące promienie słońca. Bardzo by mi odpowiadało przeplatanie osnowy i wątku, nie istnieją jednak przenośne krosna, tkactwo to sztuka ludów osiadłych. W podróży robię na drutach. Niestety ostatnio niektóre linie lotnicze zabraniają zabierania na pokład drutów i szydełek. Nie nauczyłam się, jak mówię, żadnego fachu, a jednak wbrew temu, co zawsze powtarzali moi rodzice, udało mi się przeżyć, mając się po drodze różnych prac i wcale nie staczając na dno.

Gdy moi rodzice wrócili do miasta po dwudziestoletnim romantycznym eksperymencie, gdy zmęczyły ich susze i mrozy, zdrowa żywność, która całe zimy chorowała w piwnicy, wełna z własnych owiec starannie napychana w przepastne gardła jaśków i kołder, dostałam od nich trochę pieniędzy i po raz pierwszy ruszyłam w drogę.

Pracowałam dorywczo tam, gdzie dotarłam. W międzynarodowej manufakturze na przedmieściach wielkiej metropolii skręcałam anteny do ekskluzywnych jachtów. Było tam wielu takich jak ja. Zatrudniano nas na czarno, bez pytania o pochodzenie i plany na przyszłość. W piątek dostawaliśmy wypłatę, a komu nie odpowiadało, nie pojawiał się już w poniedziałek. Byli tu przyszli studenci w przerwie między maturą a egzaminami na studia. Imigranci wciąż w drodze do idealnego, sprawiedliwego kraju gdzieś na Zachodzie, gdzie ludzie są siostrami i braćmi, a silne państwo pełni rolę opiekuńczego rodzica; uciekinierzy

czmychający przed rodzinami — żonami, mężami, rodzicami; nieszczęśliwie zakochani, rozkojarzeni, melancholijni i wiecznie zmarznięci. Ci, których ścigało prawo, bo nie potrafili spłacić zaciągniętych kredytów. Włóczykije, wagabundzi. Wariaci, których po kolejnym nawrocie choroby zabierano do szpitala, skąd — na mocy niejasnych przepisów — deportowano do kraju pochodzenia.

Tylko pewien Hindus pracował tu na stałe, od lat, ale prawdę mówiąc, jego sytuacja wcale nie różniła się od naszej. Nie miał ani ubezpieczenia, ani żadnego urlopu. Pracował w milczeniu, cierpliwie, w równomiernym tempie. Nigdy się nie spóźniał, nigdy nie znajdował powodów do zwolnień. Namówiłam kilka osób, żeby założyć związek zawodowy — były to czasy Solidarności — choćby tylko dla niego, ale nie chciał. Poruszony moim zainteresowaniem, częstował mnie codziennie ostrym curry, które przynosił w menażkach. Dziś nawet nie pamiętam, jak miał na imię.

Byłam kelnerką, pokojówką w ekskluzywnym hotelu i nianią. Sprzedawałam książki, sprzedawałam bilety. W pewnym małym teatrze przez jeden sezon zatrudniłam się jako garderobiana i w ten sposób przetrwałam długą zimę wśród pluszowych kulis, ciężkich kostiumów, atłasowych peleryn i peruk. Gdy skończyłam studia, pracowałam też jako pedagog, konsultant odwykowy, a także, ostatnio — w bibliotece. Kiedy tylko udało mi się zarobić jakieś pieniądze, ruszałam w drogę.

Głowa w świecie

Studiowałam psychologię w dużym, ponurym komunistycznym mieście, mój wydział mieścił się w budynku, który w czasie wojny był siedzibą oddziału SS. Tę część miasta zbudowano na ruinach getta, łatwo można było to dostrzec, gdy się patrzyło uważnie — cała dzielnica stała jakiś metr wyżej niż reszta miasta. Metr gruzów. Nigdy nie czułam się tam dobrze; między nowymi blokami i mizernymi skwerami zawsze wiał wiatr, a mroźne powietrze wydawało się szczególnie dotkliwie, szczypało w twarz. W gruncie rzeczy nadal, mimo zabudowy, było to miejsce należące do umarłych. Budynek instytutu śni mi się do dzisiaj — jego szerokie, jakby wykute w kamieniu korytarze, wyślizgane czyimiś stopami, wytarte krawędzie schodów, wypolerowane dłońmi poręcze, ślady odcisnięte w przestrzeni. Może dlatego nawiedzały nas duchy.

Gdy puszczaliśmy szczury w labirynt, zawsze był jeden, którego zachowanie przeczyło teorii i który za nic miał nasze bystre hipotezy. Stawał na dwóch łapkach, wcale nie zainteresowany nagrodą na końcu eksperymentalnej trasy; niechętny przywilejom odruchu Pawłowa, omiatał nas wzrokiem, a potem zawracał albo bez pośpiechu oddawał się badaniu labiryntu. Szukał czegoś w bocznych korytarzach, próbował zwrócić na siebie uwagę. Piszczął zdezorientowany, a wtedy dziewczyny, wbrew regułom, wyciągały go z labiryntu i brały na ręce.

Mięśnie martwej, rozciągniętej żaby zginały się i prostowały pod dyktando elektrycznych impulsów, lecz w taki sposób, który nie został jeszcze opisany w naszych podręcznikach — dawały nam znaki, a kończyny wykonywały oczywiste gesty groźby i szyderstwa, czym przeczyły uświęconej wierze w mechaniczną niewinność odruchów fizjologicznych.

Uczono nas tutaj, że świat da się opisać, a nawet wyjaśnić za pomocą prostych odpowiedzi na inteligentne pytania. Ze w swej istocie jest bezwładny i martwy, że rządzi nim dość proste prawa, które należy wyjaśnić i podać — najlepiej wykorzystując diagram. Domagano się od nas eksperymentów. Formułowania hipotez. Weryfikowania. Wprowadzano nas w tajemnice statystyki, wierząc, że za jej pomocą można doskonale opisać wszelkie prawidłowości świata — że 90 procent jest bardziej znaczące niż pięć.

Lecz dziś wiem jedno: ten, kto szuka porządku, niech unika psychologii. Niechże się zdecyduje raczej na fizjologię czy teologię, będzie miał przynajmniej solidne oparcie — albo w materii, albo w duchu; nie poślizgnie się na psychice. Psychika to bardzo niepewny obiekt badań.

Mieli rację ci, którzy mówili, że tego kierunku nie wybiera się z powodu przyszłej pracy, ciekawości czy powołania do pomocy innym, lecz z innej bardzo prostej przyczyny. Podejrzewam, że wszyscy mieliśmy jakiś głęboko ukryty defekt, choć zapewne sprawialiśmy wrażenie inteligentnych, zdrowych

młodych ludzi — defekt był zamaskowany, sprawnie zakamulowany na egzaminach wstępnych. Kłębek emocji ciasno spleciony, sfilcowany jak te dziwne guzy, które znajduje się czasem w ludzkim ciele i które można zobaczyć w każdym szanującym się muzeum anatomopatologii. Ale i może nasi egzaminatorzy byli ludźmi tego samego rodzaju i w rzeczywistości wiedzieli, co robią? Bylibyśmy zatem ich dziedzicami. Kiedy na drugim roku omawialiśmy funkcjonowanie mechanizmów obronnych i odkrywaliśmy z podziwem potęgę tej części naszej psychiki — zaczęliśmy rozumieć, że gdyby nie istniały racjonalizacja, sublimacja, wyparcie, te wszystkie sztuczki, którymi raczymy samych siebie, że gdyby można było spojrzeć na świat bez żadnej ochrony, uczciwie i odważnie — pękłyby nam serca.

Dowiedzieliśmy się na tych studiach, że jesteśmy zbudowani z obron, z tarcz i zbroi, jesteśmy miastami, których architektura sprowadza się do murów, baszt i fortyfikacji; państwami bunkrów.

Wszystkie testy, wywiady i badania przeprowadzaliśmy wzajemnie na sobie i po trzecim roku studiów potrafiłam już nazwać, co mi dolega; było to jak odkrycie własnego tajemnego imienia, którym wzywa się do inicjacji.

Nie zabawiłam długo w wyuczonym zawodzie. W czasie jednego z wyjazdów, kiedy utknęłam bez pieniędzy w wielkim mieście i pracowałam jako pokojówka, zaczęłam pisać książkę. Była to opowieść do

podróży, do czytania w pociągu, taka, jakbym ją pisała sama dla siebie. Książka — tartinka, do połknięcia od razu, bez gryzienia.

Potrafiłam się odpowiednio skupić i skoncentrować, stawałam się na jakiś czas monstualnym uchem do słuchania szmerów, ech i szelestów; dalekich głosów dochodzących zza jakiejś ściany.

Lecz nigdy nie stałam się prawdziwą pisarką czy — lepiej powiedzieć — pisarzem, bo w tym rodzaju słowo to brzmi poważniej. Mnie życie zawsze się wymykało. Natrafiałam tylko na jego ślady, jakieś marne wylinki. Gdy namierzałam jego pozycje, ono było już gdzie indziej. Znajdowałam tylko znaki, jak te napisy na korze parkowych drzew: „Tu byłem”. W moim pisaniu życie zamieniało się w niekompletne historie, oniryczne opowiadki, niejasne wątki, ukazywało się z daleka w niezwykłych poprzesuwanym perspektywach albo w poprzecznych przekrojach — i trudno byłoby wysnuć jakieś wnioski co do całości.

Każdy, kto kiedykolwiek próbował pisać powieści, wie, jakie to ciężkie zajęcie, to niewątpliwie jeden z najgorszych sposobów samozatrudnienia. Trzeba cały czas pozostawać w sobie, w jednoosobowej celi, w całkowitej samotności. To kontrolowana psychoza, paranoja z obsesją zaprzęgnięte do pracy, dlatego pozabawione piór, tiurniur i weneckich masek, z których je znamy, a przebrane raczej w rzeźnicze fartuchy i gumki, z nożem do patroszenia w rękę. Widzi się z tej pisarskiej piwnicy zaledwie nogi przechodniów, słyszy się stuk obcasów. Czasami ktoś przystanie, że-

by schylić się i rzucić do wnętrza okiem, można wtedy ujrzeć ludzką twarz i zamienić nawet kilka słów. W istocie jednak umysł zajęty jest swoją grą, którą toczy sam przed sobą w naszkicowanym pospiesznie panoptikum, rozstawiając figurki na prowizorycznej scenie — autor i bohater, narratorka i czytelniczka, ten, który opisuje, i ta opisana; stopy, buty, obcasy i twarze prędzej czy później staną się częścią tej gry.

Nie żałuję, że upodobałam sobie to szczególnie zajęcie — nie nadawałabym się na psychologa. Nie umiałam wyjaśniać, wywoływać z ciemni umysłów zdjęć rodzinnych. Zwierzenia innych — te często mnie nudziły, co przyznaję ze smutkiem. Mówiąc szczerze, często bywało, że wolałabym odwrócić nasze relacje i zacząć opowiadać im o sobie. Musiałam pilnować się, żeby nie złapać nagle pacjentki za rękaw i nie przerwać jej w pół słowa: „Co też pani mówi! A ja to czuję zupełnie inaczej! A mnie co się śniło! Proszę posłuchać...”. Albo: „Co pan wie o bezsenności! To ma być atak paniki? Niechże pan nie żartuje. Ten, który ja miałam ostatnio, to dopiero było...”.

Nie umiałam słuchać. Nie przestrzegałam granic, popadałam w przeniesienia. Nie wierzyłam w statystykę i weryfikowanie teorii. Postulat: jedna osobowość — jeden człowiek, wydawał mi się zawsze zbyt minimalistyczny. Miałam skłonność do zamykania oczywistości, podawania w wątpliwość niezbitych argumentów — to był nawyk, perwersyjna joga mózgu, subtelna przyjemność doznawania wewnętrznego ruchu. Podejrzliwe oglądanie każdego

sądu, smakowanie go pod językiem i w końcu spodziewane odkrycie, że żaden nie jest prawdziwy, tylko fałszywy, a jego marka sfabrykowana. Nie chciałam mieć stałych poglądów, byłyby niepotrzebnym bagażem. W dyskusjach stawałam raz po jednej, raz po drugiej stronie — i wiem, że nie lubili mnie za to moi rozmówcy. Byłam świadkiem dziwnego zjawiska, które zachodziło w mojej głowie: im więcej znajdowałam argumentów „za”, tym więcej przychodziło mi do głowy tych „przeciw”, a im bardziej przywiązywałam się do tych pierwszych, tym bardziej ponętne stawały się te drugie.

Jakże miałabym badać innych, skoro samej trudno mi było rozwiązać każdy test. Kwestionariusz osobowości, ankieta, kolumny pytań i wyskałowane odpowiedzi wydawały mi się za trudne. Szybko zauważyłam to swoje upośledzenie, dlatego na studiach, gdy badaliśmy się nawzajem w ramach praktyki, dawałam odpowiedzi przypadkowe, na chybił trafił. Wychodziły potem z tego dziwne profile — krzywe wiedzione na osi współrzędnych. „Wierzysz, że najlepszą decyzją jest ta, którą najłatwiej zmienić?” Czy wierzę? Jaką decyzję? Zmienić? Kiedy? Jak najłatwiej? „Czy wchodząc do pokoju, zajmujesz raczej miejsce centralne niż peryferyjne?” Do jakiego pokoju? I kiedy? Czy pokój jest pusty, czy pod jego ścianami stoją czerwone pluszowe kanapy? A okna — jaki jest za nimi widok? Pytanie o książkę: czy wolę ją czytać, zamiast iść na przyjęcie, czy też jest to zależne od tego, jaka to książka i jakie to przyjęcie?

Co to za metodologia! Milcząco zakłada się, że człowiek nie zna siebie, lecz gdy mu podsunąć odpowiednie sprytne pytania, sam się ów człowiek zlustruje. Sam zada sobie pytanie i sam na nie odpowie. Niebacznie zdradzi przed sobą tajemnicę, o której nic nie wie.

I drugie założenie, śmiertelnie niebezpieczne — że jesteśmy stali, a nasze reakcje są przewidywalne.

Syndrom

Historia moich podróży jest tylko historią niedomagania. Cierpię na syndrom, który bez trudu można odnaleźć w każdym atlasie syndromów klinicznych i który — jak stwierdza specjalistyczna literatura — staje się coraz częstszy. Najlepiej sięgnąć do starego (z lat siedemdziesiątych) wydania „The Clinical Syndromes”, które jest czymś w rodzaju swoistej syndromowej encyklopedii. Stanowi ona zresztą dla mnie źródło nieustannych inspiracji. Czy ktoś jeszcze odważyłby się opisać człowieka w całości, ogólnie i obiektywnie? Posłużył się z całym przekonaniem pojęciem osobowości? Wziął rozmach na przekonującą typologię? Nie sędzę. Pojęcie syndromu jak ulał pasuje do psychologii podróźnej. Syndrom jest nieduży, przenośny, nie połączony z bezwładną teorią, epizodyczny. Można nim coś wyjaśnić, a potem wyrzucić go do kosza. Narzędzie poznawcze jednorazowego użytku.

Mój nosi nazwę Syndromu Detoksykacji Perseweratywnej. Gdyby to przetłumaczyć wprost i bez polotu, wynikłoby z tego tylko tyle, iż jego istota polega na uporczywym powracaniu świadomości do pewnych wyobrażeń, czy nawet na kompulsywnym ich wyszukiwaniu. Jest on odmianą Syndromu Podłego Świata (The Mean World Syndrome), dość dobrze opisanego ostatnio w literaturze neuropsychologicznej jako szczególne zainfekowanie przez media. To w gruncie rzeczy bardzo mieszcząca dolegliwość. Pacjent spędza długie godziny przed telewizorem, wyszukując pilotem tylko te kanały, gdzie nadaje się najstraszniejsze wiadomości: wojny, epidemie i katastrofy. Zafascynowany tym, co widzi, nie może już oderwać wzroku.

Same objawy nie są groźne i pozwalają żyć spokojnie, jeżeli tylko uda się zachować dystans. Nie leczy się tej przykrej dolegliwości, nauka zostaje w tym przypadku przy gorzkiej konstatacji samego istnienia syndromu. Gdy przestraszony sobą pacjent w końcu trafi do gabinetu psychiatry, ten każe mu zadbać bardziej o higienę życia — odstawić kawę i alkohol, spać w dobrze wywietrżonym pokoju, pracować w ogrodzie, tkać albo robić na drutach.

Mój zespół objawów polega na tym, że pociąga mnie wszystko, co popsute, niedoskonałe, ułomne, pęknięte. Interesują mnie formy byle jakie, pomyłki w dziele stworzenia, ślepe zaułki. To, co miało się rozwinąć, ale z jakichś względów pozostało niedorozwinięte; albo wręcz przeciwnie — przerosło plan.

Wszystko, co odstaje od normy, co jest za małe albo za duże, wybujałe lub niepełne, monstrialne i odrażające. Formy, które nie pilnują symetrii, które się multiplikują, przyrastają po bokach, pączkują, lub przeciwnie, redukują wielość do jedności. Nie interesują mnie wydarzenia powtarzalne, te, nad którymi z uwagą pochyla się statystyka, te, które wszyscy celebryci z zadowolonym, familiarnym uśmiechem na twarzach. Moja wrażliwość jest teratologiczna, monstrofilalna. Mam nieustanne i męczące przekonanie, że właśnie tutaj prawdziwy byt przebija się na powierzchnię i ujawnia swoją naturę. Nagłe, przypadkowe odsłonięcie. Wstydlive „ups”, rąbek białizny spod starannie uplisowanej spódnicy. Metalowy, ohydny szkielet wyłazi nagle spod aksamitnego obicia; erupcja sprężyny z pluszowego fotela, która bezwstydnie demaskuje iluzję wszelkiej miękkości.

Gabinet osobliwości

Nigdy nie byłam zbyt ochoczą bywalczynią muzeów sztuki, i jeżeli to miałyby zależeć ode mnie, zamieniłabym je z chęcią na gabinety osobliwości, gdzie zbiera się i eksponuje to, co rzadkie i niepowtarzalne, dziwaczne i monstrowate. To, co istnieje w cieniu świadomości, a kiedy tam spojrzeć — umyka z pola widzenia. Tak, z pewnością mam ten nieszczęsny syndrom. Nie pociągają mnie kolekcje w centrum miast, lecz te małe, przyszpitalne, często zniesione do piw-

nic jako niegodne cenionych miejsc wystawienniczych i wskazujące na podejrzany gust dawnych kolekcjonerów. Salamandra z dwoma ogonami w owalnym słoju, pyszczkiem ułożona ku górze, czekająca dnia sądowego, gdy wszystkie preparaty świata w końcu zmartwychwstaną. Nerka delfina w formalinie. Czaszka owcy, czysta anomalia, z podwójną liczbą oczu, uszu i pysków, piękna jak wizerunek starożytnego bóstwa o wieloznacznej naturze. Ludzki płód udekorowany koralikami i ze staranną kaligrafią podpisu: „Fetus Aethiopsis 5 mensium”. Przez lata zbierane wybryki natury, dwugłowe i bezgłowe, nie narodzone, sennie pływające w roztworze formaldehydu. Albo przypadek Cephalothoracopagus Monosymetro do dziś eksponowany w pewnym pensylwańskim muzeum — gdzie patologiczna morfologia płodu o jednej głowie i dwóch ciałach podaje w wątpliwość fundamenty logiki $1 = 2.1$ na koniec wzruszający preparat domowy, kuchenny: jabłko z lata 1848 śpiące w spirytusie, wszystkie dziwaczne, o nienormalnych kształtach; widocznie ktoś uznał, że tym wybrykiem natury należy się nieśmiertelność i że przetrwa tylko to, co inne.

Właśnie ku temu się cierpliwie poruszam w moich podróżach, tropiąc błędy i wypadki stworzenia.

Nauczyłam się pisać w pociągach, hotelach i poczekalniach. Na rozkładanych stolikach samolotów. Notuję w czasie obiadu pod stołem albo w toalecie. Piszę w muzeum na schodach, w kawiarniach, w zaparkowanym na poboczu samochodzie. Zapisuję na skrawkach papieru, w notesach, na pocztówkach, na

skórze dłoni, na serwetkach, na marginesach książek. Najczęściej są to krótkie zdania, obrazki, ale czasem przepisuję fragmenty z gazet. Bywa, że uwiedzie mnie jakaś wyłuskana z tłumy postać i wtedy zbaczam z mojej marszruty, żeby za nią przez chwilę podążać, zacząć opowieść. To dobra metoda; doskonale się w niej. Z roku na rok moim sprzymierzeńcem staje się czas, jak dla każdej kobiety — zrobiłam się niewidoczna, przezroczysta. Mogę poruszać się jak duch, zaglądać ludziom przez ramię, przysłuchiwać się ich kłótniom i patrzeć, jak śpią z głową na plecaku, jak mówią do siebie, nieświadomi mojej obecności, poruszając samymi wargami, formułując słowa, które to ja zaraz za nich wypowiem.

Widzieć to wiedzieć ,
s

Celem mojej pielgrzymki jest zawsze inny pielgrzym. Tym razem ułomny, w częściach.

Tutaj na przykład zebrano kości, ale tylko te, którym coś dolega; skręcone kręgosłupy, wstażki żeber wyciągnięto zapewne z równie skręconych ciał, wy-preparowano, wysuszono i na dodatek pociągnięto lakierem. Mały numerek pomoże znaleźć opis choroby w spisach, które dawno przestały istnieć. Jakaż jest bowiem trwałość papieru w porównaniu z kośćmi? Trzeba było pisać od razu na kościach.

Oto na przykład kość udowa, którą ktoś ciekawski przepiłował wzdłuż, żeby zajrzeć, co kryje się w środ-

ku. Zapewne rozczarował się tym, co zobaczył, bo związał obie części konopnym sznurkiem i już myśląc o czym innym, położył na powrót w gablocie.

W tej gablocie znajduje się kilkudziesięciu obcych sobie ludzi, oddalonych od siebie w czasie i przestrzeni — teraz w tak pięknym grobie, przestronnym i suchym, dobrze oświetlonym, skazanych na muzealną wieczność; zapewne zazdroszczą im tego kości, które utknęły w wiecznych zapasach z ziemią. I czy niektóre z nich, kości katolików — nie martwią się, jak się odnajdą wszystkie na Sądzie Ostatecznym, jak, rozproszone, zbudują to ciało, które popełniało grzechy i czyniło dobre uczynki?

Czaszki z naroślami o wszelkich możliwych do wyobrażenia strukturach, przestrelone, przedziurawione, z zanikami. Kości dłoni, zaatakowane reumatyzmem. Ramię połamane w kilku miejscach, zrosnięte naturalnie, na chybił trafił, skamieniały wieloletni ból.

Kości długie za krótkie i za długie kości krótkie, tuberkuliczne, pokryte deseniem zmian; pomyślałby kto, że zjadał je kornik.

Biedne ludzkie czaszki w podświetlonych wiktorjańskich gablotach, gdzie, wyszczerzone, demonstrują własne uzębienie. Ta na przykład ma wielką dziurę pośrodku czoła, ale piękne zęby. Ciekawe, czy ta dziura była śmiertelna. Niekoniecznie. Pewien człowiek, inżynier budujący kolej, któremu metalowy drąg przebił na wylot mózg, żył z taką raną jeszcze wiele lat, czym ewidentnie przysłużył się neuropsychologii, głoszącej wszem wobec, że istniejemy w swoim móz-

gu. Nie umarł, ale bardzo się zmienił. Jak mówiono — stał się innym człowiekiem. Ponieważ od mózgu zależy, jacy jesteśmy, więc od razu przejdźmy w lewo, w korytarz mózgów. Oto są! Kremowe ukwiały w roztworze, duże i małe, te genialne i te, które nie potrafiły zliczyć do dwóch.

Dalej zaś jest rewir przeznaczony dla fetusów, ludzików w miniaturze. Oto laleczki, preparaciki; wszystko zminiaturyzowane, więc cały człowiek mieści się w małym słoiku. Te najmłodsze, embriony, których prawie nie widać, to małe rybki, żabki, zawieszane na końskim włosie w przestworzu z formaldehydu. Te większe ukazują nam porządek ludzkiego ciała, jego cudowne upakowanie. Kruszynki niedoludzkie, maleństwa semihominoidalne, ich życie nigdy nie przekroczyło magicznej granicy potencji. Mają formę, lecz jeszcze nie dorosły do ducha, być może obecność ducha wiąże się jakoś z wielkością formy. W nich materia z sennym uporem zaczęła się organizować do życia, zbierać tkanki, zakładać związki narządów, utwardzać się w sieci; już rozpoczęła prace nad okiem i przygotowała płuca, chociaż do światła i powietrza stąd jest daleko.

W następnym rzędzie te same narządy, ale już dojrzałe, szczęśliwe, że okoliczności pozwoliły im dorosnąć do swoich rozmiarów. Swoich? Skąd wiedziały, jak mają być duże, kiedy przestać? Niektóre nie wiedziały — te jelita rosły i rosły, trudno było naszym profesorom znaleźć słoje, żeby je zmieścić. Tym bardziej trudno wyobrazić sobie, jak mieściły

się w brzuchu tego mężczyzny, który figuruje na etykiecie w postaci inicjałów.

Serce. Cała jego tajemnica została na zawsze rozstrzygnięta — to ta niekształtna bryła wielkości pięści, w brudnokremowym kolorze. Bo to jest właśnie kolor naszego ciała, szarokremowy, szarobrazowy, brzydki, trzeba go zapamiętać. Nie chcielibyśmy takich ścian w naszym domu ani takiego samochodu. To kolor wnętrza, ciemności, miejsc, gdzie nie dociera słońce, gdzie materia kryje się w wilgoci przed cudzym wzrokiem, a więc nie musi się już popisywać. Tylko z krwią stać ją było na ekstrawagancję; krew ma być ostrzeżeniem, jej czerwień alarmem, że muszla naszego ciała została otwarta. Ciągłość tkanek — przerwana.

W rzeczywistości od środka jesteśmy pozbawieni koloru. Gdy serce porządnie wypłucze się z krwi, tak właśnie wygląda — jak glut.

Siedem lat podróży

— Co roku podróż, od siedmiu lat, od kiedy wzięliśmy ślub — opowiadał w pociągu młody mężczyzna w czarnym, długim eleganckim płaszczu i z czarną sztywną teczką, która przypominała wyszukany futerał na komplet sztućców.

Mamy mnóstwo zdjęć, tłumaczył, porządnie poukładanych. Południowa Francja, Tunezja, Turcja, Włochy, Kreta, Chorwacja, a nawet Skandynawia. Mówił, że zwykle oglądają zdjęcia kilka razy: naj-

pierw z rodziną, następnie w pracy, a potem z przyjaciółmi, później fotografie leżą latami bezpiecznie w foliowych kopertach, jak dowody w szafie detektywa — że tam byliśmy.

Zamyślił się i spojrzął w okno, za którym uciekały spóźnione już dokądś krajobrazy. Czy nie pomyślał czasem: Ale co to znaczy „byliśmy”? Gdzie się podziały te dwa tygodnie we Francji, które dziś dają się ścisnąć do zaledwie kilku wspomnień — nagłego uderzenia głodu pod murami średniowiecznego miasta i mgnienia wieczoru w knajpce pod dachem obrośniętym winoroślą. Co się stało z Norwegią? Został z niej tylko chłód wody w jeziorze i dzień, który nie chciał się skończyć, i jeszcze radość z piwa kupionego tuż przed zamknięciem sklepu czy oszałamiający pierwszy widok fiordu.

— To, co zobaczyłem, to moje — podsumował ten człowiek, nagle ożywiony i klepnął się z rozmachem w udo.

Wróżenie z Ciorana

Inny człowiek, nieśmiały i łagodny, zawsze zabierał ze sobą w służbową podróż książkę Ciorana, jedną z tych z bardzo krótkimi tekstami. W hotelach trzymał ją na szafce przy łóżku i zaraz po przebudzeniu otwierał na chybił trafił, znajdując swoje motto na nadchodzący dzień. Uważał, że w Europie hotelowe egzemplarze Biblii powinno się jak najszybciej wymienić na Ciora-

na. Od Rumunii po Francję. Ze do celów wróżebnych Biblia straciła swoją aktualność. Cóż nam przyjdzie na przykład z następującego wersetu, gdy niebacznie się otworzy w jakiś kwietniowy piątek czy grudniową środę: „Wszystkie naczynia przybytku do całej służby w nim i wszystkie jego paliki i wszystkie paliki dziedzińca będą z miedzi (Wj 27, 19)”*. Jak mielibyśmy to rozumieć? Zresztą, mówił, że wcale nie upiera się przy Cioranie. Spojrzał na mnie wyzywająco i powiedział:

— Proszę bardzo, niech pani zaproponuje coś innego.

Nic nie przyszło mi do głowy. Wtedy wyciągnął ze swojego plecaka cieniutką sfatygowaną książeczkę, otworzył ją w przypadkowym miejscu, po czym twarz mu się rozjaśniła.

— „Zamiast zwracać uwagę na twarz przechodniów, spoglądałem na ich stopy i wszystkich tych zabieganych ludzi sprowadzałem do kroków spieszących — tylko ku czemu. I wydało mi się jasne, że nasza misja polega na wznoszeniu kurzu w poszukiwaniu jakiejś niepoważnej tajemnicy” — przeczytał z satysfakcją.

Kunicki. Woda I

Godzina jest przedpołudniowa, nie wie dokładnie która, nie spojrzął na zegarek, ale czeka nie dłużej, zdaje się, niż kwadrans. Opiera się wygodnie o siedze-

* Źródła cytatów opisano na końcu książki (przyp. red.)

nie i przymyka oczy; cisza jest przenikliwa jak wysoki nieustępny dźwięk, nie można zebrać myśli. Jeszcze nie wie, że brzmi jak alarm. Odsuwa fotel od kierownicy i wyciąga nogi. Głowa mu ciąży, ciało podąża za jej ciężarem, spada w białe rozgrzane powietrze. Nie będzie się ruszał, poczeka.

Na pewno palił papierosa, może nawet i dwa. Po kilku minutach wyszedł z auta i wysikał się do rowu. Zdaje się, że nie minął go żaden samochód, ale teraz nie jest tego pewien. Potem wrócił do środka i z plastikowej butelki napił się wody. Wreszcie zaczął się niecierpliwie. Zatrąbił gwałtownie klaksonem i ogłuszający dźwięk przyspieszył falę złości, która sprowadziła go poniekąd na ziemię. Od tego momentu wszystko już widzi dokładnie: ruszył za nimi ścieżką, nieuważnie rojąc w myślach słowa, jakie zaraz wypowie: „Co ty, do cholery, tak długo robisz? Co ty wyprawiasz?”.

To jest gaj oliwny, wyschnięty na pieprz. Trawa chrzęści pod butami. Między powykręcanymi oliwkami rosną dzikie jeżyny; młode pędy próbują wśliznąć się na ścieżkę i złapać go za nogę. Wszędzie pełno śmieci: chusteczki higieniczne, obrzydlistwo podpašek, okupowane przez muchy ludzkie ekskrementy. Inni też zatrzymują się przy drodze, żeby się załatwić. Nie zadają sobie trudu wejścia głębiej w zarośla, spieszy im się, nawet tutaj.

Nie ma wiatru. Nie ma słońca. Białe nieruchome niebo przypomina poszycie namiotu. Parno. Cząsteczki wody rozpychają się w powietrzu i wszędzie czuć zapach morza — elektryczny, ozonowy, rybny.

Widzi ruch, ale nie tam, między drzewkami, tylko tutaj, pod nogami. Na ścieżkę wychodzi ogromny czarny żuk; chwilę bada powietrze czułkami, przystaje, widocznie świadomy ludzkiej obecności. Białe niebo odbija się w jego doskonałym pancerzu mleczną plamą i Kunickiemu zdaje się przez chwilę, że z ziemi patrzy na niego osobliwe oko, które nie należy do żadnego ciała, oko samowolne i bezinteresowne. Kunicki nieznacznie trąca czubkiem sandała ziemię. Żuk przebiega dróżkę, szeleszcząc po wyschniętej trawie. Znika w jeżynach. To wszystko.

Kunicki, klnąc, wraca do samochodu i ma jeszcze po drodze nadzieję, że ona z chłopcem już jakąś okrężną drogą wrócili, tak, jest tego pewien. Powie im: „Szukam was od godziny! Co wy, do cholery, wyprawiacie?”.

Powiedziała: „Zatrzymaj samochód”. Gdy przystanął, wysiadła i otworzyła tylne drzwi. Odpięła małego od fotelika, wzięła go za rękę i razem poszli. Kunicki nie miał ochoty wychodzić, poczuł się senny, zmęczony, choć przejechali dopiero kilka kilometrów. Spojrzał tylko na nich kątem oka, nieuważnie, nie wiedział, że ma patrzeć. Teraz próbuje wywołać ten zamazany obraz, wyostrzyć, zbliżyć i zatrzymać. Więc widzi ich, gdy idą skrzypiącą ścieżką, od tyłu. Ona ma chyba jasne płócienne spodnie i czarną koszulkę, mały — trykotową koszulkę ze słoniem, ale to akurat wie, bo sam mu ją rano wkładał. Idąc, mówią coś do siebie, nie słyszy co, nie wiedział, że ma służyć. Znikają

pomiędzy oliwkami. Nie wie, ile to trwa, ale niedługo. Kwadrans, może trochę więcej, gubi się w czasie, nie patrzył na zegarek. Nie wiedział, że ma sprawdzać czas. Nienawidził, gdy zadawała mu to pytanie: „O czym myślisz?”. Odpowiadał, że o niczym, lecz mu nie wierzyła. Mówiła, że nie można nie myśleć, obrażała się. Ależ tak — teraz Kunicki czuje coś w rodzaju satysfakcji — potrafi o niczym nie myśleć. Umie to.

Jednak potem nagle przystaje w środku jeżynowego buszu, nieruchomieje, jakby jego ciało, sięgając do kłacza jeżyny, znalazło mimowolnie nowy punkt równowagi. Ciszy akompaniuje brzęczenie much i szum w głowie. Przez chwilę widzi siebie z góry: mężczyzna w banalnych spodniach safari, w białej koszulce, z małą łysiną na czubku głowy, wśród kęp zarośli, intruz, gość w cudzym domu. Człowiek wystawiony na ostrzał, wydany w samym środku chwilowego zawieszenia broni w bitwie, w którą zamieszane jest i rozpalone niebo, i spierzchnięta ziemia. Ogarnia go lęk; chciałby się natychmiast ukryć, schować w samochodzie, lecz ciało go ignoruje — nie może poruszyć nogą, zmusić się do ruchu. Zrobić krok — nie sądził, że to takie trudne; zerwały się łącza. Noga w sandałe jest kotwicą, która trzyma go przy ziemi, utknął. Świadomie, z wysiłkiem, zdziwiony sam sobą, zmusza ją do ruchu. Nie ma innego sposobu na opuszczenie tej rozgrzanej bezgranicznej przestrzeni.

Przyjechali 14 sierpnia. Prom ze Splitu był pełen ludzi — sporo turystów, ale większość miejscowych.

Ci wieźli ze sobą zakupy z ładu, tam jest taniej. Wyspy rodzą skąpo. Łatwo dało się odróżnić turystów, bo gdy słońce zaczęło nieuchronnie osuwać się w morze, przeszli na prawą burtę i mierzyli w nie obiektywami. Prom powoli mijał rozrzucone wyspy, a potem wydało się, że wypłynął na otwarte morze. Nieprzyjemne uczucie, króciutki, niepoważny moment paniki.

Bez trudu znaleźli swój pensjonat, nazywał się „Posejdon”. Właściciel, brodaty Branko, w koszulce z muszlą, kazał sobie mówić po imieniu i klepiąc Kunickiego poufale po plecach, zaprowadził ich na piętro wąskiego kamiennego domu nad samym morzem i z dumą pokazał mieszkanie. Mieli do dyspozycji dwie sypialnie i małą narożną kuchenkę umeblowaną tradycyjnie, szafkami z laminowanej płyty pilśniowej. Jej okna wychodziły wprost na plażę i na pełne morze. Pod jednym z nich zakwitła właśnie agawa — kwiat tkwił na silnej łodydze i tryumfalnie wznosił się nad wodą.

Wyciąga mapę wyspy i rozważa możliwości. Mogła stracić orientację i wyjść po prostu na szosę w innym miejscu. Pewnie teraz stoi gdzie indziej, może nawet zatrzyma jakiś samochód i pojedzie — gdzie? Widzi na mapie, że szosa na Visie prowadzi krętą linią przez całą wyspę i że można nią jeździć naokoło, nigdy nie schodząc do morza. Tak też kilka dni temu zwiedzali Vis. Kładzie mapę na jej siedzeniu, na torebkę, i rusza. Jedzie powoli, wypatrując ich między oliwkami. Ale po jakimś kilometrze pejzaż się zmienia:

oliwny gaj ustępuje miejsca kamienistym nieużytkom porośniętym suchą trawą i jeżynami. Białe wapienne kamienie są wyszczerzone jak pogubione przez dziką istotę olbrzymie zęby. Zawraca po kilku kilometrach. Po prawej stronie widzi teraz oszałamiająco zielone winnice, a w nich co jakiś czas małe kamienne chatki na narzędzia — puste i ponure. W najlepszym wypadku zabłądziła, ale może zasłabła, ona albo mały, jest tak duszno, tak gorąco. Może potrzebuje natychmiastowej pomocy, a on zamiast coś zrobić, jeździ tam i z powrotem szosą. O tak, jest głupi, że zrozumiał to dopiero teraz. Zaczyna mu mocniej bić serce. Może miała udar słoneczny. Albo złamała nogę.

Wraca i kilka razy trąbi klaksonem. Przejeżdżają dwa niemieckie auta. Sprawdza czas; minęło już mniej więcej półtorej godziny, co znaczy, że prom odpłynął. Połknął samochody, zamknął wrota i ruszył w morze, biały potężny statek. Z minuty na minutę dzielą ich coraz szersze połacie obojętnego morza. Kunicki ma czarne przecucie, od którego wysycha mu język, przecucie czegoś, co ma związek z tymi śmieciami przy drodze, z muchami i ludzkimi odchodami. Zrozumiał. Oni zginęli. Przepadli oboje. Wie, że nie ma ich wśród oliwek, ale mimo to biegnie tam suchą ścieżką i woła ich, nie wierząc już, że odpowiedzą.

To czas poobiedniej sjęsty, miasteczko jest prawie puste. Na plaży, tuż przy drodze, trzy kobiety puszczają niebieskiego latawca. Widzi je dokładnie, kiedy

parkuje. Jedna z nich ma jasne kremowe spodnie opinające grube pośladki.

Znajduje Branka przy stoliku niewielkiej kafejki. Siedzi tam z dwoma innymi mężczyznami. Piją palinkowac z lodem, jak whisky. Branko uśmiecha się na jego widok, zaskoczony.

— Zapomniałeś czegoś? — pyta.

Podsuwają mu krzesło, ale on nie siada. Chce wszystko opowiedzieć po kolei, przechodzi na angielski, jednocześnie gdzieś w innej części głowy zastanawia się, jakby to był film, co się robi w takiej sytuacji. Mówi, że zginęli, Jagoda i mały. Mówi, gdzie i kiedy. Mówi, że szukał i nie znalazł. Wtedy Branko pyta:

— Pokłóciliście się?

Odpowiada, że nie, zgodnie z prawdą. Dwaj mężczyźni dopijają palinkowac. On też miałby ochotę. Czuje w ustach ten ostro-słodkawy smak. Branko powoli zbiera ze stołu paczkę papierosów i zapalniczkę. Tamci też wstają, opornie, jakby koncentrowali się przed walką, a może po prostu woleliby tu siedzieć w cieniu markizy. Pojadą tam wszyscy, ale Kunicki upiera się, że trzeba najpierw zawiadomić policję. Branko waha się. Jego czarną brodę przetykają promienie siwych włosów. Na żółtej koszulce czerwienieje rysunek muszli i napis: „Shell”.

— Może ona zeszła do morza?

Może zeszła. Ustalają: Branko i Kunicki wrócą w tamto miejsce, a dwaj pozostali pójda na posterunek, żeby zadzwonić do Visu. Branko tłumaczy, że

w Komizy jest tylko jeden policjant, że prawdziwy posterunek jest w Visie. Na stoliku zostają szklanki z topniejącym lodem.

Kunicki bez trudu rozpoznaje małą zatoczkę przy drodze, gdzie przedtem stał. Wydaje mu się, że to było całe wieki temu, czas teraz płynie inaczej, jest gęsty i cierpki, składa się z sekwencji. Zza białych chmur wychodzi słońce, nagle robi się gorąco.

— Zatrąb — mówi Branko i Kunicki naciska klakson.

Dźwięk jest długi, żałosny, jak głos zwierzęcia. Milknie i rozbija się na miniaturowe echa cykad.

Ruszają w oliwkowy busz, nawołując się od czasu do czasu. Spotykają się dopiero przy winnicy i po chwili rozmowy postanawiają przejść ją całą. Posuwają się cienistymi rzędami, wołając zaginioną kobietę: „Jagoda, Jagoda!”. Kunicki zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego imienia, zapomniał już o tym, i nagle wydaje mu się, że bierze udział w pradawnym rytuale, zamazanym, groteskowym. Spod krzaków zwisają nabrzmiałe ciemnofioletowe grona, perwersyjne, zwielokrotnione sutki, a on błądzi w liściastych labiryntach, krzycząc: „Jagoda, Jagoda”. Do kogo to? Kogo szuka?

Musi na chwilę przystanąć, kłuje go w boku; zgina się w pół między rzędami roślin. Zanurza głowę w cienisty chłód, przytłumiony listowiem głos Branka milknie i Kunicki słyszy teraz brzęczenie much — znajomą osnowę ciszy.

Za winnicą zaczyna się następna, oddzielona tylko wąską ścieżką. Zatrzymują się i Branko dzwoni z komórki. Powtarza dwa słowa „żena” i „dijete” — tylko to jest w stanie zrozumieć Kunicki. Słońce robi się pomarańczowe; wielkie, napuchnięte słabnie w oczach. Za chwilę będzie mu można spojrzeć w twarz. Winnice zaś nabierają intensywnie ciemnozielonego koloru. Dwie ludzkie figurki stoją w tym zielonym pasiastym morzu bezradnie.

O zmierzchu na szosie jest już kilka aut i grupka mężczyzn. Kunicki siedzi w samochodzie z napisem „Policija” i z pomocą Branka odpowiada na chaotyczne, jak mu się zdaje, pytania dużego spoconego policjanta. Mówi prostą angielszczyzną. „We stopped. She went out with the child. They went right, here”, pokazuje ręką. „I was waiting, let's say, fifteen minutes. Then I decided to go and look for them. I couldn't find them. I didn't know what has happened”. Dostaje ciepłą wodę mineralną, pije ją łączywie. „They are lost”. A potem dodaje jeszcze raz: „lost”. Policjant dzwoni gdzieś z komórki. „It is impossible to be lost here, my friend”, mówi do niego, czekając na połączenie. Kunickiego uderza to „my friend”. Potem odbywa się walkie-talkie. Zanim ruszą nierówną tyralierą w głąb wyspy, minie jeszcze godzina.

Przez ten czas opuchnięte słońce opuszcza się nad winnice, a gdy wyjdą na samą górę, okaże się, że dotyka już morza. Mimowolnie są świadkami operowej dłużyzny jego zachodu. W końcu ludzie zapalają

latarki. Już po ciemku schodzą na wysoki, urwisty brzeg wyspy, gdzie pełno małych zatoczek, i sprawdzają dwie z nich, w każdej stoją kamienne domki, zamieszkane przez tych bardziej ekscentrycznych turystów, którzy nie lubią hoteli i wolą więcej zapłacić za brak bieżącej wody i elektryczności. Ludzie gotują na kamiennych kuchniach albo mają ze sobą butle z gazem. Łowią ryby, które wędrują z morza wprost na ruszt. Nie, nikt nie widział kobiety z dzieckiem. Zaraz będą jeść kolację — na stołach pojawiają się chleb, sery, oliwki i biedne ryby, które jeszcze w południe oddawały się swoim bezmyślnym zajęciom w morzu. Co jakiś czas Branko dzwoni do hotelu w Komiży — prosi go o to Kunicki, bo wydaje mu się, że ona zabłądziła i w końcu doszła tam inną drogą. Ale Branko po każdym telefonie poklepuje go tylko po plecach.

Około północy okazuje się, że grupa mężczyzn stopniała i jest wśród nich tych dwóch, których Kunicki zobaczył przy stoliku w Komiży. Teraz, przy pożegnaniu, przedstawiają się: Drago i Roman. Idą razem do samochodu. Kunicki jest im wdzięczny za pomoc, nie wie, jak to okazać, zapomniał, jak po chorwacku mówi się „dziękuję”; musi być jakoś „djakuju”, „djakuje” czy coś w tym rodzaju. Właściwie przy odrobinie dobrej woli mogliby wspólnie wypracować jakąś słowiańską koine, zestaw podobnych, podręcznych słowiańskich słów, używanych bez gramatyki, zamiast osuwać się w drętwą i uproszczoną wersję angielskiego.

W nocy pod jego dom przyływa łódź. Mają się ewakuować, to powódź. Woda sięga już pierwszego piętra budynków. W kuchni przeciska się przez fugi między kafelkami i wypływa ciepłymi strużkami z elektrycznych gniazdek. Książki spuchły od wilgoci. Otwiera jedną i widzi, że litery spływają jak makijaż, pozostawiając puste zamazane kartki. Okazuje się, że wszyscy odpłynęli już poprzednim transportem, został tylko on.

Przez sen słyszy krople leniwie padającej z nieba wody, która po chwili zamienia się w gwałtowną krótką ulewę.

Benedictus, qui venit

Kwiecień na autostradzie, smugi czerwonego słońca na asfalcie, świat starannie przykryty lukrem niedawnego deszczu — wielkanocna babka. W Wielki Piątek, o zmierzchu, gdzieś między Belgią i Holandią jadę samochodem — nie wiem dokładnie, bo granica znikła, zatarła się zupełnie, nie używana. Stacja radiowa nadaje „Requiem”. Przy „Benedictus” wzdłuż autostrady zapalają się lampy, jakby chciały uprawomocnić przekazane mi przez radio mimowolne błogosławieństwo.

Lecz, prawdę mówiąc, mogło to znaczyć tylko tyle, że znalazłam się już w Belgii, gdzie miłym dla podróżnych zwyczajem oświetla się wszystkie autostrady.

Panoptikum

Panoptikum i wunderkamera, jak się dowiedziałam z przewodnika po muzeum, to stateczna para, która poprzedzała istnienie muzeów. Były to wystawy zbiorów wszelkich osobliwości, które ich właściciele zwozili z dalszych i bliższych podróży.

Nie można jednak nie pamiętać, że panoptikonem Bentham nazwał swój genialny system dozorowania więźniów; miał on na celu taką konstrukcję przestrzeni, żeby każdy z więźniów był nieustannie widziany.

Kunicki. Woda II

— Wyspa nie jest znowu taka wielka — mówi rano Djurdzica, żona Branka, i nalewa mu mocnej, gęstej kawy do filiżanki.

Wszyscy to powtarzają jak mantrę. Kunicki rozumie, co chcą mu powiedzieć, sam to wie, że wyspa jest zbyt mała, żeby się na niej zgubić. Wyspa ma ledwie ponad dziesięć kilometrów długości i tylko dwie większe osady, miasta Vis i Komizę. Można ją dokładnie przeszukać, centymetr po centymetrze, jak szufladę. I ludzie w obu miasteczkach dobrze się znają. Noce są ciepłe, na polach rosną winnice, a figi prawie już dojrzały. Nawet jeżeli zabłądzili, nic im się nie stanie, nie umrą z głodu ani z zimna, nie zjedzą ich dzikie zwierzęta. Spędzą ciepłą noc na suchej, rozgrzanej trawie, pod oliwką, będą słyszeć senny szum

morza. Z każdego miejsca jest nie więcej niż trzy, cztery kilometry do drogi. Na polach stoją kamienne domki z beczkami na wino, z winnymi prasami, niektóre zaopatrzone w jedzenie i świece. Na śniadanie zjedzą kiść dojrziałych winogron albo normalny posiłek u letników w zatoczkach.

Schodzą pod hotel, gdzie czeka już na nich policjant, ale inny, młodszy. Kunicki przez chwilę ma nadzieję, że przyszedł z dobrymi wieściami, ale ten prosi o paszport. Uważnie spisuje dane, mówi, że będą ich szukać także na stałym lądzie, w Splicie. I na innych okolicznych wyspach.

— Mogła iść brzegiem — tłumaczy.

— Nie miała pieniędzy. No money. Wszystko jest tutaj. — Kunicki pokazuje torebkę i wyciąga z niej portmonetkę, czerwoną, wyszywaną koralikami. Otwiera ją i podsuwa pod oczy policjantowi. Tamten wzrusza ramionami i spisuje adres w Polsce.

— Ile dziecko ma lat?

Kunicki odpowiada, że trzy.

Jadą serpentynami w to samo miejsce, dzień zapowiada się upalny i jasny, prześwietlony jak klisza. W południe zniknie z niej wszelki obraz. Kunicki myśli o możliwości patrzenia z góry, o helikopterze, bo przecież wyspa jest prawie naga. Myśli też o chipach, że daje się je zwierzętom, wędrownym ptakom, bocianom i żurawiom, a nie starcza ich dla ludzi. Wszyscy powinni mieć taki chip, dla własnego

bezpieczeństwa; potem można by śledzić każdy ludzki ruch w Internecie — drogi, punkty spoczynku, błądzenie. Ilu uratowałoby się od śmierci! Ma przed oczami obraz z ekranu komputera — kolorowe linie, jakie wyznaczałoby ludzie, ciągłe ślady, znaki. Kręgi i elipsy, labirynty. Może także nieskończone ósemki, może nieudane, przerwane nagle spirale.

Jest pies, czarny owczarek; dają mu jej sweter z tylnego siedzenia. Pies węszy wokół samochodu, a potem rusza ścieżką między oliwki. W Kunickiego wstępuje nagle energia, zaraz wszystko będzie jasne. Biegną za psem. Owczarek zatrzymuje się tam, gdzie musieli się widocznie załatwiać, chociaż nie ma żadnego śladu. Stoi zadowolony z siebie, ale przecież, psie, to nie wszystko. Gdzie ludzie, dokąd poszli? Pies nie rozumie, czego od niego chcą, ale rusza dalej z ociąganiem, zupełnie w bok, wzdłuż szosy, oddalając się od winnic.

Więc poszła wzdłuż drogi, myśli Kunicki, musiało się jej pomylić. Mogła wyjść dalej i czekać na niego kilkaset metrów stąd. Ale czy nie słyszała klaksonu? A potem? Może ktoś ich podwiózł, lecz skoro się nie znaleźli, to dokąd mógł ich podwieźć ten ktoś? Ktoś. Niejasna, rozmazana barczysta postać. Szeroki kark. Porwanie. Ogłuszył ich i załadował do bagażnika? Przewiózł promem na ląd, teraz są w Zagrzebiu albo w Monachium, albo gdziekolwiek. A jak przekroczył granicę z dwoma nieprzytomnymi ciałami?

Jednak pies zaraz skręca w pusty wąwóz biegnący ukośnie od drogi, w kamienistą długą wyrwę i bieg-

nie nią dalej w dół, po kamieniach. Tam zaczyna się mała, zaniedbana stara winnica, a w niej widzą dom z kamienia, podobny do kiosku, przykryty zardzewiałą blachą falistą. Przed drzwiami leży kupka suchych łodyg winorośli, chyba do spalenia. Pies kręci się wokół domu, zatacza kręgi i wraca pod drzwi. Jednak drzwi są zamknięte na kłódkę — patrzą na to zdziwieni. Wiatr nawiał patyczków na próg. Jest oczywiste, że nikt tędy nie mógł wejść. Policjant zagląda do środka przez brudne szyby, a potem zaczyna potrząsać oknem, mocniej i mocniej, aż je wyważa. Zaglądają tam wszyscy, uderza ich zapach stęchlizny i morza, wszędobylski.

Szumi walkie-talkie, pies dostaje pić i znowu każe mu wachać sweter. Robi teraz trzy rundy wokół domu, zawraca na drogę, potem z wahaniem rusza dalej tą samą drogą w kierunku nagich, gdzieś tylko porośniętych suchą trawą skał. Z urwiska widać morze. Stoją tam wszyscy poszukiwacze. Z twarzami obróconymi ku wodzie.

Pies gubi trop, zawraca, w końcu kładzie się na środku ścieżki.

— To je zato jer je po noći padała kiša — mówi ktoś po chorwacku i Kunicki dobrze rozumie, że chodzi o nocny deszcz.

Przychodzi Branko i zabiera go na późny lunch. Policja jeszcze tam zostaje, ale oni zjeżdżają do Komiży. Prawie nie rozmawiają. Kunicki zdaje sobie sprawę, że pewnie Branko nie wie, co mu powiedzieć,



i do tego jeszcze w obcym języku, po angielsku. Więc dobrze, niech nic nie mówi. Zamawiają smażoną rybę w restauracji nad samym morzem; to nawet nie jest restauracja, ale kuchnia znajomych Branka. Wszyscy tutaj to jego znajomi, są nawet jakoś podobni do siebie, rysy mają bardziej ostre, twarze jakby wysmagane wiatrem, plemię wilków morskich. Branko nalewa mu wina i namawia, żeby wypił. Sam też wychyla je duszkiem. Nie pozwala potem zapłacić. Dzwonią do niego.

— They manage to get a helicopter, an airplane. Police — mówi Branko.

Ustalają plan wyprawy wzdłuż brzegów wyspy, łądzią Branka. Kunicki dzwoni do Polski, do rodziców, słyszy zdarty, swojski głos ojca, mówi mu, że muszą zostać jeszcze trzy dni. Nie powie prawdy. Wszystko w porządku, po prostu muszą zostać. Dzwoni też do pracy, że ma drobne kłopoty, i prosi jeszcze o trzy dni urlopu. Nie wie, dlaczego mówi „trzy dni”.

Czeka na Branka na przystani. Ten pojawia się znowu w swojej koszulce ze znakiem czerwonej muszli, ale to nowa koszulka, czysta, świeża, widocznie ma takich wiele. Odnajdują wśród przycumowanych łodzi mały kuter. Niebieskie litery wypisane na burcie w dość niezadarny sposób obwieszczają imię: „Neptun”. Wtedy Kunicki przypomina sobie, że prom, którym tutaj przypłynęli, nazywał się „Posejdon”. I wiele rzeczy, barów, sklepów, łodzi nazywa się „Posejdon”. Albo „Neptun”. Te dwa imiona morze

wyrzuca niczym muszle. Ciekawe, jak sobie załatwili copyright u tego boga. Czym mu płacą?

Sadowią się w kutrze, jest mały, ciasny, to raczej łądzi motorowa z drewnianą kabiną, były jak skleconą z desek. Branko trzyma tam butelki na wodę, puste i pełne. W niektórych jest wino z jego winnicy, białe, dobre, mocne. Każdy ma tutaj swoją winnicę i swoje wino. Branko wyciąga stamtąd silnik i mocuje go na rufie. Zaskakuje za trzecim razem i odtąd muszą do siebie krzyczeć. Hałas jest nieznośny, ale już po chwili mózg przyzwyczaja się do niego, jak do grubego zimowego ubrania, które oddziela ciało od reszty świata. Powoli w tym hałasie pograża się widok malejącej zatoki i portu. Kunicki dostrzega dom, w którym mieszkali, a nawet okna kuchni i kwiat agawy rozpaczliwie strzelający w niebo niczym skamieniały fajerwerk, tryumfalna ejakulacja.

Na jego oczach wszystko kurczy się i zlewa: domy — w ciemną i nieregularną linię, port — w chaotyczną białą plamę poprzetykaną kreskami masztów; za to nad miasteczkiem wyrastają góry, nagie, szare, nakrapiane zielenią winnic. Rosną, stają się ogromne. Od środka, z drogi, wyspa wydawała się mała, teraz widać jej potęgę; bryła skał ułożona w monumentalny stożek, pięść wystająca z wody.

Gdy skręcają w lewo, wypływając z zatoki na pełne morze, brzeg wyspy wydaje się stromy, groźny.

Źródłami ruchu są białe grzbiety fal uderzające o skały i zaniepokojone obecnością łodzi ptaki. Gdy na powrót włączają silnik, ptaki spłoszone znikają.

I jeszcze — pionowa linia odrzutowca, który rozpruwa niebo na dwie płachty. Samolot leci na południe.

Ruszają. Branko zapala dwa papierosy i jednego daje Kunickiemu. Ciężko palić, spod dzioba przyskają małe kropelki wody i osiadają na wszystkim.

— Patrz na wodę — krzyczy Branko — na wszystko, co pływa.

Kiedy zbliżają się do zatoki z jaskinią, widzą helikopter — leci w przeciwną stronę. Branko staje na środku łodzi i macha. Kunicki patrzy na maszynę, prawie szczęśliwy. Wyspa jest niewielka, myśli po raz setny, z góry nic się na niej nie ukryje przed wzrokiem wielkiej mechanicznej ważki, wszystko będzie widać jak na talerzu.

— Płyńmy do „Posejdona” — krzyczy do Branka, ale ten nie jest przekonany.

— Tam nie ma przejścia — odkrzykuje.

Kuter jednak skręca i zwalnia. Wpływają między skały z wyłączonym silnikiem.

Ta część wyspy też powinna się nazywać „Posejdon”, jak wszystko, myśli Kunicki. Bóg zbudował sobie tutaj własne katedry: nawy, jaskinie, kolumny i chóry. Linie są nieprzewidywalne, rytm fałszywy i nierówny. Czarne magmowe skały błyszczą od wody, jakby pokryte je rzadkim ciemnym metalem. Teraz, o zmierzchu, te budowle są porażająco smutne, to kwintesencja opuszczenia, nikt się tutaj nigdy nie modlił. Kunicki ma nagłe wrażenie, że widzi pierwowzory ludzkich kościołów, że tutaj powinno się prowadzić wszelkie wycieczki, zanim się pojedzie do Reims, do Chartres.

Chce się tym odkryciem podzielić z Brankiem, ale hałas jest zbyt wielki, żeby mówić. Widzą inną, większą łódź z napisem: „Policie. Split”. Płynie wzdłuż stromej linii brzegu. Łodzie podpływają do siebie i Branko rozmawia z policjantami. Nie ma żadnych śladów, nic. Tak przynajmniej sądzi Kunicki, bo warkot silnika zagłusza rozmowę. Chyba porozumiewają się ruchem ust i łagodnym, bezradnym unoszeniem ramion, które nie pasuje do ich białych policyjnych koszul z pagonami. Pokazują, żeby wracać, bo zaraz zrobi się ciemno. Tylko to słyszy Kunicki: „Wracajcie”. Branko dodaje gazu, brzmi to jak wybuch. Woda drętwieje, w morze rozchodzą się fale, drobnutkie jak ciarki.

Przybijanie do wyspy wygląda zupełnie inaczej niż za dnia. Najpierw widzą roziskrzone światła, które z każdą chwilą coraz bardziej odrywają się od siebie i formują szeregi. Rosną w zapadającym mroku, stają się osobne, różne — inne są światła jachtów przybitych do nabrzeża, a inne w oknach domów; inne są oświetlone szyldy, a inne ruchome światła samochodów. Bezpieczny widok oswojonego świata.

W końcu Branko wyłącza silnik i łódka przybija do brzegu. Nieoczekiwanie spód szoruje po kamieniach — przypłynęli na małą miejską plażę, tuż pod hotelem, daleko od przystani. Teraz Kunicki domyśla się dlaczego. Przy rampie, tuż przy plaży stoi policyjny samochód, dwóch mężczyzn w białych koszulach wyraźnie czeka na nich.

— Chyba chcę z tobą rozmawiać — mówi Branko i cumuje łódź. Kunicki nagle słabnie, boi się tego, co

może usłyszeć. Że znaleźli ciała. Tego się boi. Idzie do nich na miękkich nogach.

Chwała Bogu, chodzi o zwykłe przesłuchanie. Nie, nie mają nic nowego. Jednak minęło tyle czasu, sprawa stała się poważna. Wiozą go tą samą, jedy-
ną na wyspie szosą do Visu, na posterunek. Jest już całkiem ciemno, ale widocznie znają dobrze drogę, bo nawet nie zwalniają na zakrętach. Szybko mijają tamto miejsce.

Na posterunku czekają na niego nowi. Tłumacz, wysoki, przystojny mężczyzna, który mówi, powiedzmy to szczerze, słabym polskim — przywieźli go specjalnie ze Splitu — i jeszcze oficer. Zadają rutynowe pytania, jakoś obojętnie, i dociera do niego, że stał się podejrzanym.

Odwożą go pod sam hotel. Wysiada i robi ruch, jakby miał tam wejść. Jednak tylko udaje, że wchodzi. Czeką w ciemnym korytarzyku, aż odjadą, aż ucichnie warkot silnika samochodu, i wychodzi na ulicę. Idzie w stronę największego skupiska świateł, w stronę bulwaru przy przystani, gdzie są wszystkie kawiarnie i restauracje. Ale jest już późno i mimo że to piątek, nie ma już tłumu; musi być pierwsza, druga w nocy. Wśród nielicznych klientów przy stolikach szuka wzrokiem Branka, ale go tam nie dostrzega, nie znajduje koszulki z muszlą. Są jacyś Włosi, cała rodzina, kończą jeść, widzi też dwoje starszych ludzi, sączą coś przez słomkę i przyglądają się hałaśliwej włoskiej rodzinie. Jakieś dwie jasnowłose kobiety, zwrócone do siebie poufale, dotykają się ramionami,

zajęte rozmową. Miejscowi mężczyźni, rybacy, jakaś para. Co za ulga, że nikt na niego nie zwraca uwagi... Idzie skrajem cienia, tuż przy nabrzeżu, czując zapach ryb i ciepły, słony podmuch wiatru od morza. Ma ochotę skrócić w górę, w jedną z uliczek biegnących w stronę domu Branka, ale nie śmie, pewnie śpią. Przysiada więc przy małym stoliku, na skraju ogródka. Kelner go ignoruje.

Przygląda się mężczyznom, którzy schodzą się do stolika obok. Siadają i dostawiają jedno krzesło, jest ich pięciu. Zanim podejdzie kelner, zanim jeszcze zamówią drinki, już wiąże ich niewidzialna komitywa.

Są w różnym wieku, dwóch z nich ma gęste brody, lecz zaraz te wszystkie różnice znikną w kręgu, który mimowolnie już utworzyli. Mówią, ale nie jest ważne, co mówią — mogłoby wyglądać, że przygotowują się do wspólnego śpiewu, próbują głosu. Śmiech wypełnia przestrzeń wewnątrz okręgu — dowcipy, nawet te dobrze znane, są jak najbardziej na miejscu, wręcz pożądane. Ten śmiech jest niski, wibrujący, podbija przestrzeń i każe zamilknąć turystom przy sąsiednim stoliku — spłoszonym nagle kobietom w średnim wieku. Przyciąga ciekawe spojrzenia.

Szykują sobie publiczność. Wejście kelnera z tacą drinków staje się uwerturą, a kelner, młody chłopak, zostaje nieświadomym niczego konferansjerem, który zapowiada taniec, operę. Na jego widok ożywiają się, jakaś ręka podnosi się i wskazuje mu miejsce — tutaj. Chwila ciszy, i już szklane krawędzie wędrują do ust. Niektórym z nich, tym najbardziej niecierpliwym,

nie udaje się uniknąć zamknięcia oczu, zupełnie jak w kościele, gdy ksiądz z namaszczeniem kładzie na wyciągniętym języku biały opłatek. Świat jest gotowy do wywrotki — tylko umownie podłoga jest pod nogami, a sufit nad głową, ciało nie należy już jedynie do siebie, ale jest częścią żywego łańcucha, kawałkiem żywego kręgu. Tak i teraz szklanki wędrują do ust, sam moment ich opróżnienia jest prawie niewidzialny, odbywa się to w błyskawicznym skupieniu, z chwilową powagą. Odtąd mężczyźni będą się ich trzymać — szklanek. Ciała siedzące wokół stolika zaczną zataczać swoje kręgi, czubki głów będą wyznaczać w powietrzu koła, najpierw mniejsze, potem większe. Będą zachodzić na siebie, kreśląc nowe łuki. W końcu powstaną ręce, najpierw wypróbują swoją siłę w powietrzu, w gestach, którymi ilustruje się słowa, a potem powędrują ku ramionom towarzyszy, ku ich barkom i plecom, klepiąc je i wspierając. Będą to dotknięcia w istocie miłosne. Bratanie się rąk i pleców nie jest nachalne, to taniec.

Kunicki patrzy na to z zazdrością. Chciałby wyjść z cienia i dołączyć się do nich. Nie zna tej intensywności. Bliższa mu północ, gdzie wspólnota mężczyzn jest bardziej nieśmiała. Ale na południu, tam gdzie słońce i wino otwiera ciała szybciej i bezwstydniej, ten taniec staje się zupełnie realny. Po godzinie już pierwsze ciało osuwa się i zatrzymuje na oparciu krzesła.

Kunickiego uderza w plecy ciepła łapa nocnej bryzy, popycha go ku stolikom, jakby namawiała go: „Chodź, no chodź”. Chciałby do nich dołączyć, do-

kądkolwiek się wybierają. Chciałby, żeby go zabrali ze sobą.

Wraca nie oświetloną stroną bulwaru do hoteliku, pilnując, żeby nie przekroczyć granicy mroku. Zanim wejdzie w wąską i duszną klatkę schodową, nabiera powietrza i stoi przez chwilę bez ruchu. Później pnie się po schodach, wycucując w ciemnościach stopnie, i od razu pada na łóżko w ubraniu, na brzuch, z rękami rozrzuconymi na boki, jakby ktoś strzelił mu w plecy, a on przez chwilę kontemplował tę kulę, a potem umarł.

Wstaje po kilku godzinach, dwóch, trzech, bo jeszcze jest ciemno, i po omacku schodzi do samochodu. Szczeka alarm, auto mruga porozumiewawczo, stęsknione. Kunicki wypakowuje z niego bagaże, wszystkie, jak leci. Nosi walizki po schodach i rzuca je na podłogę w kuchni i pokoju. Dwie walizki i mnóstwo tobołków, toreb, koszyków, także ten z prowiantem na drogę, komplet płetw w plastikowym worku, maski, parasol, maty na plażę i skrzynkę z zakupionymi na wyspie winami oraz ajvarem, tym przecierem z papryki, który im tak zasmakował, i jeszcze słoje oliwek. Zapala wszystkie światła i siedzi teraz w tym bałaganie. Potem bierze jej torebkę i delikatnie wytrząsa zawartość na kuchenny stół. Siada i mierzy wzrokiem kupkę żalonych przedmiotów, jakby to była skomplikowana gra w bierki i do niego należał ruch — wyciągnąć jedną bierkę tak, żeby nie poruszyć innych. Po chwili wahania bierze do ręki szminkę i odkręca zakrętkę. Ciemnoczerwona, pra-

wie nowa. Nie używała jej często. Wącha ją. Pachnie ładnie, trudno powiedzieć czym. Nabiera odwagi i po kolei bierze każdy przedmiot i układa go osobno na stole. Paszport — stary, w niebieskich okładkach, na zdjęciu jest znacznie młodsza, ma długie włosy, rozpuszczone, z grzywką. Na ostatniej stronie podpis jest rozmyty, dlatego często przetrzymują ją na granicy. Czarny notesik, zamykany na gumkę. Otwiera go i przerzuca kartki — jakieś notatki, rysunek zakietu, kolumna cyfr, wizytówka bistro w Polanicy, z tyłu numer telefonu, pukielek włosów, ciemnych, nawet nie pukielek, po prostu kilkadziesiąt pojedynczych włosów. Odkłada na bok. Potem przejrzy dokładniej. Kosmetyczka z egzotycznego hinduskiego materiału, w środku: kredka ciemnozielona, puderniczka (prawie nie ma w niej pudru), zielony tusz do rzęs w spirali, plastikowa temperówka, błyszczak do ust, pęsetka, poczerńiały urwany łańcuszek. Znajduje jeszcze bilet do muzeum w Trogirze, na odwrocie napis, obce słowo; zbliża kartonik do oczu i czyta z trudem: **Koupóc**, chyba K-A-I-R-O-S, ale nie jest pewny, nic mu to nie mówi. Na dnie pełno piasku.

Komórka, prawie wyładowana. Sprawdza ostatnie połączenia — wyświetla się jego własny numer, przeważnie, ale są też inne, nic mu nie mówią, dwa albo trzy. „Otrzymane wiadomości” — tylko jedna — od niego, gdy zgubili się w Trogirze. „Jestem przy fontannie na głównym placu”. „Wysłane wiadomości” — pusta. Wraca do głównego menu, na ekraniku świeci przez chwilę jakiś wzorek, potem gaśnie.

Paczka napoczętych chusteczek higienicznych. Ołówek, dwa długopisy, jeden żółty bic, drugi z napisem „Hotel Mercure”. Drobne monety, grosze i eurocenty. Portmonetka, a w niej chorwackie banknoty, niewiele, i polskie dziesięć złotych. Karta Visa. Błoczek pomarańczowych karteczek, przybrudzony. Miedziana szpilka z jakimś antycznym wzorkiem, wygląda na połamaną. Dwa cukierki kopiko. Aparat fotograficzny, digitalny w czarnym etui. Gwóźdź. Biały spinacz. Złotko po gumie do żucia. Okruszki. Piasek.

Układa to wszystko starannie na czarnym matowym blacie, każda rzecz w równej odległości od drugiej. Podchodzi do kranu, pije wodę. Wraca do stołu i zapala papierosa. Potem zaczyna robić zdjęcia jej aparatem, każdemu przedmiotowi osobno. Fotografuje powoli, z namaszczeniem, na maksymalnym zbliżeniu, z włączoną lampą błyskową. Żałuje tylko, że ten mały aparacik nie może zrobić zdjęcia sobie samemu. On też jest dowodem w sprawie. Potem przenosi się do sieni, gdzie stoją torby i walizki, i każdej z nich cyka jeden obrazek. Na tym jednak nie poprzestaje, rozpakowuje walizki i zaczyna fotografować każdą sztukę odzieży, każdą parę butów, każdą tubkę kremu i książkę. Zabawki małego. Wyrzuca nawet z reklamówki brudne ubrania i tej niekształtnej kupce też robi zdjęcie.

Znajduje małą butelkę rakiji i wypija ją jednym duszkiem, z aparatem w dłoniach, w końcu fotografuje pustą butelkę.

Jest już widno, kiedy rusza samochodem w stronę Visu. Ma ze sobą zeschnięte kanapki, które ona zrobiła na drogę. W upale masło spłynęło, nasączyło kawałki chleba lśniąca tłustą warstwą, żółty ser teraz jest twardy i na wpół przezroczysty jak plastik. Zjada dwie, wyjeżdżając z Komiży; ręce wyciera o spodnie. Jedzie wolno, ostrożnie, patrząc na boki, na wszystko, co mija, pamiętając, że w jego krwi jest alkohol. Ale czuje się mocny i niezawodny jak maszyna. Nie ogląda się za siebie, chociaż wie, że tam za jego plecami metr po metrze rośnie morze. Powietrze jest tak czyste, że pewnie ze szczytu uda się dostrzec brzegi Włoch. Na razie zatrzymuje się w zatoczkach i lustruje wszystko wokół, każdy papierek, każdy śmieć. Ma też lornetkę Branka — ogląda przez nią zbocza. Widzi kamieniste stoki pokryte mierzwą wypalanej, poszarzałej trawy, widzi krzaki nieśmiertelnych jeżyn, pociemniałych od słońca, kurczowo chwytające się długimi pędami kamieni. Marne, zdziczałe oliwki o powykęcanych pniach, kamienne murki pozostałe po opuszczonych winnicach.

Po mniej więcej godzinie powoli, niczym patrol policji, zaczyna zjeżdżać do Visu. Mija mały supermarket, gdzie robili zakupy, przeważnie wina, i po chwili jest w mieście.

Prom przycumował już do nabrzeża. Jest ogromny, wielki jak budynek, pływający blok. „Posejdon”. Wielkie wrota już otwarto, do tej ziejącej jaskini ustawiła się kolejka samochodów i zaspanych ludzi; zaraz zaczął wpuszczać. Kunicki staje przy barierce i przy-

gląda się grupie kupujących bilety. Niektórzy są z plecakami, wśród nich piękna dziewczyna w kolorowym turbanie; patrzy na nią, nie może oderwać wzroku. Obok dziewczyny wysoki chłopak o skandynawskiej urodzie. Są kobiety z dziećmi, chyba miejscowe, bez bagaży, jakiś człowiek w garniturze, z teczką. Jest para — ona przytulona do jego piersi, ma zamknięte oczy, jakby chciała odespać zbyt krótką noc. I kilka samochodów — jeden załadowany po dach, z niemieckimi rejestracjami, dwa włoskie. I miejscowe bagażówki — po chleb, warzywa, pocztę. Wyspa musi żyć. Kunicki dyskretnie zagląda do samochodów.

W końcu kolejka rusza, prom połyka ludzi i samochody, nikt nie protestuje, idą jak cielęta. Podjeżdża jeszcze grupa francuskich motocyklistów, pięcioro, ci są ostatni i też posłusznie znikają w paszczy „Posejdon”.

Kunicki czeka, aż wrota zamkną się z mechanicznym zgrzytem. Bileter zatrząskuje okienko i wychodzi zapalić papierosa. Obydwaj są świadkami, jak prom z nagłym hałasem odbija od brzegu.

Mówi, że szuka kobiety i dziecka, wyciąga z kieszeni jej paszport i podtyka go pod nos tamtemu.

Bileter patrzy na zdjęcie w paszporcie, pochyla się nad nim. Mówi po chorwacku coś w tym rodzaju:

— Policja nas już o nią pytała. Nikt jej tu nie widział — zaciąga się papierosem i dodaje: — To nie jest duża wyspa, zapamiętałoby się.

Nagle kładzie Kunickiemu rękę na ramieniu, jakby się dawno znali.

— Kawy? Napijesz się kawy? — i pokazuje głową otwieraną właśnie kafejkę przy porcie.

Tak, kawy. Czemu nie?

Kunicki siada przy małym stoliku, a tamten za chwilę przychodzi z podwójnymi espresso. Piją w milczeniu.

— Nie martw się — mówi bileter. — Tutaj nie ma się jak zgubić. Tutaj wszyscy jesteśmy widoczni jak na dłoni. — Tak mówi i pokazuje otwartą dłoń przeoraną kilkoma grubymi liniami. Potem przynosi mu bułkę z kotлетem i sałata. W końcu odchodzi, zostawiając Kunickiego nad niedopitą kawą. Kiedy znika, Kunickiemu wrywa się krótki szloch; jest jak kęs bułki, więc przełyka go, nie czując smaku.

Nie może pozbyć się wyrażenia, że są widoczni jak na dłoni. Przez kogo? Kto miałby na nich wszystkich patrzeć, na tę wyspę na morzu, na nitki asfaltowych dróg z portu do portu, na roztopionych w upale kilka tysięcy ludzi, miejscowych i turystów, trwających w ruchu. Migają mu w głowie obrazy ze zdjęć satelitarnych, podobno można na nich dojrzeć napis na pudełku od zapalek. Czy to możliwe? Pewnie i widać stamtąd jego początki łysiny. Wielkie chłodne niebo pełne ruchomych oczu niespokojnych satelitów.

Wraca do samochodu przez mały cmentarz koło kościoła. Wszystkie groby zwrócone są w stronę morza, jak w amfiteatrze, więc zmarli obserwują powolny, powtarzalny rytm portu. Zapewne cieszy ich biały prom, może biorą go nawet za archanioła, który eskortuje dusze w tej podniebnej przeprawie.

Kunicki zauważa, że powtarza się kilka nazwisk. Ludzie tutaj muszą być jak te koty — chowają się wsośnie, obracają w kręgu kilku rodzin, rzadko wychodzą poza nie. Zatrzymuje się tylko raz — widzi mały nagrobek i zaledwie dwa rzędy liter:

Zorka 9 II 21-17 II 54

Srečan 29 I 54-17 VII 54

Przez chwilę szuka w tych datach algebraicznego porządku, wyglądają jak szyfr. Matka i syn. Jakaś tragedia ujęta w daty, rozpisana na etapy. Sztafeta.

I to już koniec miasta. Jest zmęczony, upał sięgnął zenitu i teraz pot zalewa mu oczy. Gdy znowu wspina się samochodem w głąb wyspy, widzi, że ostre słońce zamienia ją w najbardziej nieprzyjazne miejsce na ziemi. Upał cyka jak zegarowa bomba.

Na policji częstują go zimnym piwem, jakby chcieli ukryć pod białą pianą swoją bezradność. „Nikt ich nie widział”, mówi masywny urzędnik i grzecznie odwraca ku niemu wentylator.

— Co robić? — pyta policjanta, stojąc w drzwiach.

— Niech pan odpocznie — odpowiada tamten.

Ale Kunicki zostaje na komisariacie i wsłuchuje się we wszystkie telefoniczne rozmowy, w pełne ukrytych znaczeń trzaski walkie-talkie, aż przychodzi po niego Branko i zabiera go na obiad. Prawie nie rozmawiają. Potem każe się odwieźć do hotelu, jest

słaby i kładzie się na łóżku w ubraniu. Czuje swój pot; obrzydliwy zapach strachu.

Leży w ubraniu wśród wyrzuconych z toreb rzeczy, na wznak. Jego wzrok z uwagą bada ich konstelację, wzajemne położenie, wskazywane kierunki, tworzone figury. To mogłaby być wróżba. Jest tam do niego list, napisany w sprawie jego żony i dziecka, ale przede wszystkim w sprawie jego samego. Nie zna tego pisma ani tych znaków, z pewnością nie pisała ich ludzka ręka. Ich związek z nim jest oczywisty, sam fakt, że na nie patrzy, jest istotny; i to, że je widzi, jest wielką tajemnicą, jest nią, że w ogóle może patrzeć i widzieć, tajemnicą jest to, że jest.

Wszędzie i nigdzie

Kiedy wyruszam w podróż, znikam z map. Nikt nie wie, gdzie jestem. W punkcie, z którego wyszłam, czy w punkcie, do którego dążę? Czy istnieje jakieś „pomiędzy”? Czy jestem jak ten zgubiony dzień, gdy leci się na wschód, i odnaleziona noc, gdy na zachód? Czy obowiązuje mnie to samo prawo, z którego dumna jest fizyka kwantowa — że cząstka może istnieć równocześnie w dwóch miejscach? Czy inne, o którym jeszcze nie wiemy i którego nie udowodniono — że można podwójnie nie istnieć w jednym i tym samym miejscu?

Myślę, że takich jak ja jest wielu. Znikniętych, nieobecnych. Pojawiają się nagle w terminalach przy-

lotów i zaczynają istnieć, gdy urzędnicy wbijają im do paszportu stempel albo gdy uprzejmy recepcjonista w jakimś hotelu wręczy im klucz. Zapewne odkryli już swoją niestałość i zależność od miejsc, pór dnia, od języka czy miasta i jego klimatu. Płynność, mobilność, iluzoryczność — to właśnie znaczy być cywilizowanym. Barbarzyńcy nie podróżują, oni po prostu idą do celu albo dokonują najazdów.

Podobnie sądzi kobieta, która częstuje mnie ziołową herbatą z termosu, gdy obie czekamy na bus z dworca na lotnisko; dłonie ma pomalowane henną w skomplikowany wzór, który z dnia na dzień staje się nieczytelny. Gdy wsiadamy, robi mi wykład na temat czasu. Mówi, że ludy osiadłe, rolnicze woła przyjemności czasu kolistego, w którym każde wydarzenie musi wrócić do własnego początku, zwinąć się w embrion i powtórzyć proces dojrzewania i śmierci. Lecz nomadzi i kupcy, gdy wyruszają w drogę, musieli wymyślić dla siebie inny czas, który lepiej odpowiadałby podróży. To czas linearny, bardziej użyteczny, bo jest to miarą dążenia do celu i narastania procentów. Każdy moment jest inny i nigdy się nie powtórzy, sprzyja więc ryzyku i braniu pełnymi garściami, korzystaniu z chwili. Lecz w gruncie rzeczy było to gorzkie odkrycie — kiedy zmiana w czasie jest nieodwracalna, utrata i żałoba stają się czymś codziennym. To dlatego z ust nie schodzą im nigdy takie słowa jak „daremny” i „wyczerpany”.

— Daremny wysiłek, wyczerpane konta — śmieje się ta kobieta i zakłada pomalowane dłonie za głowę.

Mówi, że jedynym sposobem przetrwania w takim rozciągniętym, linearnym czasie jest zachowanie dystansu, taniec, którego krok polega na zbliżaniu się i oddalaniu, krok w przód, krok w tył, raz w lewo, raz w prawo — to krok łatwy do zapamiętania. A im większy staje się świat, tym większy dystans można sobie wytańczyć w ten sposób — wyemigrować za siedem mórz, za dwa języki, za jedną całą religię.

Ja jednak mam inne zdanie na temat czasu. Czas wszystkich podróży to wiele czasów w jednym, cała mnogość. To czas wysp, archipelagi porządku w oceanie chaosu, to czas, który produkują dworcowe zegary, wszędzie inny, czas umowny, południkowy, więc niech nikt nie bierze go zbyt poważnie. Godziny znikają w lecącym samolocie, świt następuje błyskawicznie i już depcze mu po piętach południe i wieczór. Hektyczny czas wielkich miast, gdzie przybywa się tylko na chwilę, żeby oddać się w niewolę jakiegoś wieczoru, i leniwy — nie zamieszkanym równin widzianym z samolotu.

Myślę też, że świat mieści się w środku, w bruzdzie mózgu, w szyszynce, stoi w gardle, ten globus. Właściwie można by go odkaszlnąć i wypluć.

Lotniska

Oto wielkie lotniska, które gromadzą nas, obiecując przesiadkę na następny samolot; to porządek połączeń i rozkładów na usługach ruchu. Ale nawet gdy-



byśmy się nie mieli już nigdzie ruszać przez najbliższe kilka dni, warto zapoznać się z każdym bliżej.

Kiedyś umieszczano je na peryferiach miast, jako ich uzupełnienie, jak dworce. Dziś jednak wyemancypowały się na tyle, że mają już własną tożsamość. Niedługo będzie można powiedzieć, że to miasta dołączyły do lotnisk w charakterze miejsc pracy i sypialń. Wiadomo przecież, że prawdziwe życie odbywa się w ruchu.

W czym lotniska miałyby być dziś gorsze od zwykłych miast? Są tam ciekawe wystawy sztuki, centra konferencyjne, urzędują w nich festiwale i przeglądy. Są ogrody i deptaki, prowadzona jest działalność oświatowa. W Schiphol można obejrzeć piękne kopie Rembrandta, a na pewnym lotnisku azjatyckim znajduje się muzeum religii; bardzo dobrze pomyślane. Mamy w nich ponadto dostęp do przyzwoitych hoteli i wielkiej różnorodności restauracji i barów. Są małe sklepy, supermarkety i galerie handlowe, w których można nie tylko zaopatrzyć się na drogę, ale od razu zakupić pamiątki, żeby potem, na miejscu, nie marnować czasu. Są fitness cluby, gabinety masażu klasycznego i wschodniego, są fryzjerzy i doradcy handlowi, przedstawicielstwa banków i telefonii komórkowych. W końcu zaspokoiwszy potrzeby ciała, możemy udać się po wsparcie duchowe do licznych kaplic i miejsc medytacji. Na niektórych lotniskach dla podróżnych urządzone są odczyty i spotkania autorskie. Mam jeszcze gdzieś w plecaku program jednego z nich: „Historia i podstawowe zagadnienia

psychologii podróży”, „Rozwój siedemnastowiecznej anatomii”.

Wszystko jest dobrze zorganizowane; ruchome chodniki wspomagają ruch podróżnych z jednego terminalu na drugi; a potem z lotniska na inne lotnisko (niektóre z nich oddalone są od siebie o kilkanaście godzin lotu!), dyskretna służba porządkowa trzyma zaś pieczę nad doskonałym funkcjonowaniem tego wielkiego mechanizmu.

To coś więcej niż port lotniczy, to już specjalna kategoria miast-państw, których lokacja jest stała, lecz ich obywatele — zmienni. Republiki lotniskowe, członkinie Unii Lotnisk Światowych, jeszcze bez przedstawicielstwa w ONZ, ale już niedługo będą je miały. To przykład ustroju, gdzie mniej ważna jest polityka wewnętrzna, liczą się zaś związki z innymi lotniskami członkami Unii — tylko one bowiem dają jej rację bytu. Przykład ustroju ekstrawertycznego; konstytucja wypisana na każdym bilecie, a karta pokładowa to jedyny dowód osobisty obywateli.

Liczba mieszkańców jest tu zawsze zmienna i fluktuuje. Co ciekawe, populacja zwiększa się w czasie mgieł i burz. Obywatele, żeby czuć się wszędzie dobrze, nie mogą zbyt rzucić się w oczy. Czasem, gdy jedzie się ruchomym chodnikiem i mija braci i siostry w podróży, można odnieść wrażenie, że jesteśmy preparatami w formalinie, które przyglądają się sobie zza szkieł słojów. Ludzie wycięci z obrazków, ze zdjęć w przewodnikach. Naszym adresem jest miejsce w samolocie: 7D, powiedzmy, albo 16A. Wielkie ru-

chome taśmy wiozą nas w przeciwnych kierunkach: jedni w szubach i czapkach, drudzy w koszulach w palmy i bermudach, jedni z oczami wyblakłymi od śniegu, drudzy przyciemnieni od słońca; ci przesączeni północną wilgocią, zapachem gnijących liści i rozmiękłej ziemi, tamci z piaskiem pustyni w zakamarkach sandałów. Jedni — śniadzi, przypaleni, osmaleni, drudzy — oślepijąco biali, fluorescencyjni. Tacy, którzy gołą głowy, i tacy, którzy nigdy nie strzygą włosów. Wysocy i zwaliści — jak ten mężczyzna, i drobni, filigranowi — jak ta kobieta, która sięga mu zaledwie do pasa.

Mają oni też swoją muzykę. To symfonia samolotowych silników, kilka prostych dźwięków rozpostartych w pozbawionej rytmu przestrzeni, ortodoksyjny dwusilnikowy chór, mroczny molowy, podczerwony, podczarny, largo oparte na jednym akordzie, który nuży sam siebie. Requiem rozpoczęte potężnym in-troitus startu i zakończone schodzącym do lądowania amen.

Podróż do własnych korzeni

Hostelom powinno się wytoczyć sprawę o ageizm, o dyskryminację ze względu na wiek. Z jakichś powodów przyjmują na noclegi tylko młodych, same sobie ustalają te granice wieku, ale można być pewnym, że czterdziestolatek nie przejdzie. Dlaczego młodzi mie-

liby być tak wyróżniani? Czy i bez tego nie obsypuje ich przywilejami sama biologia?

Weźmy na przykład tych backpackersów, którzy w przeważającej części okupują większość hosteli — są silni i wysocy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mają jasną zdrową skórę, rzadko kiedy palą albo biorą jakieś świństwa, co najwyżej skręta od czasu do czasu. Podróżują ekologicznymi środkami komunikacji — ładem; wiozą ich nocne pociągi, zatłoczone dalekobieżne autobusy. W niektórych krajach udaje im się jeszcze złapać autostop. Wieczorami docierają do owych hosteli i przy jedzeniu zaczynają sobie wzajemnie zadawać Trzy Pytania Podróżne: skąd pochodzisz? Skąd przyjechałeś? Dokąd jedziesz? Pierwsze pytanie wyznacza oś pionową, dwa następne — osie poziome. Dzięki takiej konfiguracji udaje im się stworzyć coś w rodzaju układu współrzędnych i kiedy już się wzajemnie usytuują na tej mapie, zasypiają spokojnie.

Ten, którego spotkałam w pociągu, podróżował, jak większość z nich, w poszukiwaniu swoich korzeni. Była to dosyć skomplikowana podróż. Jego babka po kądzieli była rosyjską Żydówką, dziadek Polakiem z Wilna (opuścili Rosję z armią generała Andersa i po wojnie osiedlili się w Kanadzie); po mieczu zaś dziadek był Hiszpanem, a babka Indianką z plemienia, którego nazwy nie pamiętam.

Był na początku swojej podróży i wszystko to wydawało się go trochę przytłaczać.

Kosmetyki podróżne

Dziś już każda szanująca się drogeria oferuje klientom specjalną serię kosmetyków podróżnych. Niektóre sieci przeznaczają na ten cel osobne regały. Można się tutaj zaopatrzyć we wszystko, co przyda się w podróży: szampon, mydło w tubie do prania bielizny w hotelowych łazienkach, składane na pół szczoteczki do zębów, krem z filtrem przeciwsłonecznym, spray przeciw komarom, chusteczki nasączone pastą do butów (dostępna jest cała gama kolorów), intymne zestawy higieniczne, krem do stóp, krem do rąk. Cechą charakterystyczną tych wszystkich specyfików jest ich rozmiar — to miniatury, tubeczki i słoiczki, buteleczki wielkości kciuka; w najmniejszym zestawie do szycia mieszczą się trzy igły, pięć moteczków nici różnego koloru, po trzy metry każda, oraz dwa białe awaryjne guziki i agrałka. Szczególnie przydatny będzie lakier do włosów w sprayu, miniaturowy pojemnik mieści się w dłoni.

Wygląda na to, że przemysł kosmetyczny uznał fenomen podróży za pomniejszoną kopię życia osiadłego, jego zabawną, nieco infantylną miniaturę.

La mano di Giovanni Battista

Świata jest za dużo. Należałoby go raczej zmniejszyć, a nie poszerzać, powiększać. Należałoby go znowu zatrasnąć w małej puszcze, w przenośnym panoptikum, i pozwolić nam zaglądać tam tylko w soboty po

południu, gdy codzienne prace zostały już wykonane, gdy czysta bielizna już przygotowana, a koszule prężą się na oparciach krzesel, gdy wyszorowano podłogi, a na parapecie studzi się drożdżowy placek z kruszonką. Zaglądać doń przez dziurkę, jak do fotoplastikonu, dziwić się jego każdemu szczegółowi.

Niestety jest już chyba za późno.

Zdaje się, że nie pozostaje nic innego, jak nauczyć się bez końca wybierać. Być jak ten podróżny, którego poznałam w nocnym pociągu. Mówił, że co jakiś czas musi odwiedzić Luwr i stanąć przed jedynym obrazem, który według niego naprawdę wart jest zobaczenia. Zatrzymać się przed obrazem Jana Chrzciciela i powieść wzrokiem za jego wzniesionym palcem.

Oryginał i kopia

Człowiek w bufecie pewnego muzeum powiedział mi, że nic mu nie daje takiej satysfakcji, jak obcowanie z oryginałem. Utrzymywał też, że im więcej kopii na świecie, tym silniejsza jest moc oryginału, moc czasami bliska potędze relikwii. Ważne jest bowiem to, co pojedyncze, nad czym wisi porażająca groźba zniszczenia. Potwierdzeniem jego słów była grupa turystów, którzy w nabożnym skupieniu celebrowali znajdujący się nieopodal obraz Leonarda da Vinci. Czasami tylko, gdy ktoś nie mógł już wytrzymać napięcia, rozlegało się donośne kliknięcie aparatu, brzmiące jak jakieś „amen” wypowiedziane w nowym cyfrowym języku.

Pociąg tchórzy

Istnieją pociągi, które zaprojektowano z przeznaczeniem na sen pasażerów. Cały skład tworzą wagony sypialne i jeden barowy, nawet nie restauracyjny, to wystarczy. Taki pociąg kursuje na przykład ze Szczecina do Wrocławia. Rusza o 22.30 i przyjeżdża o 7.00, ale trasa nie jest przecież tak daleka, to zaledwie 340 kilometrów, i dałoby się ją przejechać w pięć godzin. Jednak nie zawsze chodzi o to, żeby było szybciej, firma dba o komfort pasażerów. Pociąg zatrzymuje się w polach i stoi wśród nocnych mgieł; cichy hotel na kółkach. Nie warto ścigać się z nocą.

Jest też całkiem dobry pociąg Berlin—Paryż. I Budapeszt-Belgrad. Oraz Bukareszt-Zurych.

Uważam, że wymyślono je dla ludzi, którzy boją się latać samolotami. Są wstydliwe, lepiej nie przyznawać się, że się nimi jeździ. Zresztą nie reklamuje się ich szczególnie. To pociągi dla stałej klienteli, dla tego nieszczęsnego procentu ludzkości, który umiera ze strachu przy każdym starcie i lądowaniu. Dla tych 0 spoconych rękach, którzy bezradnie miętoszą kolejne chusteczki, i tych, którzy chwytają stewardesy za rękaw.

Taki pociąg stoi skromnie na bocznym torze, nie rzuca się w oczy. (Na przykład ten z Hamburga do Krakowa czeka w Altonie, zasłonięty reklamami i billboardami). Ci, którzy jadą nim po raz pierwszy, kręcą się po dworcu, zanim go znajdą. Trwa dyskretnie załadowanie. W bocznych kieszeniach ba-

gaży tkwią piżamy i kapcie, kosmetyczki, zatyczki do uszu. Odzież wiesz się starannie na specjalnych uchwytach, a w mikroskopijnych umywalkach zamkniętych w szafkach stawia się przybory do mycia zębów. Konduktor będzie wkrótce zbierał zamówienia na śniadanie. Kawa czy herbata — oto namiastka kolejowej wolności. Gdyby wykupili jeden z tanich lotów, byłiby na miejscu w godzinę, zaoszczędziliby pieniądze. Mieliby noc — w objęciach stęsknionych kochanków, kolację w jednej z restauracji na rue Ble-ble, gdzie podaje się ostrygi. Wieczorny koncert Mozarta w katedrze. Spacer po nabrzeżu. A tak muszą bez reszty oddać się czasowi podróży po szynach, odwiecznym zwyczajem przodków przebyć osobiście każdy kilometr, przejechać każdy most, wiadukt i tunel w tej podróży po ziemi. Niczego nie da się ominąć, przeskoczyć. Każdy milimetr drogi będzie dotknięty kołem, uczyni zeń swoją styczną na moment i zawsze będzie to niepowtarzalna konfiguracja — koła i szyny, czasu i miejsca, wyjątkowa w całym kosmosie.

Ledwie ów pociąg tchórzy prawie bez zapowiedzi ruszy w noc, od razu zapełnia się bar. Ciągną do niego mężczyźni w garniturach na kilka szybkich, na duże piwo, żeby łatwiej zasnąć; dobrze ubrani geje, strzelający oczyma jak kastanietami; zagubieni kibice jakiegoś klubu, oderwani od grupy, która poleciała samolotem, niepewni jak owce poza stadem; przyjaciółki po czterdziestce, które zostawiwszy nudnych mężów, wybrały się w poszukiwaniu przygód.

Powoli zaczyna brakować miejsc, a pasażerowie zachowują się jak na wielkim przyjęciu, z czasem mili barmani przedstawiają ich sobie wzajemnie: „Ten gość jeździ z nami co tydzień”, „Ted, który mówi, że nie położy się spać, ale padnie pierwszy”, „Pasażer, który jeździ co tydzień do żony — musi ją bardzo kochać”, pani „Nigdy-więcej-nie-pojadę-tym-pociągiem”.

W środku nocy, gdy pociąg wpełza powoli w belgijskie czy lubuskie równiny, gdy nocna mgła gęstnieje i zamazuje wszystko, w barze pojawia się drugi rzut: zmęczeni bezsennością pasażerowie, którzy nie wstydzą się kapci na bosych stopach. Ci przyłączają się, jakby oddawali swój los w ręce fatum — niechże będzie, co ma być.

Uważam jednak, że może im się przydarzyć tylko to, co najlepsze. Znaleźli się bowiem w miejscu, które jest ruchome, które przesuwa się w czarnej przestrzeni, są niesieni przez noc. Nie znać nikogo i nie być przez nikogo rozpoznany. Wyjść z własnego życia, a potem bezpiecznie wrócić.

Opuszczone mieszkanie

Mieszkanie nie rozumie, co się stało. Mieszkanie myśli, że właściciel umarł. Odkąd zatrzęsnęły się drzwi i klucz zazgrzytał w zamku, wszystkie dźwięki dochodzą tu przytłumione, pozbawione cieni i krawędzi, jako niewyraźne plamy. Przestrzeń tężeje nie używana,

nie niepokojona żadnym przeciągiem, poruszeniem firanek, i w tym bezruchu zaczynają się niepewnie krystalizować formy próbne, takie, które wiszą przez moment między podłogą a sufitem w przedpokoju.

Oczywiście nie pojawia się tutaj nic nowego, jakżeby mogło? To tylko imitacje znanych kształtów, splątane w bąblaste kłęby, tylko przez chwilę trzymające się konturu. To pojedyncze epizody, same gesty, jak na przykład odcisk stopy na miękkim dywanie, który bez końca, zawsze w tym samym miejscu, powstaje i znika. Albo ręka, która nad stołem naśladuje ruch pisania, zupełnie niezrozumiała, bo obywa się bez pióra, kartki, pisma i reszty ciała.

Księga niegodziwości

Żadna przyjaciółka. Spotkałam ją na lotnisku w Sztokholmie — jedynym na świecie, które ma drewniane podłogi; piękny parkiet z ciemnego dębu, wyfrotrowany, starannie dopasowane deszczułki — lekko licząc, kilka hektarów północnego lasu.

Siedziała obok mnie, wyciągnęła nogi i wsparła je na czarnym plecaku. Nie czytała, nie słuchała muzyki, ręce spłótła na brzuchu i patrzyła przed siebie. Spodobało mi się, że jest taka spokojna, całkowicie oddana czekaniu. Gdy spjrzałam na nią śmielej, jej wzrok ślizgał się po tej wyfrotrowanej podłodze. Zeby ją zagadnąć, bąknęłam coś, że szkoda lasu na podłogę lotniska.

Odpowiedziała:

— Podobno przy budowie lotniska trzeba poświęcić jakąś żywą istotę. Zeby nie dochodziło do katastrof.

Stewardesy przy kontuarze miały jakiś kłopot. Okazało się — mówiły przez mikrofon do nas, oczekujących — że nasz samolot jest przeładowany. Na liście pasażerów dziwnym trafem znalazło się za dużo ludzi. Błąd komputera — oto czym stało się dziś fatum. Dwie osoby, które zdecydowałyby się lecieć jutro, dostaną dwieście euro, nocleg w hotelu na lotnisku i bon na kolację.

Ludzie spoglądali po sobie nerwowo. Ktoś powiedział: losujmy! Ktoś zaśmiał się, ale potem zapadło nieprzyjemne milczenie. Nikt nie chce zostać — to rozumią — nie żyjemy w próżni, mamy umówione spotkania; jutro idziemy do dentysty, a na wieczór zaprosiliśmy przyjaciół.

Popatrzyłam na swoje buty. Mnie się nie spieszy. Nie muszę być nigdzie na czas. Niech czas pilnuje mnie, nie ja jego. I jeszcze — są różne sposoby zarabiania na życie, tutaj pojawia się nowy wymiar pracy, być może przyszłościowy, taki, który uratuje od bezrobocia i nadprodukcji śmieci. Stanać na boku, spaniem w hotelu zarobić na dniówkę, pić rano kawę i jeść śniadanie przy szwedzkim stole, korzystając z obfitości jogurtów. Dlaczego nie? Podniosłam się z miejsca i ruszyłam do zdenerwowanych stewardes. Wtedy kobieta, która siedziała obok mnie, poszła za mną.

— Dlaczego nie? — zapytała.

Niestety, nasze bagaże poleciały. Pusty autobus zawiózł nas do hotelu, dostałyśmy przyjemne małe pokoje obok siebie. Rozpakowywać nie ma czego, szczoteczka do zębów i czysta bielizna — żelazne porcje. Także krem do twarzy i gruba zajmująca książka. Notatnik. Będzie czas, żeby wszystko zapisać, żeby zapisać tę kobietę:

Jest wysoka, dobrze zbudowana, ma dość szerokie biodra i drobne dłonie. Bujne kręcone włosy wiążą w kitkę, ale ponieważ są niesforne, to fruują wokół jak srebrna aureola, całkowicie siwe. Lecz twarz ma młodą, jasną, piegowatą. Pewnie jest Szwedką, one nie farbują włosów.

Umówiłyśmy się na dole, w barze, wieczorem, po długim prysznicu i przeglądaniu kanałów telewizyjnych.

Zamówiłyśmy białe wino i po wstępnych grzecznościach oraz zadaniu Trzech Podstawowych Pytań Podróżnych przeszłyśmy do rzeczy. Opowiadałam jej najpierw o moich peregrynacjach, ale szybko odniosłam wrażenie, że słucha tylko z grzeczności. Dlatego straciłam impet i już wiedziałam, że ona ma znacznie ciekawszą historię.

Zbiera dowody, dostała nawet na to grant z Unii, ale i tak nie starczył na podróż, musiała pożyczyć od ojca — który w międzyczasie zmarł. Odgarnęła sprężynkę siwych włosów znad czoła (upewniłam się wtedy, że z pewnością nie ma więcej niż czterdzieści

pięć lat) i za bony linii lotniczych zamówiliśmy sałatkę; w cenie była tylko nicejska.

Mówiła ze zmrużonymi oczami, co nadawało jej słowom lekko ironiczny wydźwięk, pewnie dlatego przez kilka pierwszych minut nie wiedziałam, czy mówi poważnie. Twierdziła więc, że świat na pierwszy rzut oka wydaje się taki różnorodny. Gdziekolwiek się pojedzie, znajdzie się tam różnych ludzi, ich egzotyczne kultury, miasta budowane na rozmaitych planach, z różnych materiałów. Inne będą dachy, okna i podwórka. Nabiła na widelec kawałek fety i zataczała nim kółka w powietrzu.

— Niech cię jednak nie zwiedzie ta powierzchowna różnorodność, ten pawi ogon. Wszędzie jest tak samo: zwierzęta. To, co robi człowiek ze zwierzętami — powiedziała.

Spokojnie, jakby powtarzała znany na pamięć wykład, zaczęła wyliczać: psy miotają się w upale na zbyt krótkich łańcuchach, czekają na wodę jak na zbawienie, szczeniaki przypinane są do półmetrowego łańcucha, w drugim miesiącu życia w ogóle nie potrafią chodzić; owce kocą się na polach zimą, w śniegu; jedyne, co farmerzy robią w tej sprawie, to załatwiają wielkie samochody do wywożenia zamarzniętych jagniąt; w restauracyjnych akwariach trzyma się homary, żeby palec klienta skazał je na śmierć we wrzasku, w innych na zapleczach hoduje się psy, posiłek z psiego mięsa przywraca przecież męską potencję; kury w klatkach zdefiniowane są liczbą jaj, które zniosą, popędzane chemią w krótkim swym żywo-

cie; psy wystawiane są do walki; małpom wstrzykuje się zarazki; na skórze królików testuje się kosmetyki; futra robione są z płodów owiec — mówiła to obojętnie, wkładając do ust oliwki.

Zaprotestowałam. Nie, nie będę tego słuchać.

Wyciągnęła więc ze szmacianej torby, którą powiesiła na oparciu krzesła, plik kartek zbindowanych w plastikowe okładki, czarny druk odbity na kserokopiarce, i podała mi przez stolik. Przerzuciłam niechętnie — pociemniałe kartki, z tekstem w dwóch szpaltach, jak w encyklopedii albo Biblii. Drobnym druk, przypisy. „Raporty o niegodziwości” i adres swojej strony w Internecie. Spojrzałam i już wiedziałam, że nie będę tego czytać. Jednak starannie włożyłam później kartki do plecaka.

— Tym się zajmuję — powiedziała.

Potem, przy drugiej butelce wina, opowiedziała mi, jak zapadła na chorobę wysokogórską w czasie wyprawy do Tybetu i o mało nie umarła. Wyleczyła ją jakaś miejscowa kobieta, bijąc w bęben i pojąc ją ziołami.

Poszłyśmy spać późno, nasze języki rozwiązały się tego wieczoru, stęsknione za długimi zdaniami i fabułami, naoliwione winem.

Następnego dnia rano przy śniadaniu w hotelu, Aleksandra — tak miała na imię ta gniewna kobieta — pochyliła się ku mnie nad croissantami i rzekła:

— Prawdziwy Bóg jest zwierzęciem. Jest w zwierzętach, tak blisko, że aż go nie dostrzegamy. Co-

dziennie się za nas poświęca, wielokrotnie umiera, karmi nas swoim ciałem, odziewa w swoją skórę, pozwala na sobie testować lekarstwa, żebyśmy mogli żyć dłużej i lepiej. Tak okazuje nam przywiązanie, obdarza nas przyjaźnią i miłością.

Znieruchomiałam, wpatrzona w jej usta, wstrząśnięta nie tyle tym objawieniem, ile tonem, jakim je wypowiedziała — spokojnym. I nożem, który obojętnie rozprowadzał warstewkę masła po puchatym wnętrzu rogalika.

— Dowód znajduje się w Gandawie.

Wyszarpnęła ze szmacianej torby widokówkę i rzuciła mi na talerzyk.

Wzięłam ją do ręki i starałam się wypatrzeć jakiś sens w mnóstwie szczegółów; potrzebowałabym do tego chyba lupy.

— Każdy go może zobaczyć — powiedziała Aleksandra. — W środku miasta stoi katedra, a tam, w ołtarzu, jest wielki piękny obraz. Widać na nim pole, zieloną równinę, gdzieś za miastem, i na tej łące stoi proste podwyższenie. O tu — wskazała mi końcem noża — tu jest Zwierzę w postaci białego jagnięcia, wywyższone.

Tak, poznałam obraz. Widziałam go wiele razy na jakichś reprodukcjach. „Adoracja Baranka”.

— Jego prawdziwa tożsamość została odkryta — jego jasna świetlista postać przyciąga do siebie wzrok, każe głowie skłonić się przed jego boskim majestatem — opowiadała i nożem wskazywała jagnię. — I widzimy, jak z każdego niemal miejsca płynie ku

niemu procesja — oto wszyscy ludzie idą mu złożyć hołd, spojrzeć na tego najskromniejszego, upodlonego Boga. O, zobacz, tu podążają władcy krajów, cesarzowie i królowie, kościoły, parlamenty, partie polityczne, cechy rzemieślnicze; idą matki z dziećmi, starcy i podlotki...

— Dlaczego to robisz? — zapytałam.

To oczywiste — żeby napisać wielką księgę, w której nie zostanie pominięta żadna zbrodnia, od początku świata. To będzie spowiedź ludzkości. Zrobiła już wypisy z greckiej literatury starożytnej.

Przewodniki

Opisywanie jest jak używanie — niszczy; ścierają się kolory, kanty tracą ostrość, w końcu to, co opisane, zaczyna blaknąć, zanikać. Dotyczy to zwłaszcza miejsc. Ogromnych spustoszeń dokonała literatura przewodnikowa, to była inwazja, epidemia. Bedekery zniszczyły większą część planety na zawsze; wydane w milionach egzemplarzy, w wielu językach, osłabiły miejsca, przyszpiliły je, nazwały i zatarły kontury.

I ja w swojej młodzieńczej naiwności brałam się do opisywania miejsc. Kiedy potem do nich wracałam, kiedy usiłowałam wziąć głęboki oddech i jeszcze raz zachłysnąć się ich intensywną obecnością, kiedy próbowałam znowu nadstawić ucha ku ich szemraniom — przeżywałam szok. Prawda jest straszna: opisać to zniszczyć.

Dlatego trzeba bardzo uważać. Najlepiej nie używać nazwy; kluczyć i kręcić, ostrożnie podawać adresy, aby nie kusić nikogo do pielgrzymki. Cóż by tam znalazł? Martwe miejsce, kurz, zeschnięty ogryzek.

W „Księdze syndromów”, o której już wspominałam, znajduje się też Syndrom Paryski, który dotyka w przeważającej mierze turystów japońskich odwiedzających Paryż. Charakteryzuje się szokiem i wieloma objawami wegetatywnymi, takimi jak płytki oddech, palpacje serca, pocenie się i podniecenie. Czasami występują halucynacje. Podaje się wtedy leki uspokajające i zaleca powrót do domu. Zaburzenia te tłumaczy się rozbieżnością oczekiwań pielgrzymów: Paryż, do którego trafiają, zupełnie nie przypomina tego, który znają z przewodników, filmów i telewizji.

Nowe Ateny

Ale nie ma przecież książek tak szybko starzejących się jak przewodniki, co jest zresztą dobrodziejstwem dla przemysłu przewodnikowego. W swoich podróżach zawsze byłam wierna dwóm, a przedkładam je nad wszystkie inne, mimo iż zostały napisane dawno temu. Ponieważ powstały z prawdziwej pasji i pragnienia opisanie świata.

Pierwszy został napisany w Polsce na początku wieku osiemnastego, gdy w Europie przebudzony Rozum podejmował podobne próby uwiecznione mo-

że i większym sukcesem, lecz na pewno pozbawione wdzięku. Jego autorem jest ksiądz katolicki, Benedykt Chmielowski, urodzony gdzieś na Wołyniu. To Józef Flawiusz okrytej mgłą prowincji, Herodot obrzeży świata. Podejrzewam, że mógł cierpieć na ten sam syndrom, co ja, lecz, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie ruszył się z domu.

W rozdziale o długim tytule „O innych cudownych y osobliwych ludziach w świecie: To jest Anacephalach, alias bez Głowy, o Cynocephalach, alias psią głowę mających; y o innych dziwney formy ludziach” pisze:

„...znayduie się Naród Blemij nazwany, który Isidorus nazywa Lemnios, a ci wszystkę naszyńców ludzi mając figurę y symmetryę, głowy cale nie mają, tylko twarz w pośrodku piersi. [...] Pliniusz zaś, wielki rzeczy naturalnych badacz nietylko tenże sentyment de Acephalis, alias bezgłownych ludziach potwierdza, ale też ich niedaleko Troglodytów lokuie w Etyopij, albo w Murzyńskim Państwie. Tym Autorom nie małe powagi swoiey przydaie Momentum, oculatus Testis <znaczenie świadek naoczny> S. Augustyn, w tamtej Krainie (będąc Hipponeńskim w Afryce Biskupem ztamtąd nie bardzo daleko) peregrynuiąc y Świętey Chrześcianskiej wiary rozsiewaiąc semina <ziarna>, iako wyraźnie w Kazaniu swoim mianym in Eremo <na Puszczy> do Braci Augustynianów od siebie fundowanych mówi. [...] <Byłem już biskupem Hippony i z kilku sługami Chrystusowymi udałem się do Etiopii, aby głosić Św. Ewangelię Jezusa Chrystu-

sa; i widzieliśmy tam wielu mężczyzn i niewiast bez głowy, ale mających ogromne oczy w piersiach, resztę zaś członków podobną do naszych). [...] Solinus, tyle razy wspomniany Autor, pisze, że na górach indyjskich znajdują się ludzie z głowami psimi y głosem psim, alias szczekaniem. Marcus Polus, który zlustrował Indyę, twierdzi, że na Insule Angamen są ludzie o psich głowach y zębach; toż świadczy Odoricus Aelianus lib. 10, naznacza takowym ludziom pustynie y Knieie Egipskie. Te monstra ludzkie Pliniusz nazywa Cynalogos, Aulus, Gellius, Isidonus nazywała ie Cynocephalos, toiest, psie głowy. [...] Xsiażę Mikołay Radziwiłł w swoiey Peregrynacyi w Liście 3 świadczy, że miał z sobą dwóch Cynocephalos, toiest z psiema głowami ludzi, y prowadził do Europy.

Tandem oritur questio <W końcu powstaje pytanie): Takowe Ludzie monstrosi czy są capaces <Sposobni> do zbawienia? Na tę odpowiada kwestyą Katedry Hypponeńskiej Oraculum Augustyn Świąty; że człowiek gdziekolwiek się rodzący, byle był prawdziwy człowiek, rozumne stworzenie, rozumną mający duszę, luboby miał inną postać od nas, kolor, głos, chodzenie, nie trzeba wątpić, że iest z pierwszego ludzkiego Rodzica Adama pochodzący, a zatym capax zbawienia".

Drugim przewodnikiem jest „Moby Dick” Melville'a.

I gdy się ma od czasu do czasu dostęp do Wikipedii, to zupełnie wystarczy.

Wikipedia

Wydaje mi się najuczciwszym projektem poznawczym człowieka. Przypomina wprost, że cała wiedza o świecie pochodzi z jego głowy, jak Atena z boskiej głowy. Ludzie wnoszą do Wikipedii wszystko, co sami wiedzą. Jeżeli projekt się uda, to encyklopedia, która wciąż powstaje, będzie największym cudem świata. Znajdzie się w niej wszystko, co wiemy, każda rzecz, definicja, wydarzenie, problem, którym zajął się nasz mózg; będziemy cytować źródła i podawać linki. W ten sposób zaczniemy dziergać swoją wersję świata, otulać kulę ziemską naszą własną opowieścią. Umieścimy w niej wszystko. Bierzmy się do roboty! Niech każdy napisze choć jedno zdanie o tym, na czym się zna najlepiej.

Czasami jednak wątpię, czy to się uda. Bo przecież może tam być tylko to, co potrafimy wypowiedzieć, na co istnieją słowa. W tym sensie taka encyklopedia wcale nie będzie zawierała wszystkiego.

Powinien więc dla równowagi istnieć jakiś inny zbiór wiedzy — to, czego nie wiemy, spodnia — lewa strona, podszewka, nie do ujęcia żadnym spisem treści, taka, której nie poradzi żadna wyszukiwarka; przez jej ogrom nie stąpa się bowiem po słowach, lecz stawia się stopy między słowami, w przepastne otchłanie między pojęciami. Za każdym razem noga obsuwa się i spadamy.

Wydaje się, że jedynym możliwym ruchem jest ruch w głąb.

Materia i antymateria.

Informacja i antyinformacja.

Obywatele świata, do piór!

Jaśmin, miła muzulmanka, z którą rozmawiałam kiedyś przez cały wieczór, opowiadała mi o swoim projekcie: chce zachęcić wszystkich ludzi w swoim kraju, żeby pisali książki. Mówiła: tak niewiele trzeba, żeby napisać książkę — trochę wolnego czasu po pracy, nawet niekoniecznie komputer. Zawsze może się takiemu odważnemu człowiekowi przydarzyć bestseller, wtedy jego wysiłek zostałby wynagrodzony awansem społecznym. To najlepszy sposób wyrwania się z biedy, mówiła. Gdybyśmy tylko wszyscy czytali wzajemnie nasze książki, wdychała. Założyła forum w Internecie. Podobno przystąpiło do niego już kilkaset osób.

Bardzo mi się podoba traktowanie czytania książek jako braterskiego i siostrzanego obowiązku moralnego wobec bliźnich.

Psychologia podróżna.

Lectio brevis I

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy spotykałam na lotniskach pary naukowców, którzy w podróżnym gwarze, między ogłoszeniami o odlotach i boardingach, organizują małe wykłady. Pewien człowiek wyjaśnił mi, że to jakiś ogólnoswiatowy (a może zaledwie unijny) projekt informacyjny. Zatrzymałam się więc na widok ekranu w poczekalni i grupki ciekawskich.

— Szanowni państwo — zaczęła młoda kobieta, nieco nerwowym ruchem poprawiając kolorowy szal,

jej towarzysz zaś, mężczyzna w tweedowej marynarce, ze skórzanymi latami na łokciach, przygotowywał powieszony na ścianie ekran. — Psychologia podróżna zajmuje się człowiekiem podróżującym, człowiekiem w ruchu, i w ten sposób sytuuje się w opozycji do tradycyjnej psychologii, która zawsze rozpatrywała istotę ludzką w stałym kontekście, w stabilności i bezruchu — na przykład poprzez pryzmat jej biologicznej konstytucji, związków rodzinnych, usytuowań społecznych i tak dalej. Dla psychologii podróżnej nie są to sprawy leżące w centrum zainteresowań, są drugorzędne.

Chcąc opisać człowieka przekonująco, możemy to tylko uczynić, umieszczając go w jakimś ruchu, skądś — dokądś. Fakt powstawania tak wielu nieprzekonujących opisów człowieka stabilnego, stałego, wydaje się kwestionować istnienie „ja” rozumianego nierelacyjnie. To sprawia, że od jakiegoś czasu w psychologii podróżnej pojawiają się pewne idee supremacyjne głoszące, iż nie może istnieć inna psychologia niż psychologia podróżna.

Małe grono słuchaczy poruszyło się dość niespokojnie. Minęła nas bowiem hałaśliwa grupa wysokich mężczyzn oznaczonych kolorowymi szalikami swojego klubu sportowego — to kibice. Jednocześnie wciąż podchodzili do nas ludzie zaintrygowani ekranem na ścianie i ustawionymi dwoma rzędami krzeseł. Przesiadali na chwilę w trakcie przechodzenia do gejtów albo leniwego wizytowania lotniskowych sklepów. Na twarzach wielu z nich malowało się zmęczenie

i zdezorientowanie czasem; widać było, że chętnie zdrzemnęliby się choć trochę, i zapewne nie wiedzieli, że za najbliższym rogiem mieści się komfortowa poczekalnia z fotelami do spania. Kilkoro podróżnych przystanęło, gdy kobieta zaczęła mówić. Jakaś para bardzo młodych ludzi stała wtulona w siebie i słuchała w skupieniu, gładząc się czule po plecach.

Kobieta zrobiła małą pauzę, a potem podjęła temat:

— Ważnym pojęciem w psychologii podróźnej jest pragnienie, to ono istocie ludzkiej nadaje ruch i kierunek oraz — pobudza w niej łgnięcie ku czemuś. Pragnienie samo w sobie jest puste, to znaczy wskazuje tylko kierunek, lecz nie cel; cel bowiem zawsze pozostaje fantasmagoryczny i niejasny; im do niego bliżej, tym bardziej staje się enigmatyczny. W żaden sposób nie można takiego celu osiągnąć ani tym samym zaspokoić pragnienia. Pojęciem, które unaocznia ten proces dążenia, jest przyimek „ku”. Ku-czemu.

Tu kobieta podniosła sponad okularów wzrok i obrzuciła słuchaczy uważnym spojrzeniem, jakby oczekując jakiegokolwiek formy potwierdzenia, że zwraca się do właściwych osób. Nie spodobało się to małżeństwu z dwójką dzieci w wózku, bo wymieniwszy ze sobą wzrok, pchnęli dalej swój bagaż i poszli przyglądać się fałszywemu Rembrandtowi.

— Psychologia podróżna nie odcina się od związków z psychoanalizą... — kontynuowała, a mnie zrobiło się żal tych młodych wykładowców. Mówili do ludzi, którzy znaleźli się tutaj przypadkiem i nie wy-

glądali na zainteresowanych. Poszłam do automatu po kubek kawy, wrzuciłam kilka kostek cukru, żeby na dobre dojść do siebie, a kiedy wróciłam, okazało się, że mówi teraz mężczyzna.

— ...podstawowe pojęcie — powiedział — to konstelacyjność, i od razu pierwsze twierdzenie psychologii podróźnej: w życiu przeciwnie niż w nauce (a i w nauce wiele rzeczy naciąga się dla porządku) nie istnieje żadne filozoficzne primum. Znaczy to, że nie da się zbudować konsekwentnego przyczynowo-skutkowego ciągu argumentów ani opowieści z następujących po sobie kazuistycznie i wynikających z siebie zdarzeń. Byłoby to tylko przybliżenie, podobnie jak przybliżeniem powierzchni kuli wydaje nam się siatka południków i równoleżników. Przeciwnie — aby jak najdokładniej odwzorować nasze doświadczenie, należałoby raczej złożyć całość z cząstek mniej więcej tej samej wagi i rozmieszczonych koncentrycznie na tej samej płaszczyźnie. To konstelacja, a nie sekwencja jest nośnikiem prawdy. Dlatego psychologia podróżna opisuje człowieka w równoważnych sytuacjach, nie usiłując nadać jego życiu żadnej przybliżonej nawet ciągłości. Życie ludzkie składa się z sytuacji. Istnieje za to pewne lgnięcie do powtarzalności zachowań. Ta powtarzalność nie przesądza jednak o tym, by nadawać życiu pozór jakiegokolwiek konsekwentnej całości.

Mężczyzna z pewnym niepokojem rzucił znad okularów wzrokiem na słuchaczy, chcąc zapewne zorientować się, czy naprawdę słuchają. Słuchaliśmy uważnie.

W tym momencie minęła nas biegnąca grupa podróżnych z dziećmi; widocznie przesiadali się na inny samolot i byli już spóźnieni. To nas trochę zdekoncentrowało, patrzyliśmy przez chwilę na ich rozgrzane rumiane twarze, trzciniowe kapelusze, pamiątkowe bębny i maski, naszyjniki z muszli. Mężczyzna kilka razy chrząknął, żeby przywołać nas do porządku, nabrał powietrza w płuca, lecz spojrzawszy na nas jeszcze raz, wypuścił je i zamilkł. Przerzucił kilka kartek w swoich notatkach i wreszcie powiedział:

— Historia. Teraz kilka zdań o historii. Dziedzina ta rozwinęła się w latach powojennych (lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku) z psychologii lotniczej, która powstała w związku z rosnącą liczbą podróży lotniczych. Początkowo zajmowała się szczegółowymi problemami związanymi z ruchem pasażerskim — jak działanie zespołów zadaniowych w sytuacji zagrożenia, psychologiczna dynamika lotu; następnie swoje zainteresowanie rozszerzyła w kierunku organizacji lotnisk i hoteli, osvajania nowych miejsc, międzykulturowych aspektów podróżowania. Z czasem wyodrębniły się z niej poszczególne specjalizacje, takie jak psychogeografia, psychotopologia. Powstały też dziedziny kliniczne...

Przestałam słuchać, wykład był za długi. Powinni tę wiedzę podawać w mniejszych dawkach.

Patrzyłam za to na pewnego człowieka, marnie ubranego, wymiętego, pewnie był w długiej podróży. Znalazł czyjs czarny parasol i oglądał go uważnie. Okazało się jednak, że parasol nie nadaje się do użyt-

ku. Druty miał połamane i czarne koło nie dawało się już rozpiąć. Wtedy, ku mojemu zdziwieniu, mężczyzna zaczął starannie odczepiać poszycie parasola od prętów i skuwek, co zabrało mu trochę czasu. Robił to w skupieniu, nieruchomy w przepływającym obok tłumie podróżnych. Kiedy skończył, złożył materiał w kostkę, schował do kieszeni i zniknął w strumieniu ludzi.

Odwrociłam się więc i ja i poszłam w swoją stronę.

Właściwy czas i miejsce

Wielu ludzi wierzy, że istnieje na układzie współrzędnych świata punkt doskonały, gdzie czas i miejsce dochodzą do porozumienia. Może to nawet dlatego wyruszają z domu, sądzą, że poruszając się choćby chaotycznie, zwiększą prawdopodobieństwo trafienia do takiego punktu. Znaleźć się w odpowiednim momencie i w odpowiednim miejscu, wykorzystać okazję, chwycić chwilę za grzywkę, wtedy szyfr zamka zostanie złamany, kombinacja cyfr do wygranej — odkryta, prawda — odsłonięta. Nie przegapić, surfować po przypadku, zbiegu okoliczności, zrzędzeniach losu. Nic nie potrzeba — wystarczy tylko się stawić, zameldować w tej jedynej konfiguracji czasu i miejsca. Można tam spotkać wielką miłość, szczęście, wygraną w toto-lotka albo wyjaśnienie tajemnicy, nad którą wszyscy biedzą się daremnie od lat,

lub śmierć. Czasami rano ma się nawet wrażenie, że ten moment jest już blisko, może przydarzy się już dzisiaj.

Instrukcja

Śniłam, że przeglądam amerykański magazyn z fotografiami zbiorników wodnych i basenów. Widziałam wszystko, szczególnie po szczególe. Litery a, b, c opisywały dokładnie każdą składową część schematów i planów. Z zainteresowaniem zaczęłam czytać artykuł, którego tytuł brzmiał: „Jak zbudować ocean. Instrukcja”.

Uczta popielcowa

— Mówcie mi Eryk — wygłaszał zawsze zamiast powitania, gdy wchodził do małego baru, o tej porze roku ogrzewanego tylko drzewem w kominku, i wszyscy uśmiechali się do niego przyjaźnie, a niektórzy nawet wabili go do siebie zachęcającym gestem, który nie znaczył nic innego, jak „przysiądź się”. Bo w sumie był dobrym kompanem i — mimo swoich dziwactw — lubianym. Lecz na początku, dopóki nie wypił odpowiednio dużo, wyglądał na naburmuszonego i siadał w kącie, z dala od kominkowego ciepła. Mógł sobie na to pozwolić — był potężnej postury, odporny na zimno, ogrzewał się sam.

— Wyspa — mówił na początku, niby do siebie wdychając, ale tak, żeby go inni słyszeli, prowokacyjnie, zamawiając pierwsze ogromne piwo. — Jak i to nędzny stan umysłu. Dupa świata.

Tamci — zdaje się — nie rozumieli go, ale rechotali porozumiewawczo.

— Hej, Eryk, kiedy to się wybierasz na wieloryby? — pokrzykiwali i twarze czerwieniły im się od ognia i alkoholu.

W odpowiedzi Eryk kłął barokowo, czystą poezją, nikt tak nie potrafił — i była to część cowieczornego rytuału. Każdy dzień posuwał się bowiem do przodu jak prom na linach, od jednego brzegu do drugiego, mijając po drodze te same czerwone boje, których zadaniem było łamać monopol wody na bezmiar i czynić go mierzalnym, a więc dawać złudne wrażenie kontroli.

Po kolejnym piwie Eryk był już gotów przysiąc się do innych i zwykle tak robił, ale ostatnio w miarę picia tracił humor. Siedział skrzywiony sarkastycznie. Nie snuł swoich dalekomorskich opowieści — jeżeli ktoś go znał odpowiednio długo, to wiedział, że żadna z nich nigdy się nie powtarzała, a przynajmniej różniły się od siebie znacząco szczegółami. Teraz jednak coraz częściej nic nie opowiadał, tylko dogryzał innym. Złośliwy Eryk.

Bywały jednak wieczory, że wpadał w uniesienie, stawał się wtedy nieznośny i niejednokrotnie właściciel tego małego baru, Hendrik, musiał interweniować.

— Wszyscy jesteście zaokrętowani — krzychał Eryk, mierząc w każdego palcem. — Co do jednego. I ja mam płynąć z tak barbarzyńską załogą, po której ledwie udaje się poznać, że zrodziła się z matki człowieczej! Pomiot, który wydało rekinowe morze! O, życie, oto nadeszła taka godzina, gdy dusza legła zmiażdżona, przytwierdzona do świadomości — jak dziki bezpański stwór szukający żeru.

Hendrik polubownie odciągał go na bok i klepał przyjacielsko po plecach, co młodszy zaś rechotał z tej dziwacznej mowy.

— Daj se spokój, Eryku. Chcesz nabawić się kłopotów? — uspokajali go starsi, ci, którzy go dobrze znali, ale Eryk nie pozwalał się uspokoić.

— Hola, bracie, cofnij się. Uderzyłbym słońce, gdyby mnie znieważało.

W tej sytuacji trzeba było się tylko modlić, żeby nie obraził jakiegoś przyjeźdnego, bo swoi się na Eryka nie obrażali. Cóż chcieć od niego, kiedy on już patrzył na bar jak zza mlecznej foliowej zasłony; nieobecny wzrok wskazywał, że Eryk podróżuje teraz po wewnętrznych morzach, jego fokzagięł poszedł już w górę i jedyne, co można było zrobić, to litościwie odwieźć go do domu.

— Posłuchaj więc, człeczce małoduszny — bełkotał jeszcze Eryk, kierując palec w pierś kolegi — bo i do ciebie mówię.

— Idziemy, Eryk. No, już.

— Zaciągnęliście się więc? Podpisy złożone? No cóż, co podpisane, to podpisane, a co ma być, to bę-

dzie, a może zresztą nie będzie... — bełkotał i wracał spod drzwi do kontuaru, domagając się ostatniej kolejki, „strzemienego”, jak mówił, choć nikt nie rozumiał, co to znaczy.

Tak się naprzykrzał, aż ktoś wyczuwał najbardziej odpowiedni moment, żeby pociągnąć go za poję munduru i usadzić na miejscu, zanim podjedzie taksówka.

Nie zawsze jednak bywało tak wojowniczo. Najczęściej wychodził wcześniej, bo miał jeszcze do przejścia cztery kilometry — i, jak twierdził, tego marszu do domu nienawdził. Droga była monotonna, wzdłuż szosy, po obu stronach straszyły tylko stare pastwiska porośnięte chwastami i kosodrzewiną. Czasem, gdy noc była jasna, w dali majaczył mu kształt wiatraka, od dawna nieczynnego, służącego tylko jako tło dla fotografujących się turystów.

Ogrzewanie włączało się mniej więcej godzinę przed jego przyjściem — tak je nastawił, oszczędzając prąd — więc w mroku obu pokoiw czaiły się jeszcze kłęby zimna, wilgotnego, nasiąkniętego solą morską.

Żywił się zawsze pewną podstawową potrawą, i było to jedyne, co mu się jeszcze nie znudziło. Ziemniaki pokrojone w talarki, przekładane w żeliwnym garnku płatami boczku i cebuli. Obsypane majerankiem i pieprzem, dobrze osolone. Danie idealne — proporcje substancji odżywczych doskonale zachowane: tłuszcze, węglowodany, skrobia, białko i witamina C. Do kolacji włączał telewizor, ale ten mierzył go najbardziej, dlatego w końcu otwierał butelkę wódki i osuszał ją do końca, zanim wreszcie poszedł spać.

Co za okropne miejsce — ta wyspa. Wsunęta w Północ jak do ciemnej szuflady; wietrzna i mokra. Z jakichś względów ludzie mieszkali tu nadal i wcale nie zamierzali wyprowadzić się do ciepłych i jasnych miast. Tkwili w drewnianych małych domkach, posadzonych wzdłuż szosy, która pokryta powtórnie asfaltem, uniosła się w górę, skazując je na wieczne skarlenie.

Powędrujcie wzdłuż szosy, poboczem w stronę małego portu, na który składa się kilka obskurnych budynków, plastikowa budka z biletami na prom i nędzna marina — pusta o tej porze roku. Może latem przypłynie tu kilka jachtów ekscentrycznych turystów znużonych gwarem południowych wód, riwierami, lazurami i gorącymi plażami. Albo trafią przypadkiem w to smutne miejsce tacy jak my — niespokojni, wiecznie głodni nowych przygód, z plecakami pełnymi tanich chińskich zupek. I cóż zobaczycie? Skraj świata, gdzie czas, odbity od pustego nabrzeża, rozczarowany zawraca ku lądowi i bez litości pozostawia to miejsce w uporczywym trwaniu. I czymże się tu różni rok 1946 od 1976, a ten z kolei od 2000?

Eryk utknął tu lata temu po wielu miłych i niemiłych przygodach. Na początku jednak, dawno temu, uciekł ze swojego kraju, jednego z tych nijakich, pła-skich i komunistycznych, i jako młody emigrant najął się do pracy na statku wielorybniczym. Miał wtedy na podorędziu kilka angielskich słów rozpiętych mię-

dzy „yes” i „no”, akurat tyle, że starczyło mu na proste pomruki, jakie wymieniają między sobą twardzi faceci na statku. „Bierz”, „ciągnij”, „tnij”. „Szybko” i „mocno”. „Łap” i „wiąż”. „Kurwa” i „pierdolić”. Na początek wystarczy. Wystarczyło także zmienić sobie imię na proste i ogólnie znane — Eryk. Pozbyć się tamtego skrzypiącego trupa, którego nikt nie potrafił wymówić porządnie. I wystarczyło także wrzucić do morza teczkę z papierami, świadectwami szkół, dyplomami, zaświadczeniami o kursach i szczepieniach — na nic się tu nie przydadzą, a co najwyżej będą wprawiać w zażenowanie innych marynarzy, za całą swoją biografię mających kilka długich rejsów i przygody w portowych knajpach.

Zycie na statku skąpane jest nie w słonej wodzie i nie w słodkim deszczu mórz północnych ani nawet w słońcu, lecz w adrenalinie. Nie ma czasu na myślenie i medytacje nad rozlanym mlekiem. Kraj, z którego pochodził Eryk, był daleki i niezbyt morski, do morza miał dostęp rzadki, okazyjny. Porty go zawstydzają. Wolał miasta położone nad bezpieczną rzeką, skutą mostami. Eryk wcale do niego nie tęsknił i o wiele bardziej podobało mu się tu, na północy. Myślał sobie, że popływa kilka lat, zarobi pieniądze, a potem zbuduje drewniany dom, poślubi Inianowską Emmę czy Ingrid, spłodzi synów, których wychowanie będzie polegało na robieniu z nimi spławików i oprawianiu morskich pstrągów. Kiedyś spisze pamiętniki, gdy jego przygody ułożą się w dostatecznie zgrabny pakiet.

Sam nie wiedział, jak to się stało, że lata pobiegły przez jego życie na przełaj, lekkie i ulotne, nie zostawiły śladów. Co najwyżej zapisały się w jego ciele, a zwłaszcza w wątrobie. To było później. Ale zaraz na początku, po pierwszym rejsie, zdarzyło się, że trafił na ponad trzy lata do więzienia, gdy zły kapitan wrobił całą swoją załogę w przemyt kontenera papierosów i dużej paczki kokainy. Lecz nawet w więzieniu, w dalekim kraju, Eryk pozostawał we władzy morza i wielorybów. W więziennej bibliotece znalazł się bowiem tylko jeden egzemplarz anglojęzycznej książki, zostawiony zapewne przez innego skazanego, lata temu. Było to stare wydanie z początku wieku, o stronach kruchych, pożółkłych, z licznymi śladami codziennego życia.

Tak więc zapewnił sobie Eryk na ponad trzy lata (co i tak nie było wyrokiem zbyt surowym, zważywszy na prawo obowiązujące sto mil morskich dalej — śmierć przez powieszenie) darmowe szlifowanie języka, angielski dla zaawansowanych, kurs literacko-wielorybiczny, psychologiczno-podróżniczy z jednym podręcznikiem. Dobra metoda, nie rozpraszaająca. Po pięciu miesiącach mógł już recytować przygody Izmaela na wrywki z pamięci oraz mówić Ahabem, co sprawiało mu szczególną przyjemność, gdyż był to sposób ekspresji najbardziej dla Eryka naturalny, pasujący do niego jak wygodne ubranie, cóż z tego, że dziwaczne i staromodne. I jaki to łut szczęścia, że taka książka trafia w takim miejscu i na takiego człowieka. Jest to zjawisko znane psychologom

podróżnym pod nazwą synchroniczności, dowód na sensowność świata. Dowód na to, że w tym pięknym chaosie rozpościerają się we wszystkich kierunkach nitki znaczeń, sieci dziwnej logiki, a — jeżeli kto wierzy w Boga — są to pokrętne ślady linii papilarnych jego palca. Tak myślał Eryk.

Wkrótce więc w dalekim egzotycznym więzieniu, gdy wieczorami trudno było oddychać od tropikalnej duchoty, a niepokój i tęsknota jątrzyły umysł, Eryk zatapiał się w lekturze książki, stawał się zakładką do niej i doświadczał osobliwego szczęścia. Bez tej powieści bowiem nie przetrwałyby więzienia. Towarzysze z celi, przemytnicy, jak i on, często świadkowali jego głośnemu czytaniu i wkrótce poddali się urokowi przygód wielorybników. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby po powrocie na wolność próbowali kształcić się dalej w historii wielorybnictwa, pisać dysertacje na temat harpunów i oprzyrządowania żaglowców. A najzdolniejsi z nich — osiągnąć wyższy stopień wtajemniczenia: specjalizację z psychologii klinicznej w dziedzinie wszelkich persewencji. Tak więc zdarzało się, że wszyscy trzej koleżkowie z celi, Marynarz z Azorów, Marynarz Portugalski i Eryk, mówili do siebie swoją grypserską. I nawet obmawiali na swój sposób drobnych skośnookich strażników:

— Do licha! Ale ten stary to byczy jegomość! — wykrzykiwał na przykład Marynarz z Azorów, gdy jeden z nich przemycał im do celi paczkę zwilgotniałych papierosów.

— Na mą duszę, jestem mniej więcej tego samego zdania. Dajmy mu swoje błogosławieństwo.

Było im z tym dobrze, bo każdy dokwaterowany niewiele z początku rozumiał, więc stawał się ich obcym, który był im potrzebny do prowadzenia namiastki życia społecznego.

Każdy z nich miał swoje ulubione fragmenty, które wieczorem rytualnie odczytywał, a reszta kończyła zdania chórem.

Lecz głównym tematem ich rozmów w coraz bardziej doskonalonym języku były morze, podróż, odbicie od brzegu i powierzenie się wodzie, która — jak ustalili po kilkudniowej dyskusji godnej filozofów przedsokratejskich — jest najważniejszym żywiołem na kuli ziemskiej. Planowali już trasy, którymi popłyną do domu, przygotowywali się na widoki, jakie zobaczą po drodze, ustalali w głowach tekst telegramów do rodziny. Z czego będą żyć? Spierali się o najlepsze pomysły, ale prawdę mówiąc, kręcili się wciąż wokół tego samego tematu, zarażeni już (choć nie byli tego świadomi), zainfekowani; niepokojeni samą możliwością istnienia czegoś takiego jak biały wieloryb. Wiadomo było, że niektóre kraje wciąż odławiają wieloryby, i choć ta praca nie jest już tak romantyczna, jak to opisywał Izmael, to jednak trudno byłoby dziś o lepszą. Podobno Japoncy szukają ludzi. Gdzie dorszom i śledziom do wielorybów... Jak rzemiosłu do sztuki...

Trzydzieści osiem miesięcy to wystarczająco dużo czasu, żeby uzgodnić szczegóły swojego przyszłego

życia; drobiazgowo, punkt po punkcie, omówić je z kolegami. Spory nie były poważne.

— Do kroćset z tym! Bacz, com ci gadał o marynarce handlowej. Nie złość mnie, nie pozwól na to! Dałem ci już zmiarkować, co to jest wielorybnictwo; maszże nadal na nie chętkę? — huczał Eryk.

— Cóżżeś to widział na tym świecie? — odkrzykiwał Marynarz Portugalski.

— Przemierzyłem wzdłuż i wszerz Morze Północne, a i Bałtyk nie jest mi obcy. Prądy Atlantyku znam jak swoje własne żyły...

— Nadtoś pewny swego, mój bratku. Coś mówić trzeba.

Dziesięć lat — tyle trwała podróż Eryka do domu — i z pewnością był w tym lepszy od swoich kamratów. Wracał okrężnymi drogami, peryferyjnymi morzami, przez najwęższe cieśniny i najszersze zatoki. Już ujściami rzek lizał otwarte wody mórz, już musztrował się na statek do domu, gdy nagle pojawiała się jakaś nowa okazja, najczęściej w zupełnie przeciwnym kierunku, i jeśli się chwilę zastanowił, dochodził zazwyczaj do wniosku, że najprawdziwszy jest stary argument — Ziemia jest okrągła; nie przywiązujemy się więc do kierunków. Było to poniekąd zrozumiałe — dla kogoś znikąd każdy ruch staje się powrotem, ponieważ nic tak nie ciągnie do siebie jak pustka.

Pracował przez te lata pod banderą panamską, australijską i indonezyjską. Na chilijskim frachtowcu transportował japońskie samochody do Stanów. Na

południowoafrykańskim tankowcu przeżył katastrofę u brzegów Liberii. Przewoził pracowników z Jawy do Singapuru. Zapadł na żółtaczkę i leżał w szpitalu w Kairze. Gdy w Marsylii złamali mu rękę w pijackiej bójce, rzucił alkohol na kilka miesięcy, żeby w Maladze upić się do nieprzytomności i złamać drugą.

Nie będziemy opowiadać szczegółów. Nie interesują nas perypetie Eryka na morskich szlakach. Wolimy być przy nim, gdy wreszcie wychodzi na brzeg owej znienawidzonej potem wyspy i dostaje pracę na małym, prymitywnym promie, między wysepkami. Wykonując tę poniżającą — jak twierdził — pracę, Eryk schudł i jakby wyblakł. Mocna opalenizna na zawsze znikła z jego twarzy, zostawiwszy po sobie ciemniejsze plamki. Skronie posiwiały, zmarszczki uczyniły jego wzrok bardziej przenikliwym i ostrym. Po tej inicjacji, która ugodziła boleśnie w jego pychę, został przeniesiony na odcinek bardziej odpowiedzialny — teraz jego prom łączył wyspę z lądem, nie więziła go żadna lina, a jego szeroki pokład mógł zabrać szesnaście samochodów osobowych. Praca zapewniała mu stały grosz, ubezpieczenie zdrowotne i spokojne życie na tej północnej wyspie.

Wstawał każdego ranka, mył się w zimnej wodzie i palcami rozczesywał siwą brodę. Potem wkładał ciemnozielony mundur spółki Zjednoczone Promy Północy i piechotą maszerował do portu, gdzie przycumował wczorajszego wieczoru. Za chwilę ktoś z naziemnej obsługi, Robert albo Adam, otwierał bramkę i pierwsze samochody już ustawiały się w kolejce, że-

by po żelaznej rampie wjechać na prom Eryka. Miejsca starczało dla wszystkich, zdarzało się też, że prom był pusty, czysty, lekki, zamyślony. Eryk siadał więc w swojej kabinie zawieszanej wysoko, tkwił w oszklonym bocianim gnieździe, i drugi brzeg wydawał się blisko. Czy nie lepiej było zbudować most, niż kazać ludziom kręcić się tam i z powrotem i zawracać głowę?

Chodzi o stan ducha. Codziennie mógł wybrać dwa. Jeden, przejmujący i dokuczliwy — że jest od innych gorszy, że brakuje mu tego, co mają wszyscy, że w pewien sposób jest dewiantem, który nawet nie wie, do cholery, co mu jest. Czuje się odizolowany, samotny, jak zamknięte za karę dziecko, które przez okno ogląda zabawy szczęśliwych rówieśników. Że los przeznaczył mu nic nie znaczącą rolę w chaotycznych peregrynacjach ludzkości po lądach i morzach, a teraz, od kiedy osiadł na wyspie, ten epizod okazał się na dodatek rolą statysty.

Drugi zaś stan umacniał w nim przekonanie, że to właśnie on jest lepszy, jedyny, wyjątkowy. Że tylko on czuje i rozumie prawdę, że tylko jemu dano byt wyjątkowy. I w tym dobrym samopoczuciu udawało mu się czasem przebywać długie godziny, a nawet dni, wtedy czuł się, powiedzmy, jakoś szczęśliwy. Ale to mijało, jak upojenie alkoholowe. Na kacu pojawiała się przerażająca myśl, że aby wydać się sobie człowiekiem godnym szacunku, musi na te dwa sposoby nieustannie dokonywać oszustwa i — najgorsze

— że kiedyś prawda wyjdzie na jaw; okaże się, że jest nikim.

Siedział w przeszklonej kabinie i patrzył, jak trwa załadunek na pierwszy poranny prom. Widział starych znajomych z miasteczka. Oto rodzina R. w szarym opłu — ojciec pracuje w porcie, matka — w bibliotece, dzieci zaś, chłopiec i dziewczynka, chodzą do szkoły. Oto czworo nastolatków, uczniów liceum, po tamtej stronie zabierze ich autobus. A to Eliza, przedszkolanka, z małą córeczką, którą oczywiście zabiera ze sobą do pracy. Ojciec małej zniknął nagle ze dwa lata temu i do tej pory nie dał znaku życia. Eryk podejrzewał, że gdzieś łowi wieloryby. Oto stary S., miał coś z nerkami, dwa razy w tygodniu musiał jeździć do szpitala na dializę. Próbowali z żoną sprzedać swój drewniany skarłatny domek i przeprowadzić się bliżej szpitala, ale jakoś im to nie wyszło. Ciężarówka sklepu „Organiczna Żywność” jechała po towar na ląd. Jakiś czarny obcy samochód, pewnie goście Reżysera. Żółta furgonetka braci Alfreda i Albrechta, którzy w starokawalerskim uporze hodowali owce. Dwoje zziębniętych rowerzystów. Samochód dostawczy z warsztatu samochodowego — pewnie jechał po części. Edwin pomachał ręką Erykowi. Można by go rozpoznać na każdej wyspie świata — ubierał się bowiem w kraciate koszule podbite sztucznym futrem. Eryk znał ich wszystkich, nawet tych, których widział po raz pierwszy — wiedział, po co tu przybyli, a znając cel podróży, wie się o ludziach wystarczająco dużo.

Istniały trzy powody przeprawy na wyspę. Pierwszy, bo się tu po prostu mieszkało, drugi, bo było się gościem Reżysera, i trzeci — z powodu wiatraka, żeby zrobić sobie na jego tle zdjęcie.

Prom płynął dwadzieścia minut. W tym czasie niektórzy pasażerowie wysiedli z aut i zapalili papierosa, choć to zabronione. Inni stali oparci o barierkę i po prostu patrzyli w wodę, aż ich rozhuśtanych oczu nie uwiązała w końcu drugi brzeg. Za chwilę, podnieceni zapachami łądu, swoimi arcyważnymi zadaniami i obowiązkami, znikną w uliczkach przy nabrzeżu, rozpląną się jak dziewiąta fala, która sięgając najdalej, wsiąka w ziemię i nigdy nie wróci już do morza. Na ich miejsce zaś pojawiają się inni. Weterynarz w eleganckim pick-upie; dorobił się go na sterylizacji kotów. Szkolna wycieczka, która będzie badała florę i faunę wyspy w ramach zajęć z przyrody. Dostawczy samochód z transportem bananów i kiwi. Ekipa telewizyjna na wywiad z Reżyserem. Rodzina G., która właśnie wraca od babci. Dwoje innych zapalonych cyklistów wymieni tych pierwszych.

W czasie rozładunku i załadunku, które trwały niecałą godzinę, Eryk wypalał kilka papierosów i usiłował nie poddać się rozpacz. Potem prom zawracał na wyspę. I tak osiem razy, z dwugodzinną przerwą na obiad, który Eryk jadał zawsze w tym samym barze. Jednym z trzech w okolicy. Po pracy kupował ziemniaki, cebulę i boczek. Papierosy i alkohol. Starał się nie pić do południa, lecz przy szóstym rejsie był już wstawiony.

Linie proste — jakże są upokarzające. Jak niszczą umysł. Co to za perfidna geometria, która zmienia nas w idiotów — tam i z powrotem, parodia podróży. Wyruszyć, żeby zaraz wrócić. Rozpędzić się i od razu wyhamować.

Tak było też z małżeństwem Eryka, krótkim i burzliwym. Maria, rozwódka, pracowała w sklepie i miała syna, który chodził do szkoły średniej z internatem w mieście. Eryk zamieszkał u niej, w jej miłym, przytulnym domku z ogromnym telewizorem. Miała zgrabną sylwetkę, nieco obfite kształty, jasną skórę i nosiła obcisłe legginsy. Szybko nauczyła się przyrządzać ziemniaki na boczku i zaczęła dodawać do nich majeranek i gałkę muszkatołową. On zaś z zapałem całe wolne dni rąbał drewno do kominka. Trwało to półtora roku; potem jednak zmierzył go nieustający szum telewizora, jaskrawe oświetlenie, szmata przy wycieracze, na której trzeba było stawiać ubłocone buty, i ta muszkatołowa gałka. Kiedy upił się kilka razy i z podniesionym palcem przemawiał do marynarzy — wyrzuciła go z domu, a wkrótce potem przeniosła się do syna, na łąd.

*

Dziś jest pierwszy marca, środa popielcowa. Eryk, gdy otworzył oczy, zobaczył szary świt i padający śnieg z deszczem, który zostawiał na szybach rozmazane ślady. Pomyślał o swoim dawnym imieniu.

Prawie je zapomniał. Wypowiedział je na głos i zabrzmiało to tak, jakby zawołał go ktoś obcy. W głowie czuł znajomy ucisk po wczorajszym picciu.

Bo trzeba nam wiedzieć, że Chińczycy mają dwa imiona: jedno nadane przez rodzinę, którym się woła dziecko, karci je i przywołuje do porządku, ale i pieszczotliwie zdrabnia. Lecz gdy dziecko wchodzi w życie, bierze sobie drugie imię — zewnętrzne, światowe, imię-personę. Wkłada je jak mundur, jak komżę, więzienny pasiak, strój na oficjalny koktajl. To imię jest użytkowe i łatwe do zapamiętania. Od-tąd będzie za człowieka świadczyć. Najlepiej, jeżeli będzie światowe, uniwersalne, rozpoznawalne przez wszystkich; precz z lokalnością naszych imion. Precz z Oldrlichem, Sung Yin, Kazimierzem i Jyrkiem; precz z Błażenem, Liu i Milicą. Niech żyje Michael, Judith, Anna, Jan, Samuel i Eryk!

Lecz dziś Eryk odpowiedział na zawołanie starego imienia: Jestem.

Nikt go nie zna, więc i ja go nie wymienię.

Mężczyzna zwany Erykiem włożył zielony mundur z emblematami Zjednoczonych Promów Północy, przecesał brodę palcami, wyłączył ogrzewanie w skarłałym domku i ruszył wzdłuż asfaltu. Potem, czekając w swoim akwarium, aż prom zostanie załadowany, a słońce wreszcie wszędzie, wypił piwo z puszki i zapalił pierwszego papierosa. Pomachał z góry Elizie i jej córeczce, przyjaźnie, jakby chcąc im wynagrodzić, że dzisiaj nie trafią do przedszkola.

Gdy prom odbił od brzegu i był już w połowie drogi między obiema przystaniami, nagle zawahał się i ruszył na otwarte morze.

Nie wszyscy od razu zorientowali się, co się dzieje. Niektórzy, tak przyzwyczajeni do rutyny linii prostej, patrzyli na znikający brzeg obojętnie, otepiali, co z pewnością potwierdzałoby pijackie teorie Eryka o tym, że podróżowanie promami prostuje zwoje mózgowie. Inni zorientowali się dopiero po dłuższej chwili.

— Eryk, co ty wyrabiasz? Zawracaj natychmiast! — krzyknął do niego Alfred, a Eliza dołączyła się wysokim piskliwym głosem: — Ludzie spóźnią się do pracy...

Alfred próbował wejść do Eryka na górę, ale ten przezornie zamknął bramkę i przekręcił klucz w swojej kabinie.

Widział z góry, jak wszyscy jednocześnie wyciągają telefony komórkowe i dzwonią, wypowiadają coś z oburzeniem w pustą przestrzeń, gestykułując nerwowo. Domyślał się, co mówią. Ze spóźnią się do pracy, że ciekawe, kto im wypłaci odszkodowanie za straty moralne, że nie powinno się zatrudniać takich pijaczyn, że zawsze wiedzieli, iż to się tak skończy, że pracy brakuje dla swoich, a tu się przyjmuje jakichś imigrantów; choćby nie wiem jak dobrze nauczyli się tacy języka, to jednak zawsze...

Eryk wcale się tym nie przejmował. Z przyjemnością stwierdził, że po jakimś czasie się uspokoili, zajęli miejsca i patrzyli, jak niebo przejaśnia się i rzuca między chmurami wprost do morza piękne snopy

światła. Tylko jedna rzecz go zaniepokoiła — jaskrawoniebieski płaszczyk córeczki Elizy, a to (o czym wie każdy wilk morski) jest zły omen na pokładzie statku. Zamrugał jednak oczami i zapomniał o sprawie. Wziął kurs na ocean i zszedł do nich ze skrzynką koli i batonikami, które przygotował na tę okazję dużo wcześniej. Widocznie dobrze im zrobiła ta mała przekąska, bo dzieci przycichły wpatrzone w oddalające się brzegi wyspy, a dorośli zaczęli okazywać coraz większe zainteresowanie podróżą.

— Jaki wzięłeś kurs? — zapytał go fachowo młodszy z braci T, a potem czknął kołą.

— Ile czasu zajmie nam wypłynięcie na otwarte wody? — chciała wiedzieć Eliza, przedszkolanka.

— Czy zadbał pan o zapas paliwa? — zainteresował się stary S., ten z chorymi nerkami.

A przynajmniej tak się Erykowi wydawało, że mówili to, a nie co innego. Starał się na nich nie patrzeć i nie przejmować się. Zahaczył już swój wzrok na linii horyzontu, która odtąd przecięła jego źrenice na pół — ciemniejszą od wody i jaśniejszą od nieba. Zresztą oni także się uspokoili. Nasunęli na czoło czapki, ciąśniej zawiązali szaliki. Można powiedzieć, że płynęli w ciszy, dopóki nie przedarł się przez nią warkot helikoptera i zawodzenie policyjnych motorówek.

* * *

— Są rzeczy, które dzieją się same, są podróże, które zaczynają się i kończą we śnie, i są podróżnicy, którzy odpowiadają na bełkotliwe wezwanie

własnego niepokoju. Oto właśnie stoi przed wami jeden z nich... — tak właśnie zaczął swoją przemowę obrońca w sądzie na krótkim procesie Eryka. Niestety, jego przejmująca mowa obrończa nie wywarła oczekiwanego skutku i nasz bohater znów trafił na pewien czas do więzienia; mam nadzieję, że z korzyścią dla siebie. Bo i tak nie ma dla niego innego życia jak to rozkołysane, zapożyczone od morza i jego niezbadanych przypływów i odpływów.

Lecz tym nie będziemy się już zajmować.

Gdyby jednak na zakończenie tej historii ktoś chciał mnie zapytać, gdyby chciał rozwiązać swoje wątpliwości dotyczące całej prawdy i tylko prawdy. Gdyby chwycił mnie za ramię, potrząsnął mną niecierpliwie i zakrzyknął: — A więc zaklinam cię, powiedz mi, czy zgodnie z twoim najgłębszym przekonaniem historia ta jest rzeczywiście w swej treści prawdziwa? Zechciej mi wybaczyć, jeśli zbyt natrętny — wybaczyłabym i odpowiedziałam: — Tak mi dopomóż Bóg; na honor mój przysięgam, że historia, którą wam, panowie i panie, opowiedziałam, jest w swej treści i ogólnych zarysach prawdziwa. Wiem to z pewnością: wydarzyła się na naszej kuli ziemskiej; sama stapałam po pokładzie tego promu.

Wyprawy na biegun

Przypomina mi się, co przypomniało się kiedyś Borgesowi, że gdzieś czytał: ponoć duńscy księża w czasach budowania duńskiego imperium ogłaszali w koś-

dołach, iż ten, kto weźmie udział w wyprawie na biegun północny, łatwiej dostąpi zbawienia duszy. A ponieważ nie było wielu chętnych, przyznawali, że to długa i trudna wyprawa, nie dla każdego, ale tylko dla tych odważnych. Lecz chętnych wcale nie przybywało. Więc żeby z tego wszystkiego wyjść z twarzą, księża sprostowali swoje ogłoszenie — właściwie każda podróż może być traktowana jak wyprawa na biegun, nawet niewielka wycieczka, nawet przejazdka miejską dorożką.

Dziś — z pewnością nawet podróż metrem.

Psychologia wyspy

Według psychologii podróźnej wyspa reprezentuje najbardziej pierwotny, najwcześniejszy stan sprzed socjalizacji, kiedy ego zindywidualizowało się już na tyle, by zyskać pewien poziom samoświadomości, lecz nie nawiązało jeszcze pełnych, satysfakcjonujących relacji z otoczeniem. Stan wyspy to stan nie zaburzonego żadnym wpływem z zewnątrz pozostawania we własnych granicach; przypomina on swego rodzaju autyzm i narcyzm. Wszelkie potrzeby zaspokajane są we własnym zakresie. Tylko „ja” wydaje się realne; „ty” i „oni” są zaledwie niewyraźnymi fantazmatami, Latającymi Holendrami, które pojawiają się gdzieś daleko na horyzoncie i zaraz znikają. Właściwie to nawet nie wiadomo, czy nie były zwykłym złudzeniem oka przyzwyczajonego do linii prostej, która perfekcyjnie dzieli pole widzenia na górę i dół.

Czyszczenie mapy

To, co mnie rani, wymazuję ze swoich map. Miejsca, w których się potknęłam, upadłam, w których mnie uderzono, dotknięto do żywego, gdzie zabołało, przestały na niej istnieć.

W ten sposób wymazałam kilka dużych miast i jedną prowincję. Może kiedyś zdarzy się, że wymażę cały kraj. Mapy przyjmują to ze zrozumieniem; tęsknią do białych plam, to ich szczęśliwe dzieciństwo.

Czasem, gdy musiałam się pojawić w tych nie istniejących miejscach (staram się nie pielęgnować w sobie urazy), stawałam się okiem, które porusza się jak duch w widmowym mieście. Gdybym się bardziej skupiła, mogłabym gładko wsunąć dłoń w najbardziej zwarte betony, mogłabym przechodzić najbardziej zatłoczone ulice, przez sznury samochodów, nieporuszona, bez uszczerbku, bezszelestnie.

Nie robiłam tego, przyjmowałam reguły gry mieszkańców tych miast. I starałam się, żeby nie odkryć przed nimi tych miejsc iluzji, w której biedni tkwią, wymazani. Będę się do nich uśmiechać i przytakiwać temu, co mówią. Nie chciałam im mącić w głowach — że nie istnieją.

Podążać za nocą

Trudno mi było spać spokojnie, gdy zatrzymywałam się w jakimś miejscu tylko na jedną noc. Wielkie miasto powoli stygło, uspokajało się. To wliczony w ce-

nę biletu hotel linii lotniczych, w którym utknęłam. Miałam czekać do jutra.

Na stoliku leżała niebieska paczka kondomów. Przy łóżku — Biblia i nauki Buddy. Niestety wtyczka czajnika nie pasowała do kontaktu — cóż, obejść się bez herbaty. Zresztą może to pora raczej na kawę? Moje ciało nie miało pojęcia, co znaczy godzina na zegarku wbudowanym w radio przy łóżku, a wydawałoby się, że cyfry są międzynarodowe, chociaż arabskie. Czy żółta łuna za oknem to początek świtu, czy może raczej zmierzch, który już zgęstniał w noc. Trudno ocenić, czy ta część świata, nad którą zaraz się pojawi albo przed chwilą znikło słońce — to wschód czy zachód. Przeliczałam w skupieniu godziny w samolocie, pomagałam sobie obrazem, który zobaczyłam kiedyś w Internecie — kula ziemską z linią nocy przesuwająca się ze wschodu na zachód, jak wielkie usta, systematycznie pochłaniające świat.

Plac przed hotelem był pusty, wokół zamkniętych straganów awanturowały się bezpieczne psy. To musiał być środek nocy, wydedukowałam w końcu, i bez herbaty, bez kąpieli położyłam się do łóżka. W moim osobistym czasie, czasie, który wożę w komórce, było jednak wczesne popołudnie. Dlatego nie mogłam naiwnie liczyć, że usnę.

Owinąć się kołdrą i włączyć telewizor — bez głosu, niech szemrze, miga, marudzi. Wyciągnąć przed siebie pilota jak broń i strzelać w środek ekranu. Każdy strzał zabija jeden kanał, lecz natychmiast rodzi

się drugi. Ale moja gra polega na tym, żeby podążać za nocą, wybierać tylko te kanały, które nadawane są stamtąd, gdzie teraz panuje noc. Wyobrazić sobie kulę ziemską i ciemną szramę na jej łagodnej krzywiznie, dowód jakiejś dawnej zbrodni; blizna po bravurowym rozdzieleniu bliźniąt syjamskich — światła i ciemności.

Noc nigdy się nie kończy, zawsze roztacza swą władzę nad jakąś częścią świata. Można ją śledzić pilotem telewizora, można szukać stacji zawsze w strefie cienia, ciemnej wklęsłej dłoni, która podtrzymuje ziemię, by godzina po godzinie przesuwać się na zachód, kraj po kraju. I wtedy odkryje się interesujące zjawisko.

Pierwszy strzał w gładkie bezmyślne czoło telewizora otworzył kanał 348 Holy God. Zobaczyłam scenę śmierci na krzyżu, jakiś film zrobiony w latach sześćdziesiątych. Matka Boska miała cienko wyskubane brwi, a Maria Magdalena zapewne włożyła gorset pod siermiężną suknię w kolorze spłowiałego błękitu — widać jak nieudolnie pokolorowano biało-czarny film. Jej duże piersi, stożkowate, nienaturalnie wypięte, jej talia osy. Gdy śmiejący się brzydki żołnierz dzielili szaty, pojawiły się obrazy wszelkich możliwych kataklizmów i sprawiały wrażenie, jakby wycięto je żywcem z kanałów przyrodniczych i wklejono do filmu jednym kliknięciem. Oto chmury, które zbierały się w przyspieszonym tempie, błyskawice i niebo, lejek skierowany ku ziemi, trąba powietrzna, palec boży, który odtąd będzie rysował na powierzchni ładu

esy-floresy. Potem rozwścieczone fale waliły o brzeg, jakieś żaglowce, dość marne atrapy roznoszone w pył przez oszalałą wodę. Wybuchy wulkanów, gorący wytrysk, który zapewne może zapłodnić niebo, ale był bez szans, więc lawa spływała tylko bezsilnie po zboczu. Gorąca ekstaza stała się zwykłą zmałą nocną.

Dość. Strzeliłam znowu. Kanał 350 Blue Line TV — masturbująca się kobieta. Końce palców ginęły między smukłymi udami. Kobieta rozmawiała z kimś po włosku, mówiła do mikrofonu przyczepionego do jej ucha, ten to długi jęczyczek zlizywał z jej ust każde włoskie słowo, każde si, si i pręgo.

354 — Sexsatelita 1 — tym razem to dwie znużone dziewczyny masturbowały się, kończyły chyba już zmianę, bo nie potrafiły ukryć zmęczenia. Jedna z nich pilotem ustawiała kamerę, która je filmowała, w tym sensie były absolutnie samowystarczalne. Od czasu do czasu na ich twarzy pojawiał się jeszcze grymas, jakby przywoływały się do porządku — przymknięte oczy i w półotwarte usta — ale zaraz znikał. Na twarz wracały zmęczenie i dekoncentracja. Nikt do nich nie dzwonił, pomimo zachęcających napisów po arabsku.

A teraz skądś cyrylica — Genesis cyrylicą. Słowa, które pojawiły się u dołu ekranu, z pewnością były uroczyste. Ilustrowały je obrazy gór, morza, obłoków, roślin i zwierząt. Na 358 pokazywali najlepsze sceny jakiegoś gwiazdora porno o imieniu Rocco. Zatrzymałam się na chwilę, bo na jego twarzy dostrzegłam krople potu. Wykonując ruchy frykcyjne nad jakimiś

anonimowymi pośladkami, mężczyzna założył rękę na biodro i można go było wziąć za kogoś, kto z uporem ćwiczy ruch z samby czy salsy, i raz, i dwa.

Na 288 Oman TV — czytali wersety z Koranu. Tak się domyślam. Piękny, zupełnie niezrozumiały wzór arabskiego pisma biegł łagodnie przez ekran. Chciałoby się wziąć je w dłoń, dotknąć, zanim się pomyśli, co może znaczyć. Rozprostować zawiłe esy-floresy, wyprasować to pismo i zamienić w prostą, uspokajającą linię.

Kolejny strzał i zobaczyłam przemawiającego ciemnoskórego pastora, któremu publiczność ohocho odpowiadała „alleluja”.

Noc uciszyła głośne i agresywne kanały informacyjne, pogodowe i filmowe, odsunęła na bok dzienne hałasy świata i sprowadziła na nie ulgę prostego układu współrzędnych: seks i religia. Ciało i Bóg. Fizjologia i teologia.

Podpaski

Na opakowaniu każdej z podpasek, które kupiłam w aptece, widniały krótkie zabawne informacje:

Słowo „letologia” opisuje stan niemożności przywołania potrzebnego słowa.

Ropografia — to w malarstwie termin na określenie przywiązania artysty do szczegółów i detali.

Ryparografia — to malowanie szczątków i ohydy. Leonardo da Vinci wynalazł nożyczki.

W łazience, w której rozpakowałam całą paczkę z tymi szczególnymi pouczeniami, przyszło mi do głowy jak olśnienie, że jest to inna część projektu wielkiej encyklopedii, która właśnie powstaje i w której ma się znaleźć wszystko. Wróciłam więc w to samo miejsce i odszukałam na półkach tę dziwną firmę, która postanowiła łączyć konieczne z pożytecznym. Co za sens zadrukowywać papier w kwiatki czy truskawki — przecież stworzony został jako nośnik idei. Papier do pakowania to marnotrawstwo, powinien być zabroniony. Jeżeli już coś pakować — to tylko w powieści i w poematy, i zawsze tak, żeby to, co zawierane, i to, co zawierające, były ze sobą jakoś powiązane.

Od trzydziestego roku życia istota ludzka zaczyna się powoli kurczyć.

Co roku więcej ludzi ginie od kopnięcia osła niż w katastrofach lotniczych.

Jeżeli znajdziesz się na dnie studni, będziesz w stanie zobaczyć gwiazdy nawet w ciągu dnia.

Czy wiesz, że dzielisz swoje urodziny z dziewięćmi milionami innych ludzi na ziemi?

Najkrótsza wojna w historii odbyła się między Zanzibarem a Anglią w 1896 roku. Trwała tylko trzydzieści osiem minut.

Gdyby oś Ziemi była nachylona tylko o jeden stopień bardziej, Ziemia nie mogłaby być zamieszkana, ponieważ obszary wzdłuż równika byłyby zbyt gorące, a wokół biegunów zbyt zimne.

Z powodu rotacji kuli ziemskiej każdy rzucony obiekt poleci dalej na zachód niż na wschód.

Przeciętne ludzkie ciało zawiera dość siarki, by zabić psa.

Arachibutyrophobia to lęk przed przyklejeniem się masła arachidowego do podniebienia.

Ale największe wrażenie zrobiło na mnie to:

Najsilniejszym mięśniem ludzkiego ciała jest język.

Relikwie.

Peregrinatio ad loca sancta

W Pradze w 1677 roku można było obejrzeć u świętego Wita: piersi świętej Anny, calusieńkie, zamknięte w kryształowym słoju, głowę świętego Stefana męczennika, głowę Jana Chrzciciela. U świętej Teresy zakonnice pokazywały zainteresowanym zmarłą przed trzydziestoma latami mniszkę, siedzącą za kratą, bardzo dobrze zachowaną. U jezuitów natomiast — głowę świętej Urszuli oraz kapelusz i palec świętego Ksawerego.

Sto lat wcześniej pewien Polak dotarł do La Valetta na Malcie, skąd pisał, że miejscowy ksiądz oprowadził go po mieście i pokazał mu: „pałmam dextram integram (całą prawą dłoń) świętego Jana Baptysty, świeżuchną, jakby ją dopiero od ciała odciął, i otworzywszy kryształ, dał mi ją niegodnymi usty moimi

całować, co i ja sobie grzeszny za największe, którychemkolwiek wszytek żywot swój doznał, błogosławieństw Bożymi poczytam. Także dał mi całować sztuczkę nosa tego świętego, nogę całą świętego Lazari Quadriduani, palce świętej Magdaleny, część głowy świętej Urszuli (temu mi dziwno, bom i w Kolnie nad Renem też zupełną widział i dotykał niegodnymi usty swemi)".

Taniec brzucha

Kelner po jedzeniu podał pospiesznie kawę, a potem wycofał się w głąb sali, za kontuar; on też będzie patrzył.

Mimowolnie ściszyliśmy głosy, bo światła gasły miękko i między stoliki wbiegła młoda kobieta, którą jeszcze kilkanaście minut temu widziałam palącą papierosa na ulicy. Teraz stanęła pośród siedzących ludzi, potrząsnęła rozpuszczonymi czarnymi włosami. Miała mocno wymalowane oczy; jej stanik, na pierśsiach obsyty cekinami, mienił się jaskrawo, wszystkimi kolorami naraz, spodobałby się każdemu dziecku, każdej dziewczynce. Bransolety na rękach dzwoniły i brzęczały. Długa spódnica spływała z bioder do boscych stóp. Dziewczyna bardzo ładna, jej zęby błyskały biało, nierealnie, oczy rzucały śmiałe spojrzenia, pod którymi nie sposób usiedzieć bez ruchu, chciało się poruszyć, wstać, zapalić. Kobieta tańczyła w rytm bębnów, a jej biodra chwaliły się sobą, wyzywały na

pojedynek każdego, kto tylko ośmieliłby się podważyć ich moc.

Jakiś mężczyzna podjął wreszcie to wyzwanie i odważnie stanął do tańca; to turysta, w bermudach, nie pasował do jej cekinów, ale starał się, kręcił biodrami z przejściem, a jego kumple przy stoliku tupali i gwizdali, podnieceni. I jeszcze dwie młode dziewczyny ruszyły do tańca; w dżinsach, chude jak wióry.

Ten taniec w niedrogiej knajpie był święty. Tak to czułyśmy — ja i ta druga kobieta, moja towarzyszka.

Gdy zapaliło się światło, odkryłyśmy, że mamy oczy pełne łez i że zmieszane wycieramy je chusteczką. Żartowali z nas podochoceni mężczyźni. Lecz byłam pewna, że wzruszenie kobiet, które patrzyły na ten taniec, było krótszą drogą jego ogarnięcia niż podniecenie mężczyzn.

Południki

Kobieta, Ingibjörg, podróżowała wzdłuż południka zero. Pochodziła z Islandii, a swoją wyprawę zaczęła na Szetlandach. Skarżyła się, że nie da się, oczywiście, poruszać po linii prostej, ponieważ jest całkowicie zależna od dróg i kursu statków rejsowych czy torów kolejowych. Ale starała się trzymać zasady: jechać na południe, lawirując wokół tej linii, zygzakiem.

Opowiadała z takim zapałem, tak barwnie, że nie śmiałam jej zapytać, dlaczego to robi. Zresztą wiadomo, co się odpowiada w takich przypadkach: Dlaczego nie?

Kiedy mówiła, ujrzałam w wyobraźni obraz krop-
li, która zsuwa się po powierzchni kuli.

A jednak nadal niepokoi mnie ten pomysł. Prze-
cież południk nie istnieje.

Unus mundus

Mam przyjaciółkę poetkę, która niestety nigdy nie potrafiła utrzymać się ze swojej poezji. Kto wyżyje z wierszy? Zaczęła więc pracować dla pewnego biura podróży, a ponieważ bardzo dobrze mówiła po angielsku, została przewodniczką amerykańskich wycieczek. Szło jej doskonale i polecano ją najbardziej wymagającym gościom. Odbierała ich w Madrycie, leciała z nimi do Malagi, a potem promem płynęła do Tunisu. Była to zwykle nieduża grupka, około dziesięciu osób.

Cieszyła się z takich zleceń, miała ich przeciętnie dwa w miesiącu. Lubiła wtedy spokojnie się wyspać w najlepszych hotelach. Do oprowadzania po zabytkach musiała się przygotowywać sama, i wiele wtedy czytała. Ukradkiem też pisała. Czasami, gdy przechodziła jej do głowy jakaś szczególnie ciekawa myśl, zdanie, skojarzenie, wiedziała, że musi je natychmiast zanotować, bo inaczej umknie jej na zawsze. Pamięć z wiekiem szwankuje, robią się w niej dziury. Wstawała i szła do toalety, zapisywała, siedząc na muszli. Czasami pisała sobie na ręce, same litery, mnemotechnika.

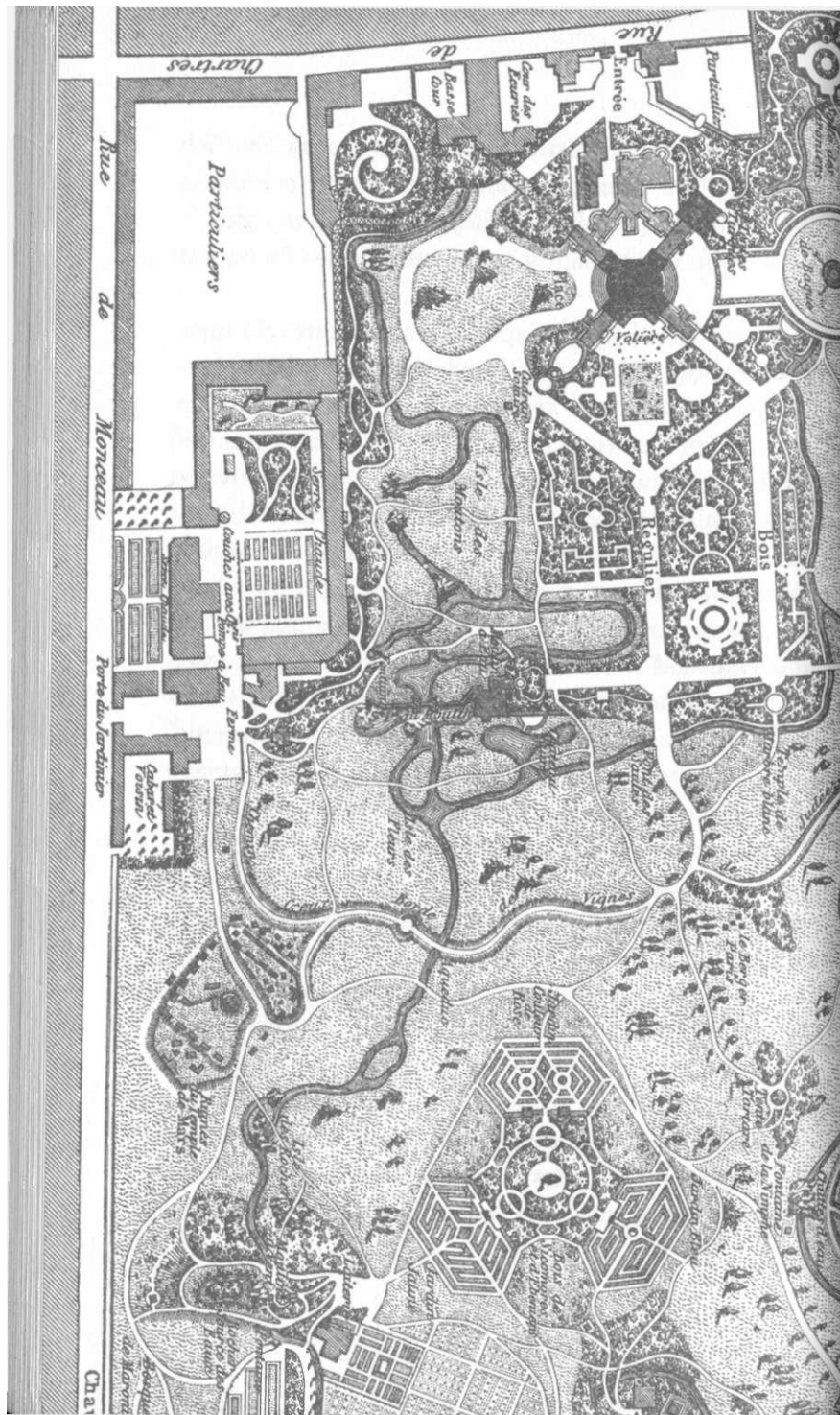
Nie była specjalistką od krajów arabskich i ich kultury, lecz pocieszała się, że jej turyści też nie są ich znawcami. Studiowała literaturę i lingwistykę.

— Nie wygłupiajmy się — mówiła. — Świat jest jeden.

Nie trzeba było być specjalistą; wystarczyło mieć wyobraźnię. Czasami, gdy zdarzały się jakieś przerwy w podróży, gdy trzeba było siedzieć godzinami w marnym cieniu, w miejscu Nigdzie, bo akurat zerwała się linka w jeepie, musiała zająć czymś uwagę swoich klientów. Zaczynała wtedy opowiadać historie. Oczekiwali tego od niej. Niektóre brała z Borgesa i upiększała je trochę, dramatyzowała. Inne — z baśni „Tysiąca i jednej nocy”, ale i tym też zawsze coś dodawała od siebie. Mówiła, że trzeba znaleźć taką historię, która nie została jeszcze sfilmowana, i okazywało się, że jest ich całkiem sporo. Wszystkiemu nadawała koloryt arabski, rozwdziła się nad szczegółami strojów, potrawami, maścią wielbłądów. Chyba nie słuchali jej zbyt uważnie, bo kiedy kilka razy pomyliła jakieś fakty historyczne, nikt nie zwrócił jej na to uwagi, więc w końcu przestała się przejmować faktami.

Harem (opowieść Menchu)

Słowa nie potrafią oddać labiryntów haremu. Skoro nie słowa, to może plastry w ulu, kręty porządek jelit, wewnątrz ciała, korytarze ucha; spirale, ślepe zaułki,



wyrostki robaczkowe, miękkie okrągłe tunele, które kończą się tuż przy wejściu do ukrytej komnaty.

Centrum jest schowane głęboko, jak w mrowisku, to komnaty matki sułtana, wymoszczone macią dywanów, okadzone mirrą, chłodzone wodą, która zamienia parapety w koryta strumyków. Obok rozciągają się pokoje niedorosłych synów; oni też są przecież kobietami, wtuleni w kobiety żywioł, zanim inicjacja nie rozpłata ich perłowych owodni mieczem. Za nimi otwierają się wewnętrzne dziedzińce ze skomplikowaną hierarchią klitek dla nałożnic: najmniej pożądane kobiety wznoszą się w górę, jakby ich zapomniane przez mężczyznę ciała podlegały tajemniczemu procesowi anielenia; najstarsze mieszkają już pod samym dachem — niedługo ich dusze ulecą w niebo, a ich ciała, niegdyś tak ponętne, zeschną się na podobieństwo imbiru.

Wśród tego bogactwa korytarzy, przedsionków, tajemnych wnęk, krużganków i podwórek sam młody władca ma swoje sypialnie, przy każdej zaś mieści się królewska łazienka, gdzie w dostojnym luksusie oddaje się on spokojnej królewskiej defekacji.

Każdego ranka wypuszcza się z objęć matek w świat, jak duże wyrosnięte dziecko, które dopiero uczy się chodzić, odrobinę za późno. Ubrane w paradny kaftan odgrywa swoją rolę — a potem z ulgą pod wieczór wraca do ciała, do własnych jelit, do miękkich pochew swoich nałożnic.

Wraca z izb starszyny, skąd rządzi pustynnym krajem — przyjmuje delegacje i prowadzi politykę

upadającego lokalnego państewka, daremną politykę. Wiadomości są przerażające. Krwawe starcie trzech wielkich potęg nie pozostawia żadnych wątpliwości; trzeba jak w ruletce obstawić kolor i opowiedzieć się po jednej ze stron. Nie wiadomo, czym się kierować przy wyborze — miejscem studiów, sentymentem do kultury, brzmieniem języka? Tę niepewność podsycają jeszcze goście; przyjmuje ich każdego ranka. To ludzie interesu, kupcy, konsulowie, szemrani doradcy. Przysiadają przed nim na zdobnych poduszkach, ocierają pot z czoła, które wiecznie osłaniane korkowym hełmem ostało się zadziwiająco białe i przypomina barwą podziemne kłacza — stygmat diabelskiego pochodzenia tych ludzi. Inni, w turbanach i zawojach, międlą długie brody, nieświadomi faktu, że ten gest może kojarzyć się tylko z kłamstwem i krętactwem. Wszyscy mają do niego sprawę, polecają swoje negocjatorskie usługi, namawiają na jedyny słuszny wybór. Boli go od tego głowa. Państewko nie jest wielkie — to raptem kilkadziesiąt osad w oazach kamienistej pustyni, z całych bogactw naturalnych znajdują się tu jedynie odkrywkowe kopalnie soli. Nie ma dojścia do morza, żadnych portów, strategicznych cypli ani cieśnin. Mieszkanki tego małego kraju uprawiają cieciorę, sezam i szafran. Ich mężowie przeprowadzają podróżnych i kupców karawanami przez pustynię, na południe:

Nigdy nie pociągała go polityka, w ogóle nie rozumie, co jest w niej takiego fascynującego, że jego wielki ojciec poświęcił jej życie. Lecz bez wątpienia

nie przypomina swego ojca, który w ciągu dziesiątków lat, walcząc z nomadami na pustyni, zbudował to nieduże państewko. Spośród wielu braci wybrano go na następcę tylko dlatego, że jego matka była najstarszą z żon, osobą ambitną. Matka zapewniała mu władzę, której z racji przyrodzonych nie mogła mieć dla siebie. Jego brata, który był poważnym konkurentem, spotkało nieszczęście — zginął ukłuty przez skorpioną. Siostry się nie liczą, nawet ich dobrze nie zna. Kiedy patrzy na kobiety, zawsze pamięta, że każda mogłaby być jego siostrą, i to go w jakiś dziwny sposób napełnia spokojem.

W radzie starszych, tej ponurej grupie brodatych mężczyzn, nie ma przyjaciół. Gdy się pojawia w sali obrad, oni nagle milkną, więc zawsze odnosi wrażenie, jakby przeciw niemu spiskowali. Zapewne robią to. Potem, po kilku powitalnych rytuałach, omawiają sprawy i rzucają ku niemu spojrzenia, które ledwie kryją pogardę i niechęć, choć same domagają się aprobaty. Czasem mu się wydaje — niestety coraz częściej — że te krótkie spojrzenia podszyte są wrogością całkiem materialną, ostrą jak nóż, że w gruncie rzeczy nie chodzi im o jego wypowiedziane w końcu „tak” lub „nie”, lecz chcą sprawdzić, czy w ogóle powinien jeszcze zajmować to miejsce pośrodku sali, uprzywilejowaną pozycję i czy tym razem wyda z siebie jakikolwiek dźwięk.

Czego od niego oczekują? Nie jest w stanie śledzić ich wzajemnych przekrzykiwań, pełnych emocji, logiki ich wywodów. Zwraca raczej uwagę na pięk-

ny szafranowy turban jednego z nich, to jest bodaj minister zasobów słodkiej wody, albo na wyjątkowo zły wygląd innego; trudno nie zauważyć chorobliwej bledkości jego twarzy okolonej wielką, rozłożystą siwą brodą. Zapewne jest chory i niedługo umrze.

„Umrzeć” — to słowo napawa młodego władce przemożnym obrzydzeniem; niedobrze, że o tym pomyślał, teraz czuje, jak ślina zbiera mu się w ustach, a gardło wykonuje słabe skurcze — przewrotne przeciwieństwo orgazmu. Trzeba stąd uciec.

Dlatego wie już, co robi, ale wszystko to trzyma w tajemnicy przed matką.

Lecz ona przychodzi do niego późnym wieczorem, choć nawet ona musi się najpierw zapowiedzieć jego dwóm zaufanym strażnikom, eunuchom, czarnym jak heban: Gogowi i Magogowi. Odwiedza syna, gdy ten spędza miłe chwile w ramionach swych małych przyjaciół, siada u jego stóp na pięknie tkanej poduszce, pobrząkuje bransoletami. Kiedy się porusza, uruchamia fale korzennego zapachu olejków, którymi natarte jest jej stare ciało. Mówi, że o wszystkim wie i że pomoże mu w wyprawie, jeśli zobowiąże się zabrać ją ze sobą. I czy sobie zdaje sprawę, że zostawiwszy ją tutaj, wyda ją tym samym na śmierć.

— Mamy na pustyni oddanych krewnych, ci na pewno nas przyjmą. Posłałam już do nich człowieka z tą wieścią. Przeczekamy tam najgorszy czas, potem w przebraniu, wzięwszy to, co swoje, klejnoty i złoto, ruszymy na zachód, do portów, i umkniemy stąd na zawsze. Osiądziemy w Europie, ale niezbyt daleko,

tak żeby przy dobrej pogodzie widzieć afrykańskie brzegi. Jeszcze będę bawić twoje dzieci, synu — mówi, i zapewne wierzy w ucieczkę, ale w te wnuki już nie, na pewno nie.

Cóż ma powiedzieć, gładzi jedwabiste główki i wyraża zgodę.

W ulu jednak nie ma tajemnic, wieści rozchodzą się hektagonalnie po plastrach pszczelich, przez kominiki, ubikacje, korytarze i podwórka. Roznoszą się z ciepłym powietrzem z żeliwnych mis, w których pali się węglem drzewnym, żeby łatwiej było znieść zimowe chłody. Czasem powietrze, które ciągnie z głębi lądu, z gór, jest tak mroźne, że mocz pokrywa się warstewką lodu w majolikowych nocnikach. Wieści rozchodzą się po piętrach nałożnic i wszystkie, nawet te zanielone, na najwyższych piętrach, pakują swój niewielki dobytek. Szepczą między sobą, kłócą się już o miejsce w karawanie.

W ciągu następnych kilku dni widać, że pałac ożył i dawno już nie było w nim tyle ruchu. Dlatego dziwi się nasz władca, że niczego nie zauważa Szkarłatny Turban ani Mizerna Broda.

Sądzi, że są głupszy, niż myślał.

Oni zaś mają na myśli dokładnie to samo — że ich władca okazał się bardziej tępy, niż do tej pory uważali. Tym mniej będzie im go żal. Od zachodu bowiem ciągnie wielka armia, statkami i lądem — szepczą między sobą. Podobno jest to mrowie ludzi. Podobno wypowiedzieli światu świętą wojnę i zamierzają

nas podbić. A najbardziej zależy im na Jerozolimie, tam leżą szczątki ich proroka. Nie ma na nich sposobu — są nienasytzeni i gotowi na wszystko. Plądrują nasze domy, gwałcą kobiety, podpalają domostwa, bezczeszczą meczety. Łamią wszelkie ustalenia i umowy, są chwiejni i chciwi. Nie ma wątpliwości — tu nie chodzi o żaden grób, oddalibyśmy im inne groby, proszę bardzo, mamy tutaj ich mnóstwo. Jeżeli interesują ich cmentarze, niechże je sobie wezmą. Ale teraz stało się jasne, że to tylko pretekst; pragną wziąć to, co żywe, nie zaś to, co martwe. A oni podobno, gdy tylko ich statki przybiją do naszych nabrzeży, wybieleni słońcem długiego rejsu, wyblakli od soli morskiej, która kryje ich skórę srebrną cieniutką warstwą, skrzykują się w głośnym, chrapliwym języku — ponieważ nie potrafią mówić po ludzku, jak i czytać ludzkiego pisma — i biegną do naszych miast, żeby wyważać drzwi domostw, rozbijać dzbany z oliwą, plądrować nasze spiżarnie i sięgać, tfu! w szarawary naszych kobiet. Nie umieją odpowiedzieć na żadne nasze pozdrowienie, patrzą tępym wzrokiem, a jasne tęczęwki ich oczu wydają się wypłukane, bezmyślne. Ktoś opowiadał, że jest to plemię, które urodziło się na dnie morza, wychowały je fale i srebrne ryby, i rzeczywiście przypominają wyrzucone na brzeg kawałki drewna, ich skóra ma kolor kości, którymi zbyt długo bawiło się morze. Lecz inni twierdzą, że to nieprawda — jakżeby wtedy ich władca, człowiek o czerwonej brodzie, mógł utopić się w nurtach rzeki Selef?

Tak szepczą z przejęciem, a potem przechodzą do sarkania. Ten władca nam się nie udał. Jego ojciec, owszem, ten był dobry, ten wystawiłby zaraz do boju tysiąc jeźdźców, uzbroił mury, zaopatrzył nas w wodę i ziarno na wypadek oblężenia. Lecz ten... — ktoś spluwa, wymawiając jego imię i milknąc przerażony tym, co mogłoby mu się wyrwać z ust.

Zapada długie milczenie. Jeden gładzi się po brodzie, drugi wpatruje w skomplikowany wzór na posadzce, gdzie z kawałków kolorowej ceramiki ułożono labirynt. Inny jeszcze palcem gładzi pochwę swego noża, kunsztownie inkrustowaną turkusami. Palec głaszcze drobne wybrzuszenia, tam i z powrotem. Nic nie ustalą dzisiaj dzielni doradcy i ministrowie. Na zewnątrz stoją już rośli strażnicy, pałacowe wojsko.

Tej nocy po cichu w ich głowach kiełkują pomysły, rosną jak rośliny, dojrzewają w mgnieniu oka — niedługo zakwitną i wydadzą owoce. Rano rusza konno posłaniec do sułtana z poddańczą prośbą o przejęcie tego małego państewka, o którym zwykle nikt nie pamięta; powstała rada starszych, która dla dobra wszystkich sprawiedliwych i poddanych Allaha odsuwa niniejszym nieudolnego władcę — obraz miecza spadającego z impetem krystalizuje się — i prosi o zbrojne wsparcie w obronie przed niewiernymi, którzy nadciągają z zachodu, liczni jak ziarnka piasku na pustyni.

I tej samej nocy matka wyłuskuje syna spod skór i kobierców, spod ciał dzieci, z którymi sypia młody władca; potrząsa nieprzytomnym i każe się ubierać.

— Wszystko przygotowane, wielbłądy czekają, dwa twoje wierzchowce osiodłane, namioty zwinięte przytroczono już do siodeł.

Syn jęczy, stęka — jakże się na pustyni obejdzie bez mis i talerzy, bez węglowych piecyków, bez dywanów, na czym się położy z dzieciaczkami? Bez swojej toalety, bez widoku z okien na plac i fontanny z kryształiczną wodą.

— Zginiesz — szepcze matka, ściga czoło i pojawia się na nim pionowa zmarszczka, ostra jak sztylet. Jej szept jest naprawdę gadzi, to syk mądrego węża u studni. — Wstawaj!

Zza kilku zaś ścian słychać dreptanie, oto żony spakowały już swój dobytek — te młodsze — większy, starsze — mniejszy, żeby nie dawać powodu do niezadowolenia. Ot, nieśmiały tobołek, tylko cenne szale, kolczyki, bransoletki. Teraz czekają, siedząc w kucki pod drzwiami, przed zasłoną, aż po nie przyjadą, a gdy to trwa zbyt długo, niecierpliwie wyglądają przez okno, gdzie na wschodzie, nad pustynią pojawia się już różowa luna. Nie widzą ogromu pustyni, której szorstkie języki liżą schody pałacu, bo ich okna wychodzą tylko na wewnętrzny dziedziniec.

— Kij, na którym twoi przodkowie rozpinali swój namiot, był osią świata, jego środkiem. Tam, gdzie rozbijesz swój namiot, tam będzie twoje królestwo —

mówi matka i popycha go do wyjścia. Nigdy przedtem nie odważyłaby się go dotknąć w taki sposób, ale teraz tym gestem wskazuje mu, że w ciągu ostatnich godzin przestał być władcą szafranowego państewka.

— Które żony weźmiesz ze sobą? — pyta, a on długo nie odpowiada, tylko przygarnia do siebie grupkę dzieci, chłopców i dziewczynek, anielęta, których nagimi szczupłymi ciałkami nakrywa się w nocy; najstarszy chłopiec nie ma więcej jak dziesięć lat, najmłodsza dziewczynka — cztery.

Zony? Nie będzie żadnych żon, ani starych, ani młodych; były dobre do pałacu. Nigdy ich specjalnie nie potrzebował, sypiał z nimi z tego samego powodu, dla którego codziennie rano musiał oglądać brodate gęby doradców. Penetrowanie ich obfitych bioder, ich mięsistych zakamarków nigdy nie nosło mu większej przyjemności. Najbardziej brzydziły go ich owłosione pachy i wypukłości piersi. Dlatego pilnował się, żeby w te nędzne naczynia nie padła ani jedna kropla cennego nasienia, by ani jedna kropla życia nie została zmarnowana.

Był za to pewien, że dzięki zatrzymywaniu soków, dzięki szczupłym ciałom dzieci, z których przez sen czerpał siłę, dzięki ich słodkim oddechom na jego twarzy, będzie kiedyś nieśmiertelny.

— Weźmiemy dzieci, moje dzieciaczki, tuzin aniołków, niech się ubierają, pomóż im — mówi do matki.

— Ty głupcze — syczy ona — chcesz wziąć dzieci? Nie przetrwamy z nimi na pustyni nawet kilku dni.

Słyszysz, jak zbliżają się tutaj szelesty i szepty? Nie ma chwili do stracenia. Weźmiesz sobie inne dzieci tam, gdzie dotrzemy, jeszcze więcej. Te zostaw, nic im nie będzie.

Lecz widząc jego zdecydowanie, szłocha z wściekłości i staje w drzwiach z rozpostartymi ramionami. Syn zbliża się do niej; mierzą się teraz wzrokiem. Dzieci otoczyły ich półkolem, niektóre trzymają się pół jego kaftana. Ich wzrok jest spokojny i obojętny.

— Albo ja, albo one — mówi nieopatrznie matka, a kiedy te słowa odrywają się od jej warg i kiedy widzi je z zewnątrz, próbuje jeszcze językiem zagarnąć je z powrotem, ale już ich nie dosięga.

Wtedy jej syn gwałtownym ruchem uderza pięścią w jej brzuch, w to miejsce, gdzie lata temu było jego pierwsze mieszkanie, miękka komnata wyścielona czerwienią i szkarłatem. W pięści ma nóż. Kobieta skłania się do przodu, a ze zmarszczki na jej czole wylewa się na twarz ciemność.

Nie ma czasu do stracenia. Gog i Magog ładują dzieci na wielbłądy, te mniejsze — do koszy, jak ptaki. Przytracają kosztowności, cenne materie zwinięte w rulony i dla niepoznaki owinięte w zgrzebne płótno, i gdy najmniejszy obrzynek słońca dotyka horyzontu, już są w drodze. Pustynia na początek obdarza ich bogactwem długich cieni, które ślizgają się z wydmy na wydmy, zostawiając ślad widoczny tylko dla wtajemniczonych. Z czasem ten cień będzie malał, aż zupełnie zniknie, gdy uda się karawanie osiągnąć zamierzoną nieśmiertelność.

Inna opowieść Menchu

Pewne plemię nomadów żyło od wieków na pustyni między osadami chrześcijańskimi i muzułmańskimi, więc wiele się nauczyło. W czasie głodu, suszy, zagrożenia byli zmuszeni prosić o schronienie swoich osiadłych sąsiadów. Przedtem wysyłali jednak posłańca, który z zarośli podglądał obyczaje osady i po dźwiękach, zapachach i strojach rozpoznawał, czy wioska jest muzułmańska, czy chrześcijańska. Wracał z tą wieścią do swoich, a wtedy oni wyciągali z sakw potrzebne rekwizyty i wkraczali do oaz, podając się za współbraci w wierze. Nigdy nie odmówiono im pomocy.

Menchu zaklinała się, że to prawda.

Kleopatry

Jechałam autobusem razem z kilkunastoma kompletnie zakrytymi kobietami w czerni. Przez wąską szparę widać im było tylko oczy — i zdumiewała mnie staranność i piękno makijażu. To oczy Kleopatry. Kobiety z wdziękiem piły wodę mineralną za pomocą plastikowej rurki; rurka znikła w fałdach czarnego materiału i odnajdowała tam gdzieś hipotetyczne usta. W kursowym autobusie puszczone właśnie film, który miał nam umilić podróż — to Lara Croft. Patrzyłyśmy, zafascynowane, na tę gibką dziewczynę o połyskliwych ramionach i udach, która kładła trudem uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Bardzo długi kwadrans

W samolocie między godziną 8.45 a 9.00. Na moje oko trwał godzinę albo i dłużej.

Apulejusz osioł

Zwierzał mi się hodowca osłów.

Sprawa z osiołkami wygląda tak, że są raczej kosztowną inwestycją, która zwraca się długo i wymaga pracy. Poza sezonem, gdy nie ma turystów, trzeba mieć za co je nakarmić, zadbać o ich sierść, muszą być schludne. Ten ciemnobrązowy to samiec, ojciec całej rodziny. Nazywa się Apulejusz — tak go nazwała jedna turystka. Ten zaś ma na imię Jean-Jacques, chociaż to samica, a ten najjaśniejszy to Jean-Paul. Mam jeszcze kilka po drugiej stronie domu. Teraz poza sezonem pracują tylko dwa. Ale kiedy zaczyna się ruch o świcie, przyprowadzam je na miejsce, zanim jeszcze przyjadą autokary.

Najgorsi są Amerykanie, bo większość z nich ma nadwagę. Są często zbyt ciężcy nawet dla Apulejusza. Ważą dwa razy tyle, co inni ludzie. Osioł jest mądrym stworzeniem, od razu potrafi ocenić wagę i najprawdopodobniej denerwuje się, widząc ich wychodzących z autokaru, zgrzanych, z wielkimi plamami potu na koszulkach, w spodniach sięgających kolan. Mam wrażenie, że rozróżnia ich wręcz po zapachu i potem są kłopoty, nawet jeżeli ich rozmiary okazują się

przyzwoite. Zaczyna się wierzganie, wrzaski, jawne uchylanie się od pracy.

— Jednak moje zwierzęta są dobre, wychowałem je sobie. Zależy nam, żeby nasi klienci mieli dobre wspomnienia. Ja sam nie jestem chrześcijaninem, ale rozumiem, że dla nich to jest w końcu kulminacyjny punkt wycieczek. Przyjeżdżają tutaj, żeby na moich osłach odwiedzić miejsce, gdzie jakiś Jan ochrzcił ich proroka wodą z rzeki. Skąd wiedzą, że to akurat tutaj? Podobno tak jest napisane w ich księdze.

Przedstawiciele mediów

Rano był zamach. Zginęła jedna osoba, a kilka zostało rannych. Ciało już zabrano. Policja otoczyła miejsce białą-czerwona plastikową taśmą, za którą widać było na ziemi ogromne plamy krwi; kręciły się przy nich muchy. Leżał motocykl, a w jego pobliżu opalizowała kałuża benzyny; obok siatka z owocami, rozrzucone mandarynki, brudne, osmalone, dalej jakieś szmaty, sandał, czapka z daszkiem w nieokreślonym kolorze, część telefonu komórkowego; tam, gdzie był kiedyś ekran, ziała teraz dziura.

Sporo ludzi stało przy taśmie i patrzyło ze zgrozą. Mówili rzadko, półgłosem.

Policja czekała z uprzątnięciem miejsca, bo miał przyjechać dziennikarz z jakiejś ważnej stacji telewizyjnej, żeby nagrać relację. Podobno szczególnie zależało mu na plamach krwi. Podobno był już w drodze.

Reformy Atatiirka

Któregoś dnia pod wieczór, kiedy już leżałam w łóżku po całym dniu chodzenia, patrzenia i słuchania, przypomniała mi się Aleksandra i jej raporty. Nagle zaczęłam za nią tęsknić. Wyobraziłam sobie, że jest w tym samym mieście, że śpi, z torbą przy łóżku, w srebrnej aureoli swoich włosów. Apostołka, Aleksandra Sprawiedliwa. Znalazłam w plecaku jej adres i zapisałam dla niej jedną Niegodziwość, o której się tutaj dowiedziałam.

Gdy Atatiirk przeprowadzał swoje odważne reformy, w latach dwudziestych minionego wieku, Stambuł był miastem pełnym półdzikich bezpańskich psów. Wytworzyła się nawet szczególna rasa — pies średniej wielkości, z krótką sierścią, o jasnym umaszczeniu, biały albo kremowy lub też w łaciatej kombinacji tych dwóch kolorów. Psy mieszkaly w portowych dokach, między kafejkami i restauracjami, na ulicach i placach. Nocami ruszały na polowanie w miasto; gryzły się, grzebały w śmieciach. Niechciane, powróciły do starych naturalnych zachowań — łączyły się w stada, obierały przywódczynię jak wilki i szakale.

Atatiirkowi jednak zależało, by uczynić z Turcji kraj cywilizowany. W ciągu kilku dni specjalne oddziały wyłapały tysiące psów, które zawieziono na pobliskie bezludne i bezroślinne wysepki. Tam puszczono je wolno. Pozbawione słodkiej wody i jakiegokolwiek jedzenia, zjadały się nawzajem przez jakieś trzy, cztery tygodnie, a mieszkańcy Stambułu, szczególnie właś-

ciciele domów z balkonami na Bosfor albo bywający w rybnych restauracjach na nabrzeżu, słyszeli stamtąd wycie, a potem męczyły ich fale potwornego fetoru.

W nocy zaczęło mi przychodzić do głowy coraz więcej dowodów winy, aż oblały mnie poty. Na przykład szczeniak, który zamarzył, bo za budę miał przewróconą blaszaną wannę.

Kalijuga

Świat staje się coraz ciemniejszy — rozmawiali obok mnie dwaj mężczyźni, jak zrozumiałam, lecieli właśnie na kongres do Montrealu, na który mieli przybyć oceanografowie i geofizycy. Podobno od lat sześćdziesiątych natężenie promieniowania słonecznego spadło o 4 procent. Średnie tempo wygaszania światła na planecie wynosi około 1,4 procent na dekadę. Zjawisko nie jest na tyle intensywne, byśmy je mogli sami dostrzec, ale wykryły go radiometry. Radiometry wykazały na przykład, że ilość promieniowania słonecznego docierającego do ZSRR w latach 1960—1987 zmniejszyła się aż o jedną piątą.

Co jest przyczyną zaciemnienia? Dokładnie nie wiadomo. Mówi się, że zanieczyszczenie powietrza, sadza i aerozole.

Zasnęłam i zobaczyłam przerażający widok: jak wyłania się zza horyzontu ogromna chmura — do-

wód wielkiej, odwiecznej wojny, która rozgrywa się daleko, jest bezwzględna i okrutna; niszczy świat. Ale spokojnie, my jesteśmy — na razie — na szczęśliwej wyspie: lazur morza i błękit nieba. Pod stopami ciepły piasek i wypukłe kosteczki muszel.

Lecz to jest Bikini. Zaraz wszystko zginie, spali się, przepadnie, a w najlepszym wypadku ulegnie monstrualnej mutacji. Ci, którzy przeżyją, urodzą dzieci-potwory, bliźnięta syjamskie złączone głowami, jeden mózg w podwojonym ciele, dwa serca w jednej klatce. Pojawia się dodatkowe zmysły: wyczuwanie braku, smak nieobecności, umiejętność szczególnej prekognicji. Wiedzieć, co się nie wydarzy. Mieć nosa do tego, co nie istnieje.

Rośnie ciemnoczerwona łuna, niebo brązowieje, robi się coraz ciemniej.

Zbiory modeli woskowych

Celem pielgrzymki jest inny pielgrzym. Tym razem woskowy.

Wiedeń, Josephinum, kolekcja anatomicznych figur woskowych, świeżo odnowiona. W deszczowy letni dzień dotarł tu jeszcze oprócz mnie jakiś inny podróżny, mężczyzna w średnim wieku, o całkiem siwych włosach, w drucianych okularach, ale interesował go tylko jeden model i jemu poświęcił kwadrans, a potem zniknął z nieodgadzionym uśmiechem na ustach. Ja zaś zamierzałam zostać tu dłużej. Zaopa-

trzymałam się w notes i aparat, w kieszeni miałam nawet cukierki z kofeiną i baton.

Powoli, żeby nie tracić żadnego eksponatu, drobnym kroczkiem przesuwałam się pośród oszklonych gablot.

Model 59- Dwumetrowy mężczyzna, oskórowany. Jego ciało pięknie utkane jest z mięśni i ścięgien, ażurowe. Pierwszy rzut oka wywołuje szok, to zapewne odruch — widok ciała pozbawionego skóry sam w sobie jest bolesny, szczypie i piecze, jak w dzieciństwie, gdy z obtartego kolana wyzierało żywe mięso. Model ma jedno ramię cofnięte, prawa zaś ręka uniesiona nad głowę wdzięcznym ruchem antycznej rzeźby osłania oczy — tak jakby patrzył pod słońce, w dal. Znamy ten gest z obrazów — tak się spogląda w przyszłość. Model 59 mógłby stać w pobliskim Muzeum Sztuki; właściwie nie wiem, dlaczego skazano go na wstydlive Muzeum Anatomii. Powinien stać w najlepszej galerii sztuki, ponieważ jest dziełem sztuki podwójnie — z powodu genialnego wykonania z wosku (nie ulega wątpliwości, że to najwyższe osiągnięcie sztuki naturalistycznej), ale także z powodu samego projektu. Kto jest autorem?

Model 60 także prezentuje mięśnie i ścięgna, ale przede wszystkim nasza uwaga skupia się na łagodnej wstędze jelit, którym nadano doskonałe proporcje. Na ich gładkiej powierzchni odbijają się muzealne okna. Dopiero po chwili, zaskoczona, odkrywam, że to kobieta, ma bowiem perwersyjny pendant — u dołu brzucha doklejono kawałek szarego futerka,

w nim zaznaczona jest trochę ordynarnie podłużna szpara. Widocznie autor modelu chciał dać do zrozumienia nieobeznanemu w anatomii widzowi, że ogląda żeńskie jelita. Oto jest włochata pieczęć, znak firmowy płci, kobiece logo. Model 60 przedstawia układ krwionośny i limfatyczny jako aureolę jelit. Naczynia w większości wspierają się na mięśniach, ale część z nich zuchwale pokazana jest jako siatka zawisła w powietrzu, i wtedy dopiero widać cały fraktalny cud tych czerwonych nitek.

Dalej są ramiona, nogi, żołądki i serca. Każdy model ułożony starannie na kawałku jedwabiu, który mieni się perłowo. Nerki wyrastają z pęcherza moczowego jak dwa anemony. „Dolna kończyna i jej naczynia krwionośne”, głosi napis w trzech językach. Sieć naczyń limfatycznych podbrzusza, węzłki chłonne, gwiazdki, broszki, którymi nieznana ręka ozdobiła monotonię mięśni. Naczynia limfatyczne mogłyby służyć za wzór jubilerom.

W centralnym miejscu tej woskowej kolekcji spoczywa model 244, najpiękniejszy, ten, który tak zainteresował mężczyznę w drucianych okularach i który za chwilę przykuje moją uwagę na pół godziny.

To leżąca kobieta, prawie kompletna; jej ciało zostało naruszone tylko w jednym miejscu: otwarty brzuch ukazuje nam, pielgrzymom, wciśnięty pod przeponę układ rozrodczy, macicę w czepku jajników. Tutaj także postawiono futrzaną pieczęć płci, zupełnie niepotrzebnie. Nie ma przecież wątpliwości, że to kobieta. Wzgórek łonowy starannie przykryto imi-

tacją włosów, a niżej zrobiono z wielką pieczołowitością otwór waginy, trudny do wypatrzenia, tylko dla wytrwałych, którzy nie zawahają się kucnąć tuż przy drobnych stopach o zaróżowionych palcach, jak to uczynił ów mężczyzna w okularach. I myślę: dobrze, że tamten już sobie poszedł — teraz moja kolej.

Kobieta ma jasne rozrzucone włosy, lekko przymknięte oczy i w półotwarte usta, widać koniuszki zębów. Na szyi — sznur pereł. Uderza mnie absolutna niewinność jej płuc, gładkich, jedwabistych, tuż pod perłami; zapewne nigdy nie zaciągnęły się dymem z papierosa. To mogłyby być płuca anioła. Serce, przecięte w poprzek, odsłania swoją podwójną naturę, obie komory wymoszczone są welurem czerwonej tkanki, stworzone do monotonnego ruchu. Wątroba otula żołądek jak wielkie krwiste wargi, widać też nerki i moczowody, które przypominają korzeń mandragory wsparty o macicę. Macica to miły oku mięsień, zgrabny i foremny, trudno sobie wyobrazić, żeby wędrował po ciele i wywoływał histerię, jak kiedyś wierzono. Nie ulega wątpliwości — narządy upakowane są w ciele starannie, na długą podróż. Także jej wagina, przecięta wzdłuż, odsłania swoją tajemnicę, krótki tunel, który kończy się ślepo i wydaje się zupełnie bezużyteczny, nie jest bowiem żadnym wejściem do wnętrza ciała. Kończy się ślepą komorą.

Usiadłam pod oknem na twardej ławeczce, na przeciw milczącego tłumu woskowych modeli i, wy-czerpana, pozwałam się zalać fali wzruszenia. Jaki to

mięsień ściska mi gardło obręczą, jak brzmi jego nazwa? Kto wymyślił ludzkie ciało i w związku z tym — kto ma do niego wieczysty copyright?

Podróże doktora Blaua I

Z siwą bródką, ze szpakowatymi włosami, podróżuje na konferencję dotyczącą konserwacji preparatów medycznych, a w szczególności robienia plastynatów z tkanek ludzkich. Siada wygodnie w fotelu, zakłada słuchawki i słucha kantat Bacha.

Dziewczyna ze zdjęć, które wywołał i teraz wiezie ze sobą, ma śmieszna fryzurę — włosy z tyłu równo obcięte na karku, lecz kosmyki z przodu dłuższe; sięgają nagich ramion, przesłaniają zalotnie twarz i widać tylko spod nich wyraźną czerwonobrunatną kreskę ust, namalowanych na gładkiej powierzchni twarzy. To się bardzo podobało Blauowi, te usta, tak samo jak jej ciało — drobne, zwarte, o małych piersiach, wyraźnych sutkach punktujących aksamitną płaszczyznę klatki piersiowej. Miała też szczupłe biodra i dość masywne uda. Mocne nogi zawsze go pociągały. „Siła w udach”, tak mógłby się nazywać jego prywatny 65 heksagram. Kobieta o mocnych udach jest jak dziadek do orzechów — myśli doktor Blau — wejście pomiędzy nie grozi roztrzaskaniem. Wejście pomiędzy nie jest rozbrajaniem bomby.

To go podnieca. Sam jest drobny i chudy. Ryzykuje życie.

Kiedy robił jej te zdjęcia, ogarnęło go podniecenie. On też był nagi, więc ten stan stawał się powoli widoczny, nawet ewidentny. Ale nie wstydził się, bo twarz miał ukrytą za aparatem fotograficznym; był mechanicznym minotaurem z twarzą-kamerą, jednooką soczewką na szypułce, która — zoomując — wysuwała się do przodu i cofała jak mechaniczna trąbka.

Dziewczyna zauważyła stan ciała doktora Blaua i to dodało jej pewności siebie. Podniosła ręce, splótła je na karku i odsłoniła w ten sposób bezbronne pachy, ślepe, niedorozwinięte możliwości krocza. Pierś uniosły się wyżej, stały się niemal płaskie, niemal chłopięce. Blau przysunął się na kolanach z aparatem przy twarzy i zrobił jej teraz zdjęcie od dołu. Drżał. Wydawało mu się, że kępka czarnych włosów wygolona w kreskę, która optycznie jeszcze bardziej wyszczupła biodra i przyciąga jak wykrzyknik, zarysuje mu zaraz obiektyw. Jego wzwód był już teraz całkiem znaczny, dziewczyna upiła trochę białego wina, zdaje się, że to grecka retsina, i usiadła na podłodze, krzyżując nogi i ukrywając miejsce, które tak poruszyło doktora. Domyślił się, co znaczy ten ruch — Igniemy ku horyzontowi tego wieczoru.

Ale nie o to mu chodziło. Cofnął się do okna, jego nagi chudy pośladek przez chwilę dotykał zimnego parapetu, kiedy on wciąż fotografował. Kolejny, teraz siedzący akt, został zapisany. Dziewczyna, młodziutka jak karakuł, uśmiechnęła się, była dumna z gotowości ciała doktora — znaczyło to przecież,

że potrafi działać na odległość, jaka to siła! Jeszcze kilka lat temu, jako dziecko, bawiła się w czarowanie, wymyślała sobie, że samą wolą potrafi poruszać przedmioty. Czasami zdawało jej się, że rzeczywiście jakaś łyżeczka czy spinka ruszyły się o milimetr. Lecz nigdy żaden przedmiot nie oddał się jej woli tak ewidentnie, tak teatralnie.

Teraz jednak przed Blauem stanęło prawdziwe zadanie. Nie da się już zatrzymać tego, co nieuchronne — ich ciała dryfują ku sobie. Dziewczyna pozwala się pieścić i położyć na plecach. Dotknięciem swoich delikatnych palców doktor rozbiera bombę. Heksagram ud otwiera się na wszelką interpretację. Aparat klika.

Blau ma całą kolekcję tych zdjęć, dziesiątki, może już setki — kobiece ciała rzucone na czystą ścianę. Ściany są różne, bo i miejsca nie te same: hotele, pensjonaty, jego gabinet w Akademii, w końcu jego mieszkanie. Ciała są w gruncie rzeczy podobne, żadna tajemnica.

Ale nie waginy. Te są jak linie papilarne, właściwie mogłoby się używać owych wstydlivych narządów, nie docenionych przez policję, do identyfikacji — są absolutnie niepowtarzalne. Piękne jak storczyki, które kształtem i kolorem wabią owady. Jaka to dziwna myśl, że ten botaniczny mechanizm przechował się jakoś aż do okresu kształtowania się człowieka. To za mało powiedziane: musiał być efektywny. To raczej sprawia wrażenie, jakby natura ucieszyła się z tego

płatkowego pomysłu. Tak bardzo jej się spodobał, iż przeniosła go dalej, nie spodziewając się zapewne, że człowiek zostanie także obdarzony psychiką, która wymknie się trochę spod kontroli, i ukryje to, co tak pięknie wymyślone. Ukryje w bieliźnie, w niedomówieniach, w milczeniu.

Trzyma zdjęcia wagin w tekturowych pudełkach we wzorki, pudełkach kupowanych w IKEA, latami zmieniał się tylko ich deseń, w zależności od mód — począwszy od jaskrawych, kiczowatych lat osiemdziesiątych, poprzez oszczędne szarości i czernie dwudziestych, aż po dziś dzień — vintage, pop-art, etno. Dlatego nawet nie musi pisać na nich dat, rozpoznaje je natychmiast. To jednak, co się marzy doktorowi, to stworzenie kolekcji prawdziwej, nie złożonej ze zdjęć.

Każdej części ciała należy się pamięć. Każdemu ludzkiemu ciału — przetrwanie. To skandal, że jest tak kruche i delikatne. To skandal, że pozwala mu się rozkładać pod ziemią albo wydaje się je na pastwę płomieni, spala jak śmieci. Gdyby to zależało od doktora Blaua, stworzyłby świat inaczej — dusza mogłaby być śmiertelna, co nam w końcu po duszy, ale ciało — pozostałoby nieśmiertelne. Nigdy nie dowiemy się, jak bardzo różnorodny jest ludzki gatunek, a każde indywiduum niepowtarzalne, jeżeli będziemy tak pochopnie skazywać ciała na zniszczenie, myślał sobie. Kiedyś to było zrozumiałe — brakowało i środków, i metod konserwowania. Tylko najbogats-

si mogli sobie pozwolić na balsamowanie. Lecz dziś nauka plastynacji rozwija się bardzo szybko i wciąż doskonalili swoje metody. Każdy, kto chce, może już ocalić swoje ciało od zniszczenia i podzielić się jego pięknem, jego tajemnicą z innymi. Oto cudowny system moich mięśni — powie sprinter, mistrz świata na sto metrów. Patrzcie, jak to działa. Oto mój mózg — zawoła największy szachista. O, tu są te dwie nietypowe bruzdy, nazwijmy je „zakrętami laufra”. Oto mój brzuch, przyszło tędy na świat dwoje dzieci — powie dumna matka. Tak by to sobie wyobrażał Blau. To jego wizja sprawiedliwego świata, w którym nie będzie się tak pochopnie niszczyć tego, co święte. Przykłada się więc do tej wizji wszystkim, co robi.

Dlaczego mielibyśmy mieć z tym jakkolwiek kłopot? My, protestanci, na pewno nie. Ale nawet katolicy nie powinni z tego powodu podnosić larum: mamy przecież stare ewidencje, zbiory relikwii, patronem plastynacji zaś mógłby być sam Jezus Chrystus, kiedy ukazuje nam swoje czerwone mięsiste serce.

*

Łagodny szum silników dodawał chórowi głosów w słuchawkach doktora nieoczekiwanej głębi. Samolot leciał na zachód, więc noc nie kończyła się tam, gdzie powinna, ale ciągnęła się jeszcze marudnie. Blau podnosił od czasu do czasu zasłonkę, żeby sprawdzić, czy gdzieś na horyzoncie z tyłu nie widnieje już biała łuna, poświata nowego dnia, nowych możliwości.

Nic się jednak nie działo. Ekran wygaszono, film się skończył. Co jakiś czas ukazywała się mapa, a na niej mały kształt samolotu, który w żółtym tempie pokonywał ignorowany przez mapę dystans. I wydawało się nawet, że mapa została wymyślona przez kartografa Zenona — każdy dystans jest sam w sobie nieskończony, każdy punkt otwiera kolejne przestrzenie nie do pokonania, a że każdy ruch jest złudzeniem, wędrujemy w miejscu.

Niewyobrażalne zimno na zewnątrz, niewyobrażalna wysokość, niewyobrażalny fenomen wznoszenia się ciężkiej maszyny w rzadkim powietrzu. „Wir danken dir, Gott”, śpiewali w słuchawkach aniołowie doktora Blaua.

Rzucił okiem na rękę kobiety siedzącej po jego lewej stronie i z trudem powstrzymał się przed jej pogłaskaniem. Kobieta spała oparta o ramię mężczyzny. Po prawej stronie Blaua drzemał młody, lekko pulchny chłopiec. Jego ręka zwisała bezwładnie z oparcia i prawie dotykała spodni doktora. Powstrzymał się przed pogłaskaniem także i tych palców.

Siedział wciśnięty w fotel pośród dwóch setek ludzi, w podłużnej przestrzeni samolotu, oddychając tym samym, co oni, powietrzem. Właśnie dlatego tak lubił podróżować — w drodze ludzie zmuszeni są być razem, cieleśnie, blisko siebie, jakby celem podróży był inny podrózny.

Lecz każdy z tych bytów, na których obecność był skazany jeszcze przez — spojrzął na zegarek — cztery godziny, wydawał się monadyczny, gładki i połysk-

liwy; kula do gry w bule. Dlatego jedyny rodzaj kontaktu, jaki się uruchamiał w instynktownych algorytmach Blaua — to głaskanie; musnąć końcem palca, opuszką, poczuć równą i chłodną krzywiznę. Dłonie straciły już nadzieję, że namacają tam jakąkolwiek ryśkę, sprawdziły to już tysiące razy na ciałach dziewcząt: nie ma żadnego zadraśnięcia, żadnej ukrytej klapki dającej się ostrożnie podważyć paznokciem i zaprosić go do środka, żadnego wybrzuszenia, tajemnej dźwigienki, guzika, za którego pociśnięciem coś odskoczyłoby z chrzęstem, zareagowałyby maleńka sprężyna i ukazała jego oczom upragnione skomplikowane wnętrze. A może wcale nie skomplikowane, może bardzo proste, zaledwie odwrotność powierzchni, tylko zwinięta ku środkowi, zaabsorbowana sobą spirala. Powierzchnia tych monad kryje w sobie przepastne tajemnice, nawet w małej części nie zapowiada olśniewającego bogactwa cudownie i przemysłnie upakowanych struktur — żaden najbystrzejszy podróżnik nie umiałby tak skomponować swojego bagażu — dla porządku, bezpieczeństwa i estetyki oddzielić od siebie narządy błonami otrzewnymi, wyłożyć przestrzeń tkanką tłuszczową, zamortyzować. Tak majaczył zapalczywie w niespokojnym samolotowym półśnie.

Jest dobrze. Blau czuje się szczęśliwy. Czego oczekiwać więcej. Widzieć świat z góry, jego piękny, spokojny porządek. Ten porządek jest antyseptyczny. Mieści się w muszlach i jaskiniach, w ziarnkach piasku i regularnych rejsach wszelkich samolotów,

w symetrii, wszak od wieków prawe pasuje do lewego i odwrotnie, w wymownym świetle tablic informacyjnych i w świetle w ogóle. Doktor Blau naciągnął na swoje szczupłe ciało koc, polarowy kawał materiału, własność linii lotniczych, i usnął na dobre.

*

Blau był chłopcem, gdy jego ojciec, inżynier — który jak inni budowniczy z demoludów latami odbudowywał Drezno po zniszczeniach wojny — zabrał go do Muzeum Higieny. Tam mały Blau zobaczył Glasmenscha, szklanego człowieka, dzieło Franza Tschakerta, stworzone ku pouczeniu. Dwumetrowy golem bez skóry składał się z doskonale odtworzonych narządów ze szkła, ułożonych w przezroczystym ciele, wydawałoby się, pozbawionym tajemnic. Był to szczególnego rodzaju pomnik wystawiony naturze — tej, która zaprojektowała ową doskonałość. Były w nim lekkość i pomysłowość, zmysł przestrzeni, poczucie smaku, piękno i gra z symetrią. Cudowna ludzka maszyna o kształtach racjonalnych, opływowych, rozwiązaniach często dowcipnych (budowa ucha), a czasem ekscentrycznych (budowa oka).

Szklany człowiek zaprzyjaźnił się z małym Blauem, przynajmniej w wyobraźni chłopca. Bywało, że go odwiedzał i siadał w jego pokoju, zakładał nogę na nogę i pozwalał się oglądać. Czasami odchyłał się grzecznie, żeby umożliwić chłopcu uchwycenie jakiegoś detalu, zrozumienie, w jaki sposób szklany mięsień czule obejmuje kość i gdzie znika nerw. Został

jego przyjacielem i milczącym szklanym towarzyszem. Podobno wiele dzieci bawi się z wyimaginowanymi przyjaciółmi.

W jego marzeniach ożywał, ale rzadko, można powiedzieć incydentalnie. Blau już jako młody człowiek nie lubił zanadto tego, co żywe, może tylko do pewnego stopnia. I wtedy rozmawiali bezgłośnie cały wieczór, pod kołdrą, gdy kazano w jego pokoju zgasić światła. O czym? Blau już nie pamięta. Za dnia zaś stawał się jego aniołem stróżem i towarzyszył mu — niewidzialny — w bijatykach szkolnych, w wyobraźni chłopca zawsze gotowy dać w zęby nieprzyjaciółom, zawadiace klasowemu na tych grupowych wycieczkach do ogrodu botanicznego, nudnych i męczących, które polegały głównie na czekaniu, aż zbierze się grupa. Grupa — tej formy zbiorowego obcowania Blau nie lubił szczególnie.

Na Boże Narodzenie dostał od ojca małą plastikową miniaturową, która nie mogła się równać z oryginałem, była raczej jak statuetka bóstwa, przypominająca o istnieniu tego prawdziwego.

Mały Blau miał bardzo rozwiniętą wyobraźnię przestrzenną, co potem pomogło mu w anatomii. Dzięki swej wyobraźni poddawał niewidzialność Glasmenscha kontroli. Mógł podświetlać w jego ciele to, co wydawało mu się akurat godne uwagi, i znikać to, co nie miało w danej chwili znaczenia. Stąd szklana figura ukazywała się czasem jako człowiek zbudowany ze ścięgien i mięśni, bez skóry, bez twarzy; po prostu splot mięśni, ponaciąganych cięciw, nabrzmiąłych od

wysiłku. Sam nie wiedząc kiedy, mały Blau nauczył się anatomii. Jego ojciec o umyśle ścisłym i wymagającym patrzył na to z dumą, widział już przyszłość syna, bardzo konkretną — lekarz, naukowiec. Na urodziny chłopiec dostał pięknie pokolorowane tablice anatomiczne, a wielkanocny zajaczek przyniósł mu naturalnej wielkości ludzki szkielet.

Za młodu, w latach studenckich i zaraz po studiach, Blau wiele podróżował. Zwiedził prawie wszystkie dostępne kolekcje anatomiczne. Jak fan zespołu rockowego ciągnął za von Hagensem i jego demoniczną ekspozycją, aż wreszcie poznał mistrza osobiście. Te podróże zataczały kręgi, wracały do punktu wyjścia, aż stało się jasne, że ich cel nie jest odległy, lecz znajduje się tuż-tuż, we wnętrzu ciała.

Studiował medycynę, ale szybko go to znudziło. Nie interesowały go choroby, a tym bardziej leczenie. Martwe ciało nie choruje. Udzielał się tylko na lekcjach anatomii i sam zgłaszał się na ćwiczenia, w których nie chciały uczestniczyć przestraszone, piszczące dziewczyny. Napisał pracę z historii anatomii i ożenił się z koleżanką z roku, która po specjalizacji z pediatrii większość czasu spędzała w szpitalu, co było mu bardzo na rękę. Gdy dopięła swego i urodziła córkę, Blau, już adiunkt w Akademii, zaczął wyjeżdżać na konferencje i staże, więc znalazła sobie ginekologa i przeprowadziła się z dzieckiem do jego dużego domu z gabinetem w podziemiach. W ten sposób udało im się zagospodarować pewien całościowy odcinek ludzkiej prokreacji.

Tymczasem Blau napisał świetną dysertację „Zachowanie próbek patologicznych przez plastynację silikonową. Nowatorskie dopełnienie w nauczaniu anatomopatologu”. Od studentów otrzymał zaś ksywkę „Formaldehyd”. Zajął się historią preparatów anatomicznych i zachowywania tkanek. Zjeździł dziesiątki muzeów w poszukiwaniu materiału do pracy i w końcu osiadł w Berlinie, gdzie dostał dobrą pracę przy katalogowaniu zbiorów powstającego Medizin-historisches Museum.

Zycie prywatne ułożył sobie zgrabnie i niekłopotliwie. Zdecydowanie lepiej się czuł, mieszkając sam; potrzeby seksualne zaspokajał ze swoimi studentkami, które najpierw ostrożnie zapraszał na kawę. Wiedział, że to niedozwolone, ale wychodził z socjologicznego założenia, że uniwersytet to jego naturalny rewir, a one są w końcu dorosłymi kobietami, wiedzą, co robią. Dobrze wyglądał — przystojny, czysty, gładko wygolony (od czasu do czasu zapuszczał staranną bródkę), a one — ciekawe jak sroki. Nie był chyba zdolny do romansu; zawsze używał prezerwatywy, a potrzeby miał niewygórowane, ponieważ ogromna część jego popędu ulegała samostnej sublimacji. Dlatego z tą sferą jego życia nie wiązała się żaden problem, żaden mroczny cień, żadna wina.

Zrazu swoją pracę w muzeum traktował jako wytchnienie po tej dydaktycznej na uczelni. Gdy wchodził na dziedziniec kompleksu budynków Charite,

między wypielegnowane trawniki, między fantazyjnie przyszczyżone drzewka, czuł, że znajduje się w miejscu w jakimś sensie ponadczasowym. Był w samym centrum wielkiego miasta, ale nie dochodził tu żaden hałas ani pośpiech. Czuł się zrelaksowany, pogwizdywał.

Wolny czas spędzał głównie w ogromnych podziemiach muzeum, które łączyły się z podziemiami innych szpitalnych budynków. Te przejścia były najczęściej zatarasowane półkami, starymi, zakurzonymi gablotami, szafami pancernymi, w których kiedyś przechowywano Bóg wie co i które w końcu znalazły się tutaj, puste, nie wiadomo kiedy. Niektóre korytarze były jednak przejezdne i w końcu po dorobieniu kilku kluczy nauczył się nimi poruszać po całym kompleksie. W ten sposób codziennie wędrował do bufetu.

Jego praca polegała na wyciąganiu z kurzu i mrocznych czeluści magazynów muzeum słoików z preparatami lub eksponatów konserwowanych w inny sposób i ich fachowej identyfikacji. Pomagał mu w tym bardzo stary pan Kampa, który dawno już przekroczył wiek emerytalny, ale przedłużano mu umowę o pracę z roku na rok, ponieważ nie było nikogo innego, kto by się orientował w tym ogromnym składzie.

Porządkowali półkę po półce. Pan Kampa najpierw starannie czyścił słoje z wierzchu, uważając przy tym, aby nie zniszczyć etykiety. Nauczyli się odcyfrowywać razem piękne, starodawne pochyłe pismo. Zwykle na etykietce znajdowała się łacińska nazwa części ciała lub

choroby, a także inicjały, płeć i wiek właściciela organów, które przedstawiał preparat. Czasami podawano zawód. W ten sposób można się było dowiedzieć, że ten okazały guz jelit znajdował się w brzuchu pewnej krawcowej, A.W., wiek 54. Często informacje były jednak zatarte i niedokładne. W wielu przypadkach przez nadkruszony lak, którym uszczelniano wieczka do preparatów alkoholowych, dostało się powietrze, płyn mętniał i spowijał pływający w nim okaz gęstą mgłą; wtedy trzeba było taki preparat zniszczyć. Zbierała się komisja, która składała się z Blaua, Kampa i dwóch pracowników górnego muzeum, i zatwierdzała to na piśmie. Wtedy pan Kampa wyciągnięte ze słoików, popsute fragmenty ludzkich ciał niósł do szpitalnego krematorium.

Niektórym preparatom należała się szczególna opieka (jeżeli słoik był już nieco podniszczony). Wtedy Blau zabierał okaz do swojego małego laboratorium i tam z największą ostrożnością przenosił go do oczyszczającej kąpieli, a potem, po starannym zbadaniu i pobraniu próbek (które zamrażał), umieszczał w nowym słoju, najlepszym, w nowoczesnym roztworze, który sam sporządził. W ten sposób darowywał preparatom jeżeli nie nieśmiertelność, to przynajmniej o wiele dłuższe życie.

Oczywiście znajdowały się tutaj nie tylko okazy w słoikach. Były także szuflady nie opisanych fragmentów kości, kamieni nerkowych, jakichś skamienia, był zmumifikowany pancernik oraz inne zwierzęta, w bardzo złym stanie. Mała kolekcja główek

niaoryskich, maski z ludzkiej skóry — dwie, niezwykle przerażające, też skończyły w krematorium.

Wypatrzyli tutaj jednak razem z Kampą kilka prawdziwych archeologicznych rarytasów. Natknęli się na przykład na cztery okazy ze słynnej kolekcji Ruyscha z przełomu siedemnastego i osiemnastego wieku, tej rozproszonej, której losy były nieznane. Niestety, jeden z nich, *Acardius hemisomus*, który dzisiaj mógłby być ozdobą każdego zbioru teratologicznego, na skutek pęknięcia ściany szklanego pojemnika musiał powędrować do krematorium, nie udało się go uratować. Komisja, widząc preparat w stanie znacznie posuniętego rozkładu, zastanawiała się przez chwilę, czy w takich przypadkach nie należałoby jednak zamawiać jakiejś formy pogrzebu.

Blau bardzo ucieszył się z tego odkrycia, ponieważ udało mu się dzięki niemu poddać licznym badaniom słynną miksturę Frederika Ruyscha, niderlandzkiego anatoma z końca siedemnastego wieku. Dawała ona jak na tamte czasy bardzo dobre efekty — zachowywała naturalny kolor preparatu i nie powodowała puchnięcia, co było zmorą ówczesnego konserwowania w płynach. Blau odkrył, że w skład tych preparatów, oprócz brandy z Nantes i czarnego pieprzu, wchodził też wyciąg z korzeni imbiru. Napisał artykuł i włączył się do starej dyskusji na temat składu „mikstury Ruyscha”, tej styksowej wody, w której zanurzenie miało zapewnić nieśmiertelność, przynajmniej ciała. Od tego czasu Kampa zaczął nazywać ich podziemne zbiory pikłami.

Odkryli z Kampem — bo to on przyniósł mu pewnego ranka ten okaz — coś niezwykłego, nad czym potem Blau pracował przez kilka miesięcy, aby dokładnie zrozumieć skład i działanie konserwującego płynu. Było to mianowicie ramię, męskie, potężne (biceps w obwodzie miał 54 centymetry), o długości 47 centymetrów, równo wycięte ewidentnie po to, by pokazać tatuaż — wielokolorowy, z dużym wyczuciem proporcji przedstawiony wieloryb, który wyłaniał się z morskich fal (białe grzywy ujęte z barokowym wdziękiem i precyzją), parszający fontanną w niebo. Rysunek był perfekcyjnie wykonany, a szczególnie niebo, które od zewnętrznej strony ramienia wydawało się intensywnie błękitne — lecz im bliżej pachy, tym bardziej ciemniało. Ta gra barw doskonale się zachowała w przezroczystym płynie.

Okaz nie był opisany. Słój przypominał te, które robiono w Niderlandach w siedemnastym wieku, a więc miał kształt walcowaty, nie potrafił bowiem jeszcze wtedy wykonać szklanego prostopadłościanu. Preparat, podczepiony do przykrywki z łupka końskimi włosami, zdawał się wisieć w płynie. A najdziwniejszy wydawał się sam płyn... Nie był to już alkohol, choć na pierwszy rzut oka Blau sądził, że chodzi o początek siedemnastego wieku, Niderlandy. Była to mieszanka wody i formaldehydu z dodatkiem niewielkiej ilości gliceryny. Skład, można powiedzieć, bardzo nowoczesny, zupełnie jak używana dzisiaj mieszanka Kaeserling III. Zamknięcie nie musiało być już szczelne, bo mieszanka nie parowała tak jak

alkohol. Na wosku jako tako uszczelniającym pokrywę znalazł odbicie linii papilarnych i bardzo go to wzruszyło. Wyobraził sobie, że te drobniotkie faliste kreseczki i naturalna pieczętka w kształcie labiryntu należą do kogoś takiego jak on.

Zadbał o to ramię i ten rysunek, można powiedzieć, z miłością. Nie dochodził już, do kogo należało i kto wyprawił to ramię z tatuażem w czas.

Przeżyli też obaj moment grozy — o czym potem Blau opowiedział pewnej studentce z pierwszego roku i z satysfakcją obserwował, jak jej oczy robią się okrągłejsze ze zdziwienia, a źrenice czernieją i matowieją, co według socjobiologów jest oznaką erotycznego zainteresowania.

W drewnianych skrzyniach na jednym ze ślepych korytarzy znaleziono wypchane mumie, w bardzo złym stanie. Skóra była zupełnie poczerniała, sucha, popękana, przez ponadrywane szwy wysypywała się trawa morska. Ciała skurczone, zeschnięte, poubierane były na dodatek w zapewne niegdyś bogate i barwne stroje — teraz wszystkie koronki i kołnierze przybrały ten sam kolor kurzu. Ich zdobienia, fałdy i falbanki straciły wyrazistość — stały się kłębem nadpsutej materii, z której gdzieniegdzie wystawał jakiś perłowy guzik. Przez rozciągnięte, otwarte od wysychania usta wychodziła trawa.

Znaleźli dwie takie mumie, niewielkie, wyglądające na dziecięce, lecz po starannych oględzinach Blau stwierdził, że są to — chwała Bogu — wypchane szympansy, bardzo źle wypreparowane, zupełnie nie-

profesjonalnie; handlowano takimi w osiemnastym i dziewiętnastym wieku dość powszechnie. Oczywiście ich przypuszczenia mogły się potwierdzić, handlowano także ludzkimi mumiami, tworzone z nich całkiem spore kolekcje. Próbowano najczęściej zachować to, co inne i wyjątkowe, ludzi innych ras, spektakularnie ułomnych, chorych.

— Wypychanie zwłok to najprostszy sposób ich zachowania — mądrzył się Blau, oprowadzając po prowizorycznej piwnicznej kolekcji dwie kolejne studentki, które z entuzjazmem przyjęły jego zaproszenie ku dezaprobacie Kamy. Blau liczył, że przynajmniej jedna z nich da się zaprosić na wino i jego zbiorom przybędzie nowe zdjęcie. — Zostawia się właściwie tylko skórę — ciągnął — nie jest to więc w całym znaczeniu tego słowa ciało. To tylko jego fragment, zewnętrzna forma rozpięta na kukle z siana. Mumia jest dosyć żałosnym sposobem na zakonserwowanie ciała. Daje tylko pozór, że mamy oto je całe przed sobą. W istocie to oczywisty trik. Cyrkowe oszustwo, zachowano bowiem tylko jego kształt i zewnętrzną powłokę. I w rzeczywistości zniszczenie ciała, czyli ideologiczne przeciwieństwo prezerwacji. Barbarzyństwo.

Tak, odetchnęli z ulgą, że nie są to ludzkie mumie. Mieliby kłopot, bo prawo wyraźnie zabrania przechowywania w państwowych muzeach całych zwłok ludzkich (jeśli to nie są mumie starożytne, choć i w tej sprawie podnoszą się już głosy). Gdyby to byli ludzie, dzieci, jak myśleli na początku, czekałaby ich

skomplikowana procedura biurokratyczna i kłopoty. Wiele razy słyszał o tych niewygodnych odkryciach przy okazji porządkowania zbiorów w akademiach medycznych i na uniwersytetach.

Cesarz Józef II stworzył w Wiedniu taką kolekcję. W swoim gabinecie osobliwości postanowił zebrać wszystko, co osobliwe, każdy przejaw aberracji świata, każde zapomnienie się materii. Jego następcą cesarz Franciszek I nie wahał się wypchać po śmierci czarnoskórego dworzanina, niejakiego Angela Solimana. Teraz jego mumię, odzianą tylko w przepaskę z trawy, mogli oglądać goście monarchy.

Pierwszy list Józefiny Soliman do Franciszka I, cesarza Austrii

Zwracam się do Waszej Wysokości w bólu i w wielkim pomieszaniu z powodu niegodziwości, która spotkała osobę mojej świętej pamięci ojca, Angela Solimana, wiernego sługi stryja Waszej Wysokości — wielce miłościwie nam panującego cesarza Józefa, mając wielką nadzieję, że nastąpiła jakaś straszliwa pomyłka.

Historia życia mojego ojca jest dobrze znana Waszej Wysokości i wiem przecież, że Wasza Wysokość znał go osobiście, cenił za jego wieloletnie poświęcenie i pracę, szczególnie jako wiernego sługę i mistrza gry w szachy i, podobnie jak stryj Waszej Wysokości, świętej pamięci Cesarz Józef, jak i inni, obdarzaliście go uznaniem i szacunkiem. Miał wielu świetnych

przyjaciół, którzy cenili przymioty jego ducha i umysłu, wielkie poczucie humoru i dobroć serca. Przez wiele lat pozostawał w bliskich stosunkach z panem Mozartem, u którego Stryj Waszej Wysokości był łaskaw zamówić operę. Zapisał się też jako dyplomata i znany był szeroko z powodu swojej rozwagi, dalekowzroczności i mądrości.

Pozwolę sobie przypomnieć w tym liście pokrótce dzieje mojego ojca i tym samym przywrócić jego osobę łaskawej pamięci Waszej Wysokości. Nic tak bowiem nie czyni nas bardziej ludzkimi niż to, że każdy z nas posiada swoją niepowtarzalną, wyjątkową historię, że poruszamy się w czasie, zostawiając ślady. Lecz nawet gdybyśmy niczym nie przysłużyli się innym, ani swemu władcy, ani państwu, to i tak pozostaje nam prawo do godziwego pochówku — który jest aktem zwrócenia w ręce naszego Stworzyciela jego stworzenia, ludzkiego ciała.

Mój ojciec urodził się około 1720 roku w północnej Afryce, lecz wczesne lata jego życia pogrążone są w mroku niewiedzy. Wiele razy wspominał, że niezbyt dobrze pamięta okres swojego najwcześniejszego dzieciństwa. Jego pamięć sięgała zaledwie czasu, gdy jako kilkuletnie dziecko został sprzedany w niewolę. Z przerażeniem opowiadał nam o tym, co najbardziej utkwilo mu w pamięci. O długiej podróży morskiej w ciemnej ładowni jakiegoś okrętu, o scenach z dantejskiego piekła, które rozgrywały się przed oczami małego dziecka, gdy został rozdzielony z matką i najbliższymi krewnymi. Jego rodzice trafili najprawdo-

podobniej do Nowego Świata, on zaś jako Murzyniako, czarna maskotka, niczym piesek maltański lub kot perski przechodził z rąk do rąk. Dlaczego tak rzadko o tym mówił? Czy nie powinien właśnie odwrotnie — opowiadać o tym dużo i głośno, od kiedy osiągnął już swoją pozycję? Sądzę, że jego milczenie powodowane było straszliwym przekonaniem, przekonaniem, które być może ukrywał sam przed sobą; że jeżeli szybko wymaże się z pamięci bolesne fakty, one stracą swą siłę i nie będą nas prześladować, a świat stanie się przez to lepszy. Ze skoro ludzie nie dowiedzą się, jak potworny i okrutny może być jeden człowiek dla drugiego, zachowają niewinność. To jednak, co stało się z ciałem mojego ojca po jego śmierci, świadczy, jak bardzo się mylił.

Po wielu smutnych i dramatycznych perypetiach dzięki wielkiemu sercu małżonki Księcia Liechtensteinu został wykupiony z niewoli na Korsyce i sprowadzony na dwór. Tak znalazł się w Wiedniu, gdzie Jej Wysokość księżna zapałała do dziecka wielką sympatią, a może nawet — ośmielę się użyć tego słowa — miłością. Dzięki niej otrzymał staranną edukację i wychowanie. Jego dalekie egzotyczne pochodzenie nie zapisało się szczególnie w jego pamięci, nigdy nie słyszałam od niego, jako jego jedyna córka, aby kiedykolwiek wspominał o swoich korzeniach. A nawet żeby kiedykolwiek tęsknił. Całym zaś sercem oddany był służeniu stryjowi Waszej Wysokości.

Dał się przecież poznać jako wytrawny polityk, inteligentny poseł i ujmujący człowiek. Zawsze otaczali

go przyjaciele. Był lubiany i szanowany. Cieszył się także szczególnym przywilejem — przyjaźnią cesarza Józefa zwanego drugim, Stryja Waszej Wysokości, który to wielokrotnie raczył zlecać mu misje wymagające wielkiej inteligencji.

W 1768 roku poślubił moją matkę Magdalенę Christiani, wdowę po holenderskim generale, z którą przeżył w szczęściu małżeńskim kilkanaście lat, aż do jej śmierci. Jestem jedynym owocem tego związku. Po wielu latach pożytecznej pracy podjął decyzję o dymisji ze służby Księcia Liechtensteinu, jego dobroczyńcy, lecz zawsze pozostawał w związkach z dworem, służąc cesarzowi.

Jestem świadoma, jak wiele zawdzięczał mój ojciec ludzkiej dobroci serca i naturalnej chęci wspierania się nawzajem. Wiele istnień ludzkich, których historia zaczęła się równie nieszczęśliwie jak historia mojego ojca, przepadło i rozplynęło się w chaosie świata. Niewiele z dzieci niewolników o czarnej skórze miało szansę osiągnąć w życiu tak wysoką i znaczącą pozycję jak mój ojciec. Lecz właśnie dlatego jego przypadek jest taki znamieny — pokazuje, że jako istoty stworzone Boską ręką, jesteśmy Jego dziećmi, a wobec siebie braćmi.

Zarówno ja, jak i wielu przyjaciół świętej pamięci mojego ojca, którzy już napisali w tej sprawie do Waszej Wysokości, zwracamy się o wydanie ciała mojego ojca i pozwolenie na jego chrześcijański pochówek.

Z nadzieją —

Józefina von Feuchtersieben

U Maorysów

mumifikowano głowy zmarłych członków rodziny i przechowywano je jako przedmiot żałoby. Kolejne stadia mumifikacji to — parowanie, wędzenie i natłuszczanie. Poddane takim zabiegom głowy zachowywały się w dobrym stanie, z włosami, skórą i zębami.

Podróże doktora Blaua II

Wydobywał się teraz z ciała samolotu długimi tunelami, podążając za strzałkami i podświetlonymi informacjami, które łagodnie dzieliły pasażerów na tych, którzy dotarli do celu, i tych wciąż w drodze. Strumienie ludzi na wielkim lotnisku zlewały się, a potem rozchodziły na nowo. Ta bezbolesna selekcja doprowadziła go do ruchomych schodów, a potem długiego, szerokiego korytarza, gdzie płynność została przyspieszona ruchomym chodnikiem. Ci, którym się spieszyło, korzystali z dobrodziejstwa techniki i teraz na taśmie wskakiwali w inny czas — krocząc niespiesznie, prześcigali innych. Minał oszkloną palarnię, gdzie wyposzczeni długim lotem amatorzy nikotyny z wyrazem błogości na twarzy oddawali się nałogowi. Wydali się doktorowi osobnym gatunkiem, który żyje w innym środowisku, nie w powietrzu, ale w mieszance dymu i dwutlenku węgla. Patrzył na nich przez szybę z lekkim zdziwieniem, jak na stwory w terrarium — w samolocie sprawiali wrażenie tak

podobnych do niego, lecz tu ujawniła się ich odmienna biologiczna natura.

Podał swój paszport, a urzędnik zmierzył go krótkim fachowym spojrzeniem, porównując obie twarze — tę na zdjęciu i tę za szybą. Widocznie nie miał wątpliwości, bo doktor Blau bez problemu został wpuszczony na teren obcego państwa.

Taksówką dojechał na dworzec kolejowy i tam w kasie pokazał swój elektroniczny bilet. Ponieważ miał jeszcze ponad dwie godziny do odjazdu pociągu, wszedł do cuchnącego nieświeżym tłuszczem baru i czekając na rybę, przyglądał się bliźnim.

Dworzec nie wyróżniał się niczym szczególnym. Telebim nad tablicą odjazdów pociągów wyświetlał te same reklamy — szamponu i kart kredytowych. Znajome logo czyniły ten obcy świat bezpiecznym. Był głodny. Plastikowe samolotowe jedzenie nie zostawiło żadnego widomego śladu w jego ciele, czuł, jakby nie było materialne, lecz składało się jedynie z kształtu i zapachu; takie jedzenie będzie ponoć w raju. Jedzenie dla głodnych duchów. Ale teraz kawał smażonej ryby podany z surówką, kawał białego mięsa usmażony na złoto, wzmacniał drobne ciało doktora. Zamówił też wino, serwowane tutaj w małych poręcznych butelkach o zawartości równej sporemu kieliszkowi.

W pociągu usnął. Niewiele stracił, bo pociąg włókł się przez miasto, tunele i przedmieścia, do złudzenia przypominające inne przedmieścia, z tym samym de-

signem graffiti na mijanych wiaduktach i garażach. Gdy się ocknął, zobaczył morze, wąski jasny pasek między portowymi dźwigami, brzydkimi budynkami jakichś magazynów i stoczni.

„Szanowny Panie — napisała do niego — Pańskie pytania i sposób ich zadawania budzą, muszę przyznać, moje głębokie zaufanie. Ten, kto wie, o co pyta, jest tym, który mógłby już sobie odpowiedzieć. Być może potrzebna jest Panu owa przysłowiowa szczypta, która przeważa szalę wagi”.

Zastanawiał się, jaką szczyptę miała na myśli. Sprawdził dokładnie to słowo w słowniku. Nie znał żadnego przysłowia o szczypcie i wadze. Nazwisko miała po mężu, ale imię dość egzotyczne — Taina, co mogło wskazywać, że pochodzi z jakiegoś dalekiego kraju i równie egzotycznego języka, w którym dobrze funkcjonuje i szczypta, i waga. „Najlepiej byłoby, oczywiście, żebyśmy się spotkali. Do tej pory postaram się przejrzeć Pana dossier i wszystkie Pańskie artykuły. Zapraszam do siebie! To miejsce, gdzie mój mąż pracował do końca, i jego obecność wciąż jest tutaj wyczuwalna. Na pewno pomoże to nam w naszych rozmowach”.

Była to nieduża nadmorska miejscowość rozciągnięta wzdłuż brzegu, opasana prostą asfaltową szosą. Taksówka zjechała z drogi tuż przed końcową tabliczką z nazwą, w dół, ku morzu, i mijali teraz drewniane, miłe dla oka domy obudowane tarasami i balkonami. Dom, którego szukał, okazał się duży

i najelegantszy na tej szutrowej ulicy. Ogrodzony niewysokim murem porośniętym szczelnie jakimiś miejscowymi pnączami. Brama pozostawała otwarta, ale kazał zatrzymać się na ulicy i ciągnąc swoją walizkę na kółkach, wszedł na wysypywany żwirem podjazd. Centralnym punktem schludnego podwórka było okazałe drzewo, bez wątplenia iglaste, ale o pokroju liściastego, jak dąb, którego liście skarłały z jakiegoś powodu i zamieniły się w igły. Nigdy takiego nie widział, jego niemal biała kora przypominała skórę słonia.

Nikt nie odpowiedział na jego pukanie, więc przez chwilę stał niepewnie na drewnianym ganku, a potem odważył się nacisnąć klamkę. Drzwi ustąpiły i wpuściły go do jasnego przestronnego salonu. Okno naprzeciwko całkowicie wypełnione było morzem. Duży rudy kot pojawił się tuż przy jego nogach, miauknął i wymknął się na zewnątrz, zupełnie ignorując gościa. Doktor był pewny, że w domu nie ma nikogo, więc zostawił walizkę i wyszedł na ganek poczekać na gospodynię. Stał tam może z kwadrans, przyglądając się potężnemu drzewu, a potem powoli zaczął obchodzić dom, otoczony, jak inne w tej okolicy, drewnianym tarasem, na którym (jak wszędzie na świecie) stały lekkie meble zasypane poduszkami. Na tyłach odkrył ogród ze starannie wykoszonym trawnikiem, obsadzony gęsto kwitnącymi krzewami. W jednym z nich rozpoznał pachnący wiciokrzew i prowadzony wyłożoną otoczkami ścieżką odkrył przejście, które zapewne biegło wprost do morza. Chwilę się wahał, a potem ruszył przed siebie.

Piasek na plaży wydawał się prawie biały; drobny, czysty, upstrzony gdzieś tam białymi muszelkami. Doktor wahał się, czy nie zdjąć butów, bo uznał, że byłoby to jakoś nieuprzejmie — wejść na prywatną plażę w butach.

Zobaczył z daleka postać wychodzącą z wody; widział ją pod słońce, niskie już, ale wciąż ostre. Kobieta miała na sobie ciemny jednoczęściowy kostium. Na brzegu schyliła się po ręcznik i owinęła się nim. Jednym końcem wycierała włosy. Potem wzięła w dłonie sandały i ruszyła w stronę spłoszonego doktora. Nie wiedział teraz, co zrobić. Odwrócić się i odejść, czy może właśnie ruszyć do niej. Wolałby się z nią spotkać w zaciszu gabinetu, bardziej oficjalnie. Ale ona już była przy nim. Wyciągnęła rękę na powitanie i pytającym tonem wymieniła jego nazwisko. Była średniego wzrostu, zbliżała się już do sześćdziesiątki, a jej opaloną twarz okrutnie szatkowały zmarszczki, widać, że nie żałowała sobie słońca. Gdyby nie to, wyglądałaby z pewnością młodziej. Jasne krótkie włosy przykleiły jej się do twarzy i szyi. Ręcznik, którym się opasała, sięgał jej do kolan, wystawały spod niego równie opalone nogi i stopy zeszpecone haluksami.

— Chodźmy do domu — powiedziała.

Kazała mu usiąść w salonie, a sama znikła na kilka minut. Doktor poczerwieniał ze zdenerwowania, czuł się, jakby ją zastał przy toalecie, jakby ją przyłapał na obcinaniu paznokci. To spotkanie z jej prawie nagim, starym ciałem, z jej stopami, mokrymi włosami zu-

pełnie zbiło go z pantałyku. Ale ona, zdaje się, wcale się tym nie przejmowała. Wróciła po chwili w jasnych spodniach i podkoszulku, kobieta lekko przy kości, o zwiotczających mięśniach ramion, skórze pełnej pieprzyków i znamion, mierzwiąc dłonią wciąż wilgotne włosy. Nie tak ją sobie wyobrażał. Myślał, że żona kogoś takiego jak Mole będzie inna. Jaka? Wyższa, skromniejsza, dystygowana. W jedwabnej bluzce z żabotem i kameą pod szyją. Kimś, kto nie kąpie się w morzu.

Usiadła naprzeciwko niego, podwinęła nogi i podsunęła mu miseczkę z czekoladkami. Sama wzięła jedną i jedząc, wciągnęła policzki. Obrzucił ją spojrzeniem, miała worki pod oczami, niedoczynność tarczycy albo po prostu zwiotczał jej musculus orbicularis oculi.

— A więc to pan — powiedziała. — Proszę mi przypomnieć, co pan dokładnie robi.

Przełknął szybko całą czekoladkę, to nic, weźmie drugą. Przedstawił się jeszcze raz i opowiedział pokrótce o pracy i swoich publikacjach. Przypomniał swoją „Historię konserwacji”, która ukazała się niedawno i którą dołączył do wysłanego jej dossier. Pochwalił jej męża. Powiedział, że profesor Mole dokonał rewolucji w dziedzinie anatomii. Patrzyła na niego uważnie niebieskimi oczami, z lekkim zadowolonym uśmiechem, mógł go wziąć i za przyjacielski, i za ironiczny. Wbrew swojemu imieniu nie miała w sobie nic egzotycznego. Przyszło mu do głowy, że to nie ona, że rozmawia z kucharką albo pokojówką.

Gdy skończył, zatarł nerwowo ręce, choć wolałby się powstrzymać przed tym jawnym dowodem nerwicy; czuł się nieświeżo w podróźnej koszuli, a ona nagle poderwała się, jakby czytała w jego myślach.

— Pokażę panu pokój. Proszę tędy.

Poprowadziła go schodami na ciemne piętro i tam wskazała drzwi. Weszła pierwsza i odsłoniła czerwone zasłony. Okna wychodziły na morze, słońce rozświetliło pokój na pomarańczowo.

— Proszę się rozgościć, a ja przygotuję coś do jedzenia. Musi być pan zmęczony, prawda? Jak lot?

Odpowiedział coś zdawkowo.

— Czekam na dole — rzuciła i wyszła.

Nie był do końca świadomy, jak to się stało — ta niewysoka kobieta w jasnych spodniach i rozciągniętym T-shircie jakimś niezauważalnym gestem, a może nawet tylko podniesieniem brwi zaaranżowała na nowo całą przestrzeń i wszystkie oczekiwania i wyobrażenia doktora. Unieważniła całą jego długą męczącą podróż i przygotowane przemowy, możliwe scenariusze. Wprowadziła swoje. To ona dyktowała warunki. Doktor poddał się temu bez mrugnięcia okiem. Zrezygnowany, wziął szybko prysznic, zmienił ubranie i zszedł na dół.

Podawała na kolację sałatkę z grzankami z ciemnego pieczywa i pieczone warzywa. Wegetarianka. Dobrze, że zjadł tę rybę na dworcu. Siedziała naprzeciwko niego z łokciami wspartymi o stół, drobiaz czubkami palców resztki grzanek, i mówiła o zdrowej żywności, o szkodliwości mąki i cukru, o organicznych okolicz-

nych farmach, gdzie kupuje warzywa, mleko i syrop klonowy, którego używa zamiast cukru. Ale wino było dobre. Doktor, nie przyzwyczajony do alkoholu i zmęczony, poczuł się wstawiony po dwóch kieliszkach. Układał w głowie kolejne zdania, ale ona zawsze była pierwsza. Pod koniec butelki opowiedziała mu o śmierci męża. Zderzyły się motorówki.

— Miał dopiero sześćdziesiąt siedem lat. Nic nie dało się zrobić z ciałem. Zupełnie zmasakrowane.

Pomyślał, że teraz się rozpłacze, ale ona wzięła następną grzanekę i kruszyła ją do resztek sałaty.

— Nie był przygotowany na śmierć, zresztą kto jest? — zamyśliła się na chwilę. — Ale wiem, że chciałby mieć ucznia godnego siebie, kogoś, kto jest nie tylko kompetentny, ale pracuje z pasją, tak jak on. Był wielkim samotnikiem, to pan wie. Nie zostawił żadnego testamentu, nie wydał poleceń. Czy powinienam oddać preparaty do muzeum? Już kilka muzeów się zgłosiło. Zna pan jakieś godne zaufania? Teraz wokół plastynatów jest tyle złej energii, a przecież dziś, żeby coś zdziałać, wcale nie trzeba ściągać ciał wisielców wprost z szubienicy — westchnęła, zrobiła z liści sałaty zgrabny rulonik i wsunęła do ust. — Ale wiem, że chciałby mieć następcę. Niektóre jego projekty są dopiero rozpoczęte; sama próbuję je kontynuować, ale nie mam tyle energii i entuzjazmu, co on... Wie pan, że jestem botanikiem z wykształcenia? Jest na przykład kłopot... — zaczęła i zawahała się. — Nie ważne, będzie jeszcze czas, żeby o tym pomówić.

Pokiwał głową, tłumiąc ciekawość.

— Ale pan się zajmuje głównie historycznymi preparatami, czy tak?

Błau odczekał chwilę, aż jej słowa wybrzmiały, a potem szybko poszedł na górę i podniecony przyniósł swój laptop.

Odsunęli talerze i za chwilę ekran zajaśniał chłodnym blaskiem. Doktor z niepokojem pomyślał, co też ma teraz na pulpicie, czy nie zostały jakieś ciepłe ikonki, ale przecież sprzątał niedawno. Miał nadzieję, że przeczytała to, co wysłał jej o sobie, że przejrzała jego książki. Teraz oboje pochylili się ku ekranowi.

Gdy oglądali jego prace, wydawało mu się, iż popatrzyła na niego z podziwem. Zapisał to w myślach — dwa razy. Zapamiętał, co zrobiło na niej takie wrażenie. Znała się na rzeczy, zadawała fachowe pytania. Doktor nie oczekiwał, że będzie miała aż taką wiedzę. Jej skóra wydzielała lekki zapach balsamu do ciała, jakim smarują się starsze kobiety, miły, pudrowy, niewinny. Wskazujący palec prawej ręki, ten sam, którym dotykała ekranu, zdobił dziwny pierścionek z oczkiem w kształcie ludzkiego oka. Na skórę dłoni wypełzły jej już ciemne wątrobiane plamy. Ręce miała zniszczone od słońca tak samo jak twarz. Zastanowił się przez chwilę, jaką techniką udałoby się zatrzymać ten efekt cienkiej, pofałdowanej od słońca skóry.

Potem usiedli w fotelach, ona przyniosła z kuchni pół butelki porto i nalała po kieliszku.

Zapytał:

— Czy będę mógł zobaczyć laboratorium?

Nie odpowiedziała od razu. Może dlatego, że trzymała w ustach porto, jak przedtem czekoladkę. W końcu powiedziała:

— To kawałek drogi stąd.

Podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

— Pan ledwie patrzy na oczy ze zmęczenia.

Pomógł jej włożyć talerze do zmywarki, a potem z ulgą poszedł na górę, rzucając przez ramię niewyraźne „dobranoc”. Usiadł na brzegu zaścienionego łóżka i zaraz przewrócił się na bok, nie mając siły zdjąć ubrania. Słyszał jeszcze, jak ona z tarasu woła kota.

Następnego ranka wszystko zrobił bardzo starannie: wykapał się, poskładał brudną bieliznę w kostkę i schował do woreczka, rozpakował rzeczy i ułożył je na półce, a koszule powiesił na wieszakach. Ogolił się, nasmarował nawilżającym kremem, wtarł pod pachy swój ulubiony dezodorant, siwiejące włosy wzmocnił odrobiną żelu. Wahał się tylko, czy włożyć sandały, ale wydało mu się, że lepiej będzie, jeśli zostanie w sznurowanych półbutach. W końcu po cichu (nie wiadomo dlaczego) zszedł na dół. Musiała wstać wcześniej, bo na bufecie w kuchni stał toster i kilka kromek chleba na grzanki. Oprócz tego słoik marmolady, miseczka z miodem i masło. Jego śniadanie. W zaparzarce była kawa. Jadł grzanki na stojąco na tarasie, patrząc na morze, przypuszczał, że pewnie znowu poszła pływać, więc na pewno nadejdzie z tej strony. Wolał zobaczyć ją pierwszy,

zanim ona zobaczy jego. To on chciał mieć innych na oku.

Zastanawiał się, czy zgodzi się pokazać mu laboratorium. Bardzo był ciekaw. Nawet jeżeli ona nic mu nie powie, będzie się mógł domyślać co nieco z tego, co zobaczy.

Technika Mole'a była tajemnicą. Doktor wprowadził pewne przypuszczenia, może nawet był już blisko jej odkrycia. Widział jego preparaty w Magoncji i potem na uniwersytecie we Florencji przy okazji Międzynarodowej Konferencji Preparowania Tkanek. Domyślał się, jak Mole konserwował ciało, ale nie znał składu chemicznego utrwalaczy, nie wiedział, w jaki sposób oddziałuje się nimi na tkanki. Czy potrzebne jest jakieś przygotowanie, wstępna obróbka. Kiedy i jak podawana jest chemia, co stosuje się zamiast krwi? Jak plastynuje się tkanki wewnętrzne?

Jakkolwiek to robił Mole (i jego żona — a jej udziału był teraz coraz bardziej pewien), jego preparaty były doskonałe. Tkanki zachowywały naturalny kolor i pewną plastyczność. Były miękkie, ale i wystarczająco sztywne, żeby nadawać ciału dowolny kształt. Na dodatek łatwo oddzielały się, co miało nieprawdopodobny skutek pedagogiczny — można było rozkładać i składać na nowo. Nieskończone możliwości wędrowni po ciele zachowanego organizmu. Z punktu widzenia historii konserwacji ciała odkrycie Mole'a było rewolucyjne, nie miało sobie równych. Plastynacje von Hagensa to pierwszy krok

w tym kierunku, dziś jednak wydaje się już znacznie mniej istotny.

Znowu pojawiła się w ręczniku, tym razem różowym, i wyszła nie z morza, lecz z łazienki. Potrząsnęła mokrymi włosami i zajęła miejsce przy kuchennym blacie, gdzie w metalowym kubku grzała mleko do kawy. Poruszała tłoczkiem z sitkiem w dół i do góry, powoli, aż mleczna piana z sykiem wylała się na ceramiczną rozgrzaną taflę.

— Jak się spało, doktorze? Kawy?

O tak, kawy. Przyjął z wdzięcznością kubek i pozwolił nalać spienionego mleka. Słuchał z udawanym zainteresowaniem jej opowieści o rudym kocie, który pewnego dnia, dnia śmierci ich poprzedniego rudego kota, przyszedł do domu nie wiadomo skąd, usiadł na kanapie, jakby tu mieszkał od zawsze, i — został. Więc praktycznie nie zauważyli różnicy.

— Taka jest siła życia. Osobniki zastępują opuszczone, jeszcze ciepłe nisze — westchnęła.

Biedny Blau, wolałby od razu przejść do rzeczy. Nigdy nie był mocny w pogawędkach, nudziły go kwestie wypowiedane dla utrzymania kojącego towarzyskiego szumu. Chciałby po prostu skończyć tę kawę i przejść do biblioteki, chciałby zobaczyć, gdzie pracował Mole i co czytał. Czy miał na półce jego, Blaua, „Historię konserwacji”? Jakimi drogami doszedł do swoich niezwykłych odkryć?

— To ciekawe, że on też, jak pan, zaczynał od badania prac Ruyscha.

Tak, oczywiście wiedział o tym, ale nie chciał jej przerywać.

— W swojej pierwszej opublikowanej pracy udowodniał, że Ruysch próbował zakonserwować całe ciała, usuwając z nich naturalne płyny, jeśli to tylko było możliwe w tamtych czasach, i zastępując je mieszaniną płynnego wosku, talku i łożu zwierzęcego. Potem tak przygotowane ciała, podobnie jak częściowe preparaty, byłyby zanurzone w „wodzie styksowej”. Zdaje się, że pomysł rozbił się o brak odpowiednio dużych naczyń szklanych.

Rzuciła pospiesznie na niego okiem.

— Pokażę panu tę pracę — powiedziała i ruszyła żwawo z kawą w rękę mocować się z rozsuwanymi drzwiami. Pomógł jej, ona zaś przytrzymała mu kubek.

Za drzwiami była biblioteka — piękny przestronny pokój zastawiony regalami na książki, od podłogi do sufitu. Bezbłędnie sięgnęła do jednej z nich i wyciągnęła niedużą zbindowaną broszurę. Blau przekartkował ją, dając do zrozumienia, że dobrze zna ten tekst. Zresztą nigdy nie zajmowała go kwestia mokrych preparatów, to ślepa uliczka. Przypadek Anglika, Williama Berkeleyya, admirała floty, którego na mokro zabalsamował Ruysch, interesował go tylko ze względu na problem rigor mortis. To właśnie było tajemnicą wspaniałego wyglądu tego ciała, z takim zachwytem opisywanego przez współczesnych. Udało się Ruyschowi nadać mu bardzo zrelaksowany wygląd, pomimo że do obróbki dostał ciało kilku-

dniowe, zupełnie zeszywniałe. Podobno zatrudniał specjalnych służących, żeby ci cierpliwym masażem mogli zniwelować rigor mortis.

Ale tutaj interesowało go zupełnie co innego. Odał jej broszurę, żeby zachłannie przyglądać się temu miejscu.

Pod oknem stało wielkie biurko, a po przeciwnej stronie były przeszklone gabloty. Preparaty! Blau nie potrafił opanować podniecenia i znalazł się tam, sam nie wiedząc kiedy. Chyba była zła, że nie dał jej czasu na powolne, muzealne przygotowanie go do tego, co zaraz zobaczy. Wyrwał się.

— Tego pan na pewno nie zna — powiedziała nieco naburmuszona, wskazując palcem rudego kota. Patrzył na nich spokojnie, siedząc w pozycji wyrażającej zgodę na istnienie w takiej formie. Ten drugi, żywy kot wpadł tu za nimi i teraz, jak lustrzane odbicie, przyglądał się swojemu poprzednikowi.

— Niech go pan dotknie, niech go pan weźmie na rękę — zachęcała doktora kobieta w różowym ręczniku.

Drżącymi palcami rozsunął szybę i dotknął preparatu. Był zimny, ale nie twardy. Sierść ugięła się nieznacznie pod opuszką. Blau wziął go ostrożnie za pierś i pod brzuch, tak jak podnosi się żywe koty — i poczuł się dziwnie. Kot miał bowiem ten sam ciężar, co żywy, i tak samo poddał się uściskowi dłoni doktora. Było to wrażenie niemal niesamowite. Popatrzył na nią z takim wyrazem twarzy, że roześmiała się i znowu potrząsnęła schnącymi włosami.

— A widzisz — powiedziała, przechodząc na ty, jakby tajemnica preparatu spoufaliła ich i uczyniła krewnymi. — Połóż go tutaj i odwróć na plecy.

Zrobił to ostrożnie, a ona stanęła obok i położyła kotu rękę na brzuchu.

Pod wpływem własnego ciężaru ciało kota rozprostowywało się i po chwili leżał płasko przed nimi na wznak, w pozycji, jakiej nigdy nie przyjmie kot żywy. Blau dotykał miękkiego futra i miał wrażenie, jakby było ciepłe, choć przecież to niemożliwe. Zanotował, że oczy nie zostały zastąpione szklanymi, jak zwykle w takich wypadkach, lecz że Mole jakimś magicznym sposobem zostawił prawdziwe; wydawały się jedynie nieco zmętniałe. Dotknął powieki — była miękka i ustąpiła pod palcem.

— To jakiś żel — powiedział bardziej do siebie niż do niej, ale ona już wskazała mu palcem przecięcie na brzuchu kota, które rozwarło się za lekkim pociągnięciem i otworzyło całe wnętrze.

Delikatnie, jakby dotykał najkruchszego origami, samymi koniuszkami palców rozciągnął powłoki brzuszne zwierzęcia i dostał się do otrzewnej, a ona też dawała się otworzyć, jakby kot był książką zrobioną z cennego, egzotycznego materiału, dla którego nie ma jeszcze nazwy. Zobaczył widok, jaki od dzieciństwa dawał mu poczucie szczęścia i spełnienia — idealnie ułożone obok siebie narządy, upakowane w boskiej harmonii, ich naturalne kolory dawały złudzenie absolutne, że oto otwiera się wnętrze żyjącego ciała, że uczestniczy się w jego tajemnicy.

— Niech pan otworzy klatkę piersiową, no, już — zachęcała go, szepcząc nad jego ramieniem. Poczłł nawet zapach z jej ust: kawę i coś słodkiego, nieświeżego.

I rzeczywiście zrobił to, drobne żeberka ustępowały lekko pod naporem jego palców i właściwie spodziewał się zobaczyć bijące serce, tak doskonała była iluzja. Tymczasem nastąpiło jakieś pstryknięcie, coś rozjarzyło się na czerwono i rozległa się skrzeczająca melodyjka, którą potem doktor Blau zidentyfikował jako znany przebój zespołu Queen. „I want to live forever” — dobywało się z kota. Odskoczył przerażony, z mieszaniną wstrętu i strachu, jakby niechcący zrobił krzywdę temu rozciągniętemu przed nim zwierzęciu, rozcapierzone ręce trzymał przed sobą. Kobieta kłasnęła w dłonie i śmiała się teraz radośnie, zadowolona z kawału, lecz chyba Blau miał minę nazbyt surową, bo opanowała się i położyła mu rękę na plecach.

— Nic się nie stało, och, to taki jego dowcip. Nie chcieliśmy, żeby było zbyt smutno — mówiła już całkiem poważnie, choć jej niebieskie oczy jeszcze się śmiały. — Przepraszam, przepraszam, już dobrze.

Doktór z trudem odwzajemnił uśmiech i patrzył zafascynowany, jak tkanki preparatu powoli, prawie niewidocznie powracają do pierwotnego kształtu.

Tak, zabrała go do laboratorium. Wzięli samochód i szutrową drogą wzdłuż plaży pojechali do kamiennych zabudowań. Kiedyś były tu przetwórnice ryb, gdy port jeszcze pracował, teraz zamieniono je

na kilka dużych pomieszczeń o wykafelkowanych i czystych ścianach, i drzwiach otwieranych pilotem jak garaż. Bez okien. Zapaliła światło i Blau zobaczył dwa duże stoły obite blachą oraz kilka oszklonych witryn pełnych słoików i narzędzi. Półki pełne kolb ze szkła jenajskiego. „Papaina”, przeczytał na jednej z nich i zdziwił się. Do czego Mole używał tego enzymu, co nim rozkładał? „Katalaza”. Ogromnych rozmiarów strzykawki do infuzji i zupełnie małe, jak te, którymi robi się ludziom zastrzyki. Notował sobie to w głowie, nie śmiejąc zapytać. Jeszcze nie teraz. Metalowa wanna do kąpieli, odpływ w podłodze, wnętrze, które przypominało zarówno gabinet chirurga, jak i rzeźnię. Kobieta przykręciła ciekący kran.

— Zadowolony? — zapytała.

Przesunął otwartą dłoń po blasze stołu i podszedł do biurka, gdzie wciąż leżały rozłożone wydruki z wykresem jakiejś krzywej.

— Nic nie ruszałam — powiedziała zachęcająco, jakby była właścicielką domu wystawionego na sprzedaż. — Wyrzuciłam tylko nie dokończone preparaty, bo zaczynały się psuć.

Poczłł na plecach jej rękę i spojrzał na nią spłoszony, po czym natychmiast spuścił wzrok. Przysunęła się do niego, stanęła tak, że jej piersi dotykały jego koszuli. Poczłł paniczne uderzenie adrenaliny i w ostatniej chwili zatrzymał swoje ciało, które wbrew jego woli szarpnęło się do tyłu. Ale znalazł pretekst; potrącony przez niego stół zachwiał się i małe szklane ampułki o mało nie stoczyły się na podłogę. Złapał

je w ostatniej chwili; w ten sposób uwolnił się od tej niewygodnej bliskości ich ciał. Był pewien, że wypadło to naturalnie, jakby przypadkowo się na nim wsparła. Jednocześnie poczuł się jak chłopiec i różnica wieku między nimi stała się nagle ogromna.

Straciła nieco zainteresowanie pokazywaniem i objaśnianiem mu szczegółów; wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do kogoś. Rozmawiała o jakimś czynszu i umawiała się na sobotę. Przez ten czas zachłannie patrzył, oglądał każdy szczegół i wszystko przykazał sobie zapamiętać. Zapisać w głowie na mapie całe wyposażenie laboratorium, każdą buteleczkę, położenie każdego z narzędzi.

Po lunchu, przy którym opowiadała o Mole'u, jego rozkładzie dnia i drobnych dziwactwach (słuchał z uwagą, mając wrażenie, że dostępuje niezwykłego wyróżnienia), namówiła Blaua na kąpiel w morzu. Nie był zadowolony, wolałby spokojnie posiedzieć w bibliotece i jeszcze raz zlustrować kota i samo pomieszczenie. Ale nie śmiał jej odmówić. Próbował jeszcze niemrawo zasłaniać się brakiem kąpielówek.

— Daj spokój — powiedziała, nie przyjmując tego do wiadomości — to moja prywatna plaża, nikt tu nie przyjdzie. Będziesz się kąpać nago.

Sama jednak została w kostiumie. Doktor Blau ściągnął więc pod rącznikiem slipy i możliwie najszybciej znalazł się w wodzie, której chłód odebrał mu na chwilę oddech. Nie pływał dobrze, nie miał jakoś okazji się nauczyć. W ogóle nie lubił ruchu. Niepewnie podskakiwał więc w wodzie, dbając, żeby

pod stopami czuć dno. Za to ona pięknym kraulem popłynęła w morze i zaraz wróciła. Prysnęła na niego wodą. Ten, zdziwiony, zamrugał oczami.

— No na co czekasz, płyń! — krzyczała.

Przymierzał się chwilę do skoku w zimną wodę, w końcu zrobił to z desperacją, uległe, jak dziecko, które nie chce rozczarować rodzica. Przepłynął kawałek i zawrócił. Wtedy ona z rozmachem uderzyła dłońią w powierzchnię wody i popłynęła dalej sama.

Czekał na nią na brzegu, trzęsąc się z zimna. Gdy szła ku niemu, ociekając wodą, spuścił oczy.

— Czemu nie pływałeś? — zapytała wysokim, rozbawionym głosem.

— Zimno — powiedział tylko.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu i bezwstydnie odsłaniając podniebienie.

W pokoju zdrzemnął się chwilę, a potem zrobił staranne notatki. Narysował nawet rozkład laboratorium Mole'a, i czuł się trochę jak James Bond. Z ulgą zmył słoń wodę, ogolił się i włożył czystą koszulę. Gdy zszedł na dół, jej jeszcze nie było. Drzwi do biblioteki były zamknięte, a kluczyk w drzwiach przekreślony, więc nie miał śmiałości tam wejść... Wyszedł przed dom, bawił się z kotem, dopóki ten go nie zignorował. W końcu usłyszał z kuchni jakieś dźwięki i wszedł do niej od strony ogrodu.

Pani Mole stała przy bufecie i przebierała zielone liście sałaty.

— Sałata z grzankami i sery. Co ty na to?

Przytaknął skwapliwie, ale wcale nie był przekonany, że się tym naje. Nalała mu kieliszek białego wina i też bez przekonania podniósł go do ust.

Opowiedziała mu szczegółowo o wypadku, o długich kilkudniowych poszukiwaniach ciała w morzu i w końcu o tym, jak wyglądało, kiedy wreszcie je znaleziono. Odeszła mu zupełnie ochota do jedzenia. Powiedziała też, że udało jej się zachować kawałek najmniej zniszczonej tkanki. Miała na sobie długą, powiewną szarą sukienkę z rozcięciami na bokach, z głębokim dekoltem, który odsłaniał jej piegowate ciało. Znowu myślał, że zacznie płakać.

I sałatę, i sery zjedli prawie w milczeniu. Potem ona wzięła go za rękę, a on zdrętwiał.

Przytulił ją i w ten sposób sprytnie się przed nią ukrył. Pocałowała go w szyję.

— Nie w ten sposób — wyrwało mu się.

Nie zrozumiała:

— A jak? Co mam zrobić?

Ale on wyrwał się z jej objęć, wstał z kanapy i, zaczerwieniony, rozglądał się bezradnie dookoła.

— Jak byś chciał? Powiedz.

Uznał z rozpaczą, iż nie ma co dalej udawać, że nie ma siły, że dzieje się zbyt wiele rzeczy naraz, i odwrócony do niej plecami wyszeptał:

— Nie mogę. To dla mnie za wcześnie.

— To dlatego, że jestem starsza — mruknęła, wstając.

Zaprzeczył niepewnie. Chciał, żeby go wsparła, nie dotykając.

— Różnica wieku nie jest znowu taka duża, ale... :— usłyszał, jak sprząta ze stołu. — Jestem zaangażowany — skłamał.

W pewnym sensie była to prawda, prawda zawsze jest w pewnym sensie; był zaangażowany. Był już poślubiony, ożeniony, spowinowacony, spokrewniony. Z Glasmenschem i woskową kobietą o otwartym brzuchu, z Solimanem, Fragonardem, Vesaliusem, von Hagensem i Molem, na Boga, z kim jeszcze? Dlaczego miałyby drażyć to żywe podstarzałe ciepłe ciało, przewiercać je swoim. W jakim celu? Czuł, że musi wyjechać, może nawet jeszcze dzisiaj. Przesunął ręką po włosach i dopiął koszulę.

Westchnęła głęboko.

— A więc? — zapytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Po kwadransie stał ze swoją walizką w salonie, gotowy do wyjścia.

— Czy mogę zamówić taksówkę?

Siedziała na kanapie. Czytała.

— Ależ oczywiście — powiedziała. Zdjęła okulary, pokazując mu ręką aparat, i wróciła do lektury

A ponieważ nie znał numeru, wydało mu się, że lepiej zrobi, jeśli pójdzie piechotą na postój; na pewno jest jakiś w pobliżu.

Zjawił się więc na kongresie wcześniej, niż zakładał. Po dłuższej dyskusji w recepcji hotelu udało mu się wyprosić jakiś pokój i cały wieczór spędził w barze.

Wypił butelkę wina w hotelowej restauracji, a potem w łóżku rozplakał się jak małe dziecko.

W ciągu następnych dni wysłuchał wielu referatów i wygłosił swój. Jego angielski tytuł brzmiał: „Preservation of pathology specimens by silicone plastination. An innovative adjunct to anatomopathology education”. Był to wyciąg z dysertacji doktor-skiej Blaua.

Jego wykład został ciepło przyjęty. Ostatniego wieczoru na bankiecie poznał miłego, przystojnego teratologa z Węgier i ten mu wyznał, że właśnie wybiera się na zaproszenie pani Mole.

— Do jej nadmorskiego domu — podkreślił „nadmorskiego”. — Postanowiłem połączyć oba wyjazdy, to w końcu niedaleko stąd — mówił. — Wszystko, co zostawił jej mąż, jest teraz w jej rękach. Gdyby mi się tak udało zobaczyć laboratorium... Wiesz, mam swoją teorię na temat składu chemicznego. Podobno ona prowadzi rozmowy z jakimś muzeum w Stanach, prędzej czy później pewnie odda to wszystko razem z całą dokumentacją. A gdyby tak mieć dostęp do jego papierów już teraz... — rozmarzył się. — I habilitacja gotowa, a może nawet profesura.

Palant, pomyślał Blau. Byłby to ostatni człowiek, któremu by wyznał, że dotarł tam pierwszy. A potem spojrzął na niego jej oczami, trwało to chwilę. Zobaczył jego ciemne, lśniące od jakiegoś żelu włosy i małe plamy potu pod pachami na niebieskim materiale koszuli. Lekko już wystający, ale wciąż zgrabny

brzuszek, wąskie biodra, świeżą jasną skórę z cieniem gęstego zarostu. Jego oczy rozmazywały się już od wina i świeciły blaskiem bliskiego tryumfu.

Samolot rozpustników

Poczerwieniałe północne twarze zaskoczone nagłym słońcem. Wyblakłe od słonej wody i tych kilku godzin dziennie na plaży włosy. Torby pełne brudnych, przepoconych ubrań. W bagażu podręcznym w ostatniej chwili kupione na lotnisku pamiątki dla bliskich, butelka mocnego alkoholu ze sklepu bezcłowego. Sami mężczyźni; zajmują teraz miejsca koło siebie w niewypowiedzianej komitywie. Układają się wygodnie w fotelach, zapinają pasy — będą spać. Będą odsypiać nocę. Skóra wydziela jeszcze zapach alkoholu, nie do końca dało się strawić tę dwutygodniową dawkę — po kilku godzinach lotu będzie to wyraźnie czuć w całym samolocie. Także zapach potu z pozostałościami seksualnej ekscytacji. Dobry kryminolog znalazłby więcej — pojedynczy czarny długi włos zaczepiony o guzik koszuli, pod paznokciami wskazującego i środkowego palca śladowe ilości substancji organicznej, ludzkiej, o obcym DNA, mikroskopijne płatki naskórka na bawełnianych włóknach bielizny, mikroilości spermy w pępku.

Jeszcze przed startem wymieniają kilka słów z sąsiadami z jednej i drugiej strony. Oględnie wyrażają swoje zadowolenie z pobytu — jakoś nie wypada

mówić więcej, w końcu to swoi. Tylko niektórzy, ci najbardziej niepoprawni, dopytują się o ceny i zakres usług, a potem — uspokojeni — zapadają w drzemkę. Udało im się całkiem tanio.

Cecha pielgrzyma

Pewien dawny znajomy powiedział mi, że nie lubi podróżować sam. Chodzi o to, że kiedy zobaczy coś niezwykłego, nowego, pięknego, tak bardzo chce się tym podzielić z kimś drugim, że czuje się nieszczęśliwy, gdy nie ma z kim.

Według mnie nie nadaje się na pielgrzyma.

Drugi list Józefiny Soliman do Franciszka I, cesarza Austrii

Ponieważ nie otrzymałam żadnej odpowiedzi na mój list, niech mi będzie wolno ponownie zwrócić się do Waszej Wysokości, tym razem śmielej, i niech mi to nie będzie wzięte za zbytnią poufałość — Bracie. Bo czyż Bóg, kimkolwiek On jest, nie stworzył nas braćmi? Czy nie rozdzielił między nas sprawiedliwe obowiązki, ażebyśmy je wykonywali godnie i z oddaniem, dogładając Jego dzieła. Powierzył nam pod opiekę lądy i morza, jednym dał rzemiosło, a drugim sprawowanie rządów. Jednych uczynił dobrze urodzonymi, zdrowymi i pięknymi, innych zaś — gorszego pochodzenia i nie tak udanych. W swoim ludzkim

ograniczeniu nie umiemy odpowiedzieć dlaczego. Pozostaje nam tylko ufać, że jest w tym Jego mądrość i że wszyscy stanowimy w ten sposób miejsce w Jego skomplikowanej budowli jako części, których przeznaczenia nie jesteśmy w stanie odgadnąć, ale — musimy w to wierzyć — bez których ten wielki mechanizm świata nie mógłby należycie funkcjonować.

Właśnie kilka tygodni temu zostałam matką chłopca, któremu wraz z mężem daliśmy na imię Edward. Jednak moją wielką radość z macierzyństwa maćmi fakt, że dziadek mojego synka nigdy nie dostąpił ostatecznego spoczynku. Ze jego ciało, nie pogrzebane, zostało wystawione przez Waszą Wysokość na ciekawy wzrok widzów książęcej wunderkamery.

Mieliśmy to szczęście, że urodziliśmy się w wieku rozumu, w wyjątkowej epoce, która umiała jasno wyrazić, iż to ludzki umysł jest najdoskonalszym boskim tworem i jego potęga zdolna jest oczyścić świat z wszelkich przesądów, niesprawiedliwości i uczynić szczęśliwym każdego jego mieszkańca. Mój ojciec sercem i duchem oddany był tej idei. Głęboko wierzył, że ludzki rozum jest największą potęgą, jaką możemy jako ludzie dysponować. I ja, wychowana jego troskliwą ręką wierzę w to — rozum to najlepsze, czym mógł obdarzyć nas Bóg.

W papierach ojca, które porządkowałam po jego śmierci, znajduje się list od Jego Wysokości cesarza Józefa, poprzednika i stryja Waszej Wysokości, list pisany jego ręką, w którym widnieją znamienne słowa. Pozwalam je sobie niniejszym przytoczyć: „Wszyscy

ludzie są równi od urodzenia. Po naszych rodzicach dziedziczymy tylko życie zwierzęce, a w nim — jak wiemy — nie ma najmniejszej różnicy między królem, księciem, mieszczaninem czy chłopem. Nie istnieje żadne prawo — boskie czy naturalne, które by mogło przeczyć tej równości”.

Jakże mam wierzyć w te słowa?

Już nie proszę, lecz błagam Waszą Wysokość o wydanie rodzinie ciała mojego ojca, które odarte z wszelkiej czci i godności, wypreparowane i wypchane, wystawione jest na ciekawość ludzką w bliskości dzikich zwierząt. Zwracam się także w imieniu innych wypchanych istot ludzkich znajdujących się w Gabinecie Dziwów Natury Jego Cesarskiej Mości, ponieważ, o ile wiem, nie ma się kto za nimi wstawić, nie mają ani bliskich, ani rodziny — mianowicie w imieniu owej kilkuletniej dziewczynki bez imienia, a także niejakiego Josepha Hammera i Piętro Michaela Angiola. Nie wiem nawet, kim są ci ludzie, i nie zdołam choć pokrótce opowiedzieć historii ich nieszczęsnego życia, jednak wydaje mi się, że ten chrześcijański uczynek jestem im winna jako córka Angela Solimana. A od niedawna, jako matka istoty ludzkiej.

Józefina von Feuchtersieben

Sarira

Piękna łysa mniszka w szatach koloru kości pochyla się nad maleńkim relikwiarzem, w którym na atłasowej poduszce leży to, co zostaje ze spalonego ciała

istoty oświeconej. Stają koło niej i obie patrzymy na tę drobinę. Pomaga nam w tym szkło powiększające przymocowane tu na stałe. Cała esencja ma postać maleńkiego kryształu, kamyczka niewiele większego od ziarenka piasku. Prawdopodobnie po latach ciało tej mniszki też się zamieni w ziarnko piasku; moje — nie, moje przypadnie, nie praktykowałam.

Nie powinnam mieć jednak z tego powodu żadnego żalu, wziąwszy pod uwagę liczbę piaszczystych pustyń i plaż na świecie. A co, jeżeli składają się z samych pośmiertnych esencji ciał oświeconych istot?

Drzewo boddhi

Poznałam pewnego człowieka z Chin. Opowiadał, jak po raz pierwszy poleciał do Indii w sprawach swojej firmy; miał mnóstwo ważnych spotkań i konferencji. Jego firma produkowała dosyć skomplikowane urządzenia elektroniczne, pozwalające długo przechowywać krew, a także transportować bezpiecznie narządy do przeszczepów, i teraz negocjował otwarcie indyjskich filii i rynków zbytu.

Ostatniego wieczoru wspomniał swojemu indyjskiemu kontrahentowi, że marzył od dziecka, żeby zobaczyć drzewo boddhi, pod którym Budda doznał oświecenia. Pochodził z buddyjskiej rodziny, chociaż o religii w Ludowych Chinach wtedy nie było mowy. Jednak gdy już wolno było przyznać się do jakiegokolwiek, jego rodzice niespodziewanie przeszli

na chrześcijaństwo, dalekowschodnią odmianę protestantyzmu. Mieli wrażenie, że chrześcijański bóg bardziej sprzyja swoim wyznawcom, jest, powiedzmy to szczerze, bardziej skuteczny, i łatwiej przy nim się wzbogacić i stanąć na nogi. Lecz ów człowiek nie podzielał tego poglądu i pozostał przy buddyjskiej religii przodków.

Indyjski kontrahent dobrze rozumiał tę motywację. Kiwał głową i dolewał mu alkoholu, aż w końcu wszyscy upili się zgodnie, odreagowując napięcia spisywania umów i negocjacji. Ostatkiem sił, na miękkich i chwiejnych nogach zeszli do sauny w hotelu, żeby wytrzeźwieć — jutro rano czeka ich przecież praca.

Następnego dnia rano przyniesiono mu do pokoju wiadomość — liścik z jednym tylko słowem: „niespodzianka”, i wizytówkę jego kontrahenta. Przed hotelem stała taksówka, która zawiozła go do czekającego już helikoptera. W ten sposób po kilkudziesięciu minutach lotu znalazł się w świętym miejscu, gdzie pod wielkim figowcem Budda osiągnął oświecenie.

Jego elegancki garnitur i biała koszula zniknęły w tłumie pielgrzymów. Ciało zachowało jeszcze kwaśną pamięć alkoholu, gorąco sauny i szelest podpisywanych w milczeniu papierów na szklanym blacie nowoczesnego stołu. Skrzywienie pióra, które zostawiło na papierze jego imię i nazwisko. Tutaj jednak poczuł się zagubiony i bezradny jak dziecko. Sięgające mu do ramienia, barwne jak papugi kobiety popychały go do przodu, tam gdzie płynął ten ludzki strumień.

I przeraziło go to, co — jeśli miał czas — wypowiadał jako buddysta kilka razy dziennie: ślubowanie. Że będzie się starał doprowadzić swoimi modlitwami i czynami wszystkie czujące istoty do oświecenia. Nagle wydało mu się to zupełnie beznadziejne.

Gdy zobaczył drzewo, był — prawdę mówiąc — rozczarowany. Nie miał w głowie żadnych myśli ani słów modlitw. Oddał należną cześć temu miejscu, wiele razy się pokłonił, ofiarował spore datki i niecałe dwie godziny później wrócił do helikoptera. Po południu znalazł się już w swoim hotelu.

Biorąc prysznic, pod strugami wody, która zmywała z niego pot, kurz i dziwny słodkawy zapach tłumy ludzi, straganów, ciał, wszechobecnych kadzideł i curry sprzedawanego na papierowych tackach i jedzonego wprost palcami, przyszło mu do głowy, że codziennie ogląda to, co tak wstrząsnęło księciem -autamą: chorobę, starość i śmierć. I nic się nie dzieje. Nie zachodzi w nim żadna zmiana i, prawdę mówiąc, przyzwyczaił się. A potem, wycierając się białym puszystym ręcznikiem, pomyślał, że wcale nie jest pewny swojego pragnienia oświecenia. Czy naprawdę chciałby zobaczyć nagle w jednym ułamku sekundy całą prawdę. Prześwietlić świat jak rentgenem i ujrzeć tam szkielet Pustki.

Ale oczywiście — jak zapewniał tego samego wieczoru swojego hojnego przyjaciela — jest mu niezwykle wdzięczny za ten prezent. Potem z kieszeni marynarki ostrożnie wyciągnął nadkruszony listek i obaj mężczyźni pochylili się nad nim z nabożną uwagą.

Mój dom jest moim hotelem

Oswajam jeszcze raz wzrokiem każdy przedmiot. Patrę na niego od nowa, jakbym go nigdy przedtem nie znała. Odkrywam detale. Podziwiam właścicieli hotelu za dbałość o kwiaty — takie duże i ładne, ich liście lśnią, ziemia jest odpowiednio wilgotna, a ta tetrastigma — imponująca. Jaka duża sypialnia, choć pościel mogłaby być w lepszym gatunku, biała płócienna i dobrze wykrochmalona. Tymczasem to sprana kora, taka, co to nie wymaga magła ani prasowania. Ale za to biblioteka na dole — całkiem interesująca, właściwie dokładnie w moim guście, jest w niej wszystko, czego potrzebowałam, gdybym miała tu zamieszkać. Może zatrzymam się tutaj na dłużej, właśnie ze względu na tę bibliotekę.

I dziwnym zbiegiem okoliczności w szafie znajduję nieco ubrań, akurat w moim rozmiarze, głównie ciemnych, tak jak lubię. Pasują na mnie świetnie, ta czarna bluza z kapturem, miękka i wygodna. I co już zaczyna być naprawdę zdumiewające, to, że na nocnym stoliku przy łóżku znajduję swoje witaminy i zatyczki do uszu ulubionej firmy — tego aż nadto.

Podoba mi się też, że nie widać żadnych gospodarzy, nie dobijają się tu rano żadne pokojówki, nikt się tu nie szwenda. Nie ma żadnej recepcji. Nawet kawę robię sobie rano sama, tak jak lubię. Z ekspresu, z mleczną pianką.

Tak, znalazłam całkiem przyzwoity hotel po przystępnej cenie, może trochę za bardzo na pustkowiu

i z dala od głównej drogi, którą zimą zasypuje śnieg, ale jeśli się podróżuje samochodem, nie ma to specjalnego znaczenia. Trzeba zjechać z autostrady w miejsce S. i jechać kilkanaście kilometrów drogą lokalną, a potem za G. skrócić w kasztanową aleję, która doprowadzi do szutrowej polnej drogi. Zimą trzeba zostawić samochód przy ostatnim hydrancie i resztę drogi przejść piechotą.

Psychologia podróżna.

Lectio brevis II

— Drodzy państwo — zaczęła kobieta, tym razem bardzo młoda, w bojówkach, ze śmiesznie upiętymi włosami; z pewnością dopiero co obroniła pracę magisterską. — Jak już powiedzieliśmy w poprzednich wykładach — które może mieli państwo okazję wysłuchać na którymś z lotnisk czy dworców kolejowych, biorących udział w naszym projekcie edukacyjnym — czasu i przestrzeni doświadczamy w dużej mierze nieświadomie. Nie są to kategorie, które moglibyśmy określić jako zewnętrzne bądź obiektywne. Nasze poczucie przestrzeni wynika z tego, że możemy się poruszać, poczucie czasu zaś bierze się stąd, że jako istoty biologiczne ulegamy różnym zmiennym stanom. Czas nie jest więc niczym innym niż przepląwem tych zmian.

Miejsce jako aspekt przestrzeni jest pauzą w czasie, jest chwilowym zatrzymaniem się naszej percepcji

na konfiguracji obiektów. Jest ono, w odróżnieniu od czasu, pojęciem statycznym.

Przy takim pojmowaniu czas ludzki dzieli się na etapy, tak jak ruch w przestrzeni jest podzielony pauzami — miejscami. Owe pauzy zakotwiczą nas w przepływie czasu. Ktoś, kto śpi i traci poczucie miejsca, w którym się znajduje, natychmiast traci też poczucie czasu. Im więcej pauz w przestrzeni, a zatem im więcej miejsc doświadczamy, tym subiektywnie więcej czasu upływa. Etapy czasu oddzielone od siebie pauzami często nazywamy epizodami. Nie mają one konsekwencji, niejako przerywają czas, ale nie stają się jego częścią. Są to wydarzenia samowystarczalne, każde z nich zaczyna od zera, każdy początek i każdy koniec jest absolutny. Można powiedzieć — że ciąg dalszy nie nastąpi.

Nastąpiło za to teraz pewne poruszenie w pierwszym rzędzie, gdy w szemrzących komunikatach 0 zapóźnionych pasażerach ktoś rozpoznał swoje nazwisko i teraz pospiesznie zbierał bagaże podręczne i reklamówki z zakupami w bezcłowym sklepie, potrącając przy tym sąsiadów. Straciłam wątek, sprawdzając w panice numer mojego gejtę, i z wysiłkiem podążałam za wywodem kobiety, która zaczęła mówić o praktycznej stronie psychologii podróży. Dość mieliśmy tej dziwacznej skomplikowanej teorii.

— W praktycznej psychologii podróży bada się metaforyczne znaczenie miejsc. Spójrzcie państwo na te rozjarzone tablice z nazwami portów przeznaczenia. Czy zastanawialiście się kiedyś, co to znaczy „Islan-

dia", co to są „Stany Zjednoczone"? Jaki znajdujecie w sobie odzew, wypowiadając te nazwy? Zadawanie sobie tego rodzaju pytań szczególnie przydatne jest w psychoanalizie topograficznej, gdzie docieranie do głębokich znaczeń miejsc przyczynia się do odszyfrowania tak zwanego itinerarium — czyli indywidualnej drogi podróżującego, głębokiego sensu jego podróży.

Psychoanaliza topograficzna, podróżna wbrew pozorom nie zadaje tego samego pytania, co urzędnicy imigracyjni: po co tu przyjechałaś? Nasze pytanie podnosi kwestię sensu i znaczenia. W myśl zasady — staję się tym, w czym uczestniczę. Jestem tym, na co patrzę.

Taki właśnie był sens dawnych pielgrzymek. Dążenie i dotarcie do miejsca świętego przydawało nam świętości, obmywało z grzechów. Czy to samo dzieje się, gdy podróżujemy do miejsc nieświętych, grzesznych? A do pustych i smutnych? Radosnych i twórczych?

Czy nie jest bowiem tak... — mówiła kobieta, ale za mną stanęły dwie pary w średnim wieku i rozmawiały półgłosem, wydało mi się to przez chwilę ciekawsze od rozważań wykładowniczy.

Zrozumiałam, że są to dwa małżeństwa, które dzieliły się swoimi wrażeniami z podróży. Jedno namawiało drugie:

— Koniecznie jedźcie na Karaiby, a szczególnie na tę Kubę, póki rządzi tam Fidel. Kiedy umrze, Kuba zrobi się taka sama jak wszystko. A tak można tam

jeszcze zobaczyć trochę prawdziwej biedy i jakimi samochodami oni jeżdżą! Trzeba się naprawdę pospieszyć, bo Fidel podobno jest bardzo chory.

Ziomkowie

Kobieta tymczasem skończyła tę część wykładu i podróżni zaczęli zadawać nieśmiałe pytania, jednak nie pytali o to, o co powinni. Tak mi się przynajmniej wydawało. Sama jednak nie śmiałam się odezwać, więc odeszłam do pobliskiego barku, żeby napić się kawy. Stała tam już grupka ludzi i okazało się, że rozmawiali ze sobą w moim języku. Rzuciłam na nich podejrzliwie wzrokiem, wyglądali podobnie do mnie. Tak, te kobiety mogłyby być moimi siostrami. Dlatego znalazłam sobie miejsce jak najdalej od nich i zamówiłam kawę.

Wcale nie ucieszyło mnie spotkanie w jakimś obcym miejscu swoich ziomek. Udawałam, że nie rozumiem brzmienia własnego języka. Wolałam być anonimowa. Przyglądałam się z boku i syciłam się ich nieświadomością tego, że są rozumiani. Obserwowałam ich kątem oka, a potem znikłam.

To samo wyznał mi z zadumą zmęczony Brytyjczyk, który pił już kolejne piwo, taksując wzrokiem wchodzących. Gawędziłam z nim przez chwilę, ale nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

— Wcale nie cieszy mnie spotkanie w jakimś obcym miejscu swoich ziomek.

Skończyłam swoją kawę i wróciłam na miejsce wykładu, udając, że muszę już iść. Ale nie musiałam. Trafiłam na ostatnie kilka dyskusji, gdy przejęta wykładowczyni tłumaczyła coś trojgu skupionym wokół niej słuchaczom, tym naj wytrwalszym.

Psychologia podróżna.

Dokończenie

— Jesteśmy, drodzy państwo, świadkami tego, jak ludzkie „ja” rośnie, jak staje się coraz wyraźniejsze i bardziej dojmujące. W przeszłości ledwie zaznaczone, skłonne do rozmywania się, podporządkowane zbiorowemu. Uwięzione w fiszbinach ról, konwencji, wciśnięte w prasy tradycji, podporządkowane wymaganiom. Teraz puchnie, anektuje świat.

Kiedyś bogowie byli na zewnątrz, niedostępni, byli z innego świata, podobnie ich wysłannicy — anioły i demony. Ale ludzkie ego wybuchło i zagarnęło bogów do wewnątrz, wymościło im miejsce gdzieś między hipokampem a pniem mózgu, między szyszynką a polami Broca. Tylko tak mogą przetrwać bogowie — w ciemnych, spokojnych zakamarkach ludzkiego ciała, w szczelinach mózgu, w pustej przestrzeni między synapsami. Tym fascynującym zjawiskiem zaczyna się zajmować powstająca dziedzina wiedzy • — psychoteologia podróżna.

Ten proces rośnięcia jest coraz potężniejszy — wpływ na rzeczywistość ma zarówno to, co nie wy-

myślone przez nas, jak i to, co wymyślone. Kto jeszcze porusza się w realnym? Znamy ludzi, którzy podróżują do Maroka z filmu Bertolucciego, do Dublina z Joyce'a, do Tybetu z filmu o dalajlamie.

Istnieje pewien znamieny syndrom nazwany imieniem Stendhala, gdy to przybywa się do miejsca znanego z literatury czy sztuki i przeżywa się je tak silnie, że popada się w omdlenia i słabość. Są tacy, którzy chwala się, że odkryli miejsca zupełnie nieznanne i wtedy zazdrościmy im, że choć przez kilka chwil doświadczili najprawdziwszej realności, zanim to miejsce, jak wszystko inne, pochłonał nasz umysł.

Dlatego na nowo i uparcie musimy zadawać to samo pytanie: dokąd oni płyną, do jakich krajów, do jakich miejsc? Inne kraje stały się wewnętrznym kompleksem, kłębem znaczeń, który dobry psycholog topograficzny potrafi rozsupłać raz-dwa, zinterpretować na miejscu.

Naszym zadaniem jest przybliżyć państwu ideę praktycznej psychologii podróźnej i zachęcić do naszych usług. Nie bójcie się, drodzy państwo, tych zacisznych kącików przy automatach z kawą, w pobliżu sklepów wolnocłowych, tych prowizorycznych gabinetów, gdzie analiza odbywa się szybko, dyskretnie, z rzadka tylko niepokojona komunikatami o odlotach. To zaledwie dwa krzesła za parawanem z map.

„Więc Peru?” — zapyta was psychoanalityk topograficzny. Łatwo go pomylić z kasjerem albo urzędnikiem z check-inu. Więc Peru?

I zrobi wam krótki test asocjacyjny, uważnie śledząc, które ze słów okaże się końcem nitki. Jest to analiza krótkoterminowa, bez zbędnego rozwlekania tematu i sięgania do Bogu ducha winnych matek i ojców. W ciągu jednej sesji powinno nam się udać.

Peru, czyli dokąd?

Najsilniejszym mięśniem człowieka jest język

Istnieją kraje, w których ludzie mówią po angielsku. Ale nie mówią tak jak my, którzy mamy własny język ukryty w bagażach podręcznych, w kosmetyczkach, angielskiego zaś używamy tylko w podróży, w obcych krajach i do obcych ludzi. Trudno to sobie wyobrazić, ale angielski jest ich językiem prawdziwym! Często jedynym. Nie mają do czego wracać ani zwrócić się w chwilach zwątpienia.

Jakże się muszą czuć zagubieni w świecie, gdzie każda instrukcja, każde słowo najgłupszej piosenki, menu w restauracjach, najbliższa korespondencja handlowa, przyciski w windzie są w ich prywatnym języku. Mówiąc, mogą być w każdej chwili zrozumiani przez każdego, a ich zapiski trzeba chyba specjalnie szyfrować. Gdziekolwiek się znajdują, wszyscy mają do nich nieograniczony dostęp, wszyscy i wszystko.

Są już projekty, słyszałam, żeby wziąć ich pod ochronę, a może nawet przyznać im jakiś jeden mały

język, z tych wymarłych, których nikt już nie potrzebuje, żeby mogli mieć coś dla siebie, własnego.

Mówić! Mówić!

W środku i na zewnątrz, do siebie i do innych, opowiadać każdą sytuację, nazywać każdy stan; szukać słów, przymierzać je, ten bucik, który zmienia cudownie kopciuszka w królową. Przesuwać słowa jak żetony, którymi obstawia się numery w ruletce. Może tym razem się uda? Może się wygra?

Mówić, łapać ludzi za rękaw, kazać im siadać na przeciwko i słuchać. Potem samemu zamieniać się w słuchacza dla ich „mówić, mówić”. Czy nie powiedziano: Mówię, więc jestem? Mówi się, a więc się jest?

Używać do tego wszystkich możliwych środków, metafor, parabol, zająknięć, nie dokończonych zdań, nie zważać, że zdanie urwie się w połowie, jakby za czasownikiem otworzyła się nagle przepaść.

Nie zostawiać żadnych nie wyjaśnionych, nie opowiedzianych sytuacji, żadnych zamkniętych drzwi; wyważać je kopniakiem przekleństwa, nawet te, które prowadzą do żenujących i wstydliwych korytarzy, o których wolałoby się zapomnieć. Nie wstydzić się żadnego upadku, żadnego grzechu. Grzech opowiedziany zostaje odpuszczony. Opowiedziane życie — zbawione. Czy nie tego uczą nas święci Zygmunt, Karol i Jakub? Ten, kto nie nauczył się mówić, zostanie na zawsze uwięziony w pułapce.

Żaba i ptak

Istnieją dwa punkty widzenia świata: perspektywa żaby i widok z lotu ptaka. Każdy punkt pomiędzy przysparza tylko chaosu.

Oto lotniska pięknie wyrysowane na reklamowym folderze pewnych linii lotniczych. Ich sens objawia się tylko wtedy, kiedy się patrzy na nie z góry; zupełnie jak monumentalne rysunki na płaskowyżu Nazca zostały stworzone z myślą o istotach, które uniosą się w powietrze, na przykład nowoczesne lotnisko w Sydney ma kształt samolotu. Rozwiązanie, sędzę, nieco banalne — samolot ląduje w samolocie. Droga staje się celem, narzędzie — rezultatem. Ale już lotnisko w Tokio w kształcie ogromnego hieroglify wprawia w zakłopotanie. Co to za litera? Nie nauczyliśmy się japońskiego alfabetu, nie będziemy wiedzieć, co znaczy nasze przybycie, jakim słowem nas tu witają. Co wbijają nam do paszportu? Wielki znak zapytania?

Podobnie chińskie lotniska przywołują na myśl litery miejscowego alfabetu, trzeba się ich nauczyć, ustawić po kolei, ułożyć z nich anagram — może wtedy ujawnią jakąś nieoczekiwaną mądrość podróży. Albo potraktować je jak te sześćdziesiąt cztery znaki heksagramów z Księgi Przemian i wtedy każde lądowanie będzie wróżbą. Heksagram 40. Sie. Uwolnienie. Heksagram 36. Ming-i. Zaciemnienie Światła. Heksagram 10. Lii. Stapanie. 17. Suei. Pójście śladem. 24. Fu. Punkt zwrotny. 30. Li. Lgnięcie.

Ale dajmy spokój tej pokrętnej wschodniej metafizyce, do której, podobno, mamy skłonności. Spójrz-

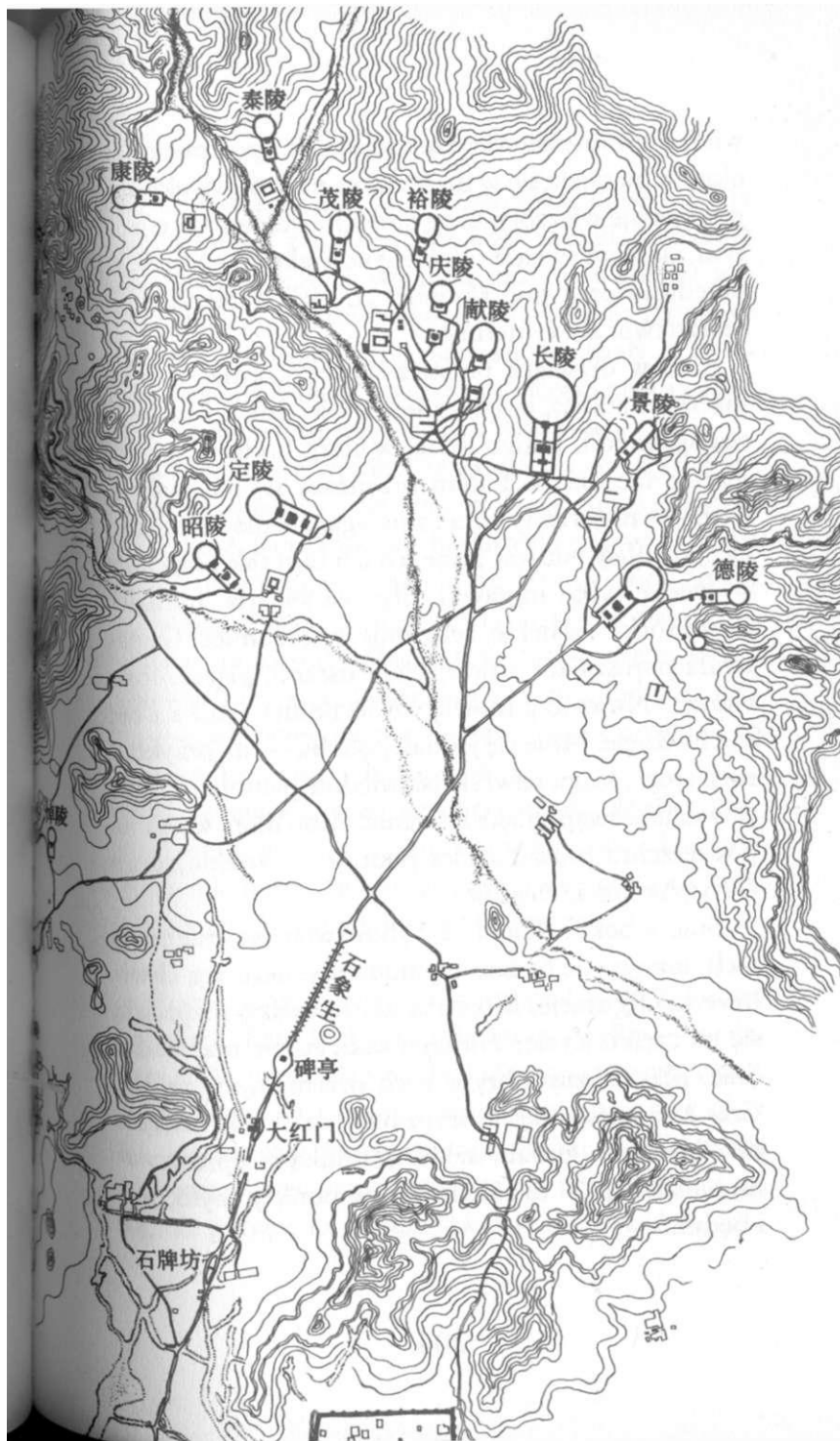
my na lotnisko w San Francisco, to dopiero coś znajomego, coś, co budzi zaufanie, co sprawia, że od razu pocujemy się u siebie: oto mamy przekrój poprzeczny kręgosłupa. Okrągłe centrum lotniska to rdzeń kręgowy, zamknięty w twardej bezpiecznej skorupie kości pojedynczego kręgu, i oto rozchodzące się promieniście wiązki nerwów, od których odchodzą numerowane gejty, każdy z nich zakończony rękawem prowadzącym do samolotu.

A Frankfurt? Ten wielki przeładunkowy port lotniczy, to państwo w państwie? Z czym się wam kójarzy? Tak, tak, wypisz wymaluj układ scalony, taki z komputera, cieniutka płytka. Tutaj nie można mieć wątpliwości — mówią nam, czym jesteśmy, drodzy podróżni. Pojedynczymi impulsami nerwowymi świata, ułamkami chwili, zaledwie tą jej częścią, która pozwala zmienić plus na minus, czy może odwrotnie, i utrzymywać wszystko w nieustannym przepływie.

Linie, płaszczyzny i bryły

Często marzyłam, żeby patrzeć, sama nie będąc widzianą. Podglądać. Być obserwatorem idealnym. Jak ta camera obscura, którą zrobiłam kiedyś z pudełka do butów. Sfotografowała dla mnie kawałek świata przez czarną zamkniętą przestrzeń z mikroskopijną żrenicą, przez którą do środka wpada światło. Trenowałam.

Najlepszym miejscem do takiego treningu jest Holandia — tam ludzie, przekonani o swojej całko-



witej niewinności, nie uznają firanek i po zmierzchu okna zamieniają się w małe sceny, na których aktorzy grają swoje wieczory. Ciąg obrazów skąpanych w żółtym, ciepłym świetle to pojedyncze akty tego samego przedstawienia pod tytułem „Życie”. Holenderskie malarstwo. Żywe natury.

Oto w drzwiach pojawia się mężczyzna, w rękę ma tacę, stawia ją na stole; dwoje dzieci i kobieta siadają wokół. Długo jedzą, w ciszy, bo fonia w tym teatrze nie działa. Potem przenoszą się na kanapę, patrzą w rozjarzony ekran z uwagą, ale dla mnie, stojącej na ulicy, nie jest jasne, co ich tam tak przyciąga — widzę tylko migawki, drgania światła, obrazki, zbyt krótkie i dalekie, żeby móc je zrozumieć. Czyjaś twarz poruszająca z przejściem ustami, pejzaż, inna twarz... Niektórzy mówią, że to nudna sztuka i nic się nie dzieje. Mnie się jednak podoba — na przykład ruch stopy, która bawi się bezwiednie pantoflem, albo cały zdumiewający akt ziewania. Albo dłoń, która na powierzchni pluszu szuka pilota i — znajdując go — uspokojona, więdnie.

Stać z boku. Widzi się tylko świat we fragmentach, innego nie będzie. Są momenty, okruchy, chwilowe konfiguracje, które raz zaistniawszy, rozpadają się na części. Życie? Niczego takiego nie ma; widzę linie, płaszczyzny i bryły, i ich przemiany w czasie. Czas zaś wydaje się prostym narzędziem do mierzenia drobnych zmian, szkolną linijką z uproszczoną podziałką — to zaledwie trzy punkty: było, jest i będzie.

Ściągnie Achillea

Nowa epoka zaczęła się w 1542 roku, choć niestety nikt tego nie zauważył, nie była to żadna okrągła rocznica, ani koniec wieku, z punktu widzenia numerologii — nic ciekawego, zaledwie liczba trzy. Lecz w tym roku ukazały się pierwsze rozdziały „De revolutionibus orbium coelestium” Kopernika i całość „De Humani corporis fabrica” Vesaliusa.

To oczywiste, że obie te książki nie mogły zawierać wszystkiego — ale czy cokolwiek może zawierać wszystko? Kopernikowi brakowało reszty Układu Słonecznego, planet takich jak Uran, który czekał na właściwy czas swojego odkrycia w przededniu rewolucji francuskiej. Vesaliusowi zaś — wielu szczegółowych rozwiązań mechanicznych w ludzkim ciele, przęseł, przegubów połączeń, jak na przykład to ściągno, które łączy łydkę z piętą.

Mapy świata, tego wewnętrznego i zewnętrznego, zostały już jednak naszkicowane, raz zobaczony porządek naświetlił umysł, wygrawerował na nim główne, podstawowe linie i płaszczyzny.

Powiedzmy, że jest ciepły listopad 1689 roku, po południu. Filip Verheyen robi to, co zwykle — siedzi przy stole, w plamie światła, które wpada przez okno, jakby zostało specjalnie zaprojektowane na tę okazję, i bada rozciągnięte na stole tkanki. Szpilki wbite w drewno blatu przytrzymują szare nerwy. Prawą ręką, nie patrząc na papier, szkicuje to, co widzi.

Widzieć bowiem znaczy wiedzieć.

Tymczasem ktoś dobija się do drzwi, pies szczeka zajadle i Filip musi wstać od stołu. Robi to niechętnie. Jego ciało już przyjęło swoją ulubioną pozycję, z głową pochyloną nad preparatem; musi wesprzeć się na zdrowej nodze i wyciągnąć spod stołu tę, która istnieje jako drewniana kula. Kuśtykając, idzie do drzwi i udaje mu się uspokoić psa. Przed drzwiami stoi młody mężczyzna, w którym dopiero po dłuższej chwili rozpoznaje swojego ucznia, Willema van Horsena. Wcale nie jest zadowolony z tych odwiedzin, zresztą z żadnych nie byłby zadowolony, ale cofa się w głąb sieni, stukając po kamiennych płytach drewnianą nogą, i zaprasza gościa do środka.

Van Horssen jest wysoki, ma kręcone bujne włosy i roześmianą twarz. Kładzie na stole w kuchni to, co kupił po drodze — gomułkę sera, okrągły chleb, jabłko i wino. Mówi głośno i chwali się biletami — oto jest powód jego przybycia. Filip musi się pilnować, żeby na jego twarzy nie pojawił się wyraz zniecierpliwienia i grymas właściwy komuś, kto znalazł się nagle w samym środku przeraźliwego hałasu. Domyśla się, że przyczyna przybycia tego miłego skądinąd chłopca jest wyjaśniona w liście, który leży nie rozcięty w sieni na stoliku; gdy gość przygotowuje stół, gospodarz sprytnie chowa list i odtąd będzie udawał, że zna jego treść.

Będzie też udawał, że nie mógł znaleźć gospodyni, tymczasem wcale jej nie szukał. Będzie udawał, że kojarzy wszystkie nazwiska, które padają z ust przy-

bysza, choć w rzeczywistości nie jest dobrze z jego pamięcią. Jest rektorem uniwersytetu w Leuven, ale od lata zaszył się na wsi i skarży się na zdrowie.

Wspólnie rozpalają w kominku i siadają do jedzenia. Gospodarz je niechętnie, ale potem widać, że jego apetyt rozbudzają kolejne kęsy. Wino dobrze pasuje do sera i mięsa. Van Horssen pokazuje mu bilety. Oglądają je w milczeniu, a Filip podchodzi do okna i ustawia soczewki okularów, tak żeby dokładniej zobaczyć skomplikowany rysunek i liternictwo. Bo i sam bilet jest dziełem sztuki — pod tekstem u góry zamieszczono piękną ilustrację mistrza Ruyscha, tableau ze szkieletami płodów ludzkich. Dwa z nich siedzą wokół kompozycji z kamieni i suchych gałęzi, trzymając w rękach jakieś instrumenty muzyczne, z których jeden przypomina trąbkę, a drugi harfę. A gdy się uważnie przyjrzy plątaninie kresek, można tam znaleźć jeszcze więcej kości i czaszek, drobnych i delikatnych, i zapewne każdy uważny obserwator złożyłby z nich kolejne płodziki.

— Piękne, prawda? — pyta gość, zaglądając gospodarzowi przez ramię.

— Cóż w tym pięknego? — odpowiada zdawkowo. — Kości ludzkie.

— To sztuka.

Ale Filip nie daje się wciągnąć do dyskusji, nie przypomina tamtego Filipa Verheyena, którego van Horssen znał z uniwersytetu. Rozmowa nie bardzo się klei i można mieć wrażenie, że gospodarz jest pochłonięty czym innym, być może samotność rozciągnęła

jego myśli w długie smugi i przyzwyczała go do wewnętrznych dialogów.

— Czy ją jeszcze masz, Filipie — pyta w końcu dawny uczeń po dłuższej chwili milczenia.

Pracownia Verheyena mieści się w małej przybudówce, do której wybito drzwi z sieni. Wcale nie dziwi go widok przypominający raczej zakład grawerski pełen płyt, miednic do trawienia, kompletów ryłców wiszących na ścianie, suszących się wszędzie gotowych rycin i kłębów pakułów rozrzuconych po podłodze. Gość bezwiednie podchodzi do zadrukowanych kart papieru — wszystkie przedstawiają mięśnie i naczynia krwionośne, ścięgna i nerwy. Starannie oznaczone, absolutnie przejrzyste, doskonałe. Jest tu też mikroskop, pierwszorzędny, przedmiot zazdrości wielu, z soczewkami wyszlifowanymi przez Benedictusa Spinozę, przez który Filip obserwuje wiązki naczyń krwionośnych.

Pod jedynym, lecz wielkim południowym oknem stoi czysty szeroki stół, na nim zaś — ten sam od lat preparat. Obok widać pusty stół wypełniony w dwóch trzecich słomkowym płynem.

— Jeżeli mamy jutro jechać do Amsterdamu, pomóż mi to pozbierać — mówi Filip i dodaje z wyrzutem: — Pracowałem,

Zaczyna swoimi długimi palcami delikatnie odczepiać rozciągnięte za pomocą drobnych kołeczków tkanki i naczynia. Jego ręce są tak szybkie i tak lekkie, jak ręce zbieracza motyli, a nie anatoma, rytownika, w twardym metalu żłobiącego rowki, które

potem kwas zamieni w negatyw ryciny. Van Horssen trzyma tylko stół z tynkturą, tam części preparatu toną w przezroczystym, lekko brązowym płynie, jakby wracały do domu.

— Wiesz, co to jest? — odzywa się Filip i wskazuje paznokciem małego palca jaśniejszą substancję powyżej kości. — Dotknij.

Palec gościa wyciąga się do martwej tkanki, ale jej nie sięga. Zawisa w powietrzu. Skórę nacięto w ten sposób, że odsłania to miejsce w zupełnie nieoczekiwany sposób. Nie, nie wie, co to jest, ale zgaduje:

— To jest musculus soleus, przyczep.

Tamten patrzy na niego dłuższą chwilę, jakby szukał słów.

— Otdąd to jest chorda Achillis — mówi.

Van Horssen powtarza te dwa słowa, jakby uczył się ich na pamięć.

— Ściągnij Achilleś.

Dłonie wytarte o kawałek szmaty wyjmują spod plików kart jedną z nich, ze schematem rozrysowanym w czterech perspektywach, nieprawdopodobnie dokładnym: podudzie i stopa składają się w jedną całość i trudno już teraz uwierzyć, że kiedyś nie były tak złożone, że w tym miejscu w ogóle nic nie było, zaledwie jakiś nieostry obraz, nawet już nie pamięta co; wszystko pozostawało osobno, a teraz jest razem. Jak można było nie dostrzec tego ścięgna? To nieprawdopodobne, że części własnego ciała odkrywa się tak, jakby się parło w górę rzeki w poszukiwaniu źródeł. Tak samo podąża się skalpelem wzdłuż jakiegoś

naczynia krwionośnego i ustala jego początek. Białe plamy pokrywa się siatką rysunku.

Odkrywa się i nadaje nazwy. Podbija i cywilizuje. Kawałek białej chrząstki będzie odtąd podlegał naszym prawom, weźmiemy go w obroty.

Największe wrażenie na młodym van Horssenie robi jednak nazwa. Właściwie jest poetą i mimo wykształcenia medycznego wolałby pisać poematy. Dopiero nazwa otwiera mu w głowie bajeczne obrazy, jakby oglądał płótna włoskie zaludnione pełnokrwistymi nimfami i bogami. Czy można by lepiej nazwać tę część ciała, za którą bogini Tetyda chwyciła małego Achillesa, żeby go wykapać w Styksie i na wieczność uodpornić na śmierć?

Może Filip Verheyen wpadł na ślad ukrytego porządku — może w naszym ciele mieści się cały świat, mitologia? Może istnieje jakieś odzwierciedlenie wielkiego i małego, ciało człowieka łączy w sobie wszystko ze wszystkim — opowieści i bohaterów, bogów i zwierzęta, porządek roślin i harmonię minerałów? Może powinniśmy podążać z nazwami w tym kierunku — mięsień Artemidy, aorta Ateny, młoteczek i kowadełko Hefajstosa, spirale Merkurego.

Mężczyźni kładą się spać dwie godziny po zmroku, obaj w jednym łóżu, małżeńskim, które zostało tu zapewne po poprzednich właścicielach, Filip bowiem nie miał nigdy żony. Noc jest zimna, więc muszą narzucić jeszcze kilka baranich skór, które od wilgoci panującej w całym domu wydzielają zapach owczego tłuszczu i obory.

— Musisz wrócić do Lejdy, na uniwersytet. Czekamy na ciebie — zaczyna van Horssen.

Filip Verheyen odpina skórzane rzemienie i odstawia drewnianą nogę na bok.

Mówi:

— Boli mnie.

Tamten rozumie, że chodzi mu o wyciągnięty na stołku kikut, ale Filip Verheyen wskazuje dalej, na nie istniejącą już część ciała, w przestrzeń.

— Bolać cię blizny? — upewnia się młodszy mężczyzna. Cokolwiek boli, nie zmniejszy to jego wielkiego współczucia dla tego szczupłego, kruchego człowieka.

— Boli mnie noga. Czuję ból wzdłuż kości i do szaleństwa doprowadzają mnie stopy. Paluch i jego staw. Są opuchnięte i gorące, skóra swędzi. O tu — pochyla się i wskazuje małe zagniecenie na pościeli.

Willem milczy. Co ma powiedzieć? Potem obaj kładą się na wznak i przykrywają po szyję. Gospodarz zdmuchuje świecę i znika, a potem odzywa się z ciemności:

— Musimy badać nasz ból.

To zrozumiałe, że marsz z człowiekiem poruszającym się o drewnianej kułi nie może być zbyt niewygodny, lecz Filip jest dzielny i gdyby nie lekkie utykanie i stukot protezy po wyschniętym na pieprz trakcie, trudno byłoby się zorientować, że ten człowiek nie ma jednej nogi. Wolne tempo ma też tę zaletę, że rozmawiają. Rzeźki poranek, ruch, wschód słońca,

którego tarczę zadrappują smukłe topole — dobrze się idzie. W połowie drogi udaje im się zatrzymać wóz, który wiezie warzywa na lejdejski rynek, dzięki temu mają więcej czasu na porządne śniadanie w gospodzie „Pod Cesarzem”.

Potem z przystani przy kanale wchodzą na łódź ciągniętą łądem przez masywne konie; mają tanie miejsca na pokładzie pod namiotem, który chroni od słońca, a ponieważ pogoda jest piękna, podróż staje się czystą przyjemnością.

I tak ich zostawię — płynących barką do Amsterdamu, w przesuwającej się po wodzie plamie cienia, jaką rzuca poszycie namiotu nad głowami. Obydwaj są ubrani na czarno, mają białe kołnierze z krochmalonego batystu; van Horssen jest okazalszy, schludniejszy, co znaczy tylko tyle, że ma żonę, która dba o jego ubrania, albo go stać na służącą, chyba nic więcej. Filip siedzi tyłem do jazdy, wygodnie oparty, zdrową nogę ma zgiętą, jego skórzany czarny pantofel wieńczy ciemnofioletowa, podniszczona kokarda. Drewniana kula wspiera się na sęku w deskach barki. Widzą siebie wzajemnie na tle umykającego krajobrazu; pola, miedze obsadzone wierzbnami, rowy melioracyjne, mola małych przystani i drewniane domy kryte trzcina. Przy brzegu małe łódeczki gęsich piór. Lekki ciepły powiew porusza piórem kapeluszy.

Dodam tylko, że w przeciwieństwie do mistrza van Horssen nie ma talentu do rysowania. Jest anatomem i do każdej sekcji wynajmuje zawodowego

rysownika. Jego metoda pracy to dokładne notatki, tak szczegółowe, że kiedy je odczytuje, wszystko staje mu przed oczami. To też jest jakiś sposób. Pisać.

Ponadto jako anatom stara się rzetelnie wypełniać zalecenie pana Spinozy, którego nauki żywo tutaj studiowali, dopóki nie zostały zakazane — patrzeć na ludzi jak na linie, płaszczyzny i bryły.

Historia Filipa Verheyena,
spisana przez jego ucznia i powiernika,
Willema van Horssena

Mój nauczyciel i mistrz urodził się w 1648 roku we Flandrii. Dom jego rodziców wyglądał tak samo jak inne flandryjskie domy. Był zbudowany z drewna i przykryty dachem z trzciny, którą przycięto równo, zupełnie jak grzywkę młodego Filipa. Posadzki całym niedawno wyłożono glinianymi ceglami i teraz członkowie rodziny oznajmiali sobie swoją obecność stukaniem chodaków. W niedzielę chodaki bywały zamieniane na skórzane buty i długą prostą drogą obsadzoną topolami Verheyenowie we trójkę udawali się do kościoła w Verrebroek. Tam zajmowali swoje miejsca i czekali na pastora. Spracowane ręce z wdzięcznością sięgały po książeczki do nabożeństwa; cieniutkie kartki i drobnutkie litery utwierdzały ich w przekonaniu, że są trwalsze niż kruche życie człowieka. Pastor z Verrebroek zawsze zaczynał kazanie od słów: „Vanitas vanitatum”. Można je było wziąć za powitanie i rzeczywiście mały Filip tak je rozumiał.

Filip był spokojnym, cichym chłopcem. Pomagał ojcu w gospodarstwie, ale wkrótce stało się jasne, że nie pójdzie w jego ślady. Nie będzie co rano zlewał mleka i mieszał go z proszkiem z żołądków cielęcych, żeby utoczyć wielkie koła sera, ani zgrabiał siana w równe kopki. Nie będzie wczesną wiosną obserwował, czy w brzdach zaoranej ziemi nie zbiera się woda. Pastor z Verrebroek uzmysłowił rodzicom, że Filip jest na tyle uzdolniony, iż warto go kształcić dalej po ukończeniu nauki w przykościelnej szkole. Tak oto czternastoletni chłopiec zaczął edukację w liceum Heilige-Drievuldigheids, gdzie okazał swoje wybitne zdolności do rysunku.

Jeżeli to prawda, że istnieją ludzie, którzy widzą rzeczy małe, i tacy, którzy widzą tylko rzeczy wielkie, jestem pewny, że Verheyen należał do tych pierwszych. Sądzę nawet, że jego ciało od początku najlepiej czuło się w tej szczególnej pozycji — pochylone nad stołem, z nogami wspartymi o drewniane drążki, z kręgosłupem wygiętym w łuk i dłońmi zaopatrzonymi w piórko, którego wcale nie interesują dalekosiężne cele, ale mierzy blisko, w królestwo detalu, w kosmos szczegółów, kresek i punktów, gdzie rodzi się obraz. Akwaforta i mezzotinta — zostawianie w metalu drobnych śladów, znaczków, rysowanie gładkiej obojętnej powierzchni metalowej blachy, postarzanie jej, aż stanie się mądra. Powiedział mi, że awers zawsze go zaskakiwał i potwierdzał jego przekonanie, że lewe i prawe to dwa zupełnie różne wymiary: ich istnienie

powinno właściwie uzmysłować nam, jak podejrzane jest to, co tak naiwnie bierzemy za rzeczywistość.

I mimo że tak biegły w rysunku, że tak zajęty ryciem, wytrawianiem, barwieniem i drukowaniem, dwudziestokilkuletni Verheyen ruszył do Lejdy, żeby studiować teologię i tak samo jak pastor z Verrebroek, jego mentor, zostać księdzem.

Lecz jeszcze wcześniej — o czym opowiadał mi w związku z tym doskonałym mikroskopem, który stał u niego na stole — co jakiś czas ów pastor zabierał go na krótkie wyprawy, kilka mil rozjeżdżonymi drogami, do pewnego szlifierza soczewek, zuchwałego Żyda wyklętego przez swoich, jak o nim mawiał. Człowiek ten wynajmował pokoje w kamiennym domu i wydawał się tak wyjątkowy, że każda taka wyprawa była dla Verheyena wielkim wydarzeniem, choć był za młody, żeby brać udział w rozmowach, z których zresztą niewiele rozumiał. Ów szlifierz nosił się ponoć egzotycznie i nieco dziwacznie. Miał długą suknię, a na głowie wysoką sztywną czapkę, której nie zdejmował nigdy. Wyglądał jak kreska, jak pionowa wskazówka — tak mi opowiadał Filip i żartował, że gdyby tego dziwaka postawić w polu, mógłby służyć ludziom za zegar słoneczny. Zbierali się u niego różni ludzie, kupcy, studenci i profesorowie, którzy siadali przy drewnianym stole pod wielką wierzbą i bez końca toczyli dyskusje. Od czasu do czasu gospodarz albo ktoś z zaproszonych dawał wykład tylko po to, żeby dyskusja mogła rozgorzeć na nowo. Filip zapamiętał, że gospodarz mówił tak, jakby czytał,

płynnie, bez zająknięć. Budował długie zdania, których sens umykał małemu chłopcu natychmiast, ale mówca doskonale nad nimi panował. Pastor z Filipem przynosili zawsze coś do jedzenia. Gospodarz raczył ich winem, które obficie rozcieńczał wodą. Tyle zapamiętał z tych spotkań i Spinoza pozostał na zawsze jego mistrzem, którego namiętnie czytał i z którym namiętnie walczył. Kto wie, czy to właśnie nie te spotkania z uporządkowanym umysłem, z siłą myśli i potrzebą rozumienia nie pchnęły młodego Filipa na studia teologiczne w Lejdzie.

Jestem pewien, że nie umiemy rozpoznać losu, jaki żłobią po drugiej stronie życia dla nas boskie ryłce. Muszą się nam objawić dopiero we właściwej dla człowieka postaci — czarno na białym. Bóg pisze lewą ręką i lustrzanym pismem.

W czasie drugiego roku studiów, w 1676, w majowy wieczór, Filip, wchodząc po wąskich schodach na swoje piéterko, które wynajmował u pewnej wdowy, rozdarł sobie o gwóźdź spodnie, a także — co zobaczył dopiero następnego dnia — zranił się niegroźnie w łydkę. Na jego skórze został czerwony ślad zarysowany ostrzem gwoździa, kilkucentymetrowa kreska ozdobiona punktami kropel krwi; nieostrożny ruch Grawera na delikatnym ludzkim ciele. Po kilku dniach zaczęła je trawić gorączka.

Gdy wdowa zawołała w końcu medyka, okazało się, że do małej rany wdało się już zakażenie; brzegi rozпалиły się do czerwoności i opuchły. Lekarz prze-

pisał okłady i rosół na wzmocnienie, ale następnego wieczoru stało się już jasne, że nie uda się zatrzymać tego procesu i nogę trzeba będzie obciąć tuż pod kolanem.

— Nie ma tygodnia, żebym czegoś komuś nie amputował. Masz jeszcze drugą nogę — pocieszał go podobno medyk, jego późniejszy przyjaciel, a mój wuj, Dirk Kerkrinck, dla którego Filip wykonał całkiem niedawno kilka anatomicznych rycin. — Zrobi ci się drewnianą kulę i będziesz co najwyżej trochę bardziej hałaśliwy niż dotychczas.

Kerkrinck był uczniem Frederika Ruyscha, najlepszego anatoma w Niderlandach, a może i na świecie, tak że amputacja została wykonana wzorowo i przebiegła pomyślnie. Część została oddzielona od całości sprawnie, kość przepiłowane równo, naczynia krwionośne zamknięto, dokładnie przypalając je rozżarzonym prętem. Lecz zanim jeszcze doszło do operacji, pacjent chwycił przyjaciela za rękaw i upierał się, żeby odjętą nogę zachować; zawsze był bardzo religijny i zapewne wierzył literalnie w to, że zmartwychwstaniemy ciałem, powstaniemy z grobów w naszej fizycznej postaci, w wieku chrystusowym. Mówił mi, że wtedy bardzo się obawiał, iż jego noga mogłaby zmartwychwstać osobno; chciał, by pochowano jego ciało, gdy już przyjdzie na niego czas, w całości. I gdyby to był jakiś zwyczajny medyk, nie mój wuj, gdyby to był ktoś z ulicy, zwykły cyrulik, taki, co to tnie kurzajki i wyrzywa zęby, nie spełniłby, oczy-

wiecie tej dziwacznej prośby. Zwykle odcięta kończy-
na wędrowała zawinięta w płótno na cmentarz, gdzie
z powagą, acz bez żadnych religijnych formalności,
składano ją w małym dołku i nawet nie oznaczano
takiego miejsca. Ale mój wuj, gdy pacjent spał oszo-
łomiony spirytusem, starannie zajął się nogą. Przede
wszystkim za pomocą wstrzyknięć pewnej substancji,
której skład jego mistrz trzymał w sekrecie, usunął
z naczyń krwionośnych i limfatycznych wszystką po-
psutą krew i nacieki gangreny. Kiedy kończyna była
już w ten sposób osuszona, umieścił ją w szklanym
pojemniku wypełnionym balsamem z nantejskiej
brandy i czarnego pieprzu, co miało na stałe uchro-
nić ją od zepsucia. Gdy Filip obudził się z alkoholo-
wego znieczulenia, przyjaciel pokazał mu zatopioną
w brandy nogę, zupełnie tak samo, jak po porodzie
pokazuje się matkom noworodki.

Verheyen wracał do zdrowia powoli, na poddaszu
małego domku przy jednej z lejdejskich uliczek, gdzie
wynajmował stancję u wdowy. To ona go pielęgnowa-
ła. Cóż, gdyby nie ona, kto wie, jak by się to wszystko
skończyło. Pacjent popadł bowiem w przygnębienie,
trudno powiedzieć, czy z powodu nieustannego bólu
gojącej się rany, czy swojej nowej sytuacji. W wieku
dwudziestu ośmiu lat stał się przecież kaleką, jego
studia teologiczne straciły zaś sens — bez nogi nie
mógł zostać duszpasterzem. Nie pozwolił zawiado-
mić o tym swoich rodziców, ogarnięty wstydem, że
tak ich rozczarował. Odwiedzał go Dirk i jeszcze

dwóch jego kolegów, których — zdaje się — bar-
dziej niż cierpienia pacjenta przyciągała obecność
u jego wezgowia obciętej kończyny. Wydawało się,
że ten strzęp ludzkiego ciała żyje teraz osobnym ży-
ciem preparatu, zanurzony w alkoholu, w wiecznym
oszołomieniu, śniąc własne sny o bieganiu, o mokrej
porannej trawie, o ciepłym piasku na plaży. Przycho-
dziło też kilku znajomych studentów z teologii i tym
w końcu Filip oświadczył, że nie wróci już na studia.

Kiedy goście wychodzili, zjawiała się w pokoju
Filipa właścicielka domu, wdowa, pani Fleur, którą
poznałem i którą uważam za anioła. Filip mieszkał
u niej jeszcze dobre kilka lat, dopóki nie kupił domu
w Rijnsburgu i nie osiadł w nim na stałe. Przynosi-
ła ze sobą miednicę i blaszany dzbanek pełen ciepłej
wody. Mimo że pacjent przestał już gorączkować,
a z rany nie sączyła się krew, kobieta delikatnie ob-
mywała mu nogę i pomagała się umyć. Przebierała go
potem w czystą koszulę i spodnie. Lewe nogawki jego
spodni zaszyła już wcześniej, a wszystko, czego do-
tknęła swoimi bystrymi rękami, wyglądało natural-
nie, porządnie, jakby tak właśnie zostało stworzone
przez Boga, jakby Filip Verheyen urodził się bez lewej
nogi. Gdy musiał wstać, żeby załatwić się do nocnika,
wspierał się na silnym ramieniu wdowy — co na po-
czątku było niezwykle krępujące, ale potem też stało
się naturalne, jak wszystko, co się z nią wiązało. Po
kilku tygodniach zaczęła sprowadzać go na dół, gdzie
jadał z nią i dwójką jej dzieci przy kuchennym, cięż-
kim drewnianym stole. Była wysoka i dobrze zbu-

dowana. Miała bujne, jasne kręcone włosy, jak wiele Flamandek, chowała je pod płóciennym czepkiem, ale zawsze znalazł się taki kosmyk, który uciekał na plecy albo na czoło. Podejrzewam, że w nocy, gdy dzieci posnęły już snem niewinnych, przychodziła do niego tak samo jak z nocnikiem i wchodziła do jego łóżka. I nie widzę w tym nic zdrożnego, uważam bowiem, że ludzie powinni się wspierać, jak tylko potrafią.

Jesienią, gdy rana już zupełnie się zagoiła, a na kikutcie pozostał zaledwie zaczerwieniony ślad, Filip Verheyen, postukując kulą po nierównym bruku Lejdy, co rano udawał się na wykłady w uniwersyteckim centrum medycznym, gdzie rozpoczął studia anatomiczne.

Wkrótce stał się jednym z najbardziej cenionych studentów, jak nikt inny bowiem potrafił wykorzystać swój talent rysowniczy do przenoszenia na papier tego, co na pierwszy rzut niewprawnemu oku wydawało się chaosem tkanki ludzkiego ciała — ścięgna, naczynia krwionośne i nerwy. Skopiował także słynny stuletni atlas anatomiczny Vesaliusa i z zadania tego wywiązał się aż nadto dobrze. Był to najlepszy wstęp do jego własnej pracy, której wynik uczynił go sławnym. Do wielu swoich uczniów, do których i ja się zaliczałem, miał stosunek ojcowski — pełen miłości, ale i surowy. Pod jego nadzorem przeprowadziliśmy sekcje, a wtedy jego uważne oko i wprawna ręka prowadziły nas po ścieżkach tego najbardziej skomplikowanego labiryntu. Studenci cenili jego sta-

nowczość i szczegółową wiedzę. Patrzyli na szybkie ruchy rysika jak na cud. Rysowanie nie jest nigdy odtwarzaniem — żeby ujrzeć, trzeba umieć patrzeć, trzeba wiedzieć, na co się patrzy.

Był zawsze raczej małomówny, a dziś z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że także w jakiś sposób nieobecny, zasłuchany w sobie. Stopniowo rezygnował z wykładów, oddając się samotnej pracy w swojej pracowni. Odwiedzałem go często w jego domu w Rijnsburgu. Z radością przynosiłem mu wieści z miasta, plotki i sensacje z uniwersytetu, z niepokojem jednak zauważałem, że staje się coraz bardziej opętany jednym tematem. Jego noga, rozebrana na części, badana najstaranniej na świecie, zawsze stała u jego wezgłowia w słoju albo straszyla rozpięta na stole. Gdy zdałem sobie sprawę, że jestem jedyną osobą, z którą się kontaktował, zrozumiałem też, iż Filip przekroczył niewidzialną granicę, zza której nie ma już powrotu.

Wczesnym popołudniem nasza barka przycumowała przy Herengracht w Amsterdamie i prosto z przystani ruszyliśmy do celu. Był już początek zimy, więc kanały nie śmierdziały tak niemiłosiernie jak latem i przyjemnie się szło w ciepłej mlecznej mgie, która na naszych oczach unosiła się w górę, odsłaniając pogodne jesienne niebo. Skręciliśmy w jedną² wąskich uliczek dzielnicy żydowskiej i chcieliśmy zatrzymać się gdzieś na piwo. Dobrze, że zjedliśmy obfite śniadanie w Lejdzie, bo wszystkie mijane go-

spody były przepełnione i trzeba by było długo czekać na obsługę.

Na handlowym rynku, wśród straganów stoi budynek Wagi, gdzie waży się wyładowywane towary. W jednej z wież przedsiębiorczy Ruysch zaaranżował swoje theatrum i tu właśnie zjawiliśmy się nieco wcześniej niż godzina wydrukowana na bilecie, i choć chętnych jeszcze nie wpuszczano do środka, przed wejściem i tak zgromadziło się kilka grupek widzów. Przyglądałem się im z zainteresowaniem, wygląd i ubiór wielu z nich bowiem świadczyły, że sława profesora Ruyscha już dawno przekroczyła granice Niderlandów. Słyszałem rozmowy w obcych językach, widziałem francuskie peruki na głowach i angielskie koronkowe mankiety wystające spod rękawów kaftana. Przyszło też wielu studentów; ci zapewne mieli tańsze, nie numerowane miejsca, bo już tłoczyli się przy wejściu, chcąc zająć najlepsze pozycje.

Cały czas podchodził do nas ktoś, kogo znaliśmy, gdy Filip bardziej udzielał się na uniwersytecie, wysoko postawieni członkowie miejskiej rady, chirurdzy z cechu, ciekawi, co nam teraz pokaże Ruysch, co wymyśli. W końcu nadszedł mój wuj, fundator naszych biletów, odziany nieskazitelnie w czerni, i wylewnie przywitał się z Filipem.

Miejsce przypominało amfiteatr z ławami ustawionymi wokół, coraz wyżej, prawie do sufitu. Było dobrze oświetlone i przygotowane starannie na spektakl. Pod ścianami wzdłuż wejścia i samej sali stały

szkielety zwierząt, kości połączone drucikami wspierały się na dyskretnych konstrukcjach, tak iż miało się wrażenie, że szkielety w każdej chwili mogą ożyć. Były też dwa szkielety ludzkie — jeden na klęczkach, z dłońmi wzniesionymi w górę do modlitwy, i drugi — w zamyślonej pozie, z głową wspartą na dłoni, której drobne kosteczki starannie połączono drutami. /

Gdy widzowie, szepcząc i szurając butami, wchodzili do środka i po kolei zajmowali wyznaczone im na biletach miejsca, mijali także wystawione w gablotach słynne kompozycje Ruyscha, wysmakowane rzeźby. „Śmierć nie oszczędza nawet młodości”, przeczytałem na podpisie pod jedną z nich — przedstawiała dwa igrające z sobą szkieleciki płodów: delikatne kremowe kosteczki, bąblaste czaszeczki usadzone wokół wzniesienia usypanego z równie delikatnych kości małych dłoni, kompletów żeber. A symetrycznie do nich ustawiono inne tableau, mniej więcej czteromiesięczne ludzkie szkieleciki stojące na wzniesieniu z (jak rozpoznałem) kamieni żółciowych porośniętych wypreparowanymi i wysuszonymi naczyniami krwionośnymi (na jednej, najgrubszej gałęzi siedział wypchany kanarek). Szkielet po lewej stronie trzymał miniaturowy sierp, drugi zaś w pozie pełnej smutku zbliżał do pustych oczodołów chusteczkę wykonaną z jakiejś wysuszonej tkanki, może płucnej? Czyjaś **Wrażliwa** dłoń przybrała całość łososiową koronką i skwitowała zgrabnym napisem na jedwabnej wstędze: „Dlaczego mielibyśmy tęsknić do rzeczy tego

świata?", co sprawiało, że trudno byłoby się przerazić tym widokiem. Byłem poruszony tym przedstawieniem, zanim jeszcze się zaczęło, bo wydało mi się, że oglądam czułe ewidencje nie śmierci, ale jakiejś małej śmierćki. Jakże mogły poważnie umrzeć, skoro się jeszcze nie narodziły?

Zajęliśmy swoje miejsca w pierwszym rzędzie wraz z innymi wyróżnionymi.

Na stojącym centralnie stole, wśród nerwowych nawołujących się szeptów, leżało już ciało przygotowane do sekcji, przykryte jeszcze kawałkiem jasnej połyskliwej tkaniny, przypominające zaledwie jego kształt. Na naszych biletach już zapowiedziano je, niczym smakowitą potrawę, spécialité de la maison: „ciało przygotowane dzięki naukowemu talentowi dra Ruyscha do zachowania i odtworzenia naturalnego koloru i konsystencji, aby mogło się wydać świeżym i prawie żywym". Ruysch trzymał składniki tej niezwykłej tynktury w ścisłej tajemnicy; zapewne owa substancja była rozwinięciem tej samej, dzięki której trwała wciąż noga Filipa Verheyena.

Wkrótce każde miejsce zostało zajęte. Na koniec porządkowi wpuścili jeszcze kilkunastu studentów; większość z nich to byli obcokrajowcy, którzy stali teraz pod ścianami wśród szkieletów w dziwnej z nimi komitywie i wyciągali szyje, żeby cokolwiek zobaczyć. Tuż przed rozpoczęciem spektaklu w pierwszym rzędzie, na najlepszych miejscach, zasiadło kilku wytwornie i z cudzoziemską ubranych mężczyzn.

Ruysch pojawił się w towarzystwie dwóch pomocników. Oni to, po krótkim wstępie profesora, jednocześnie z obu stron unieśli przykrycie i odsłanili ciało.

Nic dziwnego, że zewsząd usłyszeliśmy westchnienie.

Było to ciało młodej szczupłej kobiety; o ile wiem, drugie poddane publicznej sekcji. Do tej pory pozwalano przeprowadzać lekcje anatomii tylko na męskich ciałach. Mój wuj szepnął nam na ucho, że to jakaś włoska ladacznica, która zabiła swoje nowo narodzone dziecko. Jej śniada, gładka, doskonała skóra wydawała się stąd, z pierwszego rzędu, zaledwie metr od nas, zaróżowiona i świeża. Koniuszki uszu i palce u stóp były leciutko czerwone, jakby zbyt długo leżała w zimnym pomieszczeniu i zmarzła. Posmarowano ją zapewne jakimś olejkiem, a może była to część przerwujących zabiegów Ruyscha, bo lśniła. Brzuch od żeber zapadał się i nad tym drobnym smagłym ciałem górował wzgórek Wenery, niczym najważniejsza, najbardziej znamienna kość ustroju. Nawet dla mnie, przywykłego przecież do sekcji, był to poruszający widok. Zwykle sekcji poddawaliśmy ciała skazańców, którzy nie troszczyli się o siebie i igrali z życiem i zdrowiem. Wstrząsająca była doskonałość tego ciała i doprawdy musiałem tu docenić zapobiegliwość Ruyscha, że udało mu się je zdobyć w tak dobrym stanie i tak dobrze je przygotować.

Ruysch zaczął lekcję, zwracając się do obecnych, i starannie wymieniał tytuły wszystkich przybyłych

doktorów medycyny, profesorów anatomii, chirurgów i urzędników.

— Witam was, panowie, i dziękuję za tak tłumne przybycie. Dzięki hojności naszego magistratu odkryję przed waszym wzrokiem to, co natura schowała w naszych ciałach. I wcale nie z chęci wyładowania na tym biednym ciele złych uczuć ani z potrzeby jego ukarania za czyn, jakiego się dopuściło, ale abyśmy mogli poznać samych siebie i to, jakimi nas uczyniła ręka Stwórcy.

Oznajmił też zebrany, że ciało to ma już dwa lata, co znaczy, że przez ten czas przeleżało w kostnicy i że dzięki metodzie, którą sam wymyślił, udało się zachować je świeże do dzisiaj. Kiedy tak patrzyłem na to nagie, bezbronne piękne ciało, poczułem ścisk w gardle, a przecież nie jestem człowiekiem, na którym widok ludzkich zwłok robiłby jakieś wrażenie. Pomyślałem jednak, że można mieć wszystko i stać się każdym, jeżeli — jak mówią — mocno tego będziemy chcieli; człowiek bowiem stoi w samym centrum stworzenia i nasz świat jest światem ludzkim, nie boskim ani czymkolwiek. Jednego tylko mieć nie możemy — życia wiecznego i, na Boga, skąd przyszedł nam do głowy ten koncept, żeby być nieśmiertelnymi?

Pierwsze cięcie poprowadził fachowo wzdłuż powłok brzusznych; gdzieś po prawej stronie komuś widocznie zrobiło się niedobrze, bo na chwilę podniósł się na dole szmer.

— Ta oto młoda kobieta została powieszona — mówił Ruysch i uniósł ciało tak, żeby ukazać nam szyję; rzeczywiście widniał tu poziomy ślad, kreska zaledwie, trudno uwierzyć, że mógł być przyczyną śmierci.

Na początku skupił się na narządach jamy brzusznej. Omówił szczegółowo układ trawienny, ale zanim przeszedł do serca, pozwolił zajrzeć wszystkim niżej, tam gdzie spod wzgórka wyłuskał powiększoną po porodzie macicę. I wszystko, co robił, nawet dla nas, jego kolegów po fachu, którzy należeliśmy do tego samego cechu, przypominało magiczny pokaz. Ruchy jego jasnych, smukłych dłoni były koliste, płynne, niczym u jarmarcznych czarodziejów. Wzrok podążał za nimi zafascynowany. To drobne ciało otwierało się przed widownią, odsłaniało swoje tajemnice, ufnie, wierząc, że takie dłonie nie mogą zrobić mu krzywdy. Komentarz Ruyscha był krótki, spójny i zrozumiały. Zażartował nawet, ale z wdziękiem, niczym nie ujmując sobie godności. Wtedy też pojąłem istotę tego przedstawienia, jego popularności. Ruysch tymi krągłymi gestami zamieniał istotę ludzką w ciało i na naszych oczach odzierał je z tajemnicy; rozkładał na czynniki pierwsze, jakby rozbierał skomplikowany zegar. Groza śmierci umykała. Nie ma się czego bać. Jesteśmy mechanizmem, czymś w rodzaju zegara Huygensa.

Po przedstawieniu ludzie wychodzili milczący¹ przejęci, a to, co pozostało z ciała, zostało miłośnier-

nie przykryte tą samą tkaniną. Ale już za chwilę, na zewnątrz, gdzie słońce zupełnie rozgoniło chmury, zaczęli rozmawiać śmielej, a zaproszeni — w tym także i my — poszli do magistratu na przygotowany z tej okazji bankiet.

Filip pozostał jednak ponury i milczący i wcale nie wydawał się zainteresowany wyśmienitym jedzeniem, winem i tytoniem. Prawdę mówiąc, ja też nie miałem humoru. Myliłby się, kto by myślał, że my, anatomicy, przechodzimy nad każdą sekcją do porządku dziennego. Czasem, tak jak dziś, „unoszą się” coś, co nazywam sobie „prawdą ciała”, dziwne przekonanie, że mimo ewidentnej śmierci, mimo nieobecności duszy, pozostawione samo sobie ciało jest jakąś intensywną całością. Oczywiście, martwe ciało nie żyje; chodzi mi raczej o fakt pozostawiania w swojej formie. Forma jest na swój sposób żywa.

Ta lekcja Ruyscha otwierała zimowy sezon i teraz już regularnie będą się odbywały w De Waag wykłady, dyskusje, pokazy wiwisekcji zwierząt, zarówno dla studentów, jak i dla publiczności. A jeżeli okoliczności dostarczą świeżych ciał — także publiczne sekcje zwłok dokonywane przez innych anatomiców. Albowiem tylko Ruysch jak na razie umiał przygotować ciało zawczasu, czy nawet — jak twierdził dziś i w co trudno było mi uwierzyć — dwa lata wcześniej, i tylko on nie musi się bać letnich upałów.

Gdyby nie to, że towarzyszyłem mu następnego dnia w drodze do domu — najpierw łodzią, potem

piechotą, nigdy nie dowiedziałbym się, co dolegało Filipowi Verheyenowi. Ale i tak to, co usłyszałem od niego, wydaje mi się dziwne i niezwykle. Jako lekarz i anatom słyszałem już kilka razy o tym fenomenie, zawsze jednak kładłem owe bóle na karb przewrażliwienia nerwowego, wybujałej wyobraźni. Tymczasem Filipa znałem od lat i nikt nie mógł mu dorównać ścisłością umysłu i rzetelnością obserwacji, jak i sądów. Intelpekt stosujący prawidłową metodę może zdobyć prawdziwą i użyteczną wiedzę o najdrobniejszych szczegółach świata za pomocą własnych, wyraźnych i jasnych idei — tego nas uczył na tym samym uniwersytecie, na którym pięćdziesiąt lat temu wykładał matematykę Kartezjusz. Ponieważ w najwyższym stopniu doskonały Bóg, który obdarzył nas przecież władzami poznawczymi, nie może być zwodzicielem; jeżeli używamy tych władz właściwie, musimy dojść do prawdy.

Bóle nachodziły go w nocy, kilka tygodni po operacji, gdy ciało rozluźniało się i ślizgało na niepewnym pograniczu jawy i snu, pełnym wędrujących niespokojnych obrazów, podróżników wewnątrz sensu umysłu. Miewał wrażenie, że lewa noga mu ścierpła i koniecznie musi położyć ją we właściwej pozycji, czuł mrowienie palców, nieprzyjemne ukłucia. Wiercił się na wpół przytomny. Chciał poruszyć palcami, ale niewykonalność tego ruchu budziła go na dobre. Siadał na łóżku, zrywał z siebie kołdrę i przyglądał się bolącemu miejscu — było to jakieś trzydzieści centymetrów pod kolanem, tuż nad

zmiętym prześcieradłem. Zamykał oczy i próbował się podrapać, ale niczego nie dotykał, palce rozpaczliwie cesały pustkę, nie dając Verheyenowi żadnego ukojenia.

Kiedyś w przypływie rozpacz, gdy ból i swędzenie doprowadzały go do szaleństwa, wstał i drżącymi rękami zapalił świecę. Skacząc na jednej nodze, przeniósł na stół naczynie z odciętą nogą, które Fleur, nie mogąc się doprosić, żeby je wyniósł na strych, przykrywała kwiecistą chustą, po czym wyciągnął kończynę i w świetle świecy próbował odnaleźć w niej przyczynę bólu. Noga wydawała się teraz nieco mniejsza, skóra zbrązowiała od brandy, ale paznokcie pozostawały wypukłe, perłowe i Verheyen miał wrażenie, że urosły. Usiadł na podłodze, wyciągnął przed siebie nogi i przyłożył odciętą kończynę do miejsca tuż pod lewym kolaniem. Zamknął oczy i teraz po omacku sięgnął do bolącego miejsca. Jego ręka dotknęła zimnego kawałka mięsa — lecz nie dotknęła bólu.

Pracował nad własnym atlasem ludzkiego ciała metodycznie i wytrwale.

Więc najpierw sekcja — staranne przygotowanie modelu do szkicu, odsłonięcie jakiegoś mięśnia, wiązki nerwów, przebiegu naczynia krwionośnego, rozciągnięcie preparatu w dwuwymiarowej przestrzeni, zredukowanie do czterech kierunków: góra, dół, lewe i prawe. Używał delikatnych drewnianych szpilek, którymi pomagał sobie uczynić to, co skompli-

owane, bardzo przejrzystym i klarownym. Dopiero wtedy wychodził, starannie mył i suszył ręce, zmieniał wierzchnie ubranie, a potem wracał z papierem i grafitowym rysikiem, żeby oddać na papierze porządek.

Sekcje robił na siedząco, próbując bezskutecznie zapanować nad płynami ciała, które psuły wyrazistość i dokładność obrazu. Przenosił szczegóły na papier pospieszonymi szkicami, a potem, już w spokoju, opracowywał je starannie, detal po detalu, nerw po nerwie, ścięgno po ścięgnięciu.

Widocznie amputacja nadwerżyła jego zdrowie, bo często zapadał na osłabienia i melancholię. Ból lewej nogi, który doskwierał mu nieustannie, nazwał „fantomowym”, lecz bał się wspomnieć o tym komukolwiek, podejrzewając, że stał się ofiarą nerwowej iluzji, szaleństwa. Zapewne straciłby swoją wysoką pozycję na uniwersytecie, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział. Bardzo szybko zaczął praktykować jako lekarz i został przyjęty do cechu chirurgów. Brak nogi sprawiał, że wołano go częściej niż innych do wszelkich amputacji, jakby samo to gwarantowało powodzenie operacji, albo nawet jakby osoba beznogiego chirurga miała przynieść — jeżeli można tak to nazwać — szczęście w chorobie. Publikował szczegółowe prace dotyczące anatomii mięśni i ścięgien. Gdy w 1689 roku zaproponowano mu stanowisko rektora uniwersytetu, przeniósł się do Leuven, wioząc w bagażu szczelnie zapakowane w zwoje płótna naczynie z nogą.

To ja, Willem van Horssen byłem tym posłańcem, którego kilka lat potem w 1693 roku przysłał drukarz, by pokazać Verheyenowi wilgotne od farby drukarskiej, grube wydanie jego pierwszej książki — wielkiego atlasu anatomicznego „Corporis Humani Anatomia”. Zebrał w nim dwadzieścia lat swojej pracy. Każda rycina, wykonana doskonale, przejrzysta i klarowna, zaopatrzona była w objaśniający tekst, tak iż wydawało się, że w tej księdze ciało człowieka zostało jakimś tajemniczym zabiegiem wytrawione aż do jego esencji, pozbawione łatwo psującej się krwi, limfy, tych podejrzanych płynów, szumu życia, że objawiało swój doskonały porządek w absolutnej ciszy bieli i czerni. „Anatomia” przyniosła mu sławę i po kilku latach dzieło zostało wznowione w jeszcze większym nakładzie i stało się podręcznikiem.

Ostatni raz zjawiłem się u Filipa Verheyena w listopadzie 1710 roku, wezwany przez jego służącego. Znalazłem mojego nauczyciela w bardzo złym stanie i trudno było się z nim porozumieć. Siedział przy południowym oknie i patrzył przez nie, ale nie miałem wątpliwości, że jedyne, co może oglądać ten człowiek, to swoje wewnętrzne obrazy. Nie zareagował na moje wejście, spojrział tylko na mnie bez ciekawości i bez żadnego gestu, a potem odwrócił twarz do okna. Na stole leżała jego noga albo to, co z niej pozostało, była bowiem całkowicie rozebrana na setki, tysiące nieskończone małych części, ścięgien, mięśni i nerwów rozłożonych do swych najmniejszych

składników, i to wszystko pokrywało całą płaszczyznę stołu. Służący, prosty chłopak ze wsi, był przerażony. Bał się w ogóle wejść do pokoju swojego pana i cały czas za jego plecami dawał mi znaki, i bezgłośnie komentował jego reakcje, poruszając tylko wargami. Zbadałem Filipa, jak tylko umiałem, ale diagnoza nie była dobra — wyglądało na to, że jego mózg przestał pracować i pogrążył się w jakiejś apatii. Wiedziałem przecież, że miewał ataki melancholii; teraz czarna żółć osiągnęła poziom jego mózgu, może z powodu tych bólów, jak je nazywał, fantomowych. Poprzednim razem przyniosłem mu mapy, słyszałem bowiem, że nic tak nie leczy melancholii, jak oglądanie map. Przepisałem mu tłuste jedzenie na wzmocnienie i spokój.

Pod koniec stycznia dowiedziałem się, że umarł, i natychmiast pospieszyłem do Rijnsburga. Znalazłem jego ciało już przygotowane do pogrzebu, umyte i ogolone, leżące w trumnie. Po wysprzątany domu kręcili się jacyś krewni z Lejdy, a kiedy zapytałem służącego o nogę, ten wzruszył tylko ramionami. Wielki stół pod oknem wyszorowano i wymyto ługiem. Kiedy próbowałem dalej dociekać, co stało się z nogą, o której tyle razy Filip powtarzał, że ma być pochowana razem z ciałem, rodzina zbyła mnie. Pochowano go bez niej.

Na pocieszenie i załagodzenie sprawy wręczono mi spory plik papierów Verheyena. Pogrzeb odbył się dwudziestego dziewiątego stycznia w opactwie Vlierbeek.

Listy do amputowanej nogi

Luźne kartki, które otrzymałem po śmierci Verheyena, wprawiły mnie w konfuzję. Mój nauczyciel przez ostatnie lata swojego życia zapisywał myśli w formie listów do szczególnej adresatki, co każdemu niewątpliwie wyda się dowodem na jego szaleństwo. Jednak gdy się te pospieszne zapiski, z pewnością nie przeznaczone dla cudzych oczu, ale raczej dla własnej pamięci, przeczyta uważnie, ujrzy się w nich zapis pewnej podróży ku nieznanemu lądowi i próbę naskikowania jego map.

Długo rozważałem, co mam zrobić z tą nieoczekiwaną spuścizną, a potem zdecydowałem się jednak na niepublikowanie jej w żadnej formie. Wolę, ja jego uczeń i przyjaciel, żeby przeszedł do potomności jako świetny anatom i rysownik, odkrywca ścięgna Achillesa oraz kilku innych nie zauważonych dotąd części naszego ciała. Żebyśmy zapamiętali jego piękne ryciny i poprzestali na konstatacji, że z cudzego życia nie da się zrozumieć wszystkiego. Lecz żeby zaprzeczyć pogłoskom, jakie szerzą się po jego śmierci w Amsterdamie i Lejdzie — jakoby mistrz oszalał, pragnę tutaj pokrótce przedstawić ich kilka fragmentów i dowieść tym samym, że nie był szalony. Nie mam natomiast wątpliwości, iż Filip dał się ować szczególnej obsesji związanej ze swoim niewytłumaczalnym bólem. Obsesja jest zaś przecuciem istnienia indywidualnego języka, języka niepowtarzalnego, którym posługując się odważnie, będziemy w stanie odsłonić prawdę. Należy za tym przecuciem podążać

w rejon, które innym mogą się wydać absurdalne i szalone. Nie wiem, dlaczego ten język prawdy dla jednych brzmi anielsko, dla innych zmienia się w znaki matematyczne czy zapis nutowy. Ale są też i tacy, do których przemawia w bardzo dziwny sposób.

W „Listach do mojej amputowanej nogi” starał się Filip dowieść składowo i bez emocji, że skoro ciało i dusza są w istocie tym samym, skoro są dwoma atrybutami nieskończonego, wszystko zawierającego Boga, musi być między nimi jakiś rodzaj zaprojektowanej przez Stwórcę odpowiedniości. Totam naturam unum esse individuum. To właśnie w istocie interesowało go najbardziej: w jaki sposób tak różne substancje, jak ciało i dusza, łączą się w ludzkim ciele i na siebie działają. Jakim to sposobem rozciągnięte ciało może nawiązywać przyczynowy kontakt z nierozciągniętą duszą? Jak powstaje i skąd się bierze ból?

Pisał na przykład:

„Co w istocie pobudza mnie, gdy czuję ból i cierpienie, skoro moja noga została ode mnie oddzielona i pływa w alkoholu. Nic jej nie uwiera, nie ma powodu cierpieć, żaden taki ból nie jest uzasadniony logicznie, a jednak istnieje. Teraz na nią patrzę i jednocześnie czuję w niej, w palcach, nieznośne gorąco, jakbym zanurzył je w gorącej wodzie, i to doznanie jest tak prawdziwe, tak oczywiste, że gdybym zamknął oczy, ujrzałbym we własnym wyobrażeniu cebrzyk wody zbyt podgrzanej i własną stopę, palce aż po kostkę zanurzone. Dotykam mojej cieleśnie istniejącej kończyny w postaci kawałka zakonserwowanego ciała

— i nie czuję tego. Czuję zaś coś, co nie istnieje, jest to w sensie fizycznym miejsce puste, nie ma tam nic, co mogłoby dawać jakiegokolwiek sensacje. Boli mnie coś, co nie istnieje. Fantom. Ból fantomowy".

Zestawienie tych słów wydawało mu się na początku dziwne, ale potem zaczął chętnie używać tego wyrażenia. Robił też szczegółowe notatki z postępującej sekcji nogi. Rozkładał ją coraz bardziej, wkrótce nie pozostawało mu już nic innego, jak posługiwać się tylko mikroskopem.

„Ciało jest czymś absolutnie tajemniczym — pisał. — To, że je tak dokładnie opisujemy, wcale nie znaczy, że je poznajemy. To jak wywód z książki Spinozy, tego szlifiera soczewek, który poleruje szkło właśnie po to, żebyśmy bliżej mogli się przyjrzeć każdej rzeczy, i wymyśla arcytrudny język, żeby wyrazić swą myśl. Bo mawia się: wiedzieć to wiedzieć.

Ja chcę wiedzieć, a nie oddawać się logice. Co mi z dowodu z zewnątrz ujętego w wywód prawdziwie geometryczny; daje on tylko pozory logicznej konsekwencji i miłego dla umysłu porządku. Jest A, a po A następuje B, najpierw definicje, potem aksjomaty i numerowane twierdzenia, jakieś wnioski dodatkowe — i można mieć wrażenie, że takie dowodzenie przypomina świetnie rozrysowaną rycinę w atlasie, gdzie literami oznacza się poszczególne części i wszystko wydaje się tak jasne i przejrzyste. Ale wciąż nie wiadomo, jak to działa".

Wierzył jednak w potęgę rozumu. I że w naturze jego leży, iż rozważa on rzeczy jako konieczne, a nie

jako przypadkowe. Inaczej bowiem zanegowałby sam siebie. Przekonywał wielokrotnie, że musimy zaufać naszemu rozumowi, bo dany jest on od Boga, Bóg jest przecież doskonały, więc jakże mógłby nas zopatrzyć w coś, co będzie nas zwodzić? On nie jest zwodzicielem! Jeżeli używamy naszych władz intelektualnych we właściwy sposób, dojdziemy w końcu do prawdy, dowiemy się wszystkiego o Bogu i o nas samych, którzy jesteśmy Jego częścią, jak wszystko.

Upierał się, że najwyższym rodzajem rozumu jest jednak nie ten logiczny, ale intuicyjny. Poznając intuicyjnie, dostrzeżemy natychmiast deterministyczną konieczność istnienia wszystkich rzeczy. Wszystko, co jest konieczne, nie może być inne. Gdy sobie to dobrze uświadomić, doznamy wielkiej ulgi i oczyszczenia. Nie będziemy się już niepokoić z powodu utraty naszych dóbr, z powodu upływu czasu, starzenia się i śmierci. W ten sposób uzyskamy panowanie nad afektami i spokój ducha.

Musimy tylko zapomnieć o prymitywnej chęci sądzienia o tym, co jest dobre, a co złe, tak samo, jak człowiek ucywilizowany musi zapomnieć o prymitywnych popędach — zemście, chciwości, chęci posiadania. Bóg, czyli natura, nie jest ani dobry, ani zły; to źle używany intelekt plami nas afektami. Wierzył, że wszystka nasza wiedza o naturze jest w istocie wiedzą o Bogu. To ona uwolni nas od smutku, od rozpacz, od zawiści i trwogi, które są naszym piekłem.

To prawda, że zwracał się do nogi jak do żywej, niezależnej istoty, nie przeczę temu. Oddzielona od

niego, nabrała jakiejś demonicznej autonomii, a jednocześnie zachowywała z nim bolesny związek. Przyznaję też, że są to najbardziej niepokojące fragmenty z jego listów. Lecz jednocześnie nie mam wątpliwości, że jest to tylko metafora, pewien myślowy skrót. Miał na myśli raczej, że to, co kiedyś stanowiło całość, a potem zostało rozbite na części, nadal jest ze sobą mocno powiązane, w niewidzialny, trudny do zbadania sposób. Natura tego związku zaś nie jest jasna i z pewnością umknie mikroskopom.

Jednakże jest oczywiste, że możemy ufać jedynie fizjologii i teologii. Oto są dwa filary poznania. To, co leży pomiędzy nimi, zupełnie się nie liczy.

Czytając jego notatki, należy więc pamiętać, że Filip Verheyen był człowiekiem nieustannie cierpiącym i nie znającym przyczyny swojego bólu. Miejmy to na uwadze, gdy będziemy czytać jego słowa:

„Dlaczego mnie boli? Czy dlatego, że — jak mówi ten szlifierz i może tylko w tym się nie myli — w istocie ciało i dusza są częścią czegoś większego i wspólnego, stanami tej samej substancji, jak woda, która może być zarówno płynem, jak i ciałem stałym. Dlaczego mnie boli to, co nie istnieje? Dlaczego odczuwam brak, czuję nieobecność? Czy może jesteśmy skazani na całość i każde pokawałkowanie, poćwiartowanie, będzie tylko pozorem, zdarzy się na powierzchni, pod spodem zaś plan pozostanie nienaruszony i niezmienny? Czy najmniejszy nawet fragment nadal nie należy do całości? Gdy świat jak wielka szklana kula spada i rozbija się na miliony czę-

ści — czyż nadal w tym czymś wielkim, potężnym i nieskończonym nie pozostaje całością?

Czy mój ból to Bóg?

Moje życie spędziłem w podróży, podróżowałem do własnego ciała, do własnej odciętej kończyny. Sporządziłem najdokładniejsze mapy. Rozebrałem badaną rzecz według najlepszej metodologii na czynniki najpierwsze. Zliczyłem mięśnie, ścięgna, nerwy i naczynia krwionośne. Używałem do tego własnych oczu, ale wspierałem się także bystrzejszym wzrokiem mikroskopu. Wydaje mi się, że nie pominąłem żadnej najmniejszej części.

Dziś mogę zadać sobie to pytanie: czego szukałem?"

Opowieści do podróży

Czy dobrze robię, że opowiadam? Czy nie lepiej byłoby spać umysł spinaczem, ściągnąć lejce i wyrażać się nie historiami, ale prostotą wykładu, gdzie w zdaniu po zdaniu klaruje się jedna myśl, a w następnych paragrafach fastryguje się ją z innymi. Mogłabym używać cytatów i przypisów, mogłabym w porządku punktów czy rozdziałów zawrzeć konsekwencję dowodzenia krok po kroku, o co mi chodzi; weryfikowałabym wcześniej postawioną hipotezę i w końcu mogłabym wywiesić argumenty, jak prześcieradła po nocy poślubnej, na ludzki widok. Byłabym panią własnego tekstu, mogłabym uczciwie wziąć za niego wierszówkę.

A tak zgadzam się na rolę akuszerki, ogrodniczki, której zasługą jest co najwyżej posianie i późniejsze nudne plewienie chwastów.

Opowieść ma swoją bezwładność, nad którą nie można nigdy do końca zapanować. Domaga się takich jak ja — niepewnych siebie, niezdecydowanych, łatwych do wywiedzenia w pole. Naiwnych.

Trzysta kilometrów

Śniłam, że oglądam z góry miasta rozłożone w dolinach i na górskich zboczach. Z tej perspektywy widać było wyraźnie, że te miasta to ścięte pnie ogromnych niegdyś drzew, zapewne gigantycznych sekwoi i miłorzębów. Zastanawiałam się, jak wysokie musiały być te drzewa, skoro dziś w ich pniach mieszczą się całe miasta. Podekscytowana próbowałam obliczyć ich wysokość, posługując się prostym stosunkiem, jaki zapamiętałam ze szkoły:

A do B ma się tak, jak
C do D

$$A \times D = C \times B$$

Jeżeli A będzie powierzchnią przekroju drzewa, B — jego wysokością, C — powierzchnią miasta, natomiast D — poszukiwaną wysokością miasta-drzewa, to założę, że przeciętne drzewo ma,

powiedzmy, 1 m² powierzchni przekroju u podstawy i wysokość góra 30 m! miasto zaś (raczej mała osada) niech ma 1 ha (czyli 10 000 m²):

$$1 \text{ — } 30 \\ 10\ 000 \text{ — } D$$

$1 \times D = 10\ 000 \times 30$
to daje nam wynik 300 km.

Taki wynik otrzymałam w tym śnie. Drzewo musiałyby mieć trzysta kilometrów wysokości. Obawiam się, że ta senna arytmetyka nie może być brana poważnie.

30 000 guldenów

— To znowu nie tak wiele. Roczny dochód kupca, który handluje z koloniami, przy założeniu, że na świecie jest spokojnie i Anglicy nie aresztują holenderskich statków, o które trzeba się potem procesować w nieskończoność. To suma całkiem rozsądna. Do tego należy dodać mocne i stabilne drewniane skrzynie i koszt transportu.

Tyle właśnie wydał Piotr I, car Wszechrosji, na kolekcję preparatów anatomicznych przez lata zbieraną przez Fryderyka Ruyscha.

Car podróżował po Europie z wielką, dwuosobową świtą w 1697 roku. Oglądał zachłannie wszyst-

ko, ale najbardziej pociągały go wunderkamery. Być może też miał jakiś syndrom. Po tym, jak Ludwik XIV odmówił carowi audiencji, car osiedlił się na kilka miesięcy w Niderlandach. Kilka razy przychodził incognito, z kilkoma dobrze zbudowanymi towarzyszami, do De Waag, do theatrum anatomicum, gdzie ze skupionym wyrazem twarzy przyglądał się płynnym ruchom profesora, gdy jego skalpel otwierał i wystawiał na widok publiczny ciała skazańców. Zawarł też z mistrzem bliższą znajomość, można powiedzieć, że zostali przyjaciółmi, gdy Ruysch uczył cara preparować motyle.

Lecz najbardziej upodobał sobie kolekcję Ruyscha — setki preparatów zamkniętych w szklanych słojach, pływających w płynie, panoptikum ludzkiego ciała rozbieranego na części składowe, mechaniczny kosmos narządów. Przechodził go dreszcz, gdy patrzył na ludzkie płody, i nie mógł oderwać od nich wzroku, tak fascynujący to był widok. I dramatyczne, pełne marzeń aranżacje z ludzkich kości, które wprawiały go w miły kontemplacyjny nastrój. Musiał to mieć u siebie.

Słoje starannie zapakowano do skrzynek wymoszczonych pakułami, obwiązano szpagatem i końmi przewieziono do portu. Kilkunastu marynarzy cały dzień wynosiło pod pokład cenny towar. Sam profesor doglądał załadunku, piekląc się i złoszcząc, bo przez jeden nieostrożny ruch zniszczono już piękny przykład acefalii, bardzo rzadkiego okazu — z reguły bowiem nie konserwował aberracji, lecz starał się

oddać piękno i harmonię ciała. Teraz szklany klosz rozbił się, a słynna mieszanka konserwująca wylała się na bruk i wsiąkła między kamienie. Preparat zaś potoczył się po brudnej ulicy, pękając w dwóch miejscach. Na fragmencie szkła widniała tylko etykieta wykonana starannie ręką córki profesora, z ozdobnym napisem w czarnej ramce: „Monstrum humanum acephalum”. Rzadki okaz, nietypowy. Szkoda. Profesor zawinął go w chustkę i, kuśtykając, zaniósł do domu. Może da się jeszcze coś z nim zrobić.

Smutny to widok — pomieszczenia opustoszałe po sprzedanej kolekcji. Profesor Ruysch obrzucił je długim spojrzeniem i dostrzegł na drewnianych półkach ciemniejsze plamy — płaskie rzuty trójwymiarowych słoików, ślady we wszechobecnym kurzu, zaledwie szerokość i długość, bez cienia aluzji do zawartości.

Zbliżał się już do osiemdziesiątki, kolekcja była efektem jego pracy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, zaczął bowiem dość wcześnie. Można go zobaczyć na obrazie niejakiego Backera, jak w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat przeprowadza najlepsze lekcje anatomii w mieście. Malarzowi udało się uchwycić szczególny wyraz twarzy młodego Ruyscha — pewnością siebie i kupiecką przebiegłość. Tak, ciało przygotowane do sekcji, zwłoki młodego mężczyzny ujęte w perspektywicznym skrócie są świeże; to ciało wygląda na żywe — kolor skóry jest mlecznoróżowy, w niczym nie przypomina trupa, ugięte kolano przywodzi na myśl ruch człowieka, który nagi kładzie się

na wznak, ale instynktownie zasłania przed obcymi oczami wstydliwą część ciała. To ciało powieszono go skazańca Jorisa van Iperena, złodzieja. Okryci w czerń chirurdzy są dla tego zawstydzonego, bezbronnego martwego ciała niepokojącym kontrastem. Pokazuje on, na czym trzydzieści lat później profesor zbił fortunę — mikstura jego pomysłu bardzo długo zachowuje świeżość tkanek. Prawdopodobnie ten sam skład ma płyn, w którym Ruysch przechowuje swoje rzadkie preparaty anatomiczne — wyglądające jak żywe. W głębi duszy martwi się, że nie zdąży go już odtworzyć, choć czuje się wyjątkowo dobrze.

Córka profesora, oddana mu całkowicie pięćdziesięciolatka o delikatnych dłoniach schowanych w kremowych koronkach, właśnie organizuje dziewczyny do sprząwania. Prawie nikt nie pamięta, jak ma na imię, wystarcza jej w zupełności „córka profesora Ruyscha” i „pani”, jak się do niej zwracają sprząające. Ale my pamiętamy — to Charlotta. Ma prawo podpisywać się za ojca na dokumentach i podpisy te są nierozróżnialne. Mimo swych delikatnych dłoni, koronek i rozległej wiedzy anatomicznej nie przejdzie wraz z ojcem do historii. Nie będzie nieśmiertelna jak on — w ludzkiej pamięci i w podręcznikach. Przeżyją ją nawet preparaty, które przygotowywała z tak wielkim poświęceniem, anonimowo. Przeżyją ją te wszystkie piękne drobnutkie płody, wiodące swój cichy rajski żywot w złocistym płynie, w styksowej wodzie. Niektóre z nich, te najcenniejsze,

rzadkie jak storczyki, mają dodatkową parę rąk czy nóg, bo w przeciwieństwie do ojca fascynuje ją to, co ułomne i niedoskonałe. Mikrocefale, które udało jej się wytropić u przekupywanych położnych. Albo przerośnięte gargantuiczne jelita — u chirurgów. Prowincjonalni medycy składali córce profesora Ruyscha oferty sprzedaży osobliwych guzów, ciał z pięcioma nogami, martwych płodów bliźniąt zrosniętych głowami. Lecz najczęściej zawdzięcza miejskim akuszerkom. Była dobrą klientką, choć potrafiła się targować.

Ojciec zostawi interes jej bratu — Henrikowi, i to on właśnie znajduje się na obrazie namalowanym trzynaście lat po tamtym pierwszym — to ten, który Charlotta ogląda codziennie, schodząc na dół. Na nim jej ojciec jest już dojrzałym mężczyzną ze starannie podgoloną hiszpańską brodą. Nosi perukę; tym razem jego ręka uzbrojona w chirurgiczne nożyczki wznosi się nad otwartym ciałem niemowlęcia. Powłoki brzuszne są już dobrze rozsunięte i odkrywają porządek wnętrza. Charlottcie kojarzy się z ukochaną laleczką, która miała bladą porcelanową twarzyczkę i szmaciany tors wypchany trocinami.

Nie wyszła za męża, co przyjęto z akceptacją, poświęca się przecież ojcu. Żadnych dzieci nie będzie, nie licząc tych pięknych, bladych, pływających w alkoholu.

Zawsze żałowała, że wydano za męża Rachelę, siostrę, z którą pracowała przy robieniu preparatów. Rachelę jednak zawsze bardziej pociągała sztuka niż

nauka. Nie chciała moczyć rąk w formalinie, mdliło ją od zapachu krwi. Ozdabiała za to słoje, w których przechowywali preparaty, roślinnymi motywami. Wymyśliła też kompozycje z kości, zwłaszcza tych najmniejszych, którym potem dawała wymyślne tytuły. Jednak z mężem przeniosła się do Hagi i Charlotta została sama, bo bracia się nie liczą.

Przeciąga palcem po drewnianej powierzchni półki i zostawia na niej ślad. Za chwilę zmyją go ściereki pokazujących dziewcząt. Bardzo jej żal kolekcji, poświęciła jej całe swoje życie. Odwraca głowę do okna, żeby służące nie zauważyły łez, i widzi zwyczajny miejski ruch. Obawia się, że tam, na Dalekiej Północy, słoje nie będą należycie przechowywane ani konserwowane. Lak uszczelniający przykrywy pod wpływem oparów mieszanki konserwującej czasami traci spoistość, wtedy alkohol paruje. Napisała to wszystko bardzo dokładnie w długim szczegółowym piśmie dołączonym do kolekcji, po łacinie. Ale czy oni tam czytają po łacinie?

Dzisiaj nie uśnie. Martwi się, jakby to własnych synów wyprawiała właśnie w podróż na dalekie uniwersytety. Z doświadczenia wie jednak, że najlepszym j lekiem na zmartwienia jest praca, praca sama w sobie, która jest przyjemnością i nagrodą. Ucisza swawolące dziewczęta, które boją się jej surowej postaci. Pewnie myślą, że ktoś taki jak ona pójdzie prosto do nieba.

Ale po co jej niebo? Cóż jej po niebie anatomów? Jest ciemne i nudne, stoją tam w grupach, bez ru-

chu, nad otwartym ludzkim ciałem sami mężczyźni w ciemnych ubraniach, które ledwie odcinają się od mroku. Na ich twarzach, lekko oświetlonych odbłaskami białych kołnierzy, widnieje wyraz zadowolenia, a nawet tryumfu. Ona jest samotnicą, nie zależy jej na ludziach. Nie martwi jej więc porażka ani nie podnieca sukces. Chrząka teraz głośno, żeby dodać sobie otuchy, i wzbijając ruchem spódnicy obłok kurzu, wychodzi.

Nie idzie jednak do domu, ciągnie ją w drugą stronę, ku morzu, do portu, i po chwili dostrzega z daleka wysokie, smukłe maszty statków Kompanii Wschodnioindyjskiej; stoją na redzie, kręcą się między nimi małe łodzie, które przywożą do portu towary. Beczki i paki mają znak z VOC, przybijany stemplem. Półnadzy, błyszczący od potu, ogorzali mężczyźni znoszą po trapach skrzynie z pieprzem, goździkami i gałką muszkatołową. Zapach morza, rybny, słony jest tu przyprawiony cynamonem. Idzie wzdłuż nabrzeża, aż widzi z daleka rosyjski carski trójmasztowiec, mija go szybko, bo nie chce ani na niego patrzeć, ani wyobrazić sobie, że słoje stoją teraz w jakiejś ciemnej ładowni cuchnącej rybami, brudnej, że dotykają ich jakieś obce ręce, i będą musiały spędzić tam wiele dni, bez światła, bez ludzkich oczu.

Przyspiesza i dochodzi aż do doków, gdzie widzi, jak szykują się do wypraw statki, które już niedługo popłyną na duńskie i norweskie morza. To zupełnie inne statki niż te, które należą do Kompanii: strojne, pomalowane jaskrawo, z galionami w kształ-

cie syren i mitologicznych postaci. Te zaś są proste toporne...

Jest świadkiem sceny musztrowania. Dwóch urzędników w czarnych ubraniach i w brązowych perukach siedzi na nabrzeżu przy rozstawionym stole, przed którym stoi spora grupa chętnych — to rybacy z okolicznych wsi, oberwani, zarośnięci, nie myci od Wielkanocy, o długich czaszkach.

Przychodzi jej do głowy szalony pomysł — że mogłaby przebrać się w byle jakie męskie szmaty, nasmarować ramiona cuchnącym olejem, przyciemnić nim twarz, obciąć włosy i stawić się do tej kolejki. Czas litościwie niweluje różnice między kobietą a mężczyzną; a ona wie, że nie jest piękna, że ze swoimi obwisłymi już nieco policzkami, z ustami w nawiasie dwóch zmarszczek mogłaby uchodzić za mężczyznę. Niemowlęta i ludzie starzy wyglądają tak samo. Więc cóż ją trzyma? Ciężka suknia, obfitość halek, niewygodny biały kornet, który ciasno przytrzymuje jej marne włosy, stary, szalony ojciec, jego ataki chciwości, gdy kościstym palcem przesuwając w jej kierunku po drewnie stołu monetę na utrzymanie domu? Który w swoim starannie maskowanym szaleństwie już postanowił, że zaczynają wszystko od nowa — ona ma się przygotować. Odtworzą kolekcję w ciągu kilku lat, zapłacą akuszerkom, żeby miały się na baczności i nie przegapiły żadnego porodu czy poronienia.

Mogłaby się zaokrętować jutro; słyszała, że wciąż potrzeba marynarzy dla Kompanii. Wsiadłaby na jed-

ną z tych łodzi, która by zawiozła ją do Texel, gdzie stoi cała flota. Statki Kompanii są pękate, o wielkich brzuchach, przysadziste, żeby mogły pomieścić jak najwięcej jedwabiu, porcelany, dywanów i przypraw; przydałyby się im jeszcze wielkie usta, kacze dzioby są tak zachłanne. Byłaby majtkiem, nikt by się nawet nie zorientował; jest dość wysoka i dobrze zbudowana, piersi ścisnęłyby płócienną opaską. A gdyby się nawet wydało, byłiby gdzieś na pełnym morzu, w drodze do wschodnich Indii; cóż mogliby jej zrobić? Co najwyżej wysadziliby ją w jakimś cywilizowanym miejscu, na przykład w Batawii, gdzie podobno — widziała to na rycinach — małpy biegają stadami i przesiadują na dachach domów, a przez cały rok rosną owoce, jak w raj, i jest tak ciepło, że w ogóle nie nosi się pończoch.

Tak myśli, tak sobie wyobraża, ale potem jej uwagę przyciąga duży zwały mężczyzna i jego nagie ramię, nagi tors, wytatuowane, pokryte kolorowymi rysunkami, na których dominują statki, żagle, półrozebrane kobiety o ciemnej karnacji; to tak, jakby ten człowiek nosił historię swojego życia wypisaną na własnym ciele, zapewne te rysunki przedstawiają jego podróże i kochanki. Charlotta nie może oderwać od niego oczu. Mężczyzna zarzuca sobie na plecy bale obszyte szarym płótnem i wnosi je po trapie na niedużą łódź. Chyba czuje na sobie jej wzrok, bo spogląda na nią przelotnie, ni to się uśmiecha, ni krzyki, przecież nie jest nikim atrakcyjnym dla niego. Paniusia w czerni. Lecz ona nie może oderwać oczu

od tatuażu. Widzi na jego ramieniu kolorową rybę, wielkiego wieloryba, a ponieważ mięśnie marynarza pracują, ma wrażenie, jakby ten wieloryb był żywy i żył z człowiekiem w jakiejś niesłychanej symbiozie, na jego skórze, przyklejony do niej na zawsze, podróżujący od łopatki w stronę piersi. To wielkie zwaliste ciało robi na niej ogromne wrażenie. Czuje, jak nogi stają się powolne i ciężkie, a ciało otwiera się od dołu, tak to czuje — otwiera się, na to ramię, na tego wieloryba.

Zaciska szczęki, aż huczy jej w głowie. Zaczyna iść wzdłuż kanału w stronę domu, ale w końcu zwalnia i przystaje. Ogarnia ją dziwne uczucie, że oto woda przelewa się ponad brzeg. Łagodnie, najpierw bada pierwszymi falami miejsce swojej ekspansji, potem już naciera śmiało, wlewa się na bruk, między kamienie i za chwilę sięga pierwszych stopni schodów domów. Charlotta czuje wyraźnie ciężar żywności — jej spódnice nasiąkają wodą, stają się ołowiane, nie może się ruszyć. Czuje tę powódź w każdym calu swojego ciała i widzi, jak zdziwione łodzie obijają się o drzewa; zawsze ustawiały się dziobem pod prąd, teraz straciły kierunek.

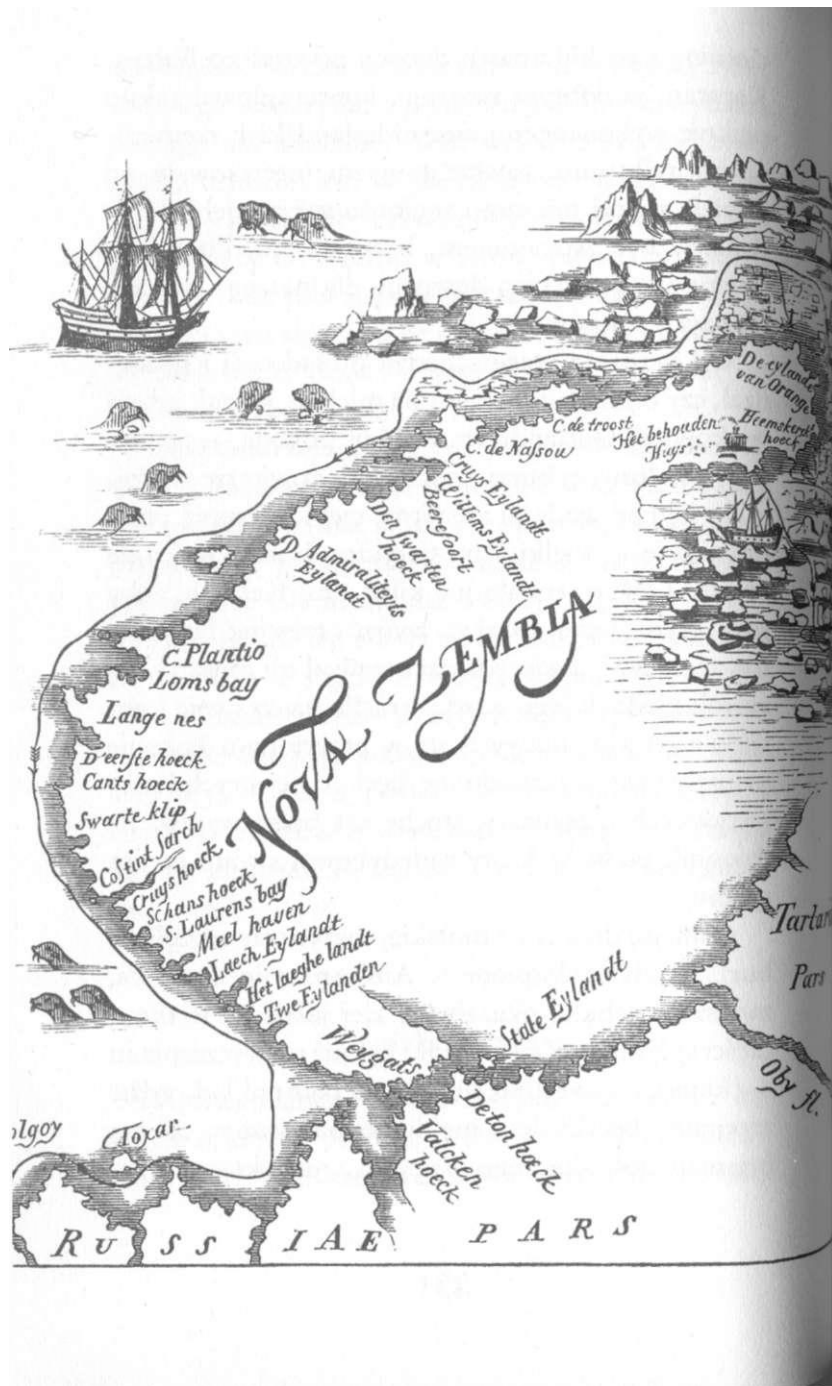
Kolekcja cara

Następnego dnia o świcie rosyjski żaglowiec z kolekcją starannie ułożoną w ładowni podniósł kotwicę i ruszył w morze. Szczęśliwie przepłynął duńskie

cieśniny i po kilkunastu dobach powitał go Bałtyk. JCapitan, w dobrym nastroju, kontemlował zakup pięknie wykonanego przez niderlandzkich rzemieślników tellurium, zawsze bowiem interesowało go **0** wiele więcej niż samo żeglowanie i w głębi duszy wolałby być astronomem, kartografem, kimś, kto sięga poza przestrzeń dostępną dla naszego wzroku i naszych statków.

Od czasu do czasu schodził do ładowni i sprawdzał, czy cenny ładunek jest na miejscu, jednak gdzieś w okolicach Gotlandii zmieniła się pogoda — po niezbyt gwałtownej burzy wiatr ustał, powietrze zatrzymało się nad wodami i ostatnie ciepło sierpnia przemieniło je w wielki atmosferyczny bursztyn. Żagle opadły i tak to trwało już kilka dni. Kapitan, żeby zająć czymś ludzi, kazał im związać i rozwijać liny, szorować pokład, a wieczorami urządzał im musztry. Po zmroku jednak jego władza traciła nieco swoje kontury, a on sam zaszywał się w przytulnym kokonie kajuty, trochę z powodu niechęci do ponurych i prymitywnych marynarzy, trochę zaś przez wzgląd na dziennik podróży, który zadedykował swoim dwóm synom.

Ósmego dnia ciszy morskiej marynarze zaczęli się burzyć, gdyż zakupione w Amsterdamie warzywa, zwłaszcza cebula, okazały się złej jakości i w dużej części spleśniały. Zapas wódki był już na wyczerpaniu — kapitan nawet bał się zajrzeć pod pokład, gdzie trzymano beczki, lecz meldunki pierwszego oficera brzmiały dość złowrogo. Kapitan z niepokojem przy-



słuchiwał się nocnemu tupotowi na pokładzie. Najpierw były to pojedyncze kroki. Potem już stukało kilka par nóg, a w końcu dochodził go zgodny trucht i rytmiczne pokrzykiwania (czyżby tańczyli?), które w końcu przechodziły w ochrypłe pijackie krzyki i nierówny śpiew na głosy, tak żałosny i pełen bólu, że przypominał mu zawodzenie jakichś morskich zwierząt. Trwało to kilka długich nocy, prawie do świtu. Za dnia widział ich podpuchnięte oczy, nabrzmiałe powieki i umykający wzrok. Jednak zarówno on, jak i pierwszy oficer uznali, że ciemności na środku nieruchomego morza nie sprzyjają rozwiązywaniu poważnych problemów. Dopiero dziesiątego dnia ciszy, w pełnym słońcu, gdy jego dystynkcje i epolety stały się widoczne, a nocnych ekscesów nie dało się już tolerować, wyszedł na pokład i zaarrestował prowadzącego, niejakiego Kałukina.

Niestety, stwierdził z drżeniem serca, że część ładunku została uszkodzona. Kilkanaście z setek przewożonych słoików zostało otwartych, a ich płynna zawartość, mocna brandy, wypita do dna. Same preparaty przetrwały i poniewierały się po podłodze, unurzane w pakułach i trocinach. Nie przyglądał im się zbyt długo. Wymiotował samotnie w swojej kajucie, z obrzydzenia i strachu. Następnej nocy trzeba było z bronią w ręku pilnować wejścia do ładowni i niewiele brakowało, żeby doszło do buntu. Sierpniowy upał czynił ludzi szalonymi. I gładkość powierzchni morza. I sam ładunek.

W końcu nie było wyjścia — kapitan kazał pozostałe szczątki zaszyć w płócienny worek i osobiście wyrzucił je za burtę. I jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, morze udobruchane tą zakąską czknęło i poruszyło się. Gdzieś znad szwedzkiego lądu przyleciał wiatr i pchnął carski żaglowiec w kierunku domu.

Po przybyciu do Petersburga musiał kapitan napisać utajniony raport. Kałukin został skazany i powieszony, a sama kolekcja, choć niekompletna, przeniesiona bezpiecznie do specjalnie na ten cel przeznaczonych pomieszczeń.

Kapitan zaś za niedopilnowanie transportu został wraz z rodziną zesłany daleko na północ, gdzie przez resztę życia organizował małe ekspedycje wielorybiczne i przyczynił się do sporządzenia dokładniejszych map Nowej Ziemi.

Irkuck—Moskwa

Samolot Irkuck-Moskwa. Startuje z Irkucka o 8.00 rano i dolatuje do Moskwy o tej samej godzinie — ósmej rano tego samego dnia. Akurat jest to moment, gdy wschodzi słońce, więc leci się cały czas o świecie. Trwa się w jednej chwili, w wielkim, spokojnym, rozległym jak Syberia Teraz.

To powinien być czas na spowiedź z całego życia. Czas płynie wewnątrz samolotu, ale nie przecieka na zewnątrz.

Ciemna materia

W trzeciej godzinie lotu, gdy mój towarzysz wrócił z toalety i musiałam wstać, żeby go przepuścić na jego wymoszczone miejsce, wymieniliśmy kilka konwencjonalnych uwag na temat pogody, turbulencji, jedzenia. W czwartej godzinie lotu jednak przedstawiliśmy się sobie. Był fizykiem. Wracał z wykładów do domu. Gdy zdjął buty, zauważyłam, że miał w skarpetce ogromną dziurę na pięcie. W ten sposób fizyczne ciało fizyka puściło do mnie oko i odtąd rozmawialiśmy swobodniej. Opowiadał mi o wielorybach, z przejęciem, ale w istocie zajmował się czym innym.

Ciemna materia — tym się zajmował. To coś, o czym wiemy, że jest, ale nie możemy tego dotknąć żadnymi narzędziami. Dowody na jej istnienie wywierają ewidentnie ze skomplikowanych obliczeń, mówią 0 niej matematyczne wyniki. Wszystko wskazuje na to, że zapełnia ona wszechświat w trzech czwartych. Nasza materia, jasna, ta, którą znamy i z której składa się nasz kosmos, jest znacznie rzadsza. Czarna zaś mieści się wszędzie, mówi ten człowiek w dziurawej skarpetce, tu koło nas, naokoło. Wygląda przez okno i wskazuje wzrokiem oślepiająco jasne chmury pod nami:

— I tam jest też. Wszędzie. Najgorsze, że nie wiemy, co to jest. I dlaczego.

Chciałam go natychmiast skontaktować z tamtymi klimatologami, którzy lecieli na kongres w Mont-

realu. Wstałam z miejsca i szukałam ich spojrzeniem, ale oczywiście uświadomiłam sobie natychmiast, że to nie ten samolot.

Mobilność jest realnością

Na lotnisku wielki billboard na przeszklonej ścianie stwierdza wszytkowiedząco:

MOBHA6HOCTIL CTAHOBMTCII PEAA6HOCTbO.

Będziemy się upierać, że to tylko reklama telefonów komórkowych.

Bieguni

W nocy nad światem wschodzi piekło. Pierwsze, co robi — to deformuje przestrzeń; wszystko czyni ciaśniejszym, bardziej masywnym, nieporuszanym. Gubią się szczegóły, przedmioty tracą swoje twarze, stają się przysadziste i niewyraźne; to dziwne, że za dnia można mówić o nich „piękne” albo „użyteczne”; teraz przypominają niezgrabne bryły, trudno odgadnąć ich przeznaczenie. Lecz w piekle wszystko staje się umowne. Cała ta dzienna różnokształtność, obecność kolorów i odcieni okazuje się zupełnie jałowa — po co to? Czemu ma służyć kremowe obicie fotela, liściasty wzorek tapety, frędzle u zasłon? Jakże ma znaczenie

zieleń sukienki przerzuconej przez oparcie krzesła; trudno teraz zrozumieć pełen pożądania wzrok, jakim była omiatana, gdy jeszcze wisiała na wystawie sklepu. Nie ma już guzików, haftek, zatrząsek; palce w ciemności napotykają tylko jakieś wybrzuszenia, szorstkości, grudki twardej materii.

Potem piekło bezlitośnie wyciąga ze snu. Czasem podsuwa jakieś niepokojące obrazy, straszne albo szydercze, na przykład obcięta głowę, ukochane ciało we krwi, ludzkie kości w popiele, o tak, lubi epatować. Ale najczęściej budzi bez żadnych ceregieli — oczy otwierają się na ciemność, teraz zacznie się potok myśli; wzrok, który celuje w czarne nic, jest ich awangardą. Nocny mózg to Penelopa, która w nocy pruje starannie utkany za dnia dywan sensów. Czasem jest to jedna nitka, czasem więcej; skomplikowany wzór rozkłada się na czynniki pierwsze — wątek i osnowę; wątek odpada, zostają proste równoległe linie, kod kreskowy świata.

Wtedy staje się to oczywiste — noc przywraca światu jego naturalny, pierwotny wygląd, nic nie fantazjuje; dzień to ekstrawagancja, światło — to tylko drobny wyjątek, niedopatrzenie, zaburzenie porządku. Świat naprawdę jest ciemny, prawie czarny. Nie ruchomy i zimny.

Siada wyprostowana na łóżku, między piersiami łaskocze ją kropla potu, nocna koszula przywiera do ciała jak liniejąca skóra, którą niedługo trzeba będzie rzucić. Annuszka nasłuchuje w ciemności i słyszy

z pokoju Pietii ciche skomlenie. Przez chwilę szuka stopami pantofli, lecz daje za wygraną. Boso biegnie do syna. Obok siebie widzi, jak porusza się mroczny kształt człowieka, z westchnieniem.

— Co? — pyta nieprzytomnie mężczyzna i opada z rezygnacją na poduszkę.

— Nic. Pietia.

Zapala małą lampkę w pokoju dziecka i od razu widzi jego oczy. Są całkiem przytomne, patrzą na nią z ciemnych dolin, jakie na jego twarzy starannie rzeźbi światło. Dotyka jego czoła, instynktownie, jak zwykle. Nie jest gorące, ale lepkie od potu, chłodne. Ostrożnie unosi chłopca do pozycji siedzącej i masuje mu plecy. Głowa syna opada na jej ramię, Annuszka czuje zapach jego potu, rozpoznaje w nim ból, nauczyła się już tego; Pietia pachnie inaczej, gdy go boli. ^J

— Wytrzymasz do rana? — pyta go szeptem, czule, jednak zaraz zdaje sobie sprawę, jakie to głupie pytanie. Dlaczego miałby wytrzymywać? Po co? Sięga po listek tabletek na stoliku nocnym, wyłuskuje jedną i wkłada chłopcu do ust. Potem jest szklanka z ciepłą wodą. Chłopiec pije, krztusi się, więc po chwili daje mu pić jeszcze raz, tym razem ostrożniej. Zaraz tabletki zacznie działać, układa bezwładne ciało na prawym boku, podciąga mu kolana pod brzuch, ma wrażenie, że tak mu będzie najwygodniej. Kładzie się przy nim na skraju łóżka i przykłada głowę do jego chudych pleców. Słyszy, jak powietrze staje się oddechem, jak przybywa do płuc i wychodzi w noc.

Czeka, aż ten proces stanie się rytmiczny, lekki, automatyczny, a potem delikatnie wstaje i na palcach wraca do łóżka. Wolałaby spać w pokoju Pietii, jak do tej pory, dopóki nie wrócił jej mąż. Tak było lepiej, była spokojniejsza, zasypiając i budząc się z twarzą odwróconą do dziecka. Nie rozkładać co wieczór podwójnej małżeńskiej kanapy, niech stoi opuszczona. Ale mąż to mąż.

Wrócił cztery miesiące temu, po dwóch latach. Wrócił w cywilnym ubraniu, w tym samym, w którym wyszedł, teraz już jakoś niemodnym, choć, jak widać, zupełnie nie używanym. Obwąchała je — nie pachniało niczym, może lekko wilgocią, tym zapachem bezruchu, zamkniętego na cztery spusty magazynu.

Wrócił inny, od razu to zauważyła, i do tej pory tym innym pozostał. Pierwszej nocy zbadała jego ciało — też było inne, twardsze, większe, bardziej umięśnione, ale dziwnie słabe.

Wymacała bliznę na ramieniu i pod włosami, które wyraźnie się przerzedziły i posiwiały. Dłonie zrobiły się masywne, palce zgrubiały, jakby pracował fizycznie. Położyła je sobie na nagich piersiach, lecz pozostały niezdecydowane. Próbowała ręką skłonić go do miłości, jednak leżał tak cicho, oddychał tak płytko, że poczuła się tym zawstydzona.

Nocami budził się z jakimś gardłowym wściekłym krzykiem, siadał w ciemnościach, a po chwili wstawał i szedł do barku w segmencie, żeby nalać sobie

wódki. Potem czuła jego owocowy, jabłkowy oddech. Wtedy ją prosił: „Dotykaj mnie, dotykaj”.

— Powiedz mi, jak tam było, to ci ulży, powiedz — mówiła mu szeptem do ucha, kusiła gorącym oddechem.

Ale nie powiedział.

Gdy ona zajmowała się Pietią, on chodził po mieszkaniu w pasiastej piżamie, pił kawę, istną siekierę, patrząc przez okno na osiedle. Potem zaglądał do pokoju chłopca, czasami kucał przy nim i próbował nawiązać z nim jakiś kontakt. A później włączał telewizor i zaciągał żółte zasłony, tak że światło dnia robiło się chore, gęste, rozgorączkowane. Ubierał się dopiero koło południa, gdy miała przyjść do Pietii pielęgniarka, a i to nie zawsze. Czasami po prostu zamykał drzwi i wtedy dźwięk telewizora się zamykał, stawał się jątrzącym szmerem, wezwaniem do świata, które straciło jakikolwiek sens.

Pieniądze przychodziły regularnie co miesiąc. Nawet spore — wystarczało na lekarstwa dla Pietii, na nowy, rzadko używany wózek, na pielęgniarkę.

Dziś nie będzie się zajmować chłopcem, dziś ma wychodne. Zaraz przyjedzie teściowa, i nie wiadomo do kogo bardziej przyjedzie — do syna czy do wnuka, o którego z nich będzie się troszczyć z większą czułością. Postawi koło drzwi kraciatą plastikową torbę i wyciągnie z niej nylonową podomkę i klapki, domowy strój. Zajrzy do synka, zapyta go o coś, a on odpowie, nie odrywając wzroku od telewizora: tak lub nie.

jsfic więcej, nie ma co czekać, więc pójdzie do wnuka. Trzeba go umyć i nakarmić, zmienić przepoconą i zasikaną pościel, dać leki. Potem nastawić pranie i wziąć się do gotowania. Później zabawa z dzieckiem, jeżeli jest ładna pogoda, można chłopca wynieść na balkon, choć nie za wiele jest stamtąd do oglądania .__bloki jak wielkie szare rafy koralowe wyschniętego morza, zaludnione przez ruchliwe organizmy, oparte o niewyraźny horyzont wielkiego miasta, ogromnej Moskwy. Lecz chłopiec zawsze przenosi wzrok na niebo, zawisa na podbrzuszu chmur i wędruje z nimi przez jakiś czas do granic pola widzenia.

Annuszka jest wdzięczna teściowej za ten jeden dzień w tygodniu. Wychodząc, całuje ją w miękki, aksamitny policzek, przelotnie. Tyle się widzą, zawsze w drzwiach, i zaraz zbiegnie po schodach, im niżej, tym bardziej lekka. Ma przed sobą cały dzień. Ale wcale nie poświęci go sobie, lecz załatwi kilka spraw. Opłaci rachunki, zrobi zakupy, pójdzie po recepty dla Pietii, na cementarz i w końcu pojedzie na drugi koniec tego ogromnego nieludzkiego miasta, żeby posiedzieć w mroku i popłakać. Trwa to naprawdę długo, bo wszędzie są korki, więc ściśnięta między ludźmi patrzy przez szyby autobusu na wielkie auta o zaciemnionych szybach, które bez wysiłku, jakimś diabelskim sposobem posuwają się do przodu, mimo że wszystko stoi. Patrzy na skwery pełne młodzieży, na przenośne bazyry, w których handluje się tanim chińskim towarem.

Zawsze ma przesiadkę na Dworcu Kijewskim i tam, wydobywając się z podziemnych platform, mi-

ja wielu ludzi. Nikt jednak nie przyciąga jej uwagi, nikt jej tak nie przeraża jak ta dziwna postać, stojąca przy wyjściu, na tle prowizorycznych płotów, które osłaniają rozkopane fundamenty jakiejś rozpoczętej budowli, płotów obklejonych reklamami tak gęsto, że wydają się krzyczeć.

Ta kobieta chodzi w kółko po pasie nie zagospodarowanej ziemi, między murem a dopiero co położonymi płytami chodnika — w ten sposób świadczy pochodowi ludzi, jaki ciągnie nieprzerwanie, odbiera tę defiladę zmęczonych, spieszących się przechodniów, którzy najczęściej znajdują się dopiero w połowie podróży z pracy do domu lub odwrotnie; zaraz zmienia środek komunikacji, przesiadają się z metra na autobus.

Jest ubrana inaczej niż wszyscy — ma na sobie mnóstwo rzeczy: spodnie, a na nich kilka spódnic, lecz skomponowanych tak, że jedna wystaje spod drugiej, warstwami; i tak samo góra — składa się z wielkiej liczby koszul, serdaków, kamizelek. A na samym wierzchu szara pikowana fufajka, szczyt wyrafinowanej prostoty, echo dalekiego wschodniego klasztoru czy obozu pracy. Wszystko to razem ma jakiś estetyczny sens, nawet podoba się Annuszcze, wydaje się, że kolory są dobrane starannie, ale może nie jest to ludzki wybór, lecz haute couture entropii — błędnych barw, strzępienia się i parcenia.

Jednak najdziwniejsza jest głowa — szczelnie owinięta strzępem materiału, dociśniętego czapką uszan-
ką — i zakryta twarz; widać tylko usta, które bez-

„stannie wykrzykują przekleństwa. Ten widok jest tak wstrząsający, że Annuszka nigdy nie stara się zrozumieć, jaka treść zawiera się między przekleśtwa-
mi. I teraz też mija ją, przyspieszając kroku, boi się, że kobieta mogłaby ją zaczepić, że w potoku wściek-
łych słów mogłoby się pojawić jej imię.

Jest przyjemna grudniowa pogoda, chodniki są suche, odśnieżone, a buty wygodne. Annuszka nie wsiada do autobusu, lecz przechodzi przez most i teraz maszeruje wzdłuż kilkupasmojowej szosy, czując się, jakby szła nadbrzeżem wielkiej rzeki pozbawionej mostów. Cieszy ją ten marsz, płakać będzie dopiero w swojej cerkwi, w ciemnym kącie, gdzie zawsze przykłęka i trwa w tej niewygodnej pozycji tak długo, aż straci czucie w nogach, aż osiągnie kolejny etap po drętwieniu, pieczeniu i bólu — wielkie nic. Teraz jednak przekłada torebkę przez ramię i mocno trzyma plastikową torbę, z której sterczą tak samo plastikowe kwiaty na cementarz. Stara się nie myśleć o niczym, a zwłaszcza o miejscu, z którego wyszła. Zbliża się już do najelegantszej dzielnicy miasta, więc ma na czym zawiesić wzrok — pełno tu sklepów, gdzie smukłe gładkie manekiny obojętnie demonstrują najdroższe ubrania. Annuszka przystaje, żeby przyjrzeć się damskiej torebce wyszytej milionem koralików, ozdobionej tiulem i koronką; istne cudo. W końcu dociera do specjalistycznej apteki, gdzie musi odczekać swoje. Za to dostanie potrzebne leki. Daremne leki, zaledwie uśmierzą objawy.

Na straganie kupuje torebkę pierożków i zjada je, siedząc na ławce na skwerku.

W jej niewielkiej cerkwi jest mnóstwo ludzi, turystów. Młody pop, który zwykle krząta się po świątyni jak kupiec wśród swoich towarów, tym razem jest zajęty — opowiada turystom o historii budowli i ikonostacie. Mówi śpiewnie dobrze wyuczoną lekcję, jego głowa na smukłym, wysokim ciele wystaje ponad tłumek, jego piękna jasna broda przypomina niebywałą aureolę, która zsunęła się z głowy i opadła na piersi. Annuszka wycofuje się rakiem, jakże będzie mogła się modlić i płakać w towarzystwie turystów. Czeką i czekają, ale wchodzi następna grupa i w tej sytuacji Annuszka postanawia znaleźć inne miejsce na swoje łzy — trochę dalej jest kolejna cerkiew, mała i stara, najczęściej zamknięta. Kiedyś tam weszła, ale nie spodobało jej się — odepchnął ją chłód i zapach wilgotnego drewna.

Jednak teraz nie wybrzydza, musi znaleźć miejsce, gdzie mogłaby wreszcie płakać, miejsce zaciszne, ale nie puste; musi tam być wyczuwalna obecność czegoś od niej większego, wielkich rozwartych ramion, drżących od życia. Annuszka musi też czuć na sobie czyjś wzrok, żeby jej płacz był przez kogoś widziany, żeby nie mówiła w próżnię. Mogą to być namalowane na drewnie, zawsze otwarte oczy, których nic nie zmęczy, oczy wieczyście spokojne, niech jej świadkują bez mrugnięcia.

Bierze trzy świece i wrzuca monety do puszek. Pierwsza jest za Pietię, druga za milczącego męża,

trzecia za teściową w non-ironowej podomce. Odpała je od innych, nielicznych, jakie się tutaj świecą, i wzrokiem znajduje sobie miejsce po prawej stronie, w ciemnej niszy, tak żeby nie przeszkadzać modlącym się starym kobietom. Zegna się z rozmachem trzy razy i ten gest otwiera jej rytuał płaczu.

Lecz gdy podnosi oczy do modlitwy, z mroku wyłania się ku niej inna twarz — wielka twarz mrocznej ikony. To kawał kwadratowej deski zawieszony wysoko, prawie pod kopułą cerkwi, a na niej proste oblicze Chrystusa, namalowane odcieniami brązu i szarości. Twarz ciemna, na ciemnym tle, bez żadnej aureoli, bez korony; żarzą się tylko oczy wpatrzone wprost w nią, tak jak chciała. Jednak nie o taki wzrok chodziło Annuszce, oczekiwała łagodnych oczu pełnych miłości; ten ją unieruchamia, hipnotyzuje. Kurczy się ciało Annuszki pod tym wzrokiem. On przybył tutaj na chwilę, spływa spod sufitu z daleka, z najgłębszej ciemności — tam jest miejsce Boga, tam się ukrył. Temu Bogu niepotrzebne jest żadne ciało, on ma tylko twarz, z którą teraz ona musi stanąć oko w oko. Wzrok ten jest przenikliwy, wkręca się bolesnym śrubokrętem do wnętrza jej głowy, nawierca dziurę w mózgu. To mogłaby być twarz nie zbawiciela, lecz topielca, który jednak nie umarł, ale schronił się przed wszechobecną śmiercią pod wodą, a teraz za sprawą niepojętych prądów podpływa pod powierzchnię, przytomny, arcyświadomy i mówi: patrz, oto jestem. Jednak ona nie chce go oglądać, spuszcza oczy; nie chce wiedzieć — że Bóg jest słaby

i przegrał, wygnano go i ukrywa się po śmietnikach świata, w jego cuchnących czeluściach. Nie ma po co płakać, to nie jest miejsce na łzy. Ten Bóg nie pomoże, ani wesprze, ani doda otuchy, nie oczyści, nie zbawi. Wzrok topielca patrzy w jej czubek głowy, słyszy pomruk, daleki podziemny grzmot, wibrację pod posadzką cerkwi.

To dlatego, że dzisiaj prawie nie spała, prawie nie jadła, robi jej się słabo. Łzy nie płyną, zostały po nich wyschnięte koryta.

Podrywa się z miejsca i wychodzi. Idzie sztywno, prosto do metra.

Wydaje się, że czegoś doświadczyła, coś przez nią przeszło, coś naprężyło ją w środku jak strunę, aż wydała czysty dźwięk, niesłyszalny dla nikogo. Ten dźwięk był cichy i przeznaczony dla jej ciała — krótki koncert w kruchej koncertowej muszli. Lecz ona wciąż jeszcze nasłuchuje, cała jej uwaga skierowana jest do środka, do wnętrza, ale słyszy w uszach tylko pulsowanie własnej krwi.

Schody jada w dół, ma wrażenie, że trwa to nieskończenie długo, jedni w dół, drudzy w górę. Zwykle wzrok prześlizguje się po twarzach innych, lecz teraz oczy Annuszki, porażone tamtym widokiem, są bezradne — zatrzymują się na każdym mijanym człowieku i każda twarz jest jak uderzenie w policzek, mocne, siarczyste. Za chwilę nie będzie już mogła znieść tego widoku, będzie musiała zasłonić sobie oczy jak tamta wariatka sprzed dworca i tak samo jak ona zacznie wykrzykiwać przekleństwa.

— Zmiłuj się, zmiłuj — szepcze i wpija się palcami w poręcz schodów, która porusza się szybciej niż schody; jeżeli Annuszka jej zaraz nie puści — upadnie.

Widzi milczące mrowie ludzi, którzy jada w dół i w górę, ramię w ramię, w tłoku. Każdy z nich sunie jak po linie do swojego miejsca, gdzieś na dalekich peryferiach miasta, na dziesiątym piętrze, gdzie może naciągnąć na głowę kołdrę i zapaść w sen składający się ze strzępków dni i nocy. I właściwie rano ten sen nie mija, strzępki układają się w kolaże, w plamy; niektóre konfiguracje są sprytne — można by powiedzieć: przemyślane.

Widzi kruchość ramion, delikatność powiek, niestałą linię warg, którą łatwo wykrzywia grymas, widzi, jak słabe są dłonie, jak słabe nogi — nie doniosą do żadnego celu. Widzi serca, jak uderzają miarowo, jedno szybciej, drugie wolniej, zwykły mechaniczny ruch, torebki płuc przypominają brudne reklamówki, słyszy szelest oddechów. Ubrania stały się przezroczyście, więc ogląda zaślubiny z entropią. Biedne, brzydkie nasze ciała, materia przeznaczona bez wyjątku na przemiał.

Ruchome schody wiozą te wszystkie istoty wprost do czeluści, do otchłani, oto oczy cerberów w przeszklonych budkach u końca schodów, oto oszukańcze marmury i kolumny, potężne rzeźby demonów — jedno z sierpem, drugie ze snopem zboża. Potężne nogi jak kolumny, ramiona olbrzymów. Traktory — piekielne maszyny ciągną ostre, zębate narzędzia

tortur, którymi zadają ziemi nie gojące się rany. Ze wszystkich stron ściśnięte grupy ludzi, ich w panice wznoszone błagalnie ręce, ich usta otwarte do krzyku. To Sąd Ostateczny odbywa się tu, w podziemiach metra, oświetlonego kryształowymi żyrandolami, które rzucają żółte martwe światło. Sędziów wprawdzie nie widać, ale wszędzie czuć ich obecność. Annuszka chce się cofnąć i pobiec w górę pod prąd, ale schody jej nie puszcza, musi zjechać na dół, nic nie będzie jej oszczędzone. Usta podziemnych pociągów otworzą się przed nią z sykiem i wessa ją w siebie mroczne tunele. Ale przecież otchłań jest wszędzie, nawet na górnych piętrach miasta, nawet na dziesiątych i szesnastych piętrach wieżowców, na szczytach iglic, na czubkach anten. Nie ma przed nią ucieczki, czy właśnie nie o tym krzyczała między przekleństwami ta wariatka?

Annuszka zatacza się i opiera ramieniem o mur. Na jej flauszowym płaszczu zostają białe ślady tynku, ściana ją namaściła.

Musi się przesiąść, jest już ciemno, wysiada na chybił trafił, bo przez szyby autobusu nic nie widać, mróz narysował już na nich srebrzyste gałązki — ale zna trasę na pamięć, nie pomyliła się. Jeszcze kilka podwórek — idzie na skróty — i zaraz będzie przed swoim blokiem. Lecz zwalnia, nogi nie chcą jej nieść do celu, stawiają opór, kroki robią się coraz mniejsze. Annuszka staje. Podnosi głowę wysoko i widzi, że w oknach jej mieszkania świecą się światła. Na pewno na nią czekają — więc rusza, ale po chwili znowu sta-

je. Zimny wiatr przenika przez jej płaszcz, rozwiewa jego poły, lodowatymi palcami chwyta ją za uda. Jego pieszczoty są jak żyłki, jak potłuczone szkło. Leca jej po policzkach łzy z zimna i wiatrowi w to graj, bo już znalazł powód, żeby ją szczypać w twarz. Annuszka rzuca się do przodu, w stronę klatki schodowej, ale tuż przed drzwiami zawraca i stawiając kołnierz, szybkim krokiem wraca tam, skąd przyszła.

Ciepłej jest tylko w dużej poczekalni Dworca Kijewskiego albo w toaletach. Stoi niezdecydowana, gdy przechodzą koło niej patrole (idą zawsze wolnym, luźnym krokiem, ciągnąc lekko nogi, jakby się przechadzali po nadmorskim bulwarze), udaje, że czyta rozkład jazdy; sama nie wie, dlaczego się boi, przecież nie zrobiła nic złego. Zresztą patrole zainteresowane są czym innym — bezbłędnie wyłuskują z tłumu smągłoskórych mężczyzn w skórzanych kurtkach i ich kobiety w chustach.

Wychodzi przed dworzec i widzi z daleka, że ta zakutana wciąż jeszcze tam drepcze, głos ochrypł jej od przekleństw, właściwie to i same przekleństwa nie są już rozpoznawalne. Więc dobrze — po chwili wahania podchodzi do niej spokojnie i staje przed nią. Tamta zacina się tylko na chwilę, widocznie dobrze ją widzi przez materiał, którym ma zakrytą twarz. Annuszka robi jeszcze jeden krok do przodu i stoi teraz tak blisko niej, że czuje jej zapach — kurzu i stęchlizny, starego oleju. Tamta mówi coraz ciszej, w końcu wypada z transu i milknie. Dreptanie zamie-

niła na kołysanie się, jakby nie mogła się zatrzymać. Stoją naprzeciwko siebie przez chwilę bez ruchu, mijają ich przechodnie, ale obojętnie, ktoś tylko rzuci w ich stronę wzrokiem; spieszą się, ich kolejki odjeżdżają za chwilę.

— Co ty mówisz? — pyta Annuszka.

Zakutana kobieta nieruchomieje, wstrzymuje ze zdumienia oddech, a potem rusza spłoszona w bok, w stronę przejścia przez budowę, nad zamarzłym błotem. Annuszka idzie za nią, nie spuszcza z niej oczu, jest kilka kroków za plecami tamtej, za fufajką, za drobiaźnymi małe kroczyki walonkami. Nie pozwoli jej uciec. Kobieta ogląda się przez ramię i próbuje przyspieszyć kroku, prawie biegnie, lecz Annuszka jest młoda i silna. Ma mocne mięśnie, tyle razy znosiła na sam dół i wózek, i Pietię, tyle razy wносиła na górę, gdy psuła się winda.

— Ej, ty! — woła od czasu do czasu, ale tamta w ogóle nie reaguje.

Przechodzą przez podwórka między domami, mijają śmietniki i wydeptane skwery. Annuszka nie czuje zmęczenia, gubi tylko torbę z kwiatami na cmentarz, szkoda czasu wracać po nią.

W końcu kobieta kuca i dyszy, nie mogąc złapać tchu. Annuszka zatrzymuje się kilka metrów za nią i czeka, aż wstanie i odwróci się do niej. Przegrała, musi się poddać. I rzeczywiście, tamta patrzy przez ramię i widać jej twarz, ściągnęła zakrycie z oczu. Ma jasnoniebieskie tęczy; przestraszone, patrzą w buty Annuszki.

— Czego ode mnie chcesz? Dlaczego mnie gonisz?

Annuszka nie odpowiada, czuje się, jakby złowiła wielkie zwierzę, tłustą rybę, wieloryba, z którym teraz nie wie, co zrobić; żal jej tego trofeum. Kobieta się boi, widocznie ze strachu uciekły z ust wszystkie słowa.

— A ty z policji?

— Nie — mówi Annuszka.

— No to czego?

— Chcę wiedzieć, co ty mówisz. Przecież coś mówisz cały czas, widzę cię co tydzień, jak jadę do miasta.

Na to tamta odpowiada już odważniej:

— Nic nie mówię. Zostaw mnie.

Annuszka pochyla się nad nią i wyciąga rękę, żeby pomóc jej wstać, ale ręka zmienia zamiar i głaszcze kobietę w policzek. Jest ciepły, miły, miękki.

— Nie chciałam nic złego.

Tamta najpierw nieruchomieje, zaskoczona dotknięciem, potem jednak, zdaje się, udobruchana tym gestem, gramoli się i wstaje.

— Jestem głodna — mówi. — Chodźmy, tutaj zaraz jest kiosk, są tanie zapiekanki, kupisz mi coś do jedzenia.

Idą w milczeniu ramię w ramię. Przy budce Annuszka kupuje dwie długie bułki z serem i pomidorami, patrząc, żeby tamta jej nie uciekła. Sama nie może jeść. Trzyma zapiekankę przed sobą, jak flet, na którym zaraz zagra zimową melodię. Siadają na

murku. Tamta zjada swoją, a potem bierze bez słowa bułkę Annuszki. To stara kobieta, starsza niż teściowa. Policzki ma podrapane zmarszczkami, biegną na ukos od czoła ku brodzie. Gryzie z trudem, bo straciła zęby. Plastry pomidora uciekają jej spomiędzy kromek, łapie je niezdarnie w ostatniej chwili i starannie wsadza na miejsce. Odrywa duże kęsy samymi wargami.

— Nie mogę wrócić do domu — mówi nagle Annuszka i patrzy pod nogi. Jest nawet trochę zaskoczona tym, że powiedziała coś takiego, i dopiero teraz myśli z przerażeniem, co to znaczy. Tamta w odpowiedzi pomrukuje niewyraźnie, ale przełknąwszy kęs, pyta:

— Masz adres?

— Mam — mówi i recytuje: — Kuzniecka 46 przez 78.

— To go po prostu zapomnij — wtrąca kobieta z pełnymi ustami.

Workuta. Urodziła się tutaj pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy bloki, które teraz wydają się wiekowe, dopiero powstawały. Pamięta je jako nowe — szorstki tynk, zapach betonu i azbestu, którym wypełniano izolację. Obiecująca gładkość płytek PCV. Jednak w zimnym klimacie wszystko starzeje się szybciej, mróz niszczy spoistą strukturę ścian, spowalnia elektrony w ich nieustannym krążeniu.

Pamięta oślepiającą biel zim. Biel i ostre krawędzie światła na wygnaniu. Taka biel istnieje jedynie

po to, żeby stworzyć ramy dla ciemności, tej jest zdecydowanie więcej.

Ojciec był palaczem w wielkiej ciepłowni, matka pracowała w stołówce i dlatego nie powodziło im się najgorzej — zawsze coś przyniosła. Teraz Annuszka myśli, że wszyscy tam cierpieli na jakąś dziwną chorobę, to był wielki, ukryty głęboko w ciele, pod ubraniami, smutek, a może coś więcej niż smutek, jednak nie przychodzi jej do głowy odpowiednie słowo.

Mieszkali na siódmym piętrze ośmiopiętrowego wieżowca, jednego z wielu, ale z czasem, gdy dorastała, górne kondygnacje pustoszały, ludzie wyprawiali się do bardziej przyjaznych miejscowości, zazwyczaj do Moskwy, wszędzie, byle dalej stąd. Ci, którzy zostawali, przechodzili niżej, zajmowali puste mieszkania na dole, tam gdzie cieplej, bliżej do ludzi, do ziemi. Mieszkać na ósmym piętrze w czasie kilkumiesięcznej polarnej zimy to tak, jakby wisieć u betonowego sklepienia świata w zamrożonej kropelki wody, w środku zimnego piekła. Kiedy ostatnio odwiedziła siostrę i matkę, mieszkały na parterze. Ojciec umarł już dawno temu.

To szczęście, że Annuszka dostała się do dobrej szkoły pedagogicznej w Moskwie; nieszczęście, że jej nie skończyła. Gdyby ją skończyła, byłaby teraz nauczycielką i być może nigdy nie poznałaby mężczyzny, który został jej mężem. Ich geny nie szczepiłyby się w zjadliwą mieszankę, winną temu, że Pietia przyszedł na świat zakażony chorobą, na którą nie ma lekarstwa.

Wiele razy Annuszka próbowała handlować z kim się dało, z Bogiem, z Matką Boską, ze świętą Praskowią Męczennicą, z całym ikonostasem, a nawet z jakimś bliżej nieokreślonym światem, losem. Ja pójdę za Pietię, ja wezmę jego chorobę, ja umrę, niech on wyzdrowieje. Mało tego — dokładała jeszcze na szalę życie innych: swojego milczącego męża (niech go tam zastrzela) i swoją teściową (niech dostanie wylew). Ale oczywiście nie było żadnej odpowiedzi na tę ofertę.

Kupuje bilet i zjeżdża na dół. Wciąż jest tłok, ludzie wracają z miasta do łóżek, spać. Niektórzy już przysypiają w wagonach. Ich rozespiane oddechy tworzą na szybach mgiełki; można na nich palcem coś narysować, cokolwiek, nieważne, bo i tak zaraz zniknie. Annuszka dociera do końcowej stacji, to Jugo Zapadnaja, wysiada i zatrzymuje się na peronie, żeby po chwili zrozumieć, że pociąg będzie wracał, ten sam. Zajmuje więc swoje miejsce i odtąd jeździ tam i z powrotem, aż po kilku takich kursach zmienia linię na Kolcową. Teraz jeździ w kółko, a około północy dociera do Kijewskiej jak do domu. Tam siedzi na peronie, aż jakaś groźna porządkowa każe jej wyjść, bo już zamykają metro. Wychodzi niechętnie — na dworze mróz jest siarczasty, ale potem znajduje małą knajpę przy dworcu, z telewizorem umieszczonym pod sufitem; przy stolikach siedzi kilku zagubionych podróżnych. Zamawia herbatę z cytryną, jedną, potem drugą; później barszcz, niedobry, wodnisty,

i z głową podpartą ręką zapada w krótką drzemkę, jest szczęśliwa, bo nie ma w głowie żadnej myśli, żadnego zmartwienia, żadnych oczekiwań ani nadziei. Dobry to stan.

Pierwszy pociąg jest jeszcze pusty. Potem na każdej kolejnej stacji dosiada się coraz więcej ludzi, aż w końcu tłok jest tak wielki, że Annuszka stoi wciśnięta między plecy jakichś olbrzymów. Ponieważ nie może dosięgnąć uchwytu, skazana jest na to, że te anonimowe ciała ją podtrzymują. Potem nagle ciżba się przerzedza, na następnej stacji robi się już pusto. Zostaje zaledwie kilka osób. I Annuszka uczy się, że niektórzy ludzie nie wysiadają na końcowych stacjach. Ona sama wysiada i zmienia pociąg. Ale widzi takich przez szyby, znajdują sobie miejsca na końcu wagonu i ustawiają przy nogach swoje reklamówki albo plecaki, zwykle parciane, stare. Drzemią z przykniętymi oczami albo odwijają z papierów jakieś jedzenie i, żegnając się kilka razy i mamrocząc, z namaszczaniem żują.

Zmienia pociągi, bo boi się, że ktoś mógłby ją zauważyć, że mógłby ją złapać za rękę, potrząsnąć i — co najgorsze — gdzieś zamknąć. Czasem przechodzi tylko na drugą stronę peronu, a czasem go zmienia; wtedy wędruje ruchomymi schodami, tunelami, nigdy nie czytając żadnych napisów, zupełnie wolna. Jedzie na przykład na Czystyje Prudy, przesiada się z Sokolniczeskiej na Kałusko-Ryską i jedzie na Miedwiedkowo i z powrotem na drugi koniec miasta.

Zatrzymuje się w toaletach, żeby się oporządzić, żeby wyglądać schludnie, nie dlatego, że ma taką potrzebę (prawdę mówiąc — nie ma), ale żeby przez rozchętanie nie zostać przyważoną przez którąś z tych cerberek, co w przeszklonych budkach pilnują ruchomych schodów. Podejrzewa, że one nauczyły się spać z otwartymi oczami. W kiosku kupuje podpaski, mydło, najtańszą pastę do zębów i szczoteczkę. Całe popołudnie przesypia, jeżdżąc linią Kolcową. Wieczorem wydobywa się schodami na powierzchnię, żeby sprawdzić, czy nie spotka przed dworcem zakutanej — ale nie, nie ma jej. Jest zimno, jeszcze zimniej niż wczoraj, więc z ulgą wraca pod ziemię.

Kolejnego dnia zakutana jest na swoim miejscu, kołysze się na sztywnych nogach i wykrzykuje bełkotliwe przekleństwa. Annuszka staje na linii jej wzroku, po drugiej stronie przejścia, ale tamta widocznie jej nie widzi, pogrążona w lamentacjach. Wreszcie Annuszka, korzystając z tego, że przez chwilę robi się pusto, staje na wprost niej.

— Chodź, kupię ci bułkę.

Kobieta nieruchomieje, wyrwana ze swojego transu, rozciera ręce w rękawiczkach, przytupuje tak jak sprzedawczyni na bazarze, która przemarzła na kość. Idą razem pod kiosk. Annuszka naprawdę cieśzy się, że ją widzi.

— Jak ty masz na imię? — pyta.

Tamta, zajęta bułką, wzrusza tylko ramionami. Po chwili jednak mimo pełnych ust mówi:

— Galina.

— A ja Annuszka.

To tyle rozmowy. Na koniec, gdy mróz przegania je z powrotem w stronę dworca, Annuszka pyta jeszcze:

— Galina, gdzie ty śpisz?

Zakutana każe jej przyjść po zamknięciu metra tu pod kiosk.

Cały wieczór Annuszka jeździ tą samą linią i obojętnie przygląda się swojej twarzy, która odbija się w oknie na tle ciemnych ścian podziemnych tuneli. Poznaje już przynajmniej dwóch ludzi. Nie śmiałyby ich zaczepić. Z jednym z nich jechała kilka przystanków — to wysoki, chudy mężczyzna, niestary, może nawet młody, trudno powiedzieć. Jego twarz przykrywa rzadka jasna broda, która sięga mu do piersi. Mężczyzna ma czapkę z daszkiem, zwykłą wytartą leninówkę, długi szary płaszcz z wypchanymi czymś kieszeniami i wyblakły plecak. Do tego wysokie sznurowane buty i wystające z nich ręcznie robione skarpety, które ciasno obejmują nogawki brązowych spodni. Wydaje się nie zwracać na nic uwagi, jest zatopiony w swoich myślach. Z werwą wyskakuje na peron stacji, sprawia wrażenie, że zdąża do jakiegoś dalekiego, ale konkretnego celu. Annuszka widziała go też dwa razy z peronu; raz spał w jakimś zupełnie pustym składzie, który, zdaje się, jechał już na nocny spoczynek; drugi raz, też drzemiącego, opartego czołem o szybę; jego oddech wyczarował na niej mgiełkę, która zasłaniała mu pół twarzy.

Drugi zapamiętany przez Anuszkę — to starzec. Chodzi z pewnym trudem, ma laskę, czy może lepiej powiedzieć: kostur, gruby kij zakończony zagięciem. Gdy wchodzi do wagonu, musi złapać jedną ręką za drzwi, wtedy najczęściej ktoś mu pomaga. W środku ludzie niechętnie, ale jednak ustępują mu miejsca. Wygląda jak żebrak. Tego Annuszka próbuje upolować, tak jak przedtem upolowała zakutaną. Lecz udaje jej się tylko to, że jedzie z nim przez jakiś czas tym samym wagonem, stoi przed nim mniej więcej pół godziny, tak że zna na pamięć każdy szczegół jego twarzy, jego ubrania. Ale nie śmie go zaczepić. Mężczyzna ma spuszczoną głowę, nie zwraca uwagi na to, co się dzieje wokół. Potem tłum ludzi wracających z pracy zagarnia ją ze sobą. I ona daje się unosić ciepłemu strumieniowi, który składa się z zapachów i dotknięć. Oswabadza się z niego dopiero za bramkami, jakby podziemia wypluły ją niczym obce ciało. Teraz będzie musiała kupić bilet, żeby wrócić, a wie, że lada moment skończą jej się pieniądze.

Dlaczego ich pamięta? Myślę, że dlatego, iż są w jakiś sposób stali, jakby poruszali się inaczej, wolniej. Reszta ludzi jest rzeką, nurtem, wodą, która przepływa z miejsca na miejsce, tworzy wiry i fale, ale każda z tych form jako nietrwała, znika i rzeka o nich zapomina. A ci poruszają się pod prąd, dlatego widać ich tak wyraźnie. Tym samym nie obowiązują ich prawa rzeki. Myślę, że to właśnie tak pociąga Annuszkę.

Po zamknięciu metra czeka przed bocznym wejściem na zakutaną i kiedy już traci nadzieję, tamta wreszcie przychodzi. Oczy ma zasłonięte, od tych warstw ubrań jej postać przypomina beczkę. Każę Annuszce iść za sobą i ta posłusznie idzie. Jest bardzo zmęczona, prawdę mówiąc, zupełnie nie ma siły i najchętniej przysiadłaby byle gdzie. Przechodzą przez kładkę nad wykopami, mijają blaszane ogrodzenie obklejone plakatami, a potem schodzą w dół do przejścia podziemnego. Po jakimś czasie idą ciasnym korytarzem, jest przyjemnie ciepło. Kobieta wskazuje jej miejsce na podłodze i Annuszka kładzie się, nie rozbierając, a potem natychmiast zapada w sen. I kiedy już zasypia, tak jak zawsze chciała — bez żadnej myśli, głęboko — pod jej powieki powraca na chwilę obrazek, jaki przed chwilą zobaczyła, idącą wąskim korytarzem.

Ciemny pokój, a w nim otwarte drzwi do innego, jasnego. Jest tam stół, a wokół niego siedzą ludzie. Ręce mają położone na blacie, plecy proste. Siedzą i patrzą na siebie w absolutnym milczeniu i bez ruchu. Wydaje jej się, że jedną z tych osób jest mężczyzna w leninówce.

Annuszka śpi twardo. Nic jej nie budzi, żaden szelest, jęk zza ściany, żadne skrzypnięcie łóżka ani telewizor. Śpi, jakby była kawałkiem skały, o którą rozbijają się uporczywe fale, drzewem, które upadło i teraz przykrywa je mech i grzybnia. Tylko tuż przed przebudzeniem ma śmieszny sen — że bawi się ko-

łorową kosmetyczką, narysowane są na niej słoniki i kotki, a ona obraca ją w rękach. A potem nagle wypuszcza ją z rąk, ale kosmetyczka wcale nie spada, wisi między jej dłońmi w powietrzu, i Annuszka odkrywa, że może się nią bawić, wcale jej nie dotykając. Ze porusza ją siłą woli. Jest to bardzo przyjemne doznanie, wiele w nim radości, jakiej dawno nie czuła, właściwie od dzieciństwa. Budzi się więc w dobrym humorze i teraz widzi, że to wcale nie jest jakiś opuszczony hotel robotniczy, jak wczoraj myślała, lecz zwykła kotłownia. Dlatego tak tu ciepło. A ona śpi na kartonach położonych obok kupy węgla. Na kawałku gazety leży ćwiartka dość czerstwego chleba i spory kawałek natartej ostrą papryką słoniny. Domyśla się, że to od Galiny, ale nie rusza jedzenia, dopóki nie uda jej się załatwić w obskurnej toalecie bez drzwi i umyć ręce.

O, jak to dobrze, jak dobrze — wejść w tłum, który powoli się nagrzewa. Palta i kożuchy wydzielają zapach jakichś domów — tłuszczu, płynu do płukania, słodkich perfum. Annuszka przechodzi przez bramkę i odtąd daje się ponieść pierwszej fali. Tym razem to linia Kalininska. Stoi na peronie, a potem czuje, jak nadjeżdżający pociąg pcha przed sobą ciepłe podziemne powietrze. Drzwi otwierają się i oto już znajduje się w środku, ściśnięta między ciałami, tak że nie musi się trzymać. Gdy pociąg zakręca, poddaje się temu ruchowi, kołysze się niczym trawa wśród innych traw, jest źdźbłem zboża pośród innych

źdźbeł. Na kolejnym przystanku jeszcze wsiadają, choć naprawdę już nie można wcisnąć tu ani zapałki. Annuszka przymyka oczy i czuje się tak, jakby była trzymana na rękach, jakby zewsząd obejmowały ją czule i kołysały uspokajająco dobre ręce. Potem nagle na jednej stacji większość ludzi wysiada i trzeba już stać na własnych nogach.

Gdy wagon prawie całkowicie opróżnia się blisko końcowej stacji, znajduje gazetę. Najpierw patrzy na nią dość nieufnie, może w ogóle zapomniała czytać, ale potem bierze ją do ręki i z niepokojem przegląda. Czyta, że jakaś modelka umarła na anoreksję i władze zastanawiają się, czy nie zabronić pokazywania się na wybiegach zbyt chudym dziewczynom. Czyta też o terrorystach — że znowu udaremniono zamach. Mieli w mieszkaniu trotyl i zapalniki. Ze zdezorientowane wieloryby wypływają na plaże i tam umierają. Ze policja namierzyła przez Internet szajkę pedofilów. Ze zapowiada się ochłodzenie. Ze mobilność' stanowitsa realnostiu.

Coś jest nie tak z tą gazetą, musi być jakaś fałszywa, podrobiona. Każde przeczytane zdanie jest nie do zniesienia, boli. Annuszce oczy napełniają się łzami i teraz duże krople skapują na gazetę. Był jakiś papier natychmiast wciąga je w siebie jak bibuła.

Tam gdzie metro wyjeżdża na powierzchnię, tam Annuszka przykleja twarz do szyby i patrzy. Miasto ma wszystkie odcienie popiołu, od brudnej bieli po czerń. Składa się z prostokątów i nieregularnych brył,

z kwadratów i plątaniny prostych. Śledzi wzrokiem linie wysokiego napięcia i kable, potem przenosi wzrok na dachy i liczy anteny. Zamyka oczy. Otwiera i okazuje się, że świat przeskoczył z jednego miejsca w drugie. Tuż przed zmrokiem, gdy kolejny raz odwiedza to samo miejsce, widzi, jak na chwilę, na jakieś kilka minut niskie słońce przebija się zza białych kłębow chmur i oświetla bloki czerwoną poświatą, ale tylko czubki, najwyższe piętra; wygląda to tak, jakby zapłonęły ogromne pochodnie.

Potem siedzi na ławce na peronie pod wielką reklamą. Zjada to, co jej zostało ze śniadania. Myje się w toalecie i wraca na swoje miejsce. Zaraz zaczyna się godziny szczytu. Ci, którzy rano jechali w jedną stronę, teraz będą jechać w drugą. Pociąg, który się przed nią zatrzymuje, jest dobrze oświetlony i prawie pusty. Tylko jeden człowiek w całym wagonie — ten mężczyzna w czapce. Stoi wyprostowany jak struna. Gdy pociąg rusza, lekko nim szarpie, a potem znika połknięty przez czarne usta podziemi.

— Kupię ci bułkę — mówi Annuszka do zakutanej i tamta, rozkołysana, znowu nieruchomieje na chwilę, jakby mogła trawić zdania tylko w bezruchu. Potem po chwili rusza w stronę bud.

Stoją oparte o tylną stronę kiosku i jedzą, wcześniej zakutana musiała kilkanaście razy się przeżegnać i skłonić.

Annuszka pyta ją o ludzi, którzy siedzieli wczoraj w kotłowni w milczeniu, i kobieta znowu zastyga bez

ruchu, tym razem z kęsem bułki w ustach. Mówi coś bez związku, coś jakby: „Jak to?”. A potem rzuca ze złością.

— Odwal ty się ode mnie, pannico.

I odchodzi. Annuszka jeździ do pierwszej w nocy metrem, a potem, gdy je zamykają i cerberki wyganają ludzi, kręci się koło miejsca, gdzie — jak się jej wydaje — było wejście do ciepłych kotłowni, ale go nie znajduje. Idzie więc na dworzec i tam, wysuplując ostatnie pieniądze, spędza noc przy kolejnych herbatach i barszczach w plastikowych kubkach, wsparta dzielnie łokciami o laminowaną powierzchnię stołu.

Gdy tylko słyszy zgrzyt otwieranej kraty, kupuje w automacie bilet i zjeżdża na dół. W szybie pociągu widzi, że włosy ma już tłuste, po fryzurze nie został żaden ślad i inni pasażerowie siadają koło niej raczej niechętnie. Czasem przez moment przelatuje jej w panice przez głowę, że może spotka ją jakiś znajomy, ale oni raczej nie jeżdżą tą linią, lecz na wszelki wypadek szuka miejsc w kącie, tuż przy ścianie. Zresztą jakich ona ma znajomych? Listonoszka, kobieta ze sklepu na dole, sąsiad z naprzeciwka; nawet nie wie, jak się nazywają. Ma ochotę zasłonić twarz jak ta zakutana, to właściwie dobry pomysł — położyć sobie zasłonę na oczy, żeby samemu widzieć jak najmniej i być jak najmniej widzialnym. Poszturchują ją, a jej nawet sprawia to przyjemność, że ją ktoś dotyka. Jakaś starsza kobieta, która siada koło niej, wyciąga z reklamówki jabłko i podaje jej z uśmiechem. Gdy



Полдня вторая часть перилы
 СА АФРИКА СРЕДНАГО НОСА
 НА ЖЕЛТЫХ ЖЕЗЕНЕ КОНЦА
 СЯ ДОСТИГАЕТ АСРЯСЯ
 АЗЫКА ЧЕРНОГО МОЯ
 РАПОПОНЬСКОГО ШТО
 СЪЗДАЮТ МОРА И
 ШИЧЕРНОГО МОРА И
 ДОПОНЬСКО ПУЧИН
 ДОПОНЬСКО ПУ
 НА ШИЧЕРНО И
 ВЕЛЫКАГО МОЯ
 МАШКАНС
 ИА ПУЧИН

Большая сядя первая часть перилы
 ШИЧЕРНОГО МОРА
 НА ЖЕЛТЫХ ЖЕЗЕНЕ КОНЦА
 СЯ ДОСТИГАЕТ АСРЯСЯ
 АЗЫКА ЧЕРНОГО МОЯ
 РАПОПОНЬСКОГО ШТО
 СЪЗДАЮТ МОРА И
 ШИЧЕРНОГО МОРА И
 ДОПОНЬСКО ПУЧИН
 ДОПОНЬСКО ПУ
 НА ШИЧЕРНО И
 ВЕЛЫКАГО МОЯ
 МАШКАНС
 ИА ПУЧИН

Море и ВЕЛЫКАГО МОЯ
 МАШКАНС
 ИА ПУЧИН
 ПОЛДНЯ ВТОРАЯ ЧАСТЬ ПЕРИЛЫ
 СА АФРИКА СРЕДНАГО НОСА
 НА ЖЕЛТЫХ ЖЕЗЕНЕ КОНЦА
 СЯ ДОСТИГАЕТ АСРЯСЯ
 АЗЫКА ЧЕРНОГО МОЯ
 РАПОПОНЬСКОГО ШТО
 СЪЗДАЮТ МОРА И
 ШИЧЕРНОГО МОРА И
 ДОПОНЬСКО ПУЧИН
 ДОПОНЬСКО ПУ
 НА ШИЧЕРНО И
 ВЕЛЫКАГО МОЯ
 МАШКАНС
 ИА ПУЧИН

Второй лист
 Восточная часть

na stacji Park Kultury stoi przed budką z pierożkami, młody, krótko ostrzyżony chłopak kupuje jej porcję. Domyśla się więc, że nie wygląda najlepiej. Dziękuję i nie odmawia, choć zostało jej jeszcze parę groszy. Jest świadkiem wielu zdarzeń: jak policja zwiija jakiegoś człowieka w skórzanej kurtce. Jak na cały głos kłóci się jakieś małżeństwo, obydwój pijani. Jak młoda dziewczyna, nastolatka, wsiada do pociągu na Czerkizowskiej i szlocha, powtarzając: mamó, mamó, i właściwie nikt nie ma odwagi jej pomóc, a potem jest już za późno, bo dziewczyna wysiada na Komsomolskiej. Widzi kogoś, jak ucieka, niski smagły mężczyzna, potracając przechodniów, ale przy schodach utyka w tłumie i tam łapie go dwóch innych, i wykręcają mu ręce. Jak jakaś kobieta przez chwilę lamentuje, że ukradli jej wszystko, wszystko, a potem jej głos dochodzi z coraz większej oddali, cichnie i w końcu milknie. I dwa razy tego dnia widzi sztywnego starca o nieobecnym spojrzeniu, jak prze-myka przed nią w rozświetlonym pociągu. Nawet nie wie, że od dawna jest już ciemno, że na górze zapalono już wszystkie latarnie i lampy, które sączą się w mroźne, gęste powietrze żółtym światłem; tego dnia blask słoneczny w ogóle jej umknął. Wychodzi na powierzchnię na Kijewskiej i idzie w stronę tymczasowego przejścia przy rozpoczętej budowie, z nadzieją, że spotka zakutaną.

Kobieta jest na swoim miejscu i robi to, co zwykle — drepcze, zakreślając jakieś kręgi i ósemki, pokrzykując te swoje przekleństwa, podobna do tłumoka

zmokniętych szmat. Annuszka stoi przed nią tak długo, aż tamta w końcu ją zauważy i milknie. Potem — choć się nie umawiały — idą obydwie różnym krokiem, jakby spieszyły się do jakiegoś celu, który — jeśli nie będą zbyt szybkie — umknie im na zawsze, bez słowa. Na moście wiatr uderza w obie kobiety niczym damski bokser.

W kiosku na Arbacie mają pyszne bliny, niedrogo, a ociekają tłuszczem i jeszcze polane są śmietaną. Zakutana kładzie monety na szklanym spodeczku i dostają ciepłe porcje. Znajdują sobie miejsce, żeby spokojnie zjeść ten smakołyk — na murku. Annuszka jak zahipnotyzowana patrzy na młodych ludzi, którzy mimo zimna obsiedli ławki, grają na gitarze i piją piwo. Bardziej hałasują, niż śpiewają. Przekrzykują się, wygłupiają. Dwie młodziutkie dziewczyny jadą konno; tak, niezwykle to widok, konie są wysokie, zadbane, pewnie prosto z maneżu; jedna z tych amazonek wita młodzież z gitarą, zgrabnie schodzi z siodła i trzymając krótko uzdę, rozmawia z chłopcami. Druga od jakichś zapóźnionych turystów usiłuje wyprosić pieniądze na jedzenie dla konia — tak przynajmniej im mówi — ale oni domyślają się, że chodzi raczej o piwo. Zwierzę nie wygląda, jakby głodowało.

Zakutana szturcha ją łokciem:

— Jedz.

Ale Annuszka nie może oderwać oczu od tej scenki, patrzy na młodych zachłannie, bliny parują w jej dłoni. Widzi w nich wszystkich swojego Pietię, są w tym samym wieku. Pietia wraca do jej ciała, jakby

go nigdy nie wydała na świat. Tkwi tam skulony, ciężki jak kamień, bolesny, pęcznieje w niej, rośnie — chyba musi urodzić go jeszcze raz, tym razem każdym porem skóry, wypocić. Na razie podchodzi jej do gardła, więźnie w płucach i nie wydobędzie się w żaden inny sposób, jak tylko szlochem. O tak, nie zje żadnego blina, jest pełna. Pietia utkwiał jej w gardle, choć przecież mógłby tam siedzieć i teraz właśnie wyciągać rękę w górę, trzymając w dłoni puszkę piwa, podawać ją dziewczynie z koniem, odchyłać się do tyłu całym ciałem i wybuchać śmiechem. Mógłby się ruszać, pochylić aż do własnych butów, podnieść wysoko ręce, mógłby włożyć stopę w strzemień i zamachnąć się nogą. Usiąść na grzbiecie tego zwierzęcia, przejechać się po ulicy, wyprostowany, uśmiechnięty, z wąsem, który ocienia mu już powoli górną wargę. Mógłby wbiec po schodach i zbiegać po nich jak burza, przecież ma tyle samo lat, co ci chłopcy, a ona, matka, martwiłaby się, że grozi mu dwójka z chemii, że nie zda egzaminów na studia i skończy jak jego ojciec, że będzie miał kłopoty ze znalezieniem pracy, a jego żona wcale jej się nie spodoba i dziecko zafundują sobie za wcześniej.

I to ciężkie morze z ołowiu wzbiera w niej nie do wytrzymania, zbiega się z gestem dziewczyny, która chce okiełznać zniecierpliwionego konia — ściąga mu głowę w dół za uzdę, żeby przytrzymać w bezruchu. A gdy koń się wyrywa, ona wali go po grzbiecie szpicrutą i krzyczy:

— Stój, cholero! Stój, dziadu!

1
Wtedy z dłoni Annuszki wypadają bliny ze śmietaną i kobieta rzuca się na szamoczącą się z koniem dziewczynę z pięściami, i okłada ją na oślep.

— Zostaw go! Zostaw! — świszczy ze ściśniętego gardła.

Dopiero po chwili reagują zaskoczeni chłopcy, próbują odciągnąć oszalałą nagle kobietę w kraciastym płaszczu, ale już spieszy jej z pomocą druga, jakaś zakutana wariatka, cała w szmatach, i obie próbują zabrać lejce z rąk dziewczyny, a ją samą odepchnąć. Dziewczyna piszczy, osłania głowę rękami, nie spodziewała się tego rozwścieczonego ataku. Koń wierzga, parska, wyrywa się dziewczynie i biegnie środkiem Arbatu, przestraszony (dobrze, że o tej porze deptak jest prawie pusty); stuk jego kopyt odbity echem od ścian budynków przywodzi na myśl walki uliczne, strajk, otwierają się okna. Lecz już u wylotu ulicy pojawiają się dwaj policjanci, którzy szli leniwie, rozmawiając o grach komputerowych, przecież nic się nie dzieje, a teraz widzą zamieszanie i w pełnej gotowości, chwytając za pałki, ruszają biegiem.

— Kiwaj się — mówi zakutana. — Ruszaj się.

Siedzą w komisariacie i czekają na swoją kolej, aż spisie ich zeznania niemiły policjant o zaróżowionej twarzy.

— Kiwaj się — i przez te kilka godzin gada jak nakręcona, chyba ze strachu. Adrenalina obudziła zakutanej język. Szepcze jej do samego ucha, tak żeby nikt nie słyszał, ani ten okradziony, ani te dwie młode

kurwy o ciemnej karnacji, ani ten ze zranioną głową, który jedną ręką przytrzymuje opatrunek. Annuszka zaś płacze, łzy spływają jej po twarzy bez przerwy i widać, że już niedługo ich zapasy całkiem się opróżnią.

Potem, gdy przychodzi ich kolej, czerwony policjant krzyczy przez ramię do kogoś w drugim pokoju:

— To ta biegunka.

A głos z tamtej strony mu odpowiada:

— Ją wypuść, ale spisz tę drugą, za zakłócanie.

Więc policjant mówi do zakutanej:

— Kobieto, następnym razem wywieziemy za miasto, sto kilometrów, rozumiesz? Sekciarzy tu nie chcemy.

A od Annuszki bierze dokument i zupełnie jakby nie umiał czytać, każe jej powtórzyć imię, otczestwo, nazwisko i adres, podać adres. Annuszka koniuszkami palców dotyka blatu stołu i przysmakując oczy, jakby recytowała wiersz, podaje swoje dane. Adres powtarza dwa razy:

— Kuzniecka 46 mieszkania 78.

Wypuszczają jedną po drugiej, w odstępie godziny, najpierw zakutaną, więc gdy wychodzi Annuszka, po tamtej nie ma śladu. Nic dziwnego, jest straszny mróz. Kręci się w okolicy posterunku, nogi ją przynaglają, niosłyby ją tymi szerokimi ulicami gdzieś do źródeł wszystkich ulic, tam gdzie wypływają z pagórkowatych przedmieść, a za nimi otwierają się już inne widoki — wielkiej równiny, która bawi się swoim od-

Jechem. Lecz autobus Annuszki podjeżdża, dobiega do niego w ostatniej chwili.

Ludzie ruszyli już z miejsc i na ulicy panuje poranny ruch, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Annuszka długo jedzie autobusem na peryferie, a potem stoi pod blokiem i patrzy w swoje okna, wysoko. Są jeszcze ciemne, ale gdy niebo zaczyna się przejaśniać, widzi, że w kuchni jej mieszkania zapala się światło, i wtedy rusza do wejścia.

Co mówiła zakutana biegunka

Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj. Tylko tak mu umkniesz. Ten, kto rządzi światem, nie ma władzy nad ruchem i wie, że nasze ciało w ruchu jest święte, tylko wtedy mu uciekasz, kiedy się poruszasz. On zaś sprawuje rządu nad tym, co nieruchome i zmartwiałe, nad tym, co bezwolne i bezwładne.

Więc ruszaj się, kiwaj, kołysz, idź, biegnij, uciekaj, gdy tylko się zapomnisz i staniesz, pochwyć cię jego wielkie ręce, zamienią cię w kukiełkę, owieje cię jego oddech, cuchnący dymem i spalinami, i wielkimi śmietniskami za miastem. On zamieni twoją barwną duszę w małą płaską duszyczkę, wyciętą z papieru, z gazety, i będzie ci groził ogniem, chorobą i wojną, będzie cię straszyl, aż stracisz spokój i przestaniesz spać. Oznaczy cię i wpisze w swoje rejestry, da ci dokument tego upadku. Zajmie ci myśli nieważnymi rzeczami, co kupić, a co sprzedać, gdzie taniej,

a gdzie drożej. Będziesz się odtąd martwić drobiazgamami — ceną benzyny i jak ona wpłynie na spłatę kredytu. Będziesz przeżywać każdy dzień boleśnie, jakbyś żyła za karę, lecz kto popełnił zbrodnię i jaką, i kiedy, nie dowiesz się nigdy.

Kiedyś, dawno temu, car próbował zreformować świat, ale poniósł klęskę i świat wpadł prosto w objęcia antychrysta. Bóg, ten prawdziwy, ten dobry, został ze świata wygnany, naczynia z boską mocą zostały rozbite, a ona wsiąkała w ziemię i zniknęła w głębinach. Lecz gdy przemawiał szeptem ze swego ukrycia, usłyszał go pewien sprawiedliwy człowiek, żołnierz o imieniu Eufemiusz, i zapisał sobie te słowa w umyśle. W nocy odrzucił precz karabin, zdjął mundur, odwinął onuce i zsunął buty. Stał pod niebem nagi, jak go Pan Bóg stworzył, a potem zbiegł w lasy i przyodziawszy wierzchnie okrycie, wędrował od wioski do wioski, głosząc tę mroczną nowinę. Uciekajcie, ruszajcie z domów, idźcie, bieguni, bo tylko w ten sposób można się ustrzec przed pułapkami antychrysta. Jakakolwiek otwarta z nim walka będzie z góry przegrana. Zostawcie to, co posiadacie, porzucicie ziemię i ruszajcie w drogę.

Bo wszystko, co ma swoje stałe miejsce w tym świecie, każde państwo, kościół, rząd ludzki, wszystko, co zachowało formę w tym piekle, jest na jego usługach. Wszystko, co określone, co odtąd-dotąd, co ujęte w rubryki, zapisane w rejestrach, ponumerowane, zewidencjonowane, zaprzysiężone; wszystko, co zgromadzone, wystawione na widok, zaetykieto-

wane. Wszystko, co zatrzymuje: domy, fotele, łóżka, rodziny, ziemia, sianie, sadzenie, doglądanie jak roślinie. Planowanie, czekanie na rezultaty, wykreślanie rozkładów, pilnowanie porządków. Dlatego odchodź swoje dzieci, skoro je już nieopatrznie urodziłaś, i ruszaj w drogę; pochowaj rodziców, skoro już niebacznie powołali cię do istnienia — i idź. Wynieś się daleko, poza zasięg jego oddechu, poza jego kable i przewody, anteny i fale, niech cię nie namierzą jego czułe instrumenty.

Kto się zatrzyma — skamienieje, kto przystanie, zostanie przyszpilony jak owad, jego serce przebijie drewniana igła, jego ręce i stopy będą przedziurawione i przybite do progu i powały.

Tak właśnie zginął ten, który się zbuntował. Został pojmany, a jego ciało przybito do krzyża, unieruchomiono jak owada, na pokaz dla oczu ludzkich i nie-ludzkich, ale zwłaszcza dla nieludzkich, te bowiem najbardziej lubują się w każdym przedstawieniu; nie dziwota, że je odtwarzają co roku i celebrują, modląc się do martwego ciała.

To dlatego tyrani wszelkiej maści, piekielni słudzy, mają we krwi nienawiść do nomadów — to dlatego prześladują Cyganów i Żydów, to dlatego przymusowo osiedlają wszystkich wolnych ludzi, naznaczają adresem, który dla nas jest wyrokiem.

Chodzi im o zbudowanie zastygłego porządku, o uczynienie upływu czasu pozornym. O to, żeby dni stały się powtarzalne i nie do odróżnienia, o zbudowanie wielkiej maszyny, w której każde stworzenie

będzie musiało zająć swoje miejsce i wykonywać pozorne ruchy. Instytucje i biura, pieczętki, okólniki, hierarchia i szarże, stopnie, podania i odmowy, paszporty, numery, karty, wyniki wyborów, promocje i zbieranie punktów, kolekcjonowanie, wymienianie jednych rzeczy na drugie.

Przyspilić świat za pomocą kodów kreskowych, każdej rzeczy dać etykietę, niech będzie wiadomo, co to za towar i ile kosztuje. Niech ten obcy język będzie nieczytelny dla ludzi, niech go czytają maszyny i automaty, niech nocami w wielkich podziemnych sklepach robią sobie odczyty własnej kreskowej poezji.

Ruszaj się, ruszaj. Błogosławiony, który idzie.

Trzeci list Józefiny Soliman
do Franciszka I, cesarza Austrii

Wasza Wysokość milczy, zapewne zajęty ważnymi państwowymi sprawami. Ja jednak nie ustaję w wysiłkach i ponownie zwracam się do Waszej Wysokości o litość. Ostatni list napisałam do Waszej Wysokości ponad dwa lata temu i do tej pory nie doczekałam się odpowiedzi.

Powtarzam więc moją prośbę.

Jestem jedynym dzieckiem Angela Solimana, sługi Waszej Wysokości, zasłużonego dla Cesarstwa dyplomaty, człowieka oświeconego i ogólnie szanowanego. Zwracam się o litość dla mnie, bo nie będę

mogła nigdy zaznać spokoju, mając w świadomości fakt, iż mój ojciec, ciało mojego ojca nie dostąpiło do tej pory chrześcijańskiego pochówku, lecz znajduje je — wypchane i spreparowane — jako okaz w Gabinecie Dziwów Natury na dworze Jego Wysokości.

Od urodzin mojego syna trawi mnie choroba, która postępuje. Boję się, że ta sprawa jest tak samo beznadziejna, jak i moja choroba, i nic nie uda mi się wskórać w mojej sprawie. Słowo „wskórać” jest tu jak najbardziej na miejscu, bowiem — pozwolę sobie przypomnieć — mój ojciec po śmierci został oskórowany, a następnie wypchany i teraz stanowi eksponat w kolekcji Waszej Wysokości. Odmówił Wasza Wysokość młodej matce, lecz może nie odmówi — umierającej.

Odwiedziłam to straszne miejsce przed opuszczeniem Wiednia. W międzyczasie bowiem wyszłam za mąż za sługę Waszej Wysokości, Pana von Feuchterslebena, inżyniera wojskowego, jego zaś służba rzuciła na północne rubieże naszego państwa — do Krakowa. Byłam tam i widziałam. Mogę powiedzieć, że odwiedziłam mojego ojca w piekle, gdyż jako katoliczka wierzę, że pozbawiony swojego ciała, nie będzie mógł dostąpić zmartwychwstania na Sądzie Ostatecznym. Ta wiara podpowiada mi też, wbrew temu, co sądzą niektórzy, że ciało jest naszym największym darem, że jest święte.

Odkąd Bóg stał się człowiekiem, ludzkie ciało zostało na zawsze uświęcone i cały świat przybrał kształt pojedynczego człowieka. Nie ma innego dostępu do drugiego człowieka, jak i do świata, jak tylko przez

ciało. Gdyby Chrystus nie przyjął ludzkiego ciała nigdy nie zostalibyśmy zbawieni.

Oskórowano go jak zwierzę, wypchano trawą i ustawiono w towarzystwie innych wypchanych istot ludzkich, wśród szczątków jednorożców, monstrualnych ropuch, dwugłowych płodów pływających w spiry图斯ie i innego dziwactwa. Oglądałam tych, którzy cisną się, żeby zobaczyć na własne oczy Twoją kolekcję, Panie, i widziałam ich wypieki na twarzy, gdy patrzyli na skórę mego ojca. Słyszałam, jak chwalili Cię za rozmach i odwagę.

Kiedy będziesz odwiedzał swoje eksponaty, podejdź i do niego, Panie, do Angela Solimana, Twojego sługi, którego skóra służy Ci także i po śmierci. Te dłonie, które teraz nie dość starannie wypełniono trawą, kiedyś dotykały mnie, brały mnie na ręce; policzek, dziś wysuszony i zapadnięty, muskał moją twarz. To ciało kochało i było kochane, potem zmogły go ataki reumatyzmu. Z tego ramienia Twój medyk puszczał mu krew. Ten ludzki szczątek podpisany imieniem i nazwiskiem mego ojca był kiedyś żywym człowiekiem.

Często zastanawiam się nad tym, każdej nocy nie daje mi to usnąć spokojnie — jaka jest naprawdę przyczyna tak okrutnego potraktowania zwłok mego świętej pamięci ojca.

I czy to możliwe, aby był nim kolor skóry? Ciemny, czarny? Czy człowiek o białej skórze, który znalazłby się w dzikich krajach, zostałby potraktowany tak samo — wypchany i wystawiony na ciekawy wzrok? Czy wystarczy, żeby drugi człowiek był inny,

z wyglądu lub wewnętrznie, w jakikolwiek sposób, żeby przestawały go dotyczyć ogólnie przyjęte prawa i zwyczaje. Czy te prawa zostały pomyślane i stworzone tylko dla takich samych ludzi? Lecz przecież świat jest pełen różnorodności. Wiele mil na południe żyją ludzie różni od tych, którzy osiedli na północy. JSłã wschodzie zaś żyją ludzie inni od tych na zachodzie. Jaki sens ma prawo, które stanowi reguły tylko dla jednych? Tam gdzie sięgają nasze statki i nasze pieniądze, prawa powinno się przestrzegać dla każdego bez wyjątku. Czy wypchałby Wasza Wysokość swojego dworzanina, jeżeli byłby on biały? Najniżej postawiony człowiek ma prawo do pogrzebu, jeżeli zaś odmawiasz tego mojemu ojcu, to czyżbyś kwestionował jego człowieczeństwo?

Myślę, że tym, którzy nami rządzą, wcale nie zależy na rządzie dusz, choć tak się powszechnie uważa. Dziś to zbyt oderwane i niezrozumiałe pojęcie. Jeżeli Bóg jest — niech mi będzie wybaczona moja gorycz — tym, który nakręcił zegar, Zegarmistrzem albo, zaiste, duchem natury, przejawiającym się w sposób mglisty i zupełnie nieosobowy, pojęcie duszy stało się niewygodne i wstydliwe. Jaki władca chciałby rządzić czymś tak ulotnym i niepewnym? Jaki oświecony władca pragnąłby władzy nad tym, czego istnienie nie zostało udowodnione w laboratoriach.

Nie ma wątpliwości, Wasza Wysokość, że prawdziwa ludzka władza może dotyczyć tylko ludzkiego ciała — i tak się ją właśnie sprawuje. Ustanowienie państw i granic międzypaństwowych każe ludzkiemu

ciału pozostawać w jasno określonej przestrzeni; istnienie wiz i paszportów — kontroluje jego naturalną potrzebę ruchu i przemieszczania się. Władca, który ustala podatki — ma wpływ na to, co będą jedli jego poddani, na czym spali i czy odzieją się w len, czy w jedwab. Ustalasz też, Panie, które ciało będzie ważniejsze, a które mniej ważne. Piersi mamki napełnione mlekiem nierówno rozdziela pokarm. Dziecko z pałacu na wzgórzu będzie ssało do woli, to ze wsi w dolinie — spije resztki. Gdy podpisujesz, Panie, wojenny dekret, tym samym rzucasz tysiące ciał ludzkich w kałuże krwi.

Mieć władzę nad ciałem, to być zaiste królem i życia, i śmierci, to więcej niż być cesarzem największego nawet państwa. Dlatego zwracam się do Ciebie w taki właśnie sposób, jako do dzierżawcy życia i śmierci, tyrana i uzurpatora, i nie proszę, lecz żądam. Oddaj mi ciało mojego ojca, bym mogła je pochować. Będę Ci towarzyszyć, Panie, jak głos z ciemności, nawet gdy umrę, nie dam Ci spokoju, nie przestanę szeptać.

Józefina Soliman von Feuchtersieben

Rzeczy nie stworzone ludzką ręką

Po wystawie sarir nie dziwi mnie już wystawa rzeczy nie zrobionych ludzką ręką. Należą do nich księgi, które samoistnie rosną w wilgoci w górskich jaskiniach i pozwalają się odnaleźć co jakiś czas ludziom

sprawiedliwym; a wtedy przenoszone są uroczyście do świątyń- A także ikony z boską twarzą. Wystarczy zostawić na jakiś czas czystą, zagruntowaną powierzchnię deski i czekać. Czasem w nocy może pojawić się na niej boska twarz, wyjrzeć spod spodu, wypłynąć z najgłębszej ciemności, z samych podmokłych fundamentów świata. Bo może żyjemy w ogromnej camera obscura, tak, zamknięci w ciemnym pudelku, i gdy tylko uda się zrobić w nim mały otwór, gdy tylko jakaś igła przebije się do nas, obraz z zewnątrz wpadnie z promieniem światła i zostawi ślad na wewnętrznej, światłoczułej powierzchni świata.

Mówi się także o pewnym posążku Buddy, że podobno pojawił się sam z siebie, doskonały, zrobiony z najlepszego metalu. Trzeba go było tylko oczyścić z ziemi. Przedstawia on siedzącego Buddę, który wspiera głowę na dłoni. Ten Budda uśmiecha się pod nosem, delikatnie, ciut ironicznie, jak ktoś, kto właśnie usłyszał subtelny dowcip. Zart, którego pointa nie mieści się w ostatnim zdaniu, ale w oddechu opowiadającego.

Czystość krwi

Opowiadała mi pewna wyspiarka z drugiej półkuli, spotkana w hotelu w Pradze:

Ludzie zawsze wlekli za sobą miliony bakterii, wirusów i chorób; nie da się tego zatrzymać. Ale można przynajmniej próbować. Po światowej panice z BSE

niektóre państwa wprowadziły nowe regulacje prawne. Ktokolwiek z mieszkańców jej wyspy wyjeżdżał do Europy, nie mógł już nigdy więcej zostać dawcą krwi, można powiedzieć, że według prawa ulegał dożywotniemu skażeniu. I tak właśnie będzie teraz z nią — nigdy nie odda już krwi. To cena tej podróży, nie wliczona w koszty biletu. Utracona czystość. Utracona cześć.

Pytam ją, czy było warto, czy miało sens poświęcenie czystości krwi dla obejrzenia kilku miast, kościołów i muzeów.

Odpowiada z powagą, że za wszystko trzeba zapłacić.

Kunstkamera

Celem pielgrzymki jest inny pielgrzym, tym razem natychmiast rozpoznałam czułą rękę Charlotty. W podłużnym słoju, z wieczkiem, które przypomina rzeźbę, pływał mały płód o zamkniętych oczach, zawieszony na dwóch końskich włosach. Jego małe stopy dotykały zabarwionych na czerwono resztek łożyska. Pokrywała to mała martwa natura morskiego dna — wszystko kojarzy się z morzem, także główny bohater tego przedstawienia — płód. Pochodzimy z wody. Stąd zapewne Charlotta umieściła na łupkowym wieczku muszle, rozgwiazdy, korale i gąbki, a w centralnym miejscu cieszył oko zasuszony konik morski — hippocampus.

I jeszcze jeden preparat zrobił na mnie wrażenie — zachowane w styksowej wodzie bliźnięta syjamskie, a obok, ich wysuszony szkielet. To dowód wielkiej oszczędności materiału — dwa preparaty z jednego podwójnego ciała.

La mano di Constantino

Pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy po przyjeździe do Wiecznego Miasta, to piękni czarnoskórzy sprzedawcy torebek i portfeli. Kupiłam małą czerwoną portmonetkę, ponieważ poprzednią ukradziono mi w Sztokholmie. Druga rzecz — to stragany pełne pocztówek, na których właściwie można by już przestać i spędzić resztę czasu w cieniu na nabrzeżu Tybru, ewentualnie pijąc wino w którejś z małych drogich kafejek. Pocztówki krajobrazowe, z panoramą starych ruin, pocztówki przygotowane z ambicją, żeby na płaskim wycinku przestrzeni pokazać jak najwięcej, powoli są wypierane przez fotografie skupione na detalach. Zapewne jest to dobry pomysł, bo odciąża zmęczone umysły. Świata jest za dużo, lepiej więc skupić się na szczególe, nie na całości.

Oto piękny szczegół fontanny, mały kotek siedzący na rzymskim gzymsie, genitalia Dawida Michała Anioła, ogromna stopa kamiennej rzeźby, wyszczerbiony tors, który natychmiast każe się zastanowić, jaka to twarz należała do tego ciała. Pojedyncze okno w ścianie koloru ochry i w końcu — tak — sama dłoń

z palcem wskazującym uniesionym pionowo w niebo monstrualna, oderwana od jakiejś niebywałej całości tuż przy nadgarstku — dłoń cesarza Konstantyna.

I tak pozostałam już zainfekowana tą pocztówką. Rzeczywiście należy uważać, na co się popatrzy na samym początku! Odtąd już wszędzie widziałam wskazujące coś dłonie, stałam się niewolnicą tego detalu, zawładnął mną.

Półnagi posąg wojownika, zaledwie w paradnym hełmie i z piką w jednej dłoni; druga wskazuje coś w górze. Dwa putta tłustymi paluszkami kierujące uwagę innych, że tam, nad ich głowami — co? I jeszcze więcej, dwie zwijające się ze śmiechu turystki, ich palce, grupa ludzi przed eleganckim hotelem — bo właśnie wychodzili stamtąd Richard Gere i Nicole Kidman, a na placu Świętego Piotra takich wskazujących palców można było widzieć setki.

Na Campo di Fiori zobaczyłam kobietę, która skamieniała z upału przy kurku z wodą, z palcem tuż przy uchu, jakby chciała sobie przypomnieć melodię z lat młodości i już zaczynała słyszeć jej pierwsze tony.

A potem dostrzegłam starego schorowanego mężczyznę na wózku, który popychały dwie dziewczyny. Starzec był sparaliżowany, z nosa wychodziły mu przezroczyście plastikowe rurki i ginęły w czarnym plecaku. Na jego twarzy zastygł wyraz absolutnego przerażenia, a prawa ręka drapieżnym szponiastym palcem wskazywała na coś, co zapewne znajduje się tuż za jego lewym ramieniem.

Mapowanie pustki

James Cook wyruszył na południowe morza, żeby obserwować przejście Wenus ponad tarczą słoneczną. Wenus objawiła mu nie tylko swoją urodę, ale i ziemię zauważoną już przez Holendra Tasmana. Z jego zapisków żeglarze wiedzieli, że musi gdzieś tu być. Codziennie jej wyglądali i codziennie popełniali te same błędy — brali chmury za ląd. Wieczorami rozmawiali o tajemniczej wyspie — że na pewno będzie piękna, skoro sprawuje nad nią pieczę Wenus, ale musi mieć także i inne pierwszorzędne cechy, jak to ziemia Wenus. Każdy miał o nich własne wyobrażenie.

Pierwszy oficer pochodził z Tahiti; był pewny, że ten ląd będzie jak jego Hawaje — ciepły, tropikalny, zalany słońcem, otoczony długimi, nie kończącymi się plażami, pełen kwiatów, pożytecznych ziół i pięknych kobiet o nagich piersiach. Sam kapitan pochodził z Yorkshire (z czego był bardzo dumny) i właściwie nie miałby nic przeciwko temu, żeby tu było tak jak tam. Zastanawiał się nawet, czy może lądy po drugiej stronie kuli ziemskiej nie łączy jakiś rodzaj korespondencji, planetarna zażyłość, podobieństwo — jeżeli nie oczywiste i trywialne, to na pewno manifestujące się w inny, głębszy sposób. Chłopiec okrętowy, Nils Jung, marzył o górach, żeby ta ziemia była górzysta, żeby sięgały w niebo i miały ośnieżone szczyty, między nimi zaś żeby były żyzne doliny, pełne pasących się owiec, oraz czyste strumienie, w których pływają pstragi (podobno pochodził z Norwegii).

I to jego oczami zobaczono Nową Zelandię 6 października 1769 roku.

Odtąd „Endeavour” płynął przed siebie, a widok lądu wyłaniał się z chmur, miła po mili. Wieczorami kapitan Cook ze wzruszeniem przenosił go na papier, rysując mapy.

W ciągu kilku lat tego mapowania mieli wiele przygód, które barwnie już opisano. Kiedy ktoś rzucił myśl, że tak niezwykle ład musi być zamieszkały, następnego dnia ujrano dym nad buszem. Gdy zaczęto się obawiać przeszkód w zdobywaniu prowiantu na lądzie i wyobrażać sobie walecznych dzikich, jeszcze tego samego ranka pojawili się na lądzie — straszni i przerażający. Mieli wytatuowane twarze, wywalali języki i potrząsali włóczniami. Zeby definitywnie za-manifestować przewagę i od razu ustalić hierarchię, zastrzelono kilku z nich — wtedy odkrywcy zostali zaatakowani.

Nowa Zelandia to był, zdaje się, ostatni ład, jaki sobie wymyśliliśmy.

Inny Cook

Thomas latem 1841 roku wybrał się piechotą na spotkanie towarzystwa trzeźwości — był bowiem wielkim orędownikiem trzeźwego umysłu — z rodzimego Loughborough do oddalonego o jedenaście mil Leicester. Wraz z nim szło jeszcze kilku innych dżentelmenów. Po drodze, która była długa i męcząca, ów

Cook wpadł na pomysł — i aż dziw bierze, że nikt przed nim tego nie wymyślił, to jest właśnie ta słynna prostota genialnych pomysłów — żeby następnym razem wynająć dla wszystkich niezorganizowanych podróżników kurs kolei żelaznej.

Miesiąc później udało mu się przygotować pierwszą wycieczkę dla kilkuset osób (nie wiadomo jednak, czy wszyscy jechali na spotkanie towarzystwa trzeźwości). Tak powstało pierwsze turystyczne biuro podróży.

Oto jest dwóch z tych kucharzy, którzy warzą nam rzeczywistość.

Wieloryby. Utopić się w powietrzu

Wszyscy mieszkańcy australijskich nadmorskich osad wychodzili na brzeg, gdy rozchodziła się wieść, że znowu jakiś zdeorientowany wieloryb wpływał na mielizny. Ludzie ofiarnie pełnili przy nim dyżury, żeby polewać jego delikatną skórę wodą i zachęcać go do powrotu w morze. Starsze panie ubrane jak hipiski utrzymywały, że wiedzą, jak to zrobić. Podobno wystarczy mówić do niego: idź, idź, mój bracie, ewentualnie — moja siostrzo. I z zamkniętymi oczyma dzielić się z nim swoją energią.

Cały dzień drobne figurki krzątały się po plaży, czekając na przypływ, niechże go woda zabierze z powrotem na głębiny. Zaczepiano sieci do łodzi i próbowano go wypchnąć siłą. Lecz wielkie zwierzę za-

mieniało się w bezwładny ciężar, w ciało, któremu wcale nie zależy na życiu. Nic dziwnego, że ludzie mówili: „samobójstwo”. Przybyła tu także niewielka grupa aktywistów, którzy uważali, że zwierzętom należy pozwolić umrzeć. Dlaczego akt samobójczy miałby być tylko wątpliwym przywilejem człowieka. Może życie każdej żywej istoty ma swoje określone granice, niewidoczne dla oka, i po ich przekroczeniu wyczerpuje się samo. Niechże zostanie to wzięte pod uwagę w powstającej właśnie w Sydney czy Brisbane Karcie Praw Zwierząt. Drodzy bracia, dajemy wam prawo do dobrowolnej śmierci.

Zjeżdżali do umierającego wieloryba jacyś podejrzani szamani, którzy odprawiali nad nim rytuały, pojawili się fotoamatorzy i łowcy sensacji. Nauczycielka z wiejskiej szkoły przyprowadziła tu swoją klasę i potem dzieci rysowały „Pożegnanie wieloryba”.

Zwykle trwało to kilka dni, umieranie. A przez ten czas mieszkańcy wybrzeża już się zżyli ze spokojną, majestatyczną istotą o nieprzeniknionej woli. Ktoś nadawał jej imię, najczęściej całkiem ludzkie. Pojawiała się lokalna stacja telewizyjna, w umieraniu brał udział cały kraj, a nawet świat — dzięki telewizji satelitarnej. Problem tego osobnika na plaży kończył wszystkie wiadomości na trzech kontynentach. Przy tej okazji puszczano filmy o globalnym ociepleniu i ekologii. W studiach dyskutowali uczeni, a politycy włączyli kwestię ochrony przyrody do swoich programów wyborczych. Dlaczego? Odpowiadali na te pytania ich-tiolodzy i ekolodzy, każdy z nich miał swoją teorię.

Zniszczony system echolokacji. Zanieczyszczenia wody Wybuchy termojądrowe na dnie mórz, do których nie chciało się przyznać żadne państwo. A może wzorem słoni to dobrowolna śmierć? Starość? Rozczarowanie? Mózgi ssaków podatne są na parcie ciemności. Niedawno jednak odkryto, jak niewiele różni się mózg wieloryba od mózgu ludzkiego; a oprócz podobieństw są w nim pewne obszary, których nie ma homo sapiens, w najlepszej, najbardziej rozwiniętej części płatów czołowych.

W końcu śmierć stawała się faktem i martwe ciało należało usunąć z plaży. Odbywało się to już nie tak tłumnie, a właściwie bez świadków. Tylko służby w jaskrawozielonych kurtkach cięły i ładowały ciało na przyczepy, by potem wywieźć je w nieznanym kierunku. Jeżeli istniał jakiś cmentarz dla tych wielorybów, to z pewnością tam.

Billy, orka, utopił się w powietrzu.

Nieutuleni w żalu ludzie.

Ale zdarzało się przecież, że udawało się niektóre z nich uratować. Po wielu wysiłkach i pełnej poświęcenia pracy dziesiątków wolontariuszy, wieloryby brały głęboki wdech i zavracały na otwarty ocean. Widać było, jak radośnie tryskają w niebo te ich słynne fontanny, a potem jak nurkują w głębię oceanu. Plaża wiwatowała.

Kilka tygodni później odławiano je u wybrzeży Japonii i ich łagodne, piękne ciała zmieniały się w pokarm dla psów.

Strefa Boga

Jest spakowana od kilku dni. Rzeczy leżą w kupkach na dywanie w pokoju. Przechodząc do łóżka, stawia między nimi stopy, brodzi wśród stosików koszulek, majtek, zwiniętych w kłębuszki skarpet, złożonych porządnie w kant spodni oraz kilku książek na drogę, ot, takich tam modnych powieści, których nie miała czasu przeczytać do tej pory. Są i ciepły sweter, i zimowe buty, które kupiła na tę okazję — przecież jedzie w sam środek zimy.

Rzeczy jak to rzeczy — niezgłębione, miękkie wylinki wielorazowego użytku, ochronne futerały dla kruchego pięćdziesięciokilkuletniego ciała, kombinzony przeciw promieniom słonecznym i wzrokowi ciekawskich. Niezbędne w długiej podróży i podczas kilkutygodniowego pobytu daleko, daleko, na krańcach świata. Układała je na podłodze, pomagając sobie listą, którą spisywała całymi dniami w rzadkich wolnych chwilach, wiedząc już, że musi pojechać. Ponieważ danego słowa należy dotrzymać.

Pakując się starannie do swojej czerwonej walizki na kółkach, musiała przyznać uczciwie, że niewiele potrzebuje. Każdego kolejnego roku odkrywała, że jest tego coraz mniej. Odpadały: sukienki, pianki do włosów, lakier do paznokci i wszystkie przyrządy do manikiuru, kolczyki, podróżne żelazko, papierosy. W tym roku uświadomiła sobie, że nie potrzebuje podpasek.

— Nie odwoż mnie — powiedziała do mężczyzny, który odwrócił do niej ledwie przytomną ze snu twarz. — Wezmę taksówkę.

Wierzchem dłoni przesunęła po jego delikatnych pladych powiekach i pocałowała go w policzek.

— Zadzwoń, jak będziesz na miejscu, bo umrę z niepokoju — powiedział niewyraźnie i jego głowa opadła na poduszkę. Miał nocny dyżur w szpitalu, był jakiś wypadek i pacjent zmarł.

Włożyła czarne spodnie i czarną Inianą bluzę. Wciągnęła buty i przerzuciła torebkę przez ramię. Teraz stoi bez ruchu w korytarzu, sama nie wie dlaczego. W jej rodzinie mawiało się, że przed podróżą trzeba koniecznie na minutę usiąść, dawny polski kresowy zwyczaj; ale tutaj, w tym małym przedpokoju nie ma miejsca do siedzenia, żadnego krzesła. Więc stoi i ustawia swój wewnętrzny zegar, formatuje timer, można by rzec, światowo, uzbraja wielkie teraz, ten mięsisty chronometr w ludzkiej postaci, który tyka głucho wraz z jej oddechem. I nagle zbiera się w sobie, łapie walizkę za rączkę, jak dziecko, które się zagapiło, i z impetem otwiera drzwi. I już. Start. Ruszyła.

Śniady taksówkarz starannie ułożył jej torbę w bagażniku. Kilka jego gestów wydało jej się niepotrzebnych, zbyt poufałych, miała wrażenie, że gdy ułożył walizkę w bagażniku, pogłaskał ją delikatnie.

— A więc w podróż? — zapytał z uśmiechem, odsłaniając duże białe zęby.

Potwierdziła. Uśmiechnął się jeszcze szerzej za grzecznym pośrednictwem lusterka.

— Do Europy — rzuciła i taksówkarz z na wpół okrzykiem, na wpół westchnieniem, wyraził podziw.

Jechali szosą przy zatoce, właśnie zaczął się odpływ i woda powoli odsłaniała kamieniste, usiane muszlami dno. Słońce oślepiało, grzało mocno, trzeba było uważać na skórę. Pomyślała teraz z żalem o swoich roślinach w ogrodzie i czy rzeczywiście mąż będzie je podlewał, jak obiecał, o mandarynkach (czy doczekają do jej powrotu — wtedy zrobi z nich konfiturę), o figach, które właśnie zaczęły dojrzewać, i o ziołach wygnanych w najbardziej suche miejsce ogrodu, na kamienie, ale chyba im się tam spodobało, bo estragon wyrósł w tym roku do niebywałych rozmiarów. Nawet pranie powieszzone w ogrodzie przesiąkło jego cierpką i rześką wonią.

— Dziesięć — powiedział taksówkarz. Zapłaciła.

Na lokalnym lotnisku pokazała przy kontuarze bilet i odprawiła bagaż do celu. Sama została z plecakiem i od razu niespiesznie poszła do samolotu, do którego już pakowali się zaspani ludzie, z dziećmi, z psami, z reklamówkami pełnymi prowiantu.

Gdy mały samolot uniósł się w powietrze, żeby przewieźć ją na główne lotnisko — zobaczyła widok tak piękny, że na chwilę ogarnęło ją uniesienie. „Uniesienie”, śmieszne stare słowo, komiczne w tym kontekście, bo naprawdę była uniesiona na wysokość chmur. Wyspy, piaszczyste plaże należały do niej w nie mniejszym stopniu niż jej dłonie i stopy; morze, które zwija się w pienne rulony przy brzegach, okruchy statków i łodzi, łagodna i falująca linia brzegowa,

zielone wnętrza wysp były jej własnością. God's Zone, tak mówili o wyspie jej mieszkańcy. Strefa Boga. Tu się przeprowadził i tutaj zabrał ze sobą całe piękno świata. Teraz rozdaje je każdemu mieszkańcowi za darmo, nie stawiając żadnych warunków.

Na dużym lotnisku poszła do toalety i umyła twarz. Potem długo przyglądała się małej niecierplivej kolejce do stanowisk darmowego Internetu. Ludzie w podróży zatrzymywali się tu na chwilę, żeby dać znak bliskim i dalekim znajomym: jestem. Pomyślała nawet, że i ona mogłaby podejść do ekranów, wystukać nazwę swojego serwera, potem adres i sprawdzić, kto też do niej napisał, ale wie, co tam znajdzie. Nic ciekawego: w sprawie projektu, nad którym teraz pracuje, żarty od koleżanki z Australii, rzadkie maile od dzieci. Nadawca tych, które stały się powodem tej wyprawy, milczał już od jakiegoś czasu.

Zdziwiły ją wszystkie rytuały bezpieczeństwa; dawno nie latała. Prześwietlono ją samą i jej plecak. Zabrano jej cążki do paznokci; żałowała, bo były całkiem porządne, używała ich od lat. Urzędnicy fachowym spojrzeniem próbowali ocenić, czy ktoś z pasażerów nie jest w istocie uzbrojoną bombą, zwłaszcza ci o śniadych twarzach albo te dziewczyny w chustach, wesołe, rozszczebiotane. Wyglądało na to, że świat, do którego się wybiera, na którego granicy teraz stanęła tuż przed żółtą linią, rządzi się innymi prawami, że aż tutaj dochodzi jego ponury wściekły pomruk.

Po odprawie paszportowej zrobiła małe zakupy w bezcłowym sklepie. Znalazła swój gejt — d z i e -

w i ę ć, usiadła z twarzą zwróconą do wejścia i próbowała czytać.

Samolot wystartował o czasie, bezboleśnie; więc jeszcze raz zdarzył się cud, że maszyna wielka jak budynek z wdziękiem wyśliznęła się z objęć ziemi i łagodnie poszybowała w górę.

Po plastikowym samolotowym jedzeniu wszyscy zaraz zaczęli zbierać się do snu. Nieliczni ze słuchawkami na uszach oglądali film o fantastycznej podróży dzielnych naukowców, którzy zostali zmniejszeni w jakimś „akceleratorze” do rozmiarów bakterii i teraz podróżowali we wnętrzu ciała pacjenta. Patrzyła na ekran bez słuchawek i zachwyciły ją niezwykle zdjęcia — sceneria jak na dnie morza, karminowe korytarze naczyń krwionośnych, pulsujące zwężenia tętnic, a w nich agresywne limfocyty przypominające przybyszów z kosmosu i łagodne, miseczkowate krwinki, niewinne owieczki. Steward dyskretnie rozniósł wodę z plasterkiem cytryny na cały dzbanek. Wypiła kubek.

Gdy padał deszcz, parkowymi ścieżkami płynęła woda, przepłukiwała je i nanosiła delikatny jasny piasek; można było na nim pisać końcem patyka, wstęgi domagały się zapisu. Dało się na nich rysować kratki do gry w klasy i królowny w bombkowatych sukniach o owadzych taliach, a kilka lat później — rebusy, wyznania, miłosną algebrę tych wszystkich $M + B = WM$ — co znaczyło, że jakiś Marek czy Maciek kocha jakąś Basię czy Bożenę, a WM to wielka

miłość. Zawsze tak ma w samolocie — widok z lotu ptaka na całe swoje życie, na poszczególne momenty, o których myślałoby się na ziemi, że są zupełnie zapomniane. Banalny mechanizm flashbacku, mechaniczna reminiscencja.

Gdy dostała e-mail, nie wiedziała od kogo, kto się kryje pod tym imieniem i nazwiskiem i dlaczego zwraca się do niej tak poufale. Ta niepamięć trwała kilkanaście sekund, powinna jej się zawstydzić. List był pozornie — jak to potem stwierdziła — listem bożonarodzeniowym, z życzeniami. Przyszedł w połowie grudnia, gdy zaczynały się pierwsze upały. Ale wyraźnie wykraczał poza przyjęte formułki. Wydał jej się wołaniem z drugiej strony tuby, dalekim, stłumionym, niewyraźnym. Nie wszystko zrozumiała, niektóre zdania ją niepokoiły, na przykład, że „życie wydaje mi się jakimś ohydny nałogiem, nad którym już dawno straciło się kontrolę. Czy rzucałaś kiedyś palenie?”. Tak, rzucała. I było to trudne.

Dobre kilka dni nosiła się z tym dziwnym listem od człowieka, którego znała ponad trzydzieści lat temu i od tamtej pory nie widziała, którego zupełnie już zapomniała, ale którego przecież kiedyś kochała przez dwa intensywne młodzieńcze lata. Odpisała grzecznie i po przyjacielsku, zupełnie w innym tonie, i wtedy listy zaczęły przychodzić codziennie.

Odebrały jej spokój te maile. Obudziły widocznie śpiący fragment mózgu, w którym przetrzymywała tamte lata podzielone na obrazy, na strzępki

dialogów, smużki zapachów. Teraz codziennie, gdy jechała do pracy samochodem, wraz z przekręceniem kluczyka w stacji włączały jej się te nagrania, filmy nakręcone byle jaką kamerą, o wyblakłych kolorach albo wręcz czarno-białe, scenki rodzajowe, momenty, bez porządku i sensu, nie po kolei, z którymi nie wiadomo, co począć. Ze na przykład wychodzą poza miasto, miasteczko właściwie, na wzgórze, tam gdzie biegnie linia wysokiego napięcia, i odtąd stale ich słowom towarzyszy brzęczenie, jak akord podkreślający wagę tego spaceru, niski jednostajny dźwięk, napięcie, które ani nie rośnie, ani nie opada. Trzymają się za ręce; to czas pierwszych pocałunków, których nie da się inaczej określić jak dziwne.

Ich liceum było starym, chłodnym budynkiem, w którym na dwóch piętrach do szerokich korytarzy przystawały szeregiem klasy. Wszystkie wyglądały podobnie — trzy rzędy ławek, a naprzeciwko nich biurko nauczyciela. Tablice pokryte ciemnozieloną gumą można było przesuwając z góry na dół. Dyżurny klasowy miał obowiązek przed każdą lekcją zwilżyć gąbkę. Na ścianach wisiały czarno-białe portrety mężczyzn — tylko w gabinecie fizycznym znajdowała się jedna kobieca twarz: Maria Skłodowska-Curie, zaświadczać o istnieniu równości między płciami. Te rzędy twarzy wiszących nad głowami uczniów miały im zapewne przypominać, że jakimś cudem szkoła pozostaje w wielkiej naukowej rodzinie, że mimo swojej prowincjonalności jest spadkobierczynią

„lepszemu” tradycji i należy do świata, w którym wszystko da się opisać, wyjaśnić, udowodnić, wykazać na przykładzie.

W siódmej klasie zaczęła interesować się biologią. Znalazła gdzieś artykuł — może podsunął go jej ojciec — o mitochondriach. Ze najprawdopodobniej w zamierzonych czasach, w pierwotnym oceanie były osobnymi istotami, które zostały przechwycone przez inne jednokomórkowce i na resztę dziejów zmuszone do pracy na rzecz żywicieli. To niewolnictwo usankcjonowała ewolucja — i tak oto jesteśmy. Tak to było tam opisane, takimi terminami — „przechwycone”, „zmuszone”, „niewolnictwo”. Prawdę mówiąc, nigdy nie dawało jej to spokoju. Założenie, że na początku była przemoc.

W liceum wiedziała już, że zostanie biologiem, dlatego z zapałem uczyła się biologii i chemii. Na rosyjskim pisała liściki pełne płotek, podawane usłużnie przez kolegów pod ławkami do przyjaciółek. Na polskim nudziła się śmiertelnie, dopóki w dziesiątej klasie nie zakochała się w koleżance z równoległej klasy, który miał takie samo imię i nazwisko jak autor maila i którego twarz usiłowała sobie teraz przypomnieć. Dlatego, zdaje się, niewiele się dowiedziała o pozytywizmie i Młodej Polsce.

Jej codzienna podróż jest podróżą wahadłową po wdzięcznie zakrzywionym łuku, osiem kilometrów wybrzeża, tam i z powrotem, z domu do pracy i odwrotnie. Morze jest w tej podróży zawsze obecne

i śmiało można powiedzieć, że jej podróż jest podróżą morską.

W pracy jednak przestawała myśleć o mailach, wracała do siebie, a tu nie było miejsca na mgliste wspomnienia. Gdy tylko zjeżdżała z podjazdu pod domem i włączała się do ruchu na szosie, zawsze była lekko podekscytowana — tyle rzeczy czeka na nią w laboratorium i biurze. I oto znajoma bryła niskiego przeszklonego budynku przestawiała jej świadomość, a jej mózg zaczynał pracować wydajniej, był skupiony jak dobrze naoliwiony silnik, niezawodny, taki, który zawsze przywozi do celu.

Brała udział w wielkim programie wymierzonym w szkodniki, przeciwko łasicom i oposom, które — sprowadzone nieopatrnie przez człowieka — siały teraz zniszczenie wśród populacji endemicznych gatunków ptaków, żywiąc się głównie ich jajami.

Pracowała w zespole, który testował trutki na te małe ssaki. Truciznę wstrzykiwano do jaj, które jako przynętę rozkładano w specjalnych drewnianych klatkach w lasach i w buszu; musiała być ona szybka, humanitarna i na dodatek błyskawicznie rozkładalna, żeby padłymi zwierzętami nie zatruty się populacje insektów. Krystalicznie czysta trucizna, całkowicie bezpieczna dla świata, wymierzona tylko w szkodnika, w jeden wybrany typ organizmu, samo-neutralizująca się po wykonaniu zadania. James Bond ekologii.

Tym się właśnie zajmowała. Stworzyła taką substancję, pracowała nad nią całe siedem lat.

On to skądś wiedział. Na pewno wyczytał w Internecie, wszystko tam jest. Jeśli cię nie ma w Internecie, to tak, jakby cię w ogóle nie było. Musisz tam mieć choć jeden mały wpis, choćby na liście absolwentów twojego liceum. A znalazł ją zapewne w prosty sposób, ponieważ nigdy nie zmieniła nazwiska. Więc na pewno po prostu wpisał jej nazwisko w Google i wyskoczyło kilka stron, i jej artykuły, i plan zajęć rocznych dla studentów, i jej działalność w ekologii. Najpierw myślała, że o to mu chodzi. Więc całkiem prostodusznie wdała się w mailowe dyskusje.

Trudno było spać w tym wielkim, transkontynentalnym samolocie. Nogi cierpły i puchły. Zapadała w krótkie drzemki, które jeszcze bardziej dezorientowały ją w czasie. Czy noc może być tak długa? — dziwi się zagubione ludzkie ciało oderwane od ziemi, od swojego miejsca, w którym słońce wschodzi i zachodzi, a szyszynka, to ukryte trzecie oko, rejestruje uważnie jego ruch po niebie. Wreszcie zaczyna świtać i silniki samolotu zmieniają ton. Z tenoru, do którego już przyzwyczało się ucho, przechodzą teraz w niższe rejestry, barytony i basy; wreszcie, szybciej niż myślała, wielka maszyna zgrabnie spływa na ziemię. Gdy rękawem idzie na lotnisko, czuje, jak gorące jest tutaj powietrze, przeciska się szparami, lepkie, wilgotne, płuca buntują się, żeby go zaczerpnąć. Ale na szczęście nie będzie z nim miała do czynienia. Następny samolot odlatuje prawie za sześć godzin, i zamierza spędzić ten czas na lotnisku, śpiąc i drzemiąc, pró-

bując odnaleźć się w czasie. Potem czeka ją następne pół doby lotu.

Często myślała o mężczyźnie, który przysłał jej nieoczekiwane e-mail. I potem następne, aż zawiązała się korespondencja pełna niedomówień i domysłów. Takich rzeczy nie pisze się wprost, lecz wobec ludzi, z którymi weszło się kiedyś w bliski cielesny związek, obowiązuje w końcu jakiś rodzaj lojalności, tak to rozumiała. Czy dlatego zwrócił się do niej? To oczywiste. Utrata dziewictwa jest wydarzeniem jednorazowym i nieodwracalnym, nie da się go powtórzyć; przez to staje się jakaś doniosła, czy się tego chce, czy nie chce, bez względu na całą ideologię. Dobrze pamiętała, jak to dokładnie było: krótki, ostry ból, nacięcie, sznyt, aż dziw, że zadany tak łagodnym i tępym narzędziem.

Pamięta też duże szarokremowe bryły budynków przy uniwersytecie, mroczną aptekę z wiecznie zapalonym światłem, bez względu na pogodę i porę roku, i stare brązowe słoje ze starannie opisaną na etykiecie zawartością. Żółte listki tabletek od bólu głowy, ułożone po sześć, wiązane gumką recepturką. Pamięta obły miły kształt aparatów telefonicznych odlewanych z ebonitu, najczęściej czarnego albo mahoniowego — nie miały tarczy, tylko korbki, a ich dźwięk przypominał małe tornado rozkręcane gdzieś w długich tunelach kabli, żeby przywołać pożądany głos.

Dziwi ją, że tak dokładnie to widzi — po raz pierwszy w życiu. Pewnie zaczyna się starzeć, bo to

podobno na starość odzywają się te zakamarki w mózgu, które zapisały skrupulatnie wszystko, co się wydarzyło. Do tej pory nie miała czasu zastanawiać się nad takimi starymi sprawami; przeszłość widziała jak rozmazaną smugę. Teraz ten film zwalnia i odkrywa detale — wielki jest ludzki mózg. Przetrwiała w nim nawet jej mała brązowa torebka, przedwojenna, po matce, o miękkich ściankach z podgumowanego materiału, ze ślicznym metalowym zameczkiem, który wyglądał jak klejnot. Jej wnętrze było gładkie i chłodne i kiedy włożyło się tam dłoń, miało się wrażenie, że utknęła tam martwa odnoga czasu.

Drugi samolot, ten do Europy, jest jeszcze większy, piętrowy. Lecą w nim wypoczęci, opaleni turyści. Na półki z bagażem podręcznym usiłują wepchnąć ekscentryczne pamiątki — wysoki bęben pokryty etnicznym wzorkiem, kapelusz z trawy, drewnianego Buddę. Siedzi wciśnięta między dwie kobiety, w samym środku rzędu, w bardzo niewygodnym miejscu. Opiera głowę o siedzenie, ale wie, że nie będzie mogła zasnąć.

Przyjechali na studia z tego samego miasteczka, on studiował filozofię, ona — biologię. Spotykali się codziennie po zajęciach, przestraszeni nieco wielkim miastem, zagubieni. Czasem przemycali się do swoich akademików, raz — teraz sobie przypomina on nawet wchodził po rynnie na pierwsze piętro. Pamięta też numer pokoju: 321. Ale miasto i uniwer-

sytet trwały tylko rok, zdążyła jeszcze zdać egzaminy — i wyjechali. Ojciec sprzedawał cały swój gabinet za grosze: fotel dentystyczny, metalowe oszklone gabloty, autoklawy i narzędzia. Swoją drogą, ciekawe, gdzie jest teraz cały ten sprzęt? Na wysypisku śmieci? Czy wciąż łuszczy się na nim kremowa farba? Matka sprzedawała meble. Nie było ani rozpacz, ani smutku, w pozbywaniu się majątku był niepokój, bo to w końcu rozpoczynanie życia na nowo. Oboje byli młodszy niż ona teraz (a wtedy wydawali jej się zupełnie starymi ludźmi), gotowi do podjęcia przygody, wszystko jedno — w Szwecji, w Australii, a może na Madagaskarze, gdziekolwiek, byle dalej od północnego, podgniętego, klaustrofobicznego życia w absurdalnym, nieprzyjaznym komunistycznym państwie z końca lat sześćdziesiątych. Ojciec twierdził, że ten kraj nie nadaje się dla ludzi, choć potem przez resztę życia umierał z tęsknoty. A ona chciała wyjechać, naprawdę tego chciała jak każda dziewiętnastolatka — ruszyć w świat.

Ten kraj nie nadaje się dla ludzi, lecz dla małych ssaków, dla insektów i ciem. Ona śpi. Samolot wisi w czystym, mroźnym powietrzu, które zabija bakterie. Każdy lot nas dezynfekuje. Każda noc nas oczyszcza. Widzi obraz, nie zna jego tytułu, pamięta go z dzieciństwa: młoda kobieta dotyka powiek kłęzącego przed nią starca. To jest obraz z biblioteki ojca, wie, gdzie stał album, po prawej na dole, tam gdzie inne albumy. Mogłaby teraz zamknąć oczy i wejść

do tego pokoju z oknami na półokrągłym wykuszu, z których widać było ogród. Po prawej, na wysokości twarzy, był czarny ebonitowy kontakt z przełącznikiem, który należało chwycić kciukiem i palcem wskazującym i przekręcić. Stawiał słaby opór, zanim pstryknął- Światło pojawiało się w żyrandolu z pięcioma podłużnymi kielichowatymi kloszami, tworzyły coś w rodzaju wirującego koła. Lecz to światło spod sufitu było słabe i zbyt wysoko, nie lubiła go. Wolała zapalić stojącą lampę z żółtym abażurem, w którym zatopiono — nie wie jak — żdźbła trawy, i usiąść w starym przetartym fotelu. Jako dziecko myślała, że mieszkają w nim boboki, bliżej nieokreślone, straszne stworzenia. Książką, którą teraz rozłożyłaby sobie na kolanach, jest — przypomnina sobie — album Malczewskiego. Otwiera się na tej stronie, na której młoda piękna kobieta z kosą spokojnie i z miłością zamyka oczy kłęzącemu przed nią starcowi.

Jej taras wychodzi na rozległe błonia, za którymi widnieją lazurowe wody zatoki; przypływ bawi się kolorami, miesza je, werniksuje fale srebrnym połyskiem. Zawsze po obiedzie wieczorem wychodzi na taras — to pozostałość z czasów, gdy jeszcze paliła. Teraz stoi tam i patrzy na ludzi, którzy oddają się mnóstwu uciech i zabaw. Gdyby to namalować I— wyszedłby z tego radosny, słoneczny, może nieco infantylny Breugel. Breugel południowy. Ludzie puszczają latawce — jeden ma kształt wielkiej kółkowej ryby, której długie i cienkie płetwy płyną w po-

wietrzy z wdziękiem ryb welonów. Drugi — to miś panda, duży, obły, unosi się nad maleńkimi figurkami ludzi. Trzeci jest dużym białym żaglem, który ciągnie po ziemi niski wózek swojego właściciela. Jaki to można mieć pożytek z latawca! Jaki przydatny jest wiatr. Jaki dobry.

Ludzie bawią się z psami — rzucają im jaskrawe piłeczki. Psy aportują je z nieskończonym entuzjazmem. Maleńkie postaci biegają, jeżdżą rowerami, na wrotkach, grają w rondo, w siatkówkę, w badminton, ćwiczą jogę. Szosą nieopodal suną kolorowe samochody z przyczepami, a na nich łodzie, katamarany, rowery, ruchome domy. Wieje lekki wiatr, świeci słońce, małe ptaszki awanturują się pod drzewem o jakieś zapomniane okruszki.

Tak to rozumie: życie na planecie rozkręca jakaś potężna siła zawarta w każdym atomie ożywionej materii. To siła, dla której na razie nie ma żadnych fizycznych ewidencji, nie da się jej przyłapać na najdokładniejszych mikroskopowych zdjęciach ani na fotografiach atomowego spektrum. To coś, co polega na rozpychaniu się, parciu do przodu, na nieustannym wychodzeniu poza to, czym jest. To jest silnik, który napędza zmiany, ślepa, potężna energia. Przypisywanie jej celu czy intencji jest nieporozumieniem. Darwin zinterpretował ją jak umiał, ale nie miał racji. Żaden dobór naturalny, żadna walka, żadne zwycięstwo i przystosowanie najsilniejszego. Konkurencja — srencia. Im bardziej doświadczonym biologiem się staje, im dłużej i uważniej przygląda się skompliko-

wanym układom i powiązaniom w biosystemie, tym bardziej umacnia się w swojej intuicji — wszystko, co żywe, wspomaga się w tym rośnięciu i rozpychaniu, wspiera się na sobie. Żywe organizmy oddają się sobie wzajemnie, pozwalają robić z siebie użytek innym. Jeżeli istnieje rywalizacja, to jest to zjawisko lokalne, zaburzenie równowagi. To prawda, gałęzie drzew przepychają się między sobą do światła, ich korzenie prą na wyścigi do źródeł wody, zwierzęta zjadają się nawzajem, ale jest w tym przerażający dla człowieka rodzaj zgody. Można mieć wrażenie, że uczestniczymy w teatrze wielkiego ciała, jakby te wojny, które prowadzimy, były tylko wojnami domowymi. To — bo jakiego innego słowa użyć? — żyje, ma miliony cech i jakości, tak że wszystko się w nim zawiera i nie ma nic, co mogłoby być spoza, każda śmierć jest częścią życia i, w pewnym sensie — nie ma śmierci. Nie ma pomyłki. Nie ma winnych i niewinnych, nie ma zasług i grzechów, dobrego i złego; ten, kto wymyślił te pojęcia, wprowadził ludzi w błąd.

Wraca do pokoju i czyta jego list, który właśnie przyszedł anonsowany kliknięciem, i przypomina się jej własna rozpacz z powodu tego człowieka-nadawcy, dawno, dawno temu. Rozpacz, że on zostaje, a ona jedzie. Przyszedł wtedy na dworzec, ale nie pamięta go stojącego na peronie, choć wie, że kiedyś pielęgnowała ten obraz; przypomina sobie tylko ruch pociągu i coraz szybciej przesuujące się obrazy zimowej Warszawy, i myśl, która zaczynała się od słów: już nig-

dy. Teraz to brzmi bardzo sentymentalnie i, prawdę mówiąc, nie rozumie tego bólu. To był dobry ból, jak ból menstruacyjny. Coś się dopełnia — oto finalizacja, je się jakiś wewnętrzny proces i to, co niepotrzebne zostaje usunięte na zawsze. Dlatego boli, ale jest to ból oczyszczenia.

Przez jakiś czas pisali do siebie listy; te od niego przychodziły w niebieskich kopertach ze znaczkami koloru razowego chleba. Oczywiście planowali, że kiedyś on dojedzie tam, gdzie znajdzie się ona. Ale — oczywiście — nie dojechał; kto by zresztą wierzył takim zapewnieniom. Powodów było kilka, teraz wydają się niejasne i niezrozumiałe — brak paszportu, polityka, przepastność zim, w których można utknąć jak w szczelinie lodowej, bez możliwości ruchu.

Zaraz po przyjeździe tutaj nawiedzały ją ataki dziwnej tęsknoty. Dziwnej, bo dotyczyła rzeczy zbyt błahych, żeby za nimi tęsknić: wody, która zbiera się w kałuże w zagłębieniach chodnika, neonowych kolorów, jakie zostawia w tej wodzie rozlana benzyna; starych ciężkich i skrzypiących drzwi do ciemnej klatki schodowej. Tęskniła także do fajansowych talerzy z brązowym szlaczkiem i napisem „Społem”, na jakich podawano w studenckim barze leniwe pierogi polane roztopionym masłem i posypane cukrem. Potem, z czasem, ta tęsknota wsiąkała w nową ziemię jak rozlane mleko, nie pozostał po niej ślad. Dokończyła studia, zrobiła specjalizację. Podróżowała po świecie, wyszła za mąż za człowieka, z którym jest do dziś, i urodziła bliźnięta, które już niedługo będą miały

swoje dzieci. Wygląda więc na to, że pamięć to szuflada zawałona papierami — jedne z nich są zupełnie nieważne, to dokumenty rzeczy jednorazowych, owe kwity z pralni i dowody zakupu butów na zimę, opiekacza do grzanek, po którym nie został już w domu żaden ślad. Ale są też inne, wielorazowe, świadectwa nie wydarzeń, lecz całych procesów: książeczka szczepień dziecka, legitymacja studencka z kartkami do połowy wypełnionymi pieczętkami z każdego semestru, świadectwo maturalne, zaświadczenie o ukończeniu kursu kroju i szycia.

W kolejnym liście, jaki od niego dostała, pisał, że wprawdzie jest teraz w szpitalu, ale już wiadomo, że go wypuszczą na święta i już tam nie wróci. Wszystko, co możliwe, już zostało zrobione, zbadane i przewidziane, więc teraz będzie w domu, a mieszka pod Warszawą, na wsi, i że jest śnieg, i wielkie mrozy w całej Europie, i zdarza się nawet, że ludzie zamarzają na śmierć. Podał także nazwę swojej choroby, ale po polsku, tak że zupełnie nie wiedziała, co to jest, nie znała po prostu polskiej nazwy. „Czy pamiętasz, co sobie obiecaliśmy? — pisał. — Czy pamiętasz ostatnią noc przed twoim wyjazdem? Siedzieliśmy w parku na trawniku, było bardzo gorąco, czerwiec, egzaminy już zdane na pięć, miasto nagrzane za dnia oddawało teraz ciepło zmieszane z zapachem betonu, jakby się pociło. Pamiętasz? Przyniosłaś butelkę wódki, ale nie daliśmy rady jej wypić. Obiecaliśmy sobie, że się zobaczymy. Ze cokolwiek by się działo, to jeszcze się spotkamy. I jeszcze coś — czy to też pamiętasz?”

Oczywiście, że pamięta.

Miał mały scyzoryk w kościanej oprawie i jedno z ostrzy to był korkociąg, którym przed chwilą otworzył butelkę (a butelki były wtedy korkowane i lakowane), a teraz ostrzem korkociągu robi sobie na dłoni, zdaje się, między kciukiem a wskazującym palcem, podłużną ranę, i ona bierze od niego skrócone metalowe ostrze i robi to samo sobie. Potem dotykają się tymi plamami krwi, przykładają zadrapania do siebie. Ten romantyczny młodzieńczy gest nazywa się braterstwem krwi i pochodzi zapewne z jakiegoś modnego wtedy filmu, a może z książek, może z jakiegoś „Winnetou”.

Sprawdza teraz dokładnie swoje dłonie, jedną i drugą, bo nie pamięta, która to mogła być ręka, lewa czy prawa, ale nic nie znajduje. Czas goi nie takie rany.

Oczywiście, że pamięta tamtą czerwcową noc — z wiekiem pamięć zaczyna powoli otwierać swoje hologramowe przepaście, jedne dni wyciągają jak po sznurku drugie, a te — kolejne godziny i minuty. Nie ruchome obrazy ruszają, najpierw wolno, powtarzając raz po raz te same momenty i przypomina to wydobywanie z piasku prastarych szkieletów: najpierw widzi się pojedynczą kość, ale już miotełka odsłania inne; w końcu cała skomplikowana struktura zostaje wydobyta na jaw, stawy, połączenia, konstrukcja, na której wspiera się ciało czasu.

Z Polski wyjechali do Szwecji. Był 1970 rok, miała wtedy dziewiętnaście lat. Dwa lata później uznali, że to za blisko, że przez Bałtyk ciągną jakieś fluidy,

tęsknoty, miazmaty, jakieś nieprzyjemne powietrze. Ojciec był dobrym dentystą, matka technikiem dentystycznym — takich jak oni przyjmie każdy kraj świata. Liczbę mieszkańców zawsze należy pomnożyć przez liczbę zębów i wtedy łatwo oszacować swoją szansę. A im dalej, tym lepiej.

Odpisała także na ten e-mail, ze zdziwieniem potwierdzając swoją dziwaczną obietnicę. A już następnego dnia rano przyszła odpowiedź od niego, jakby on tam, po drugiej stronie, czekał niecierpliwie, z tekstem schowanym gdzieś na pulpicie, gotowym do załączenia.

„Spróbuj sobie wyobrazić nieustanny ból i z każdym dniem postępujące unieruchomienie. Lecz nawet i to dałoby się znieść, gdyby nie myśl, że nic poza tym bólem nie ma i nie należy się żadne zadośćuczynienie i że każda następna godzina będzie gorsza od poprzedniej, co znaczy, że zmierza się ku jakimś niewyobrażalnym ciemnościom, do jakiegoś piekła zbudowanego z halucynacji, z dziesięcioma kręgami cierpień. I że nie ma po tym żadnego przewodnika, nikt nie prowadzi cię za rękę i nie wyjaśni przyczyn, bo żadne przyczyny nie istnieją, nie ma żadnej kary ani żadnej nagrody”.

I następny list, w którym skarżył się, że pisze z ogromnym trudem i ogólnikami: „Wiesz, że tutaj nie ma mowy o czymś takim. Tradycja nie sprzyja podobnym pomysłom, do tego dochodzi wrodzony brak skłonności do jakiegokolwiek refleksji moich (czy wciąż jeszcze twoich?) rodaków. Zwykle tłumam-

czy się to bolesną historią, która zawsze była dla nas niełaskawa, wyprowadzała nas w pole — może stąd nazwa kraju? Po największym entuzjazmie przychodziła zawsze zapaść — i stąd ustalił się, jako norma, jakiś poziom lęku i braku zaufania do świata, wiara w zbawczą moc silnych reguł i jednocześnie skłonność do niepodporządkowania się temu, co się samemu wymyśliło.

Moja sytuacja wygląda tak: jestem rozwiedziony i z żoną nie mam kontaktu, opiekuje się mną moja siostra, ale ona nigdy by nie spełniła mojej prośby. Nie mam dzieci i bardzo tego żałuję, właśnie chociażby z takiego powodu trzeba je mieć. Jestem osobą nie lubianą i, niestety, publiczną. Żaden lekarz nie odważy się mi pomóc. W jednej z wielu politycznych awantur zostałem skompromitowany i nie mam już tak zwanego dobrego imienia, wiem to i mam to gdzieś. W szpitalu od czasu do czasu ktoś mnie odwiedzał, ale — podejrzewam — nie z prawdziwej chęci zobaczenia się ze mną czy współczucia (tak myślę), lecz dla może nawet nieuświadomionej do końca satysfakcji. Oto co się z nim stało! — pokiwać głową przy moim łóżku. Rozumiem to uczucie, jest ludzkie. A i ja ze swojej strony nie jestem kryształowo czysty, wiele w życiu namieszałem. Mam jedyną zaletę — zawsze byłem dobrze zorganizowany. Chciałbym to wykorzystać do końca".

Miała kłopoty ze zrozumieniem wszystkiego, wiele słów zupełnie zapomniała. Nie wiedziała na przykład, co to znaczy „osoba publiczna”, musiała to przemy-

śleć, teraz już chyba wie. Co to znaczy „namieszać w życiu”. Narobić bałaganu? Zaszkozić sobie?

Próbowała sobie wyobrazić go, jak pisze ten list, czy siedzi, czy leży, i jak wygląda, czy jest w piżamie, lecz jego postać w jej głowie pozostawała nie wypełnionym konturem, zarysem, przez który patrzyła na »wylot, na błonia i zatokę. Po tym długim liście sięgnęła do tekturowych pudełek, gdzie trzymała stare zdjęcia z Polski, i w końcu znalazła go — młody chłopak, grzecznie uczesany, z cieniem młodzieńczego zarostu, w śmiesznych okularach i w jakimś rozciągniętym góralskim swetrze, z ręką blisko twarzy — musiał coś mówić, gdy zrobiono to czarno-białe zdjęcie.

Zdarzenie synchroniczne — kilka godzin później przyszedł list z załączonym zdjęciem. „Niestety pisanie idzie mi coraz gorzej. Spiesz się, proszę. Zobacz sobie, jak wyglądam. Powinnaś wiedzieć, choć to zdjęcie sprzed roku” — masywny mężczyzna, głowa pokryta siwym językiem, gładko wygolony, o miękkich, trochę nieostrych rysach siedzi w jakimś pomieszczeniu, gdzie półki zavalone są papierami; redakcja? Nie ma żadnego najmniejszego podobieństwa między jedną a drugą fotografią, można pomyśleć, że to zupełnie różni ludzie.

Nie wie, co to za choroba. Wklepuje polską nazwę w Google i zaraz sprawa staje się jasna. — Aha! Wczorajem pyta o to męża. Wyjaśnia jej szczegółowo mechanizm choroby, nieuleczalność, postępujące unieruchomienie.

— A dlaczego pytasz? — kończy.

— Tylko tak sobie. Znajomy znajomego to ma — odpowiada wymijająco, a potem, niby mimochodem, sama sobą zaskoczona, wspomina mu o kongresie w Europie, nagły wypadek — zaproszono ją w ostatniej chwili.

Ten ostatni lot doprawdy się już nie liczył, trwał tylko godzinę — z Londynu do Warszawy. Prawie go nie zauważyła. Mnóstwo młodych ludzi, którzy wracali z pracy do domu. Jakie to dziwne uczucie — wszyscy mówili całkiem naturalnie po polsku. Na początku było to dla niej szokujące odkrycie, jakby spotkała starożytnych Greków. Wszyscy ciepło ubrani: czapki, rękawiczki, szaliki, puchowe kurtki, takie, jakie zabiera się na narty — dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy, że wylądowała w samym środku zimy.

Wymęczone ciało, podobne do pojedynczego ściętna, rozciągnięte na łóżku. Kiedy weszła, nie poznał jej, to jasne. Patrzył na nią uważnie, wiedział, że to ona, ale nie rozpoznawał jej, tak jej się przynajmniej wydawało.

— Serwus — powiedziała.

Wtedy uśmiechnął się słabo i zamknął oczy na długi moment.

— Jesteś wielka.

Kobieta, zapewne siostra, o której wspominał, odsunęła się i zrobiła jej miejsce przy łóżku, tak że

mogła popalić jego dłoń, kościstej i zupełnie popielatej; już jego krew niesie popiół zamiast ognia.

— Widzisz — powiedziała jego siostra, zupełnie jak do dziecka — masz gościa. Widzisz, kto przyjechał cię odwiedzić? Proszę, niech pani siada.

Leżał w pokoju, którego okna wychodziły na zaśniewane podwórko i cztery ogromne sosny, w głębi był płot i droga, a dalej prawdziwe wille; ich architektoniczny przepych ją zaskoczył. Inaczej to zapamiętała. Kolumny, werandy, oświetlone podjazdy. Słyszała rżenie silnika, któryś z sąsiadów bezskutecznie usiłował zapalić samochód. W powietrzu czuła lekki zapach ognia i dymu z iglastego drewna.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się, ale samymi wargami — ich kąciki uniosły się lekko w górę, oczy pozostały poważne. Stojak z kroplówką stał po lewej stronie łóżka. Wenflon tkwił w nabrzmiałej, niebieskawej żyle, bliskiej wyczerpania.

Kiedy jego siostra wyszła, zapytał:

— To ty?

Uśmiechnęła się.

— No, widzisz, przyjechałam — przygotowała sobie to proste zdanie znacznie wcześniej. I wyszło nieźle.

— Dziękuję. Nie wierzyłem — powiedział i przeknął ślinę, jakby miał się rozpłakać.

Przestraszyła się, że będzie teraz świadkiem jakiejś żenującej sceny.

— Daj spokój — powiedziała. — Nie wahałam się ani minuty.

— Pięknie wyglądasz, młodo. Tylko zmieniłaś kolor włosów — próbował zażartować.

Miał spieczone wargi, zobaczyła na stoliku przy łóżku szklankę, a w niej patyczek owinięty gazą.

— Chcesz pić?

Przytaknął.

Umoczyła sączonek w wodzie i pochyliła się nad leżącym mężczyzną, poczuła jego zapach — słodkawy, nieprzyjemny. Przymknął oczy, gdy delikatnie zwiliła mu wargi.

Próbowali rozmawiać, ale im nie wychodziło. On zamykał oczy na kilka chwil i nie wiedziała wtedy, czy czuwa, czy może odpływa gdzieś. Zaczęła od czegoś w rodzaju: pamiętasz jak..., ale to nie chwyciło. Gdy umilkła, dotknął jej ręki i poprosił:

— Opowiadaj coś. Mów do mnie.

— Ile to jeszcze... — szukała słowa — będzie trwało?

Powiedział, że nawet kilka tygodni.

— Co to jest? — spytała, patrząc na kroplówkę. Znowu się uśmiechnął.

— Trzy w jednym. Obiad, śniadanie i kolacja. Schabowy z kapustą, szarlotka i piwo na deser.

Cicho powtórzyła za nim: „schabowy”, i to słowo, prawie zapomniane, sprawiło, że poczuła głód. Wzięła go za rękę i ostrożnie roztarła mu zimne palce. Obce dłonie, obcy człowiek, niczego w nim nie rozpoznawała, obce ciało, obcy głos. Równie dobrze

mogłaby to być pomyłka, mogłaby trafić nie do tego domu.

— Naprawdę mnie poznajesz? — spytała go.

— Jasne. Nie zmieniłaś się tak bardzo.

Widziała jednak, że to nieprawda, że wcale jej nie poznał. Może gdyby mieli szansę zostać z sobą dłużej, czas na rozwinięcie tych wszystkich min, gestów, ruchowych nawyków... Tylko po co? Wydawało jej się, że znowu odpłynął na dłuższą chwilę, przymknął oczy i jakby usnął. Nie przeszkadzała mu. Patrzyła na jego popielatą twarz i zapadnięte oczy, na całkiem białe paznokcie, jakby zrobiono je z wosku, ale niedokładnie, bo zacierała się granica między nimi a skórą palców.

Po chwili wrócił, spojrzał na nią, jakby minęła zaledwie sekunda.

— Znalazłem cię w Internecie, już dawno. Czytałem twoje artykuły, ale niewiele z nich rozumiałem. — uśmiechnął się słabo. — Zbyt skomplikowana terminologia.

— Naprawdę czytałeś? — zapytała zdziwiona.

— Musisz być szczęśliwa. Tak przynajmniej wyglądasz.

— Jestem.

— Jak podróż? Ile to godzin?

Opowiedziała mu o przesiadkach i lotniskach. Próbowała policzyć godziny, ale nic się nie zgadzało, bo leciała przecież na zachód i wyglądało na to, że czas się rozrósł. Opisała mu swój dom i widok na zatokę. Mówiła o oposach i o synu, który na rok pojechał

do Gwatemali uczyć w wiejskiej szkole angielskiego O rodzicach, którzy umarli niedawno jedno po drugim, spełnieni, siwowłosi, szepczący między sobą po polsku. O swoim mężu, który robi skomplikowane operacje neurologiczne.

— Zabijasz zwierzęta, prawda? — zapytał nagle.

Spojrzała na niego zaskoczona. Po chwili zrozumiała.

— To bolesne, ale trzeba to robić — odpowiedziała. — Chcesz pić?

Poruszył przecząco głową.

— Dlaczego?

Zrobiła nieokreślony ruch ręką. Zniecierpliwiony. To jasne dlaczego. Dlatego że ludzie sprowadzili na wyspę zwierzęta hodowlane, jakich nigdy nie znalazł rodzimy ekosystem. Jedne przywieziono bezmyślnie, dawno, ponad dwieście lat temu, inne, wydawałoby się zupełnie niewinne, uciekły. Króliki. Opsy i łasice z hodowli futerkowych. Z przydomowych ogródków wymknęły się rośliny — ostatnio widziała pobocze drogi zarośnięte krwawoczerwonymi pelargoniami. Uciekł czosnek i zdziczał na bezludziu. Jego kwiaty nieco wyblakły, kto wie, może po tysiącach lat stworzy tu jakąś swoją lokalną mutację. Tacy jak ona pracowali ciężko, żeby nie dopuścić do skażenia wyspy resztą świata; żeby z przypadkowych kieszeni nie dostały się na wyspę przypadkowe nasiona, żeby nie przybyły tu na bananowych skórkach żadne obce grzyby, na których miałyby się teraz wyłożyć cały ekosystem. A na butach, na ich traperskich podszewkach

nie przedostali się jacyś inni niepożądani imigranci — bakterie, owady, glony. Trzeba tego pilnować, choć walka z góry skazana na niepowodzenie. Należy pogodzić z faktem, że nie będzie już odrębnych ekosystemów. Świat zlał się w jedną breję.

Trzeba się trzymać przepisów celnych. Nie wolno wwozić na wyspę żadnych biologicznych substancji, na nasiona trzeba mieć pozwolenie.

Zauważyła, że słucha jej bardzo uważnie. Ale czy to jest temat na takie spotkanie? — pomyślała, milknąc.

— Mów, opowiadaj — poprosił.

Poprawiła mu piżamę, która rozchyliła się na pierśiach i odsłoniła prawie biały kawałek skóry z kilkoma siwymi włosami.

— Zobacz, to jest właśnie mój mąż, a to dzieci — powiedziała i wyciągnęła z torebki portfel, gdzie w przezroczystej przegródce trzymała zdjęcia. Pokazała mu dzieci. Nie mógł poruszyć głową, więc lekko mu ją uniosła. Uśmiechnął się.

— Byłaś już tutaj przedtem?

Pokręciła przecząco głową.

— Ale byłam w Europie, na kongresach naukowych. W sumie trzy razy.

— Nie ciągnęło cię?

Zastanowiła się.

— Tyle się działo w życiu, wiesz, studiowałam, miałam dzieci, pracowałam. Budowaliśmy dom nad oceanem — zaczęła mówić, ale w myślach słyszała głos swego ojca: „...nadaje się dla małych ssaków, dla ^{ci}em i insektów...”. — Zapomniałam, po prostu.

— Wiesz, jak to zrobić? — zapytał po dłuższej chwili milczenia.

— Tak — odpowiedziała.

— Kiedy?

— Kiedy zechcesz.

Z trudem odwrócił głowę do okna.

— Jak najszybciej. Jutro?

— Dobrze. Jutro.

— Dziękuję ci — powiedział i popatrzył na nią, jakby jej przed chwilą wyznał miłość.

Gdy wychodziła, obwąchał ją stary przekarmiony pies. Siostra stała na mrozie, na ganku i paliła papierosa.

— Zapali pani?

Zrozumiała, że to zaproszenie do rozmowy i ku swojemu zdziwieniu wzięła jednego. Był cieniutki, mentolowy. Pierwsze zaciągnięcie oszołomiło ją.

— Bierze morfinę w plastrach, dlatego nie jest do końca przytomny — powiedziała kobieta. — A pani z daleka?

Wtedy zdała sobie sprawę, że nie wtajemniczył siostry. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ach, nie. Pracowaliśmy razem przez jakiś czas — powiedziała bez wahania; i nawet nie spodziewała się, że potrafi kłamać.

— Jestem korespondentką zagraniczną — wymyśliła, żeby wytłumaczyć swój obcy już akcent.

— Bóg jest niesprawiedliwy, niesprawiedliwy i okrutny. Żeby tak się męczyć — powiedziała jego siostra z jakimś zaciętym wyrazem twarzy. — Do-

brze, że pani go odwiedziła, jest taki samotny. Do południa przychodzi pielęgniarka z przychodni. Mówi, że lepiej byłoby go oddać do hospicjum, ale on nie chce.

Jednocześnie zgasiły papierosy w śniegu, nie wydały nawet syknięcia.

— Wpadnę tu jutro — powiedziała — żeby się pożegnać, bo już wyjeżdżam.

— Jutro? Tak szybko? Tak się cieszył na spotkanie z panią... A pani tylko na dwa dni — kobieta robiła ruch, jakby chciała złapać ją za rękę, jakby chciała dorzucić jeszcze: Nie zostawiaj nas.

Musiała przebukować bilety, nie sądziła, że tak szybko to pójdzie. Tego najważniejszego, z Europy do domu, nie udało się już zmienić, więc okazało się, że ma tydzień wolnego. Postanowiła jednak, że tu nie zostanie — lepiej od razu wyjechać, a poza tym czuła się obco w tym śniegu i ciemnościach. Na jutro po południu znalazły się wolne miejsca do Amsterdamu i Londynu; wybrała Amsterdam. Zwiedzi miasto przez ten tydzień.

Zjadła samotnie kolację, a potem przeszła się główną ulicą na Stare Miasto. Oglądała wystawy maleńkich sklepików, były tam głównie pamiątki i biżuteria z bursztynu. Nie podobała się jej. I samo miasto wydało jej się niedotykalne, zbyt duże i zbyt zimne. Ludzie poruszali się po nim zakutani, z twarzami na wpół ukrytymi w kołnierzach i szalach, z ich ust dobywały się obłoczki pary. Na chodnikach leżały

kupki zamrożonego śniegu. Zrezygnowała z odwiedzenia akademików, gdzie kiedyś mieszkała. Prawdę mówiąc, wszystko ją tutaj odpychało. Nagle zadziwił ją ten fenomen — że ludzie tak chętnie odwiedzają miejsca młodości z własnej nieprzymuszonej woli. Ale co mieliby tu znaleźć, w czym się upewnić — że w ogóle tu byli? Czy że dobrze zrobili, porzuciwszy je? A może popychała ich nadzieja, że dokładna pamięć dawnych miejsc zadziała jak błyskawiczny zamek i połączy przeszłość z przyszłością w jedną stabilną płaszczyznę, ząbek w ząbek, metalowym szwem.

I widocznie ona odpychała tutejszych ludzi; wcale na nią nie patrzyli, omijali ją wzrokiem. Wyglądało na to, że spełnia się dziecinne marzenie — być niewidzialną. Gadżet z bajek — czapka niewidka, którą wkłada się na głowę i przejściowo znika z oczu innych ludzi.

W ciągu ostatnich lat rozumiała, że po prostu wystarczy być kobietą w średnim wieku, bez znaków szczególnych, żeby natychmiast stać się niewidzialną. Nie tylko dla mężczyzn, także dla kobiet, ponieważ one również nie posądzają już jej o uczestnictwo w jakichkolwiek zawodach. Nowe zadziwiające doznanie — czuła, jak wzrok innych ludzi przesuwają się po jej twarzy, po policzkach i nosie, nawet ich nie musnąwszy. Ten wzrok przechodził przez jej ciało i pewnie widzieli przez nie reklamy, pejzaże, rozkłady jazdy. O tak, wygląda na to, że stała się przezroczysta, i pomyślała, że w gruncie rzeczy daje to ogromne możli-

wości, że dopiero uczy się z nich korzystać. W jakiejś dramatycznej sytuacji nikt jej nie zapamięta, świadkowie będą zeznawać: „jakaś kobieta...” i „ktoś tu jeszcze stał...”. Mężczyźni w tej kwestii są bardziej bezwzględni niż kobiety, które czasami jeszcze zwracają uwagę na kolczyk; ci niczego nie ukrywają, patrzą na nią nie dłużej niż sekundę. Czasami tylko jakieś dziecko z niewiadomych powodów przyssie się do jej oczu, zbada dokładnie i beznamiętnie jej twarz, a potem odwróci swoją — w przyszłość.

Wieczór spędziła w hotelowej saunie, a potem usnęła, za szybko, zmęczona jet-lagiem, nieswoja, jak samotna karta wyjęta ze swojej talii i wmieszana w inną, egzotyczną. Rano obudziła się zbyt wcześnie i ogarnął ją strach. Leżała na plecach, było jeszcze ciemno; przypomniała sobie męża, jak zaspany zęgnął się z nią. W panice pomyślała, że już go nigdy nie zobaczy. I wyobraziła sobie, jak zostawia torbę na schodach, zdejmując ubranie i kładzie się przy nim, tak jak lubi, tuląc się do jego nagich pleców, z nosem przy jego karku. Zadzwoiła do niego — tam był teraz wieczór i on właśnie wrócił ze szpitala. Tylko wspomniała o kongresie. Mówiła o pogodzie, że mroźno, że chyba by nie wytrzymał. Przypominała mu o podlaniu kwiatów w ogrodzie, zwłaszcza estragonu na kamieniach. Dopytywała się, czy ktoś dzwonił z pracy. Potem wzięła prysznic, starannie się umalowała i jako pierwsza zeszła na śniadanie.

Wyciągnęła z kosmetyczki ampułkę, która wyglądała jak próbka perfum. Po drodze kupiła w aptece

strzykawkę. Było to dość zabawne, bo zapomniała tego dziwnego słowa: „strzykawka” i powiedziała „zastrzyk”, oba wyrazy brzmiały podobnie.

Jechała przez miasto taksówką i teraz powoli docierało do niej, skąd brało się to poczucie obcości — to było zupełnie inne miasto i w niczym już nie przypominało tamtego, które miała w głowie, nie dałoby się tu o co zaczepić pamięci. Nic nie wydawało jej się znajome. Domy były za ciężkie, przysadziste, ulice za szerokie, drzwi za solidne, inne samochody jechały po innych ulicach, i na dodatek nie tą stroną, do której się przyzwyczaiła. Dlatego nie opuszczało jej wrażenie, że znalazła się po drugiej stronie lustra w nierealnym kraju, gdzie wszystko jest nieprawdziwe, a więc poniekąd wszystko wolno. Nikt nie jest w stanie złapać jej za rękę, przytrzymać. Porusza się po tych zamarzniętych ulicach jak przybysz z innego wymiaru, jak wyższy byt; musiała się jakoś skurczyć w sobie, żeby się tu zmieścić. I jedyne, co ma tutaj do wypełnienia, to ta misja, oczywista i aseptyczna, misja miłości.

Taksówkarz błędził trochę po tym willowym miasteczku, które nazywało się też bajkowo: Zalesie Górne — za górami, za lasami. Kazała mu się zatrzymać za rogiem, przy małym barze, i zapłaciła.

Szybkim krokiem przeszła kilkadziesiąt metrów, a potem z trudem przebrnęła przez nie odśnieżoną znajomą ścieżkę, od furtki do domu. Z poruszonej furtki spadła czapa śniegu i odsłoniła numer domu: jeden.

Otworzyła jej znowu siostra o czerwonych od płaczu oczach.

— Czekaj na panią — powiedziała i znikła. — Kazała się nawet ogolić.

Leżał w zmienionej pościeli, przytomny, z głową zwróconą do drzwi — rzeczywiście na nią czekał. Kiedy usiadła przy nim na łóżku i wzięła jego dłonie, zauważyła coś dziwnego: były mokre od potu, także „a wierzchu. Uśmiechnęła się do niego.

— No i jak? — zapytała.

— W porządku.

Kłamał. Nie było w porządku.

— Naklej mi ten plaster — powiedział i wskazał wzrokiem płaskie pudełko leżące na stoliku. — Boli. Musimy poczekać, aż zacznie działać. Nie wiedziałem, kiedy przyjdiesz, a chciałem cię zobaczyć przytomny. Nie poznałbym cię. Myślałbym, że może to nie ty? Jesteś taka młoda i piękna.

Pogładziła go po zapadłej skroni. Plaster przywarł jak druga litościwa skóra, w miejscu nad nerkami. Widok kawałka jego ciała, zmaltretowanego i wycieńczonego, wstrząsnął nią. Zagryzła wargi.

— Czy to jakoś pocuję? — zapytał, ale ona powiedziała, żeby się nie martwił.

— Powiedz, co byś chciał. Czy chcesz zostać sam na chwilę?

Pokręcił głową. Jego czoło było suche jak papier.

— Nie będę się spowiadał. Połóż mi tylko dłonie na twarzy — poprosił i uśmiechnął się słabo, jakoś filuternie.

Zrobiła to bez wahania. Poczła cienką skórę i drobne kości, i wgłębienia gałek ocznych. Czuła palcami pulsowanie, drżenie, jakby z napięcia. Czaszka — delikatna ażurowa struktura z kości, doskonała bryła, mocna i krucha jednocześnie. Ścisnęło jej się gardło i to był pierwszy i ostatni raz, kiedy była bliska płaczu. Wiedziała, że taki dotyk niesie mu ulgę czuła, że koi to podskórne drżenie. W końcu zdjęła ręce, a on leżał nadal z zamkniętymi oczami. Powoli nachyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

— Byłem porządnym człowiekiem — wyszeptał, wpijając się w nią wzrokiem.

Przytaknęła.

Poprosił ją:

— Opowiadaj coś.

Chrząknęła, nie przygotowana. Ponaglił ją:

— Powiedz, jak tam jest u ciebie.

Więc zaczęła:

— Jest środek lata, dojrzewają cytryny...

Przerwał jej.

— Czy widzisz z okna ocean?

— Tak — powiedziała. — Kiedy jest odpływ, woda zostawia po sobie muszle.

Ale to był oczywiście wybieg, bo nie miał zamiaru słuchać, przez chwilę jego wzrok zmętniał, ale potem powrócił do dawnej ostrości i wtedy popatrzył na nią z bardzo daleka, aż zrozumiała, że już nie należą do tego samego świata. Nie potrafiłaby określić, co tam było — lęk i panika czy może właśnie odwrotnie — ulga. Wyszeptał niewyraźnie jakieś niezdarne po-

dziękowanie czy coś w tym rodzaju, a potem usnął, wtedy wyjęła z torebki ampułkę i napełniła jej zawartością strzykawkę. Odłączyła kroplówkę od wenflonu i powoli wstrzyknęła krople płynu. Nie stało się nic poza tym, że jego oddech ustał, nagle i naturalnie, jakby to, że przedtem poruszał klatkę piersiową było yjwną anomalią. Przesunęła dłonią po jego twarzy, podłączyła na powrót kroplówkę i wygładziła miejsce na pościeli, gdzie siedziała. Potem wyszła.

Jego siostra znowu stała na ganku i paliła.

.— Papierosa?

Tym razem odmówiła.

— Czy jeszcze go pani odwiedzi? — zapytała kobieta. — Tak na panią czekał.

— Wyjeżdżam dzisiaj — oznajmiła i schodząc ze schodów, dodała: — Niech pani na siebie uważa.

Samolot wystartował i jej pamięć się zamknęła. Nie myślała już o tym. Przestały pojawiać się jakiegokolwiek wspomnienia. Spędziła kilka dni w Amsterdamie, który o tej porze roku był wietrzny i zimny i sprowadzał się do kombinacji trzech kolorów: bieli, szarości i czerni, szwendając się po muzeach i nocując w hotelu. Gdy spacerowała po głównej ulicy, natknęła się na wystawę ludzkich okazów anatomicznych. Zaintrygowana, weszła i spędziła tam dwie godziny, przyglądając się zachowanemu nowoczesnymi technikami ludzkiemu ciału we wszystkich możliwych odsłonach. A ponieważ była w dziwnym stanie umysłu i bardzo zmęczona, widziała to przez mgłę, nie-

uważnie, same kontury. Zobaczyła korzonki nerwów i nasieniowodów przypominające dziwne rośliny, które wymknęły się spod kontroli ogrodnikowi, bulwy storczyki, koronki i mereżki tkanek, siateczki unerwień, łupki i pręciki, czułki i wąsy, grona, strumyki fałdki, fale, diuny, kratery, wzniesienia, góry, doliny płaskowyże, meandry naczyń krwionośnych...

W powietrzu, nad oceanem, znalazła w torebce kolorową reklamę wystawy; widniało na niej ludzkie ciało, bez skóry, upozowane na rzeźbę Rodina: ręka wsparta na kolanie, podpira głowę, ciało fraszobliwe, prawie myślące, i mimo że pozbawione skóry i twarzy (twarz okazuje się jedną z najbardziej powierzchniowych cech ciała), to jednak widać, że oczy ciała są skośne, egzotyczne. Potem w półśnie, pogrążona w dyskretnym, mrocznym pomruku silników, roiła sobie, że niedługo, gdy ta technologia stanie się, każdy będzie mógł sobie pozwolić na plastynację. Ciało bliskich będzie można ustawiać zamiast nagrobka, wraz z napisem: „Tym oto ciałem podróżował przez kilka lat XY. Opuścił je w takim i takim wieku”. Gdy samolot schodził do lądowania, ogarnął ją nagły lęk, panika. Mocno zacisnęła ręce na oparciu.

Gdy wreszcie dotarła zmęczona do swojego kraju, na tę piękną wyspę, i przechodziła przez odprawę celną, urzędnik zadał jej kilka rutynowych pytań: czy tam, gdzie była, miała kontakt ze zwierzętami, czy była na wsi, czy mogła ulec jakiegokolwiek skażeniu biologicznemu.

Ujrzała siebie, jak stoi na ganku i otrzepuje buty śniegu, i przekarmionego psa, który biegnąc po schodach, ociera się o jej nogi. A także ręce, które otwierają ampułkę podobną do próbki perfum. Więc spokojnie przytaknęła.

Wtedy kazał jej odejść na bok i tam z powalnym umyło jej te ciężkie zimowe buty odkażającym środkiem.

Nie bój się

Pewien młody Serb, którego podwoziłam samochodem w Czechach, miał na imię Nebojsza. Całą drogę opowiadał mi o wojnie, aż zaczęłam żałować, że go zabrałam.

Mówił, że śmierć znaczy miejsca jak pies, który obsikuje swoje terytorium. Niektórzy ludzie wyczuwają to natychmiast, inni po prostu po jakimś czasie czują się nieswojo. Każde zasiedzenie się odkrywa subtelną wszechobecność zmarłych. Powiedział:

— Najpierw zawsze widzisz to, co żywe, co piękne. Zachwyca cię przyroda, miejscowy kościół z polichromiami, zapachy i tak dalej. Ale im dłużej to trwa, urok tych rzeczy blednie. Zastanawiasz się, kto mieszkał przed tobą w tym domu i pokoju, czyje to rzeczy, kto zadrapał ścianę nad łóżkiem i z jakiego drzewa wycięto parapety. Czyje ręce zbudowały misternie zdobiony kominek i wybrukowały podwórko. I gdzie H teraz. W jakiej postaci. Czyja to myśl poprowadzi-

ła ścieżki wokół stawu i kto wpadł na pomysł, żeby posadzić pod oknem wierzbę. Wszystkie domy, aleje, parki, sady, ulice są nasiąknięte śmiercią innych ludzi. Kiedy to poczujesz, coś cię zaczyna ciągnąć gdzieś indziej, wydaje ci się, że już czas ruszyć dalej.

Powiedział też, że kiedy się poruszamy, nie mamy czasu na takie jałowe medytacje. Dlatego ludziom w podróży wszystko wydaje się nowe i czyste, dziewiczne i, w pewnym sensie, nieśmiertelne.

A gdy wysiadł w Mikulcu, powtarzałam sobie jego dziwne imię: Ne-boj-sza. Nie bój się.

Święto Zmarłych

Przewodnik utrzymuje, że trwa trzy dni. Kiedy przypada w środku tygodnia, rząd zaokrągla długość trwania święta i dla szkół oraz urzędów publicznych rozrasta się ono do całego tygodnia. Stacje radiowe nadają bez przerwy muzykę Chopina, gdyż uważa się, że sprzyja skupieniu i poważnej refleksji. Oczekuje się, że każdy mieszkaniec kraju odwiedzi w tym czasie groby swoich zmarłych. Ponieważ państwo w ciągu ostatnich dwudziestu lat przeszło niebywały rozkwit i industrializację, oznacza to, że prawie wszyscy mieszkańcy kilku wielkich nowoczesnych miast opuszczają je i udadzą się na rozległą prowincję. Od miesięcy zarezerwowane są już wszystkie samoloty, pociągi i autobusy. Ci, którzy wcześniej nie mieli dość refleksu, teraz będą zmuszeni pojechać na

by przodków własnymi samochodami. W przeddzień święta trasy wylotowe z miast są już zakorkowane. Ponieważ święto przypada na sierpień, stanie w korku w wysokiej temperaturze nie jest niczym przyjemnym. Dlatego ludzie, przewidując wszelkie niedogodności, mają ze sobą przenośne małe telewizory plazmowe i lodówki podróżne. Jeżeli zamknie się przyciemniane okna i włączy klimatyzację, można przetrzymać te kilka godzin, zwłaszcza w miłym towarzystwie rodziny czy przyjaciół, z podróżnym bufetem. Jest to czas, gdy dzwoni się do znajomych. Dzięki temu, że powszechne w użyciu są już komórki do połączenia wideo, można nadrobić zaległości w kontaktach towarzyskich. Można nawet, stojąc w takim korku, urządzić sobie z kumplami wideokonferencję, poplotkować i poumawiać się na spotkania po powrocie do domu.

Duchom przodków przynosi się dary: specjalnie pieczone w tym celu ciasteczka, owoce, modlitwy spisane na kawałkach materiału.

Ci, którzy zostali w miastach, doświadczają bardzo dziwnych wrażeń: wielkie centra handlowe są zamknięte, a nawet gasi się na ten czas ogromne ekrany z reklamami. Zredukowana zostaje liczba pociągów metra, a niektóre stacje w ogóle wyłączają się z ruchu (na przykład Uniwersytet i Giełda). Zamyka się bary szybkiej obsługi i dyskoteki. Miasto jest tak puste, że w tym roku władze zdecydowały o zatrzymaniu elektronicznie sterowanego systemu fontann miejskich, co ma przynieść dość duże oszczędności.

Ruth

Po śmierci żony mężczyzna zrobił sobie listę miejsc, które nazywają się tak samo jak ona — Ruth.

Znalazł ich całkiem sporo, nie tylko miejscowości, ale strumieni, osad, wzgórz, a nawet wyspę. Powiedział, że robi to przez wzgląd na nią, a poza tym napawa go otuchą, że ona w jakiś bliżej nieokreślony sposób istnieje na świecie, choćby przez swoje imię. I jeszcze, że kiedy staje u stóp wzgórza zwanego Ruth, ma wrażenie, że ona wcale nie umarła, że jest, tylko inaczej.

Finansuje tę podróż z jej ubezpieczenia.

Recepcje dużych i eleganckich hoteli

Wchodzę tam pospiesznym krokiem, witana uprzejmym uśmiechem portiera. Rozglądam się zaafektowana, jakbym przyszła na spotkanie. Gram. Spoglądam niecierpliwie na zegarek, a potem opadam na jeden z foteli, zapalam papierosa.

Recepcje są lepsze niż kawiarnie. Nie trzeba nic zamawiać, nie trzeba wchodzić w dysputy z kelnerami ani nic jeść. Hotel rozpościera przede mną swoje rytmy, jest wirem, a jego centrum są drzwi obrotowe. Płynąca rzeka ludzi zatrzymuje się, kręci się w miejscu przez noc lub kilka, a potem rusza dalej.

Ktokolwiek miałby przyjść, nie przyjdzie, ale czy to podważa etos mojego czekania? To aktywność po-

Jobna medytacji — czas płynie i niewiele przynosi nowego, sytuacje powtarzają się (podjeżdża taksówka, wysiada z niej nowy gość, portier bierze walizkę z bagażnika, idą do recepcji, z kluczem do windy). Czasem sytuacje się dublują (dwie taksówki przyjeżdżają symetrycznie z dwóch przeciwnych stron, wysiada z nich dwoje gości, dwóch portierów wyciąga z dwóch bagażników walizki) albo multiplikują, robi się tłok, sytuacja staje się napięta, grozi chaosem, ale to po prostu skomplikowana figura, trudno od razu zobaczyć jej złożoną harmonię. Innym razem hall staje się nieoczekiwanie pusty, wtedy portier flirtuje z recepcjonistką, ale tylko na pół gwizdka, półgębkiem, pozostając w pełnej hotelowej gotowości.

Siedzę tak z godzinę, nie dłużej. Widzę tych, którzy wypadają z windy i pędzą na spotkanie, od urodzenia spóźnieni, czasami z pośpiechu kręcą się w obrotowych drzwiach, jak w młynku, który ich za chwilę zmiele na pył. Widzę tych, którzy powłóczą nogami, ciągną je za sobą, jakby zmuszali się do postawienia następnego kroku, ociągają się przed każdym ruchem. Kobiety czekające na mężczyzn, mężczyźni na kobiety. One mają świeży makijaż, który nadchodzący wieczór starannie zetrze, a nad sobą obłok perfum, świętą aureolę. Oni — odgrywają całkowitą swobodę, ale w gruncie rzeczy są spięci, mieszkają dziś na niższych piętrach swojego ciała, w podbrzuszu.

To czekanie przynosi niekiedy piękne prezenty — oto mężczyzna odprowadza kobietę do taksówki.

Biorą się z windy. Ona jest mała, drobna, ciemnowłosa, ubrana w obcisłą krótką spódniczkę, ale nie wygląda wulgarnie. Elegancka prostytutka. On — idzie za nią — wysoki, siwiejący, w szarym garniturze z rękami w kieszeniach spodni. Nie rozmawiają z sobą i trzymają dystans; trudno uwierzyć, że jeszcze przed chwilą ocierały się o siebie ich błony śluzowe, że on dokładnie zbadał językiem wnętrze jej ust. I koło siebie, on puszcza ją przodem w młynek obrotowych drzwi. Taksówka czeka, powiadomiona. Kobieta wsiada bez słowa, co najwyżej lekko się uśmiecha. Nie ma żadnego „do zobaczenia” ani „było miło”, nie w tym rodzaju. On pochyla się jeszcze lekko do okna, ale chyba nic nie mówi. Może zupełnie niepotrzebne „do widzenia”, widocznie nie zapanował nad nawykiem. I ona odjeżdża. On zaś wraca z rękami w kieszeniach, lekki i zadowolony, nawet ma cień uśmiechu na twarzy. Już zaczyna snuć plany na wieczór, już przypomniał mu się e-mail i telefon, ale jeszcze się do nich nie weźmie, jeszcze się pocieszy lekkością, może po prostu pójdzie na drinka.

Punkt

Gdy mijam te miasta, to wiem już, że w końcu trzeba się będzie w jednym z nich zatrzymać na dłużej, może nawet osiedlić. Ważę je w głowie, porównuję i oceniam, i zawsze wydaje mi się, że każde z nich jest albo za daleko, albo za blisko.

Wygląda więc na to, że istnieje jednak jakiś stały punkt, wokół którego uprawiam swoje cyrkumbulacje. Od czego za daleko i do czego za blisko?

Przekrój jako metoda poznania

Poznawanie warstwami; każda warstwa tylko z grubsza przypomina następną czy poprzednią; zwykle jest wariacją, zmodyfikowaną wersją, każda dokłada się do porządku całości, choć nie można tego dostrzec, gdy rozpatruje się je osobno, bez odniesienia do całości.

Każdy plaster jest częścią całości, ale rządzi się swoimi prawami. Porządek trójwymiarowy, uwięziony i zredukowany w warstwie dwuwymiarowej, wydaje się abstrakcyjny. Można nawet pomyśleć, że żadna całość nie istnieje, że nigdy nie istniała.

Serce Szopena

Jest wszystkim ogólnie wiadomo, że Szopen umarł o drugiej nad ranem („in the smali hours”, jak mówi angielskojęzyczna wersja Wikipedii) 17 października. Przy łożu śmierci było kilka osób z grona najbliższych przyjaciół, w tym siostra Ludwika, która opiekowała się nim ofiarnie do końca, a także ksiądz Jełowicki, który wstrząśnięty tym milczącym, zwie-

ręcym umieraniem kompletnie wyniszczonego ciała, tą przedłużającą się walką o każdy haust powietrza najpierw zemdlął na schodach, potem zaś w ramach nie do końca uświadomionego buntu, w swoich pamiętnikach wymyślił lepszą wersję śmierci wirtuoza. Napisał między innymi, że ostatnie słowa Fryderyka brzmiały: „Jestem już u źródła wszelkiej szczęśliwości”, co było ewidentnym kłamstwem, choć na pewno pięknym i wzruszającym. W rzeczywistości, jak zapamiętała to Ludwika, jej brat nic nie powiedział, był zresztą nieprzytomny od kilku godzin. Tym, co na koniec dobyło się z jego ust — była strużka ciemnej, gęstej krwi.

Teraz Ludwika, zmęczona i zmarznięta, jedzie pocztowym dylizansem. Dojeżdżają już do Lipska. Jest wilgotna zima, z zachodu gonią za nimi ciężkie chmury o ciemnych brzuchach, pewnie spadnie śnieg. Od pogrzebu minęło wiele miesięcy, ale oto czeka Ludwikę jeszcze jeden pogrzeb, w Polsce. Fryderyk cały czas powtarzał, że chce być pochowany w kraju, a ponieważ dobrze wiedział, że umrze, starannie zaplanował swoją śmierć. I pogrzeby.

Zaraz po śmierci przyjechał mąż Solange. Przybył natychmiast, jakby czekał w płaszczu i w butach na pukanie do drzwi, od dawna gotowy. Pojawił się z całym swoim warsztatem pracy umieszczonym w skórzanym torbie. Najpierw natarł tłuszcem bezwładną

dłoń zmarłego, ułożył ją starannie i z szacunkiem w drewnianej rynience i zalał gipsem. Potem z pomocą Ludwiki zdjął też maskę pośmiertną — chodziło o to, by rysy twarzy nie stężały zbyt szybko i nie wdała jej w nie śmierć, ona bowiem wszystkim modeluje twarz bardzo podobnie.

Po cichu, bez hałasu spełniono kolejne żądanie Fryderyka. Drugiego dnia po śmierci polecony przez hrabinę Potocką medyk kazał rozebrać ciało do połowy, a potem, rozłożywszy wokół nagiej klatki piersiowej naręczce prześcieradeł, sprawnym ruchem otworzył ją ostrym skalpelem. Ludwice, która przy tym była, wydało się, że ciało drgnęło, a nawet jakby westchnęło. Później, gdy prześcieradła zabarwiły się prawie czarnymi skrzepami, odwróciła twarz do ściany.

Medyk opłukał serce w miednicy, i Ludwika była zdziwiona, że jest tak duże, bezkształtne i pozbawione koloru. Z trudem zmieściło się w słoju wypełnionym spirytusem, więc medyk radził, żeby zamienić go na większy. Tkanka nie powinna być ściśnięta ani dotykać szklanych ścianek.

Ludwika przysypia teraz, ukołyszana miarowym turkotem, a w dylizansie, na siedzeniu naprzeciw, obok jej towarzyszki podróży, Anieli, zjawia się jakaś dama, obca, ale jakby dawna znajoma, jeszcze z Polski. W zakurzonej sukni żałobnej, jakie nosiły wdowy po powstańcach, z ostentacyjnym krzyżem na piersi. Ma twarz napuchniętą, poczerniałą

od syberyjskich mrozów, jej dłonie w szarych sparciałych rękawiczkach trzymają słój. Ludwika budzi się z jękiem i sprawdza zawartość kosza. Wszystko w porządku. Poprawia czepek, który zsunął jej się na czoło. I klnie po francusku, bo zeszywniał jej zupełnie kark. Z drzemki budzi się też Aniela i odsłania zasłonki. Płaski zimowy krajobraz jest porażająco smutny. W dali widać niewielkie osady, ludzkie kolonie skapane w szarości i wilgoci. Ludwika wyobraża sobie, że porusza się po wielkim stole, jak owad pod uważnym spojrzeniem jakiegoś monstrualnego entomologa. Wzdryga się i prosi Anielę o jabłko.

— Gdzie jesteśmy? — pyta, wyglądając przez okno.

— Jeszcze kilka godzin — mówi uspokajająco Aniela i podaje towarzysze zeszloroczne pomarszczone jabłuszko.

Pogrzeb miał się odbyć w La Madeleine, zamówiono już mszę, a tymczasem na plac Vendôme, gdzie wystawiono ciało, przychodziły tłumy przyjaciół i znajomych. Mimo zasłoniętych okien słońce próbowało dostać się do środka i pobawić się z ciepłymi kolorami jesiennych kwiatów: fioletowych astrów i miodowych chryzantem. Wewnątrz panowały tylko świece, sprawiając wrażenie, że kolor kwiatów jest głęboki i soczysty, a twarz zmarłego nie tak blada jak w dziennym świetle.

Okazało się, że trudno będzie spełnić życzenie Fryderyka, by na jego pogrzebie wykonano „Requiem

Mozarta. Przyjaciołom zmarłego udało się wykorzystać wszelkie znajomości i skompletować najlepszych muzyków i śpiewaków. Zgodził się wystąpić najświetniejszy bas Europy, Luigi Lablache — zabawny Włoch, który potrafił naśladować kogo tylko chciał w doskonały sposób. I rzeczywiście, jednego z tych wieczorów oczekiwania na pogrzeb, przy okazji jakiegoś nieformalnego spotkania, naśladował Fryderyka tak bezbłędnie, że towarzystwo rechotało, nie bardzo wiedząc, czy to wypada — wszak ziemia jeszcze nie przyjęła ciała zmarłego. Ale w końcu ktoś powiedział, że przecież to dowód pamięci i miłości. I że w ten sposób zostanie z żywymi dłużej. Wszyscy pamiętali Fryderyka, jak biegle i złośliwie potrafił parodiować innych. Miał on talentów wiele, oj miał.

W sumie wszystko się komplikowało. W kościele La Madeleine nie mogły śpiewać kobiety — ani w chórze, ani solo. Taka była wiekowa tradycja — bez kobiet. Tylko męskie głosy, ewentualnie głosy kastratów (dla Kościoła nawet mężczyzna bez jaj jest lepszy niż kobieta, skomentowała to wykonawczyni partii sopranowych, włoska śpiewaczka, panna Graziella Panini), ale dziś, w 1849 roku, gdzie znaleźć kastratów? Jak więc zaśpiewać „Tuba mirum” bez sopranu i altu? Proboszcz od Magdaleny powiedział, że nie da się tego zwyczaju zmienić nawet dla Szopena.

— Jak długo mamy trzymać ciało? Czy trzeba, na miłość boską, zwracać się do Rzymu w tej sprawie? — krzyczała doprowadzona do ostateczności Ludwika.

Ponieważ październik był dość ciepły, ciało zostało przeniesione do chłodnej kostnicy. Obłożone świeżymi kwiatami, było spod nich prawie niewidoczne. Leżało w półmroku, drobne, wymizerowane, bez serca; pod śnieżnobiałą koszulą ukryte były niezbyt staranne szwy, którymi zamknięto na powrót klatkę piersiową.

Tymczasem trwały próby „Requiem”, a wysoko postawieni przyjaciele zmarłego delikatnie pertraktowali z proboszczem. W końcu ustalono, że kobiety, solistki jak i chór, będą stały za czarną kotarą, niewidoczne dla wiernych. Awanturowała się tylko Graziella, nikt więcej, uznano jednak, że w tej szczególnej sytuacji lepsze jest takie rozwiązanie niż żadne.

Czekając na pogrzeb, przyjaciele Fryderyka schodzili się co wieczór u jego siostry albo u George Sand i wspominali zmarłego. Jadali razem kolację, dzielili się plotkami z miasta. Były to dni dziwnie spokojne, jakby nie należały do zwykłego kalendarza.

Ta Graziella, nieduża i smagła, z burzą kręconych włosów, była znajomą Delfiny Potockiej i kilka razy obie odwiedziły Ludwikę. Graziella, popijając likier, szydziła z barytona i dyrygenta, ale chętnie mówiła o sobie. Jak to artystka. Utykała na jedną nogę, bo została poturbowana w zeszłym roku w Wiedniu w czasie zająć ulicznych. Tłum przewrócił jej powóz, w przekonaniu zapewne, że jedzie nim jakaś bogata arystokratka, nie aktorka. Graziella miała słabość do drogich powozów i strojnych toalet, pewnie dlatego, że pochodziła z Lombardii z rodziny szewców.

— Czy artysta nie może jeździć bogatym powozem? Czy gdy się komuś w życiu udało, to nie może sobie pozwolić na trochę przyjemności? — mówiła z włoskim akcentem i brzmiało to tak, jakby się lekko zacięła.

Na swoje nieszczęście znalazła się w nieodpowiednim czasie i miejscu. Tłum w rewolucyjnym nastroju, nie śmiejąc zaatakować obstawionego gwardią pałacu cesarskiego, zaczął plądrować cesarskie zbiory. Graziella widziała, jak wywlekano z sal to wszystko, co kojarzyło się ludowi z arystokratyczną dekadencją, zbytkiem i okrucieństwem. Rozjuszeni ludzie wyrzucali przez okno fotele, pruli kanapy, zdzierali drogie lamperie ze ścian. Z hukiem pękały piękne kryształowe lustra. Demolowali też witryny ze zbiorami archeologicznymi. Wyrzucając skamieniałości na bruk, wybijali szyby w oknach. W mig rozkradziono kolekcję kamieni półszlachetnych, a potem wzięto się do szkieletów i wypchanych zwierząt. Jakiś trybun ludowy wzywał, żeby wypchanym okazom ludzkim i innym mumiom zrobić prawdziwy chrześcijański pogrzeb albo raz na zawsze zniszczyć te dowody uzurpacji władzy nad ludzkim ciałem. Zrobiono więc wielki stos i palono, co się nawinęło pod rękę.

Powóz przewrócił się tak nieszczęśliwie, że druty² krynoliny poraniły jej nogę i widocznie przecięły nerwy, bo kończyła pozostała nieco bezwładna. I kiedy opowiadała o tych dramatycznych wypadkach, podniosła spódnicę i pokazała paniom swoją nogę,

usztynioną skórzaną nogawką z fiszbinami i poję_ trzymany przez obręcze, na których wspierała się suknia.

— Oto do czego może się przydać krynolina.

Właśnie ta śpiewaczka, której głos i interpretację Ludwika mogła w pełni docenić na samej mszy żałobnej, nasunęła jej ten pomysł. Ów gest: uniesienie dzwonu sukni i odkrycie tajemnicy skomplikowanej kopyły rozpiętej na wielorybich fiszbinach i drutach od parasola.

Na pogrzeb przyszło kilka tysięcy ludzi. Trzeba było wstrzymać ruch dorożek na trasie konduktu pogrzebowego i kierować je na inne ulice. Cały Paryż zatrzymał się z powodu pogrzebu. Kiedy zabrzmiało z takim poświęceniem przygotowywane „Introitus”, a głosy chóru uderzyły w sklepienie kościoła, ludzie zaczęli płakać. „Requiem aeternam” zabrzmiało mocno i poruszyło wszystkich do głębi, ale Ludwika wcale nie poczuła smutku, swój smutek już cały zużyła i wypłakała — lecz gniew. Bo co to za nędzny i pożałowania godny świat, co za burdel, że się umiera tak młodo, że się w ogóle umiera? I dlaczego on? Dlaczego w taki sposób? Podniosła chusteczkę do oczu, ale nie po to, żeby obetrzeć łzy, tylko żeby móc ścisnąć coś z całej siły i zasłonić oczy, w których na pewno nie było wody, lecz ogień.

— Tuba mirum spargens sonum
Per sepulcra regionum,

Coget omnes ante thronum — zaczął bas Luigi Lablache, tak rzewnie i ciepło, że jej gniew zelżał, potem wszedł tenor i alt zza zasłony:

— Mors stupebit et natura,
Cum resurget creatura,
Judicanti responsura.
Liber scriptus proferetur,
In quo totum continetur,
TJnde mundus judicetur.
Judex ergo cum sedebit
Quidquid latet apparebit:
Nil inultum remanebit.

Aż w końcu usłyszała strzelający w górę czysty głos Grazielli, jak fajerwerk, jak odsłonięcie kalekiej nogi, nagiej prawdy. Graziella śpiewała najlepiej, to jasne, a jej głos tylko w niewielkim stopniu tłumiła zasłona i Ludwika wyobrażała sobie małą Włoszkę, jak przejęta wyteża wszystkie siły i z głową zadartą do góry, z nabrzmiętymi żyłami na szyi — tak ją widziała na próbach — wydaje z siebie ten niezwykły głos, śpiewa czysto, diamentowo, pomimo kotary, pomimo nogi, na pohybel temu cholernemu światu:

Quid sum miser tunc dicturus
Quem patronus rogaturus.

Jakieś pół godziny drogi przed granicą z Księstwem Poznańskim, dyliżans zatrzymał się przy oberży. Tam podróżne najpierw odświeżyły się i zjadły niewielki posiłek: trochę zimnego pieczonego mięsa, chleb i owoce, a potem udały się na stronę i, podob-

nie jak inni pasażerowie, zniknęły w przydrożnych zaroślach. Przez chwilę zachwycąły się kwitnącymi przylaszczkami, a potem Ludwika wyjęła z kosza spory słoż z brązowym kawałkiem mięśnia i umieściła go w sprytnie uplecionej siatce z rzemieni. Aniela starannie przywiązała ich końce do rusztowania krynoliny na wysokości wzgóрка łonowego. Kiedy suknia opadła, nie było znać, że kryje pod powierzchnią taki skarb. Ludwika odwróciła się kilka razy, zarzuciła suknię i ruszyła do powozu.

— Nie uszłabym z tym daleko — powiedziała do towarzyszki. — Obija mi się o nogi.

Ale nie musiała. Usiadła na swoim miejscu, wyprostowana, może nieco sztywna, lecz była jednak damą, siostrą Fryderyka Szopena. Polką.

Gdy żandarmi pruscy na granicy kazali im wysiąść z powozu i dokładnie sprawdzali, czy kobiety nie przemycają do Kongresówki czegoś, co mogłoby wzmacniać jakieś niepoważne niepodległościowe nastroje Polaków, niczego oczywiście nie znaleźli.

Po drugiej zaś stronie granicy, w Kaliszu, czekał już na nich powóz przysłany z Warszawy oraz kilkoro przyjaciół. I świadków tej smutnej ceremonii. W czarnych frakach i wysokich kapeluszach utworzyli szpaler, ich pobladłe żałobne twarze z nabożnością zwracały się ku każdemu wyłożonemu pakunkowi. Ludwice jednak przy pomocy wtajemniczonej we wszystko Anieli udało się na chwilę oddalić i wypłatać słoż z ciepłych wnętrzości sukni. Aniela, nurkując w koronkach, wyciągnęła bezpiecznie słoż i podała go

Ludwice takim gestem, jak podaje się matce nowo narodzone dziecko. A potem Ludwika rozpłakała się.

W eskorcie kilku powozów serce Szopena dotarło do stolicy.

Suche preparaty

Celem pielgrzymki jest inny pielgrzym. Tym razem w detalach rozłożonych na dębowych półkach, nad którymi unosi się pięknie wykaligrafowany napis:

Eminet In Minimus
Maximus Ule Deus

Zgromadzono tu tak zwane suche preparaty narządów wewnętrznych. Robi się je w ten sposób, że daną część ciała, narząd, oczyszcza się, a potem wypycha watą bawełnianą i suszy. Po wysuszeniu pokrywa się powierzchnię preparatu werniksem, takim samym, jakiego używa się do konserwowania powierzchni obrazów. Kilka razy. Po usunięciu waty, werniksem pokrywa się też wewnętrzną stronę preparatu.

Niestety werniks nie jest w stanie uchronić tkanki od starzenia się, dlatego z czasem wszystkie suche preparaty przybierają podobny kolor — brązowy, brunatny.

Oto mamy na przykład znakomicie zachowany ludzki żołądek, powiększony, baloniasty, cieniutki, jakby zrobiony z pergaminu; dalej zaś jelita, cien-

kie i grube — ciekawe, jakie dobra świata trawił te pokarmowy układ, ile przeszło przez niego zwierząt przesypało się nasion, przeturlało owoców.

Obok, jako bonus, znajduje się jeszcze penis zó wia oraz nerka delfina.

Państwo Sieci

Jestem obywatelką państwa Sieci. Zajęta przemieszczaniem się w różnych kierunkach, straciłam orientację w sprawach polityki mojego państwa w ostatnim czasie. Trwały rozmowy, negocjacje, konferencje, sesje, spotkania na szczycie. Na stoły wędrowały wielkie mapy, na których chorągiewkami oznaczano zdobyte pozycje, rysowano wektory kierunków kolejnego podboju.

Jeszcze kilka lat temu na ekranie mojej komórki przy nieopatrzonym przekroczeniu jakiejś zupełnie już niewidocznej albo umownej granicy meldowały się egzotyczne nazwy obcych sieci, o których dziś już nikt nie pamięta. Nie zauważyliśmy nocnych przewrotów, nie podano do wiadomości treści traktatów kapitulacyjnych. O ruchach imperialnych armii składających się z grzecznych, uczynnych urzędników nie poinformowano poddanych.

Mój telefon, równie grzeczny, gdy tylko wysiądę z samolotu, od razu zawiadamia mnie, w jakiej prowincji państwa Sieci się znalazłam. Podaje polne informacje, deklaruje pomoc, gdyby miało

ją coś stać. Dysponuje pomocnymi numerami, od czasu do czasu z okazji walentynek czy świąt namawia mnie na udział w promocjach i loteriach. To mnie rozbraja i moje anarchistyczne nastroje topnieją w jednej chwili.

Z mieszanymi emocjami wspominam pewną daleką podróż, kiedy znalazłam się poza zasięgiem jakiegokolwiek sieci. Telefon najpierw w panice szukał jakiegoś zaczepienia, lecz nie znalazł. Jego komunikaty wydawały się coraz bardziej histeryczne. „Nie znaleziono żadnej sieci”, powtarzał. Potem zrezygnował i patrzył na mnie bezmyślnie kwadratową żrenicą, ot, bezużyteczny gadżet, kawałek plastiku.

Przypominało mi to jako żywo pewną starą rycinę z wędrowcem, który dotarł na kraniec świata. Podekscytowany, odrzucił swój podróżny tobołek i wygląda teraz na zewnątrz, poza sieć. Ów podróżny z ryciny może się uważać za szczęśliwca: widzi gwiazdy i planety, rozłożone starannie na firmamencie nieba. Słyszy też muzykę sfer.

My zostaliśmy pozbawieni tego prezentu u kresu podróży. Poza Siecią jest cisza.

Swastyki

pewnym dalekowschodnim mieście restauracje wegetariańskie zwykło się oznaczać czerwonymi swastykami, pradawnymi znakami Słońca i siły życiowej. To bardzo ułatwia życie wegetarianinowi w obcym

mieście — wystarczy podnieść głowę i kierować się w stronę tego znaku. Podają tam curry z warzyw (wiele odmian), pakorę, samosy i kormy, pilawy, kotleciki, a także moje ulubione ryżowe paluszki zawinięte w płatek wysuszonych glonów.

Po kilku dniach jestem uwarunkowana jak piś Pawłowa — ślinię się na widok swastyki.

Sprzedawcy imion

Widziałam na ulicy malutkie sklepiki, gdzie sprzedaje się imiona dla dzieci, które niedługo przyjdą na świat. Trzeba zgłosić się odpowiednio wcześniej i złożyć zamówienie. Potrzebna jest dokładna data poczęcia, a także wydruk z USG; ponieważ płeć dziecka jest niezwykle istotna przy wyborze imienia. Sprzedawca zapisuje te dane i każe pojawić się za kilka dni. Przez ten czas stawia przyszłemu dziecku horoskop i oddaje się medytacji. Czasem imię przychodzi łatwo, materializuje się na końcu języka w dwóch, trzech dźwiękach, które ślina skleja w sylaby i które następnie wprawna ręka mistrza zamieni w czerwone znaki na papierze. Kiedy indziej imię pojawia się opornie, niewyraźnie, w zarysach; marudzi. Trudno je zamknąć w słowach. Wtedy włącza się do akcji techniki pomocnicze, które pozostają jednak tajemnicą każdego sprzedawcy imion.

Widać ich przez otwarte drzwi sklepików zawalonych papierem ryżowym, figurkami Buddy i ręcznie

malowanymi tekstami modlitw, ślęczących z pędzelnikiem w rękę wycelowanym w papier. Czasami imię spada z nieba jak kleks — z zaskoczenia, wyraźne, doskonałe. Wobec takiego objawienia nic nie można zrobić. Bywa, że rodzice wcale nie są zadowoleni, woleliby imię łagodne i pełne optymizmu, jak Blask Księżycy czy Dobra Rzeka — dla dziewczynek, a dla chłopców na przykład — Idący Zawsze do Przodu, Nieustraszony, czy też Ten, który Osiągnął Cel. Na nic zdają się tłumaczenia sprzedawcy, że sam Budda nazwał swojego syna Pętlą. Klienci odchodzą niezadowoleni i, sarkając, udają się do konkurencji.

Drama i action

Daleko od domu, w wypożyczalni filmów, szperając na półkach, klnę po polsku. I nagle zatrzymuje się przy mnie niewysoka, na oko pięćdziesięcioletnia kobieta i niezdarnie mówi w moim języku:

— Czy to po polsku? Czy mówisz po polsku? Dzień dobry.

Na tym, niestety, kończy się jej zasób zdań po polsku.

I opowiada już angielszczyzną, że przyjechała tutaj, gdy miała siedemnaście lat, z rodzicami, i teraz popisuje się słowem „mamusia”. Potem zaś ku mojemu zakłopotaniu zaczyna płakać, wskazuje na swoją rękę, na przedramię, i mówi o krwi, że tam mieści się cała dusza i że jej krew jest polska.

Ten niezdarny gest przypomina gest narkomana — jej wskazujący palec pokazuje żyły, miejsce wkłuwania igły. Mówi, że wyszła za Węgra i zapomniała swoją polszczyznę. Ścisza mnie i odchodzi, znika między półkami z napisem „Drama” i „Action”.

Trudno mi uwierzyć, że można zapomnieć język dzięki któremu mapy świata zostały naszkicowane. Musiała go najzwyczajniej w świecie gdzieś zawieruszyć. Może leży zwinięty i zakurzony w szufladzie ze stanikami i majtkami, wciśnięty w ką, jak seksowne stringi, które nabyło się kiedyś w przypływie entuzjazmu, ale nie było ich kiedy użyć.

Dowody

Spotkałam ichtiologów, którym wcale nie przeszkadza w pracy to, że są kreacjonistami. Jemy przy tym samym stoliku curry z warzyw i mamy dużo czasu do następnego samolotu. Dlatego przenosimy się do baru, gdzie chłopiec o wschodnich rysach, z kitką, gra na gitarze przeboje Erka Claptona.

Opowiadają, jak to Bóg stworzył ich piękne ryby — te wszystkie pstrągi, szczupaki, turboty i fladry razem z całą ewidencją ich filogenetycznego rozwoju. W komplecie z rybami, które powołał do istnienia bodaj trzeciego dnia, przygotował ich kopalne szkielety, ich brawurowe odciski w kamieniach piaskowców, ich skamieliny.

— Po co to? — zapytałam. — Po co te fałszywe dowody?

Byli przygotowani na moje wątpliwości, więc jed-
, z nich odpowiedziało:

— Opisać Boga i jego intencje to tak, jakby ryba óbowała opisać wodę, w której pływa.

Drugie zaś dodało po chwili:

.— I swojego ichtiologa.

Dziewięć

W pewnym małym tanim hotelu nad restauracją, w mieście X dostałam pokój numer dziewięć. Portier, dając mi klucz (zwykły patentowy srebrny, z przyczepioną na kółeczku tabliczką z numerem), powiedział:

— Proszę uważać na ten klucz. Dziewiątka gubi się najczęściej.

Znieruchomiałam z długopisem wzniesionym nad rubrykami formularza.

— Co to znaczy? — zapytałam w stanie wewnętrznego alertu. Nie mógł lepiej trafić ten człowiek zza kontuaru — na mnie, na domorosłego detektywa, na prywatnego śledczego przypadków i znaków.

Widocznie zauważył mój niepokój, bo tłumaczył uspokajająco, niemal polubownie — to nic nie znaczy. Po prostu odwiecznymi prawami przypadku klucz do pokoju numer dziewięć najczęściej gubią roztargnieni podróżni. Wie to dokładnie, ponieważ co roku odnawia zapasy kluczy i pamięta, że musi zamawiać najwięcej egzemplarzy dziewiątki. Dziwił się temu sam ślusarz.

Całe cztery dni pobytu w mieście X pamiętałam o kluczu. Gdy wracałam do hotelu, kładłam go zawsze w widocznym miejscu, a gdy wychodziłam, oddawałam w bezpieczne ręce recepcjonistów. Gdy raz niechcący zabrałam go z sobą, umieściłam go w najbezpieczniejszej kieszeni i w ciągu dnia sprawdzałam palcami jego obecność.

Ciekawe, jakie to prawo rządziło kluczem numer dziewięć, jakie przyczyny i jaki skutek. A może rację miał recepcjonista, jego spontaniczna intuicja — że to przypadek. A może wręcz przeciwnie — to była jego wina; wybierał bowiem nieświadomie do pokoju numer dziewięć osobników roztargnionych i niegodnych zaufania, podatnych na sugestię.

Po dość pospiesznym opuszczeniu X z powodu nagłej zmiany rozkładu jazdy, kilka dni potem, wstrząśnięta znalazłam klucz w kieszeni spodni — a więc nieopatrznie zabrałam go z sobą. Przyszło mi na myśl, żeby go odesłać, lecz, prawdę mówiąc, nie pamiętałam już adresu tamtego hotelu. Cieszyło mnie tylko jedno: że takich jak ja jest więcej — grupka ludzi, którzy wywędrowali z miasta X z dziewiątką w kieszeni. Może choć nieświadomie tworzymy jakąś wspólnotę, której celu istnienia nie potrafimy jednak odgadnąć. Być może w przyszłości kiedyś się to wyjaśni. Pozostawało jednak faktem to, co wykrakał portier — znowu będzie musiał zamówić klucz do dziewiątki ku nieustającemu zdumieniu ślusarza.

Próby stereometrii podróźnej

pewien człowiek budzi się z niespokojnego snu w wielkim międzykontynentalnym samolocie i zbliża twarz do okna. Widzi w dole ogromny ciemny ład, tylko gdzieniegdzie przebijają się z tej ciemności słabe grupy świateł, to wielkie miasta. Dzięki mapie, która wyświetla się na ekranach, domyśla się, że to Rosja, jakaś środkowa Syberia. Owija się pledem i znowu zasypia.

Na dole, w jednej z tych ciemnych plam, inny człowiek wychodzi właśnie z drewnianego domu i podnosi oczy ku niebu, sprawdzając pogodę na jutro.

Gdyby wyprowadzić ze środka ziemi hipotetyczną prostą, okazałoby się, że przez ułamek sekundy na tym promieniu znajdują się obaj ci ludzie, może pojawi się w nim przez chwilę ich wzrok, może ów promień nawleka ich źrenice.

Przez moment są sąsiadami w pionie; co to jest bowiem jedenaście tysięcy metrów. Ledwie ponad dziesięć kilometrów. To o wiele mniej niż najbliższa osada dla tego człowieka na ziemi. To mniej niż dystans dzielący od siebie dzielnice wielkiego miasta.

Nawet

Jadąc, mijam przydrożne billboardy, które czarno na białym obwieszają: „Jesus loves even you”. Czuj się podniesiona na duchu tym nieoczekiwanym wsparciem; niepokoi mnie tylko to „even”.

Świebodzin

Po kilku godzinach marszu stromym brzegiem oceanu wśród ostrych liści juk, w plamach cienia schodzimy na kamieniste wybrzeże. Jest tam mała wiata z ujęciem słodkiej wody. Na tym wielkim pustkowiu stoi dach wsparty na trzech ścianach. W środku mieszczą się ławy do siedzenia i spania. Na jednej z nich — dziwna rzecz — leży zeszyt w czarnych plastikowych okładkach i długopis bic, żółty. To księga gości. Rzucam plecak, mapy i czytam zachłannie, od początku. Rubryki, charakter pisma, obce słowa, lakoniczne dane tych wszystkich, którzy zrzędzeniem nieodgadnionego losu znaleźli się tutaj przede mną. Numer kolejny, data, imię i nazwisko, Trzy Pielgrzymie Pytania: kraj pochodzenia, miejsce wyjścia, miejsce dojścia. Okazuje się, że jestem tutaj sto pięćdziesiąta szósta. Przede mną byli tu Norwedzy, Irlandczycy, Amerykanie, dwóch Koreańczyków, Australijczycy, najwięcej Niemców, ale są i Szwajcarzy, a nawet — o, proszę — Słowacy. Potem mój wzrok zatrzymuje się na jednym nazwisku: Szymon Polakowski, Świebodzin, Polska. Patrząc na ten pospieszny wpis zahipnotyzowana. Głośno wymawiam tę nazwę: Świebodzin, i odtąd mam wrażenie, że nad oceanem, jukami i stromą ścieżką ktoś położył mleczną folię. Ta śmieszna trudna nazwa, wobec której buntuje się rozpuszczony język, miękkie perwersyjne „ś”, które natychmiast sprowadza niejasne doznanie, coś jak chłód ceraty rozłożonej na kuchennym stole, koszy świeżo zerwanych pomidorów z działki, zapach spa-

lin z junkersa. To wszystko sprawia, że realny staje się tylko Świebodzin, nic innego. Resztę dnia wisi nad oceanem — wielka fatamorgana. I choć nigdy nie byłem w tym miasteczku, to widzę niewyraźnie jego uliczki, przystanek autobusowy, sklep mięsny, wieżę kościoła. W nocy ogarnia mnie fala tęsknoty, nieprzyjemnej, jak skurcz kiszek, i w półśnie dostrzegam obce usta, które bezbłędnie układają się w to niebywałe „św”.

Kunicki. Ziemia

Lato zamknęło się za Kunickim, zatrzasnęło. Kunicki właśnie rozgascza się, zmieniając sandały na pantofle, krótkie spodnie na długie, ostrząc ołówki na biurku, porządkując faktury. Przeszłość przestaje istnieć, staje się ścinkami z życia — nie ma co żałować. Więc to, co czuje, musi być bólem fantomowym, nierealnym, bólem każdej niekompletnej, wyszczerbionej formy, która z natury tęskni do całości. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Ostatnio nie może spać. To znaczy — zasypia wieczorem, pada ze zmęczenia, ale budzi się już koło trzeciej, czwartej nad ranem, jak lata temu po powo-Jdzi. Ale wtedy wiedział, skąd ta bezsenność — przestraszył się kataklizmu. Teraz jest inaczej, nie było żadnej katastrofy. Zrobiła się dziura, przerwa. Kunicki wie, że zacerować ją mogłyby słowa; gdyby znalazł odpowiednią ilość sensownych, właściwych

słów na wyjaśnienie tego, co się stało, dziura dałaby się załatać, nie byłoby śladu, a on spałby do ósmej. Czasem, rzadko, wydaje mu się, że słyszy w głowie jakiś głos, jedno, dwa słowa, wypowiedziane głośno przesywające. Słowa oderwane zarówno od bezsennej nocy, jak i zagonionego dnia. Coś tam iskrzy w neuronach, jakieś impulsy przeskakują z miejsca na miejsce. Czy nie tak właśnie odbywa się myślenie?

Są to już gotowe majaki, które stoją u bram rozumu, fabryczna konfekcja. Nie są wcale straszne, nie jest to żaden biblijny potop, nie dzieją się w nich dantejskie sceny. To po prostu straszna nieuchronność wody, jej wszechobecność. Nasiąkają nią ściany jego mieszkania. Kunicki palcem bada rozmiękły chory tynk, wilgotna farba zostawia ślad na skórze. Plamy tworzą na ścianach mapy krain, nie zna ich, nie potrafi nadać im żadnej nazwy. Krople przesączają się przez framugi okien, podmywają dywan. Wbij w ścianę gwóźdź, a wytryśnie mały strumyczek, otwórz szufladę, a woda zachlupocze. Podnieś kamień, a ja tam będę, szemrze woda. Leją się całe strugi na klawiatury komputerów, gaśnie pod wodą ekran. Kunicki wybiega przed swój blok i widzi, że zniknęły piaskownice i rabaty, niskie żywopłoty przestały istnieć. Idzie po kostki w wodzie do auta, będzie jeszcze próbował wyjechać nim z osiedla na wyżej położone tereny, ale już nie zdąży. Okazuje się, że są okrażeni, w pułapce.

Ciesz się, że wszystko dobrze się skończyło, mówi do siebie, wstając w ciemnościach do łazienki. Jasne,

ze się cieszę, odpowiada sam sobie. Jednak wcale się nie cieszy. Kładzie się z powrotem w rozgrzanej pościeli i leży z otwartymi oczami, do rana. Jego nogi są niespokojne, dokądś idą, samowolnie odbywają nierzeczywisty spacer po fałdach kołdry, swędzą od środka. Czasami zapada w krótkie drzemki i wtedy budzi go własne pochrapywanie. Leży i widzi, jak za oknem robi się coraz jaśniej, jak zaczynają hałasować śmieciarze i pierwsze autobusy; z zajezdni ruszają tramwaje. Nad ranem rusza winda, słychać jej rozpaczliwe piski, piski istoty złapanej w dwuwymiarową przestrzeń, w górę i w dół, nigdy nie na ukos czy na boki. Świat rusza do przodu, z tą dziurą nie do naprawienia, kaleki. Kuśtyka.

Kunicki kuśtyka wraz z nim do łazienki, potem pije kawę na stojąco, przy bufecie w kuchni. Budzi żonę. Zaspana, bez słowa znika w łazience.

Znalazł korzyść w tym, że nie śpi — słucha, co ona powie przez sen. W taki sposób wydają się największe tajemnice. Mimowolnie wymykają się jak smużki dymu i zaraz przepadają, trzeba je złapać tuż przy ustach. Więc myśli i nadsłuchuje. Ona śpi cicho, na brzuchu, prawie nie słychać jej oddechu, czasem westchnie, ale w westchnieniach nie ma słów. Gdy ona przewraca się z jednego boku na drugi, jej ręka bezwiednie szuka drugiego ciała, próbuje je "bjać, noga wędruje na jego biodra. Wtedy na moment on sztywnieje, bo cóż by to miało znaczyć? W końcu uznaje, że to mechaniczny ruch i pozwala Jej na to.

Niby nic się nie zmieniło, oprócz tego, że włosy jej zjaśniały od słońca i przybyło jej na nosie kilka piegów. Ale kiedy ją dotknął, kiedy przesunął dłonią po jej nagich plecach, wydało mu się, że coś odkrył. Sam już nie wie. Ta skóra sprawia teraz opór, jest twardsza, bardziej skupiona w sobie, jak brezent.

Nie może pozwolić sobie na dalsze poszukiwanie, boi się, cofa rękę. W półśnie roi sobie, że jego dłoń znajduje jakiś obcy teren, coś, co przeoczył przez siedem lat ich małżeństwa, coś wstydliwego, jakiegoś znamię, pas owłosionej skóry, rybią łuskę, ptasi puch, nietypową strukturę, anomalię.

Dlatego odsuwa się na skraj łóżka i stamtąd patrzy na kształt, który jest jego żoną. W słabym świetle osiedla, które płynie przez okno, jej twarz jest tylko bladym zarysem. Zasypia wpatrzony w tę plamę, i kiedy się budzi, w sypialni zaczyna się robić jasno. Światło świtu jest metaliczne, spopiela kolory. Przez moment ma porażające wrażenie, że ona umarła — widzi jej trupa, puste zeschnięte ciało, z którego już dawno uleciała dusza. Nie boi się, dziwi się tylko, i zaraz, żeby przegnać ten obraz, dotyka jej policzka. Ona wzdycha i obraca się ku niemu, kładąc mu na piersi rękę, dusza wraca. Odtąd jej oddech jest równy, ale on nie śmie się ruszyć. Czeka, aż budzik wybawi go z tej niewygodnej sytuacji.

Niepokoi go jego własna beczynność. Czy nie powinien wynotować tych wszystkich zmian, żeby niczego nie przeoczyć? Wstać po cichu, wysunąć się z pościeli i przy kuchennym stole podzielić kartkę

papieru na pół i napisać: przedtem i teraz. Co by napisał? Skóra bardziej szorstka — może się po prostu starzeje albo to skutek słońca. Koszulka zamiast piżamy? Może kaloryfery są odkręcone bardziej niż kiedyś. Zapach? Zmieniła krem.

Przypomina mu się szminka, którą miała na wyspie. Teraz ma inną! Tamta była jasna, beżowa, łagodna, koloru warg. Ta jest czerwona, karminowa, nie wie, jak określić kolor, nigdy nie był w tym dobry, nigdy nie wiedział, jaka jest różnica między karminowym a czerwonym, nie mówiąc o purpurowym.

Ostrożnie wysuwa się z pościeli, dotyka bosymi stopami podłogi i po ciemku, żeby jej nie zbudzić, idzie do łazienki. Tam dopiero pozwala oślepić się jaskrawym światłem. Na półce pod lustrem leży jej wyszywana koralikami kosmetyczka. Otwiera ją delikatnie, żeby się upewnić w swoich przypuszczeniach. Szminka jest inna.

Rano udaje mu się rozegrać to perfekcyjnie, tak myśli: perfekcyjnie. Ze jeszcze czegoś zapomniał i musi zostać w domu, pięć minut dłużej.

— Idź już, nie czekaj na mnie.

Udaje, że się spieszy, że szuka jakichś papierów. Ona wkłada przed lustrem kurtkę, obwiązuje się czerwonym szalikiem i bierze małego za rękę. Trzaskają drzwi. Słyszy, jak zbiegają po schodach. Zastyga nad papierami i odgłos trzaskających drzwi odbija się jeszcze kilka razy w jego głowie jak piłka — bum, bum, hum, aż zapada cisza. Potem bierze głęboki wdech¹ prostuje się. Cisza. Czuje, że go oblepia, odtąd po-

rusza się powoli i precyzyjnie. Podchodzi do szafy odsuwa przeszkłone drzwi i staje twarzą w twarz z jej ubraniami. Wyciąga rękę do jasnej bluzki, nigdy w niej nie chodziła, jest zbyt elegancka. Muska ją palcami, a potem dotyka całą dłonią, wikła dłoń w fałdy jedwabiu. Ta bluzka nic mu jednak nie mówi, więc przesuwa się dalej; rozpoznaje kaszmirowy kostium, też rzadko używany, i letnie sukienki, i kilka koszul, jedna na drugiej; sweter zimowy, jeszcze w folii, z pralni i długi czarny płaszcz. Też nieczęsto widział go na niej. Wtedy przychodzi mu do głowy myśl, że te ubrania wiszą tutaj dla zmylenia go, mają go zwieść, wyprowadzić w pole.

Stoją obok siebie w kuchni. Kunicki kroi pietruszkę. Nie chce zaczynać znowu, ale nie może się powstrzymać. Czuje, jak słowa wzbierają mu w gardle, nie jest w stanie ich przełknąć. Więc będzie jeszcze raz:

— No to co się stało?

Ona mówi zmęczonym głosem, podkreśla tonem, że recytuje to już kolejny raz, że jest nudny, że się czepia:

— Bardzo proszę, jeszcze raz: zrobiło mi się niedobrze, miałam chyba zatrucie, mówiłam ci.

Ale on nie podda się tak łatwo:

— Nie czułaś się źle, kiedy wychodziłaś.

— Tak, ale potem zrobiło mi się niedobrze, niedobrze — powtarza z satysfakcją. — I chyba na moment straciłam przytomność, mały zaczął płakać i to

mnie ocuciło. Przestraszył się i ja też się przestraszyłam. Zaczęliśmy wracać do samochodu, ale z tego wszystkiego poszliśmy w inną stronę.

— W którą stronę? Do Visu?

— Tak, do Visu. Nie, nie wiem, czy do Visu, skąd miałam wiedzieć, gdybym wiedziała, wróciłabym nrzecież, mówiłam ci to już tysiąc razy — podnosi głos. — Kiedy zrozumiałam, że zabłądziłam, usiedliśmy w niewielkim lasku i mały usnął, a mnie nadal było słabo...

Kunicki wie, że ona kłamie. Kroi pietruszkę, nie podnosi oczu znad deski i mówi grobowym głosem:

— Tam nie było żadnego lasku.

Ona prawie krzyczy.

— Oczywiście, że był!

— Nie, nie było. Były pojedyncze oliwki i winnice. Jaki lasek?

Zapada milczenie, a potem ona nagle mówi śmiertelnie poważnie:

— Więc dobrze. Rozgryzłeś wszystko. Brawo. Zabrał nas latający talerz, robili nam eksperymenty, wszczepili chipy, o tu — podnosi włosy i pokazuje kark, jej wzrok jest zimny.

Kunicki ignoruje tę ironię.

— Dobra, mów dalej.

Ona mówi:

— Znalazłam kamienny domek. Usnęliśmy, zrobiła się noc...

— Tak szybko? A cały dzień, gdzie się podział? Co robiłaś cały dzień?

Ona ciągnie swoje:

— ...Rano spodobało nam się. Pomyślałam sobie że pomartwisz się o nas trochę i przypomnisz sobie, że istniejemy. Taka terapia wstrząsowa. Jedliśmy winogrona i chodziliśmy pływać...

— Bez jedzenia trzy dni?

— Jedliśmy winogrona, mówię.

— A co piliście? — dopytuje się Kunicki.

Wtedy ona wykrzywia twarz.

— Wodę z morza.

— Dlaczego nie powiesz po prostu prawdy?

— To jest prawda.

Kunicki starannie odcina mięsiste łydźki.

— Dobra, i co było dalej?

— Nic. Wróciliśmy w końcu do szosy i zatrzymaliśmy samochód, który nas podwiózł do...

— Po trzech dniach!

— I co z tego?

On rzuca nożem w pietruszkę. Deska spada na podłogę.

— Kobieto, czy ty wiesz, co narobiłaś? Szukał cię helikopter. Cała wyspa była na nogach!

— Niepotrzebnie. To się zdarza, że ludzie na chwilę znikają, prawda? Nie trzeba było robić paniki. Możemy utrzymywać, że zasłałam, a potem wyzdrowiałam.

— Co ci się, do cholery, stało? Co się z tobą dzieje? Jak to wszystko wytłumaczysz?

— Tu nie ma nic do tłumaczenia. Powiedziałam ci prawdę, ale ty tego nie słuchasz.

Krzyczy, ale potem ścisza głos:

— Powiedz mi, co ty myślisz, wyobrażasz sobie, że jak było?

Ale on już nie odpowiada. Taka rozmowa powtarzała się już kilka razy. Zdaje się, że oboje nie mają na nią sił.

Czasami ona opiera się o ścianę, mruży oczy i drwi z niego:

— Podjechał autobus pełen alfonsów i zabrali mnie do burdelu. Małego trzymali na balkonie o chlebie i wodzie. Przez te trzy dni miałam sześćdziesięciu klientów.

Wtedy on wpija ręce w blat stołu, żeby jej nie uderzyć.

Nigdy się nad tym nie zastanawiał ani tym nie martwił — że nie pamięta poszczególnych dni. Nie wie, co robił w jakiś poniedziałek, nawet nie jakiś, ale ostatni, przedostatni. Nie wie, co robił przedwczoraj. Próbuje sobie przypomnieć czwartek przed wyjazdem z Visu — i nic nie widzi. Lecz gdy się skupi, wraca do niego, że szli ścieżką, że trzaskały im pod butami wysuszone krzaki ziół i trawa była całkiem sucha, rozsypywała się pod butami w pył. I pamięta kamienny niewysoki murek, ale chyba tylko dlatego, że zobaczyli tam węża, uciekł przed nimi. Kazała mu wziąć małego na ręce. Odtąd go poniósł pod górę, a ona urwała listki jakiejś rośliny i roztarła ją w palcach. „Ruta”, powiedziała. Wtedy skojarzył, że

wszystko tak tu pachnie, tym właśnie zieleń, nawet rakija, wkładają do butelek całe gałązki. Ale już nie potrafi powiedzieć, jak wracali i co było wieczorem tego dnia. I nie pamięta innych wieczorów. Nic nie pamięta, wszystko przeoczył. A jak się nie pamięta, to znaczy, że to nie istniało.

Szczegóły, waga szczegółów: przedtem nie brał ich poważnie. Teraz jest pewny, że kiedy ułoży je w powiązany ze sobą ściśle łańcuch: przyczyna, skutek, wie, że wszystko się wyjaśni. Powinien usiąść spokojnie w biurze, rozłożyć papier, najlepiej, żeby to był duży format, największy, jaki znajdzie, ma taki z opakowania książek, i nanieść wszystko w punktach. Jest przecież prawda.

Więc dobrze. Przecina plastikowe taśmy na paczce z książkami i wypakuje je na stos, nawet na nie nie patrzy. To jeden z tych bestsellerów, kij z nim. Wyciąga planszę szarego papieru i rozprostowuje go na biurku. Rozległa szara przestrzeń, lekko wygnieciona, peszy go. Czarnym flamastrem pisze: granica. Tam się kłócili. Ale może powinien sięgnąć do czasu przed wyjazdu? Nie, zostanie przy granicy. Pewnie podał paszport przez okno samochodu. To było między Słowenią a Chorwacją. Potem przypomina sobie, jak jechali asfaltową szosą przez opuszczone wsie. Domy z kamienia bez dachów, ze śladami pożaru albo bomb. Wyraźne znaki wojny. Zarośnięte pola, sucha, jałowa ziemia pozbawiona opieki. Jej właściciele poszli na wygnanie. Umarłe ścieżki. Ściśnięte szczęki. Nic, nic zupełnie się nie dzieje, są w czystym. Jadą

samochodem, oglądając w milczeniu te przejmujące krajobrazy. Ale jej nie pamięta, siedziała za blisko, obok niego. Nie pamięta, czy się tam zatrzymywali, czy nie. Tak, tankują na jakiejś małej stacji benzynowej. Zdaje się, że kupują lody. I pogoda, że jest duszna. Mleko na niebie.

Kunicki ma dobrą pracę. W swojej pracy jest wolnym człowiekiem. Pracuje jako przedstawiciel handlowy wielkiego wydawnictwa ze stolicy; przedstawiciel — co znaczy, że sprzedaje książki. Ma w mieście kilka punktów, które musi odwiedzić co jakiś czas, zachwalając swą ofertę, polecając nowości, kusząc rabatami.

Podjeżdża pod małą księgarnię na peryferiach miasta i z bagażnika wyciąga zrealizowane zamówienie. Księgarnia nazywa się „Księgarnia. Artykuły papiernicze”, jest za mała, żeby mogła pozwolić sobie na wyraźną nazwę, zresztą i tak większość obrotów to zeszyty i podręczniki. Zamówienie mieści się w plastikowej skrzynce — poradniki, dwa egzemplarze szóstego tomu encyklopedii, wspomnienia sławnego aktora i ostatni bestseller o nic nie mówiącym tytule „Konstelacje”, aż trzy sztuki. Kunicki obiecuje sobie, że i on go przeczyta. Dostaje kawę i kawałek domowej babki, lubią go. Popijając kęs babki kawą, pokazuje nowy folder wydawnictwa. To się dobrze sprzedaje, mówi, i właśnie to zostaje zamówione. Tak ogląda jego pracę. Przed wyjściem kupuje przeciwny kalendarz.

Wieczorem w swoim malutkim biurze wpisuje zebrane zamówienia do zbiorowych formularzy; wysyła je mailem. Jutro otrzyma książki.

Oddycha z ulgą, zaciąga się papierosem, skończył pracę. Czekał na tę chwilę od rana, żeby móc spokojnie przejrzeć zdjęcia. Podłącza aparat do komputera.

Jest ich 64. Żadnego nie wyrzuca. Pokazują się automatycznie, po kilkanaście sekund każde. Zdjęcia są nudne. Ich jedyną zasługą jest to, że utrwalają chwile, które inaczej przepadłyby zupełnie. Ale czy warto je zapisywać? A jednak. Kunicki zapisuje je na płytke, wyłącza komputer i rusza do domu.

Wszystkie czynności wykonuje odruchowo: przekręca klucz w stacyjce, wyłącza alarm, zapina pasy, muśnięciem palca uruchamia radio, wrzuca jedynkę¹ i już samochód toczy się powoli z parkingu na ruchliwą ulicę, na dwójce. W radiu podają prognozę pogody, że będzie padać. Tak i właśnie zaczyna padać, jakby krople deszczu czekały w pogotowiu na wypowiedziane w radiu zaklęcie; ruszają wycieraczki.

I nagle coś się zmienia. Nie chodzi o pogodę, o deszcz, o widok przed samochodem, ale w jednej chwili widzi wszystko inaczej. Ma wrażenie, że zdjął ciemne okulary albo wycieraczki starły coś więcej niż zwykły miejski kurz. Robi mu się gorąco i mimowolnie spuszcza nogę z gazu. Trąbią na niego. Bierze się w garść i nadgania tak, żeby być tuż za czarnym volkswagenem. Zaczynają pocić mu się ręce. Najchętniej zjechałby na bok, ale nie ma gdzie, musi jechać.

Widzi z przeraźliwą jasnością — że cała dobrze znana droga jest pełna krzykliwych znaków. To informacje przeznaczone tylko dla niego. Kółka na jednej nodze, żółte trójkąty, niebieskie kwadraty, zielone i białe tablice, strzałki, wskazówki. Światła. Linie wymalowane na asfalcie, tablice informacyjne, ostrzeżenia, przypomnienia. Uśmiech z billboardu, też istotny. Widział je dzisiaj rano, ale wtedy jeszcze nic nie mówiły, rano mógł je zignorować, teraz już mu się to nie uda. Przemawiają do niego cichym, kategoriowym tonem, jest ich o wiele więcej, właściwie nie ma wolnej od nich przestrzeni. Szyldy na sklepach, reklamy, symbole poczty, apteki, banku, lizak wzniesiony przez przedszkolankę, która przeprowadza dzieci przez pasy, znak idzie przez znak, w poprzek znaku, znak wskazujący inny znak — trochę dalej, znak podejmowany przez inny znak, przekazywany dalej, zmowa znaków, sieć znaków, porozumienie znaków poza jego plecami. Nic nie jest niewinne i bez znaczenia, wielka nieskończona łamigłówka.

W panice szuka miejsca do zaparkowania, musi zamknąć oczy, bo zwariuje. Co mu się stało? Zaczyna drzeć. Z ulgą znajduje przystanek autobusowy i tam zjeżdża. Stara się opanować. Myśli, że może miał wylew. Boi się spojrzeć wokół. Może odkrył jakiś rodzaj widzenia, inny Punkt Widzenia, dużymi literami, wszystko dużymi literami.

Oddech po chwili wraca do normy, ale ręce drżą nadal. Zapala papierosa, o tak, przytruje go trochę nikotyną, otumani dymem, okadzi z demonów. Ale

wie już, że nie pojedzie dalej, nie dałby rady z tą nową wiedzą, która go przytłacza. Dyszy z głową opartą o kierownicę.

Ustawia samochód na chodniku, na pewno wlepią mu mandat, i ostrożnie wychodzi. Asfaltowa jezdnia wydaje mu się teraz grząska.

— Pan Niedotykalski — mówi ona.

Prowokacyjnie. Kunicki nie odpowiada. Ona trzaska drzwiami szafki, wyciąga z niej paczkę herbaty, oczekuje chwilę, jaką przydzieliła mu na reakcję.

— Co się z tobą dzieje? — pyta. Tym razem agresywnie. Kunicki wie, że jeżeli teraz nie odpowie, ona przystąpi do otwartego ataku, więc mówi spokojnie:

— Nic się nie dzieje. Co by się miało dzieć?

Ona prycha i wylicza monotonnym głosem:

— Nie odzywasz się, nie pozwalasz się dotknąć, odsuwasz się na drugi koniec łóżka, nie śpisz po nocach, nie oglądasz telewizji, wracasz skądś późno, czuć od ciebie alkohol...

Kunicki rozważa, jak ma się zachować. Wie, że cokolwiek zrobi, będzie źle. Więc nieruchomieje. Prostuje się na krześle, patrzy w stół. Jest mu tak niewygodnie, jakby połknął coś, co nie chce mu przejść przez gardło. Czuje groźny ruch powietrza w kuchni. Próbuje ostatni raz:

— Trzeba nazywać rzeczy po imieniu... — zaczyna, a ona mu przerywa.

— Ba, żeby tylko wiedzieć, jak mają na imię.

— OK. Nie powiedziałaś mi, co tak naprawdę..-

Ale nie kończy, bo ona rzuca herbatę na podłogę j wybiega z kuchni. Za sekundę trzaskają wyjściowe drzwi.

Kunicki myśli o niej, że jest świetną aktorką. Mogłaby zrobić karierę.

Zawsze wiedział, czego chce. Teraz nie wie. Nie wie nic, nawet nie wie, co miałby wiedzieć. Wysuwa szufladki katalogów i nieuważnie przegląda nabite na szpikulec kartoniki. Nie wie, jak szukać i czego szukać.

Ostatnią noc przesiedział w Internecie. I co znalazł? Niedokładną mapkę Visu, stronę departamentu chorwackiej turystyki, rozkład kursowania promów. Kiedy wystukał nazwę: Vis, ukazały się dziesiątki stron. Tylko kilka o wyspie. Ceny hoteli i atrakcje. Także Visible Imaging System, ze zdjęciami z satelity, jak zrozumiał. I Vaccine Information Statements. Victorian Institute of Sport. I jeszcze System for Verification and Synthesis.

Internet sam go prowadził od jednego słowa do drugiego, podawał linki, pokazywał palcem. Gdy sam czegoś nie wiedział, milkł taktownie albo pokazywał uparcie wciąż te same strony, do znudzenia. Wtedy Kunicki miał wrażenie, że dotarł właśnie do granic poznanego świata, do muru, do błony sklepienia niebieskiego. Nie sposób go przebić głową i wyrzucić na zewnątrz.

Internet jest oszustem. Obiecuje wiele — że wypełni twoje zadanie, że znajdzie ci to, czego szukasz;

zadanie, spełnienie, nagroda. Ale w gruncie rzeczy ta obietnica jest przynętą, bo zaraz wpadasz w trans i hipnozę. Ścieżki szybko rozdzielają się, dwoją i mnożą, podążasz po nich, goniąc wciąż za celem, który zaraz się rozmazuje i ulega metamorfozom. Traci się grunt pod nogami, miejsce wyjścia ulega zapomnieniu, a cel ostatecznie znika z oczu, ginie w miganiu kolejnych stron, wizytówek, które zawsze obiecują więcej, niż mogą dać, bezwstydnie udają, że pod płaszczyzną ekranu jest jakiś kosmos. Ale nic bardziej złudnego, drogi Kunicki. Czego ty, Kunicki, szukasz? Ku czemu zmierzasz? Masz ochotę rozłożyć ręce i rzucić się w nią, w tę otchłań, ale nic bardziej złudnego: pejzaż okazuje się tapetą, nie da się pójść dalej.

Jego biuro jest małe, to jeden pokój, który wynajmuje za grosze na czwartym piętrze obdrapanego biurowca. Obok znajduje się agencja nieruchomości, a jeszcze dalej gabinet tatuażu. Mieści się tutaj biurko i komputer. Na podłodze leżą paczki z książkami. Na parapecie okna stoi elektryczny czajnik i słoik z kawą.

Odpala komputer i czeka, aż maszyna dojdzie do siebie. Wtedy zapala pierwszego papierosa. Przegląda zdjęcia jeszcze raz, ale tym razem każdemu przypatruje się długo i uważnie, aż dociera do tych, które zrobił na końcu — rozrzucona na stole zawartość jej torebki i ten bilet z napisem: „Kairos”, tak, nawet zapamiętał to słowo: **Κοῦρός**. Tak, to słowo wytłumaczy mu wszystko.

A więc znalazł coś, czego wcześniej nie dostrzegł, tyfusi zapalić papierosa, tak bardzo jest podniecony, przygląda się tajemniczemu słowu, ono będzie go teraz prowadzić, będzie je wypuszczał na wiatr jak latawca i podązał za nim. „Kairos”, czyta Kunicki, „kairos”, powtarza niepewny, czy tak się to wymawia. To chyba grecki, myśli radośnie, grecki i rzuca się ku półkom z książkami, ale nie ma tam greckiego słownika, są tylko „Użyteczne przysłowia łacińskie”, właściwie nigdy nie używane. Teraz już wie, że jest na właściwym tropie. Nie może się już zatrzymać. Rozkłada zdjęcia zawartości jej torebki, dobrze, że je wtedy zrobił. Układa je obok siebie jak pasjansa, w równych rzędach. Zapala kolejnego papierosa i chodzi wokół stołu niczym jakiś detektyw. Przystaje, zaciąga się dymem, przygląda się sfotografowanej szmince i długopisowi.

Nagle to czuje: że są różne patrzenia. Jednym widzi się po prostu przedmioty, użyteczne ludzkie rzeczy, pocziwe i konkretne, wiadomo od razu, jak ich użyć, czemu służą. I jest też patrzenie panoramiczne, ogólne, dzięki któremu dostrzega się związki między przedmiotami, ich sieć odbić. Rzeczy przestają być rzeczami, to, że czemuś służą, jest sprawą drugorzędną, to pozór. Teraz są znakami, wskazują na coś, czego nie ma na fotografii, odsyłają poza ramy zdjęcia. Trzeba się bardzo skupić, żeby móc ten wzrok utrzymać, w istocie jest darem, łaską. Kunickiemu zaczyna coraz mocniej bić serce. Czerwony długopis z napisem „Septolete” głęboko wrasta w ciemny niepoznawalny sens.

Poznaje to miejsce, ostatni raz był tutaj, gdy schodziła już woda, zaraz po powodzi. Biblioteka, szacowne Ossolineum, stoi przy rzece, zwraca swą twarz do niej, a to błąd. Książki powinno się trzymać na wzgórzach.

Pamięta tamten widok, kiedy już pokazało się słońce i woda opadła. Powódź naniosiła szlamu i błota, ale niektóre miejsca uprzątnięto i pracownicy biblioteki układali na nich książki do suszenia. Ustawiali je półotwarte na podłodze, było ich setki, tysiące. W tej nienaturalnej dla nich pozycji, przypominają żywe stworzenia, skrzyżowanie ptaka z ukwiałem. Ręce w lateksowych cienkich rękawiczkach cierpliwie odkłajały mokre strony od siebie, żeby schły pojedyncze zdania i słowa. Niestety, kartki zwiędły, pociemniały od szlamu i wody, pokrzywiły się. Ludzie chodzą między nimi ostrożnie, kobiety w białych fartuchach, jak w szpitalu, otwierają wolumeny ku słońcu, niech słońce czyta. Lecz w gruncie rzeczy jest to widok przerażający, coś jak spotkanie żywiołów. Kunicki stał i patrzył na ten widok ze zgrozą, a potem, zachęcony przykładem jakiegoś innego przechodnia, włączył się z przejęciem do pomocy.

Dziś w tej bibliotece w środku miasta, pięknie odnowionej po powodzi, ukrytej w budynkach wokół podwórza studni, czuje się nieswojo. Gdy wchodzi do wielkiej przestronnej czytelnicy, widzi stoliki ustawione w równych szeregach w dyskretnej odległościach od siebie. Prawie przy każdym z nich siedzą jakieś

plecy — pochylone, zgarbione. Drzewa nad grobem. Cementarz.

Książki ustawione na półkach ukazują się ludziom tylko grzbietami, to tak, myśli Kunicki, jakby ludziom nie można było widzieć tylko z profilu. Nie wiodą na pokuszenie kolorowymi okładkami, nie chwają się banderolami, na których każde słowo zaczyna się od „naj”; karnie, jak rekruci, przedstawiają tylko swoje dystynkcje: tytuł i autor, nic więcej.

Zamiast folderów, plakatów i reklamówek, są katalogi. Egalitarność małych upchanych w szufladki karteczek budzi szacunek. Tylko kilka informacji, numery, krótki opis, żadnego popisowania się.

Nigdy tu nie był. Podczas studiów korzystał tylko z nowoczesnej biblioteki uniwersyteckiej. Podawał wypisany na karteczce tytuł i autora i po kwadransie dostawał książkę. Ale i tak nie przychodził tam zbyt często, prawdę mówiąc raczej wyjątkowo, bo większość tekstów się kseruje. To nowa generacja literatury — tekst bez grzbietu, ulotna kserówka, coś w rodzaju chusteczki higienicznej, która przejęła władzę po abdykacji płóciennych chustek do nosa. Chusteczki higieniczne dokonały skromnej rewolucji, zniósły różnice klasowe. Po jednorazowym wykorzystaniu wyrzuca się je do śmieci.

Ma przed sobą trzy słowniki. „Słownik grecko-polski”. Ułożył Zygmunt Węclewski, Lwów 1929- Księgarnia Samuela Bodeka, ul. Batorego 20. „Podręczny słownik grecko-polski”. Teresa Kambureli, Thanasis Kamburelis, Wiedza Powszechna, Warszawa 1999.

I cztery tomy „Słownika grecko-polskiego”, redakcja Zofia Abramowiczówna, 1962. Wydawnictwo PWK]. Tam z trudem, posługując się tabelarycznym alfabetem, rozszyfrowuje swoje słowo: **Koupóc**.

Czyta tylko to, co napisano po polsku, alfabetem łacińskim: „1. «0 mierze», należna miara, stosowność, umiar; różnica; znaczenie, 2. «0 miejscu», żywotne, czułe miejsce w ciele, 3. «0 czasie», czas krytyczny, stosowna pora, sposobność, okazja, stosowny moment, moment sprzyjający jest przelotny; ci, co zjawili się niespodziewanie; stracić okazję; kiedy nadeszła odpowiednia chwila, w razie burzy pomagać, w porę, przy nadarzającej się okazji, przedwcześnie, krytyczne okresy, periodyczne stany, chronologiczna kolejność faktów, sytuacja, stan rzeczy, położenie, ostateczne niebezpieczeństwo, korzyść, pożytek, w jakim celu?, co ci pomoże?, gdzie byłoby dogodnie?”.

To jeden słownik. Drugi, starszy — Kunicki przebiega drobne wersy wzrokiem, pomijając greckie słowa i potykając się na dawnej pisowni: „dobra miara, umiar, słuszny stosunek, dojść do celu, ponad miarę, słuszna chwila, stosowna pora, przyjazna chwila, zręczna sposobność, tudzież tylko, czas, godzina, a l.m. okoliczności, stosunki, czasy, wypadki, zajścia, stanowcze chwile rewolucyjne, niebezpieczeństwa; zręczna jest sposobność, sposobność się nadarza, na czasie jest. Mówiono też: dzieje się coś w stosownym czasie”. W najnowszym słowniku podają w kwadratowym nawiasie wymowę: [kieros]. Poza tym: „pogoda, czas, pora, jaka jest pogoda? teraz jest pora

winogron, marnuje czas, od czasu do czasu, pewnego razu, jak długo? dawno już trzeba było”.

Kunicki rozgląda się z rozpaczą po czytelnii. Widzi czubki pochylonych nad książkami głów. Wraca do słowników, czyta poprzednie hasło, które wygląda podobnie, właściwie różni się tylko jedną literą: **KCtipioc**. I tutaj jest jeszcze inaczej: „wykonany na czas, celny, skuteczny, śmiertelny, fatalny, rozstrzygające pytanie i: niebezpieczne miejsce na ciele, gdzie rany są skuteczne, co zawsze jest na czasie, co zawsze dziać się musi”.

Kunicki zbiera swoje rzeczy i wraca do domu. W nocy znajduje w Wikipedii stronę o Kairoisie, z której dowiaduje się po prostu, że to bóg, mało ważny, zapomniany, helleński. I że odkryto go w Trogirze. W tym muzeum jest jego wizerunek, dlatego zapisała to słowo. Nic więcej.

Kiedy jego syn był mały, kiedy był niemowlęciem, Kunicki nie myślał o nim jako o człowieku. I to było dobre, bo byli blisko. Człowiek jest zawsze daleko. Nauczył się sprawnie zmieniać mu pieluchy, robił to kilkoma ruchami rąk, trzaskały tylko napy pamperśców. Zanurzał jego małe ciało w wannie, mydlił mu brzuch, potem zawiniętego w ręcznik niósł do pokoju i ubierał w śpiochy. To było łatwe. Gdy ma się małe dziecko, nie trzeba się nad niczym zastanawiać, wszystko jest oczywiste i naturalne. Lgnięcie dziecka do piersi, jego ciężar; zapach — swojski i rozczulający Ale dziecko nie jest człowiekiem. Staje się człowiekiem, gdy wyrwa się z ramion i mówi „nie”.

Teraz niepokoi go cisza. Co robi mały? Kunicki staje w drzwiach i widzi swoje dziecko na podłodze wśród klocków. Siada obok małego i bierze do ręki jeden z plastikowych samochodów. Rusza nim po namalowanej drodze. Może powinien zacząć od bajki że był sobie samochodzik, który się zgubił. Już przygotowuje się do otwarcia ust, ale chłopiec wrywa mu z ręki zabawkę i daje inną — drewnianą ciężarówkę załadowaną klockami.

- Będziemy budować — mówi mały.
- Co chcesz zbudować? — podchwytuje Kunicki.
- Domek.

W takim razie dobrze, domek. Ustawiają klocki w kwadrat. Ciężarówka dowozi materiał.

- A może zbudujemy wyspę? — pyta Kunicki.
- Nie, domek — mówi mały i ustawia bezładnie klocki, jeden na drugim. Kunicki delikatnie poprawia je, żeby budowla się nie przewróciła.

- A pamiętasz morze?

Dziecko potakuje, ciężarówka wysypuje nowy zapas budulca. I teraz Kunicki już nie wie, co powiedzieć, o co zapytać. Wskazując na dywan, powie, że to jest wyspa i że oni są na wyspie, ale chłopczyk gubi się na wyspie, tata się martwi, gdzie też może być jego synek. Tak robi, wychodzi niezbyt przekonująco.

- Nie — upiera się chłopiec. — Budujmy domek.
- Pamiętasz, jak zgubiłeś się z mamusią?
- Nie — wykrzykuje mały i radośnie zrzuca klocki do budowy.
- Zgubiłeś się kiedyś? — pyta znowu Kunicki.

-- Nie — odpowiada dziecko i ciężarówka wjeżdża z impetem w świeżo ustawioną budowlę, ściany wał się. — Bum, bum — śmieje się chłopiec.

Kunicki cierpliwie zaczyna budować od nowa.

Kiedy ona wraca do domu, Kunicki widzi ją z dywanu, jak dziecko. Jest duża, zarumieniona od chłodu, podejrzenie podekscytowana. Ma czerwone usta. RzUCA na oparcie krzesła czerwony (czy może karminy, purpurowy) szal i tuli małego. „Głodni?“, pyta. Kunickiemu wydaje się, jakby wraz z nią wpadł do pokoju wiatr, zimny porywisty wiatr od morza, bryza. Chciałby ją zapytać: „Gdzie byłaś?“, ale nie może sobie na to pozwolić.

Rano ma zwód i musi się od niej odwrócić; musi ukryć te krępujące pomysły ciała, żeby nie odczytała ich jako zachęty, próby pojednania, jakiegokolwiek lgnięcia. Odwraca się do ściany i celebryje ten zwód, tę bezcelową gotowość, stan alertu, wyprężoną kończynę czepną; ma go dla siebie.

Czubek penisa jak wektor wskazuje w górę, ku oknu, ku światu.

Nogi. Stopy. Nawet gdy przystaje, gdy siada, one idą dalej, poruszają się wirtualnie, nie mogą się zatrzymać, przemierzają daną przestrzeń drobnymi, pospiesznymi krokami. Gdy chce je zatrzymać, buntują się. Kunicki boi się, że jego nogi wybuchną i zaczną biec, poniosą go w jakimś nie uzgodnionym² nim kierunku, będą wbrew niemu wywijały hołubce

albo wejdą w posępne podwórka zmurszałych kamienic, wespną się na obce schody, włazami wyprowadzą go na śliskie strome dachy i każą mu spacerować po ich łuskowatych dachówkach, jak lunatykowi.

To pewnie przez te niespokojne nogi Kunicki nie może spać: od pasa w górę jest spokojny, rozluźniony i senny; od pasa w dół — niepokonany. Widocznie składa się z dwóch osób. Na górze pragnie spokoju, sprawiedliwości; na dole — jest występny i łamie wszelkie zasady. Na górze ma imię, nazwisko, adres zamieszkania i pesel; na dole — nie ma nic do powiedzenia na temat siebie, właściwie to ma siebie dość.

Chciałby te nogi uciszyć, nasmarować je uspokajającą maścią; to wewnętrzne łaskotanie jest w istocie bolesne. W końcu bierze tabletkę na sen. Robi porządek z nogami.

Kunicki próbuje opanować swoje kończyny. Wymyśla na nie sposób: pozwala im się ruszać bez przerwy, nawet samym palcom w butach, gdy reszta ciała stoi w spokoju. A kiedy siada — uwalnia je także, niech się niepokoją. Patrzy na noski butów i widzi delikatny ruch skóry, jak jego stopy zaczynają swój obsesyjny marsz w miejscu. Lecz chodzi też dużo po mieście. Wydaje mu się, że tym razem przekracza wszystkie możliwe mosty na Odrze i kanałach. Ze żadnego nie pominął.

Trzeci tydzień września jest deszczowy i wietrzny. Trzeba wyciągnąć z pawlacza jesienne rzeczy, kurtki i gumowce dla małego. Odbiera go z przedszkola i idą

teraz pospiesznie do samochodu. Chłopiec wskakuje w kałużę i rozpryskuje wokół wodę. Kunicki tego nie zauważa, myśli, co powie, szykuje sobie zdania. Na przykład: „Boję się, że dziecko mogło przeżyć jakiś szok”, albo z większą pewnością siebie: „Wydaje mi się, że syn doświadczył szoku”. Przypomina mu się słowo „trauma”, „doświadczyć traumy”.

Jadą przez mokre miasto, wycieraczki pracują na najwyższych obrotach i zgarniają wodę z szyb, odsłaniają na chwilę świat pogrążony w deszczu, rozmazany.

To jego dzień — czwartek. W czwartki odbiera syna z przedszkola. Ona jest zajęta, pracuje po południu, ma jakieś kółka, wraca późno, więc Kunicki ma małego dla siebie.

Zajeżdżają pod odnowioną kamienicę w samym centrum miasta i przez chwilę szukają miejsca na zaparkowanie.

— Gdzie idziemy? — pyta mały, a ponieważ Kunicki nie odpowiada, chłopiec zaczyna powtarzać pytanie w kółko: — Gdzieidziemy, gdzieidziemy?

— Bądź cicho — mówi ojciec, ale potem, po chwili tłumaczy: — Do jednej pani.

Mały nie protestuje, chyba jest ciekawy.

W poczekalni nie ma nikogo, i zaraz pojawia się przed nimi wysoka kobieta koło pięćdziesiątki, zaprasza do gabinetu. Pokój jest jasny i miły — na środku leży duży, kolorowy miękki dywan, a na nim zabawki i klocki. Dalej kanapa i dwa fotele, biurko i krzesło. Dziecko siada ostrożnie na brzegu fotela, ale jego

oczy wędrują ku zabawkom. Kobieta uśmiecha się i podaje Kunickiemu rękę, wita się też z chłopcem. Mówi do dziecka, jakby ostentacyjnie nie zwracała uwagi na ojca. Więc on mówi pierwszy, uprzedzając jej ewentualne pytania.

— Mój syn od jakiegoś czasu ma kłopoty ze snem, zrobił się nerwowy i... — kłamie, ale kobieta nie pozwala mu skończyć.

— Najpierw się pobawimy — mówi. Brzmi to absurdalnie, Kunicki nie wie, czy z nim też się będzie bawić. Nieruchomieje, zaskoczony.

— Ile masz lat? — pyta kobieta dziecko. Mały pokazuje trzy palce.

— W kwietniu skończył trzy lata — mówi Kunicki.

Ona siada przy chłopcu na dywanie i podaje mu klocki; mówi:

— Tata posiedzi sobie na korytarzu i poczyta, a my się pobawimy, o tak.

— Nie — mówi dziecko, wstaje i biegnie do ojca. Kunicki zrozumiał. Przekonuje małego, żeby został.

— Drzwi będą otwarte — zapewnia kobieta.

Skrzydło drzwi domyka się łagodnie, nie do końca. Kunicki siedzi w poczekalni i słyszy teraz ich głosy, ale niewyraźnie, nie wie, co mówią. Spodziewał się wielu pytań, wziął nawet ze sobą książeczkę zdrowia — teraz czyta, że poród o czasie, siłami natury, 10 punktów w skali Apgar, szczepienia, waga 3750, długość 57 centymetrów. O wzroście dorosłego mówi się „wysokość”, dziecko jest „długie”. Bierze ze stoli-

ka kolorowe czasopismo, otwiera mechanicznie i od razu znajduje reklamy z nowościami książkowymi. Rozpoznaje tytuły, porównuje ceny. Czuje przyjemne uderzenie adrenaliny — u niego jest taniej.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało. O co panu chodzi? — pyta kobieta.

Robi mu się wstyd. Co ma powiedzieć, że zniknęła mu żona z dzieckiem, że nie było ich trzy dni, czterdzieści dziewięć godzin, policzył dokładnie. I nie wie, gdzie byli. Zawsze wszystko o nich wiedział, a teraz nie wie najważniejszego. A potem, w ułamku sekundy, wyobraża sobie, że mówi:

— Proszę mi pomóc. Proszę go zahipnotyzować i odtworzyć chwila po chwili te czterdzieści dziewięć godzin. Muszę wiedzieć.

A ona, ta wysoka, wyprostowana jak drut kobieta, podchodzi do niego tak blisko, że czuje antyseptyczny zapach jej swetra — tak kiedyś, w dzieciństwie, pachniały pielęgniarki — i bierze jego głowę w duże ciepłe dłonie i tuli go do piersi.

Dzieje się jednak inaczej. Kunicki kłamie:

— Jest ostatnio niespokojny, budzi się w nocy, płacze. Byliśmy w sierpniu na wakacjach, myślałem, że może przeżył coś, z czego nie zdajemy sobie sprawy, że się czegoś przestraszył...

Jest przekonany, że mu nie uwierzy. Kobieta bierze dłu gopis w dłonie i bawi się nim. Mówi z czarującym, ciepłym uśmiechem.

— Ma pan nad wyraz rozwiniętego, kontaktowego, inteligentnego syna. Czasami takie efekty może

wywołać zwykła kreskówka. Niech nie ogląda za dużo telewizji. Na moje oko nic, absolutnie nic mu nie jest.

Potem patrzy na niego z troską — tak mu się wydaje.

Kiedy wychodzą, kiedy mały kończy robić „pa, pa” pani doktor, zaczyna myśleć o niej „dziwka”. Jej uśmiech wydaje mu się nieszczerzy. Też coś ukrywa. Nie powiedziała mu wszystkiego. Teraz wie, że nie powinien był iść do kobiety. Czy w mieście nie ma psychologów dziecięcych mężczyzn? Czy kobiety ustaliły sobie na dzieci jakiś monopol? Nigdy nie są wyraźne; nie wiadomo na pierwszy rzut oka, czy są słabe, czy silne, jak się zachowują, czego chcą; trzeba się mieć na baczności. Przypomina mu się długopis, który trzymała w dłoni. Żółty bic, taki sam, jaki ma na zdjęciu z torebki.

Jest wtorek, ona ma wolne. Od rana podniecony, nie śpi, udaje, że nie patrzy na jej poranne krzątanie się, z sypialni do łazienki, z kuchni do przedpokoju i jeszcze raz do łazienki. Krótki zniecierpliwiony krzyk dziecka, pewnie wtedy, gdy sznurowuje mu buty. Syk dezodorantu. Gwizdek czajnika.

Gdy wreszcie wychodzą, staje przy drzwiach i słucha, czy przyjechała już winda. Liczy do sześćdziesięciu — tyle czasu będą zjeżdżali na dół. Potem szybko wsuwa buty i wyciąga z reklamówki kurtkę, którą kupił w second-handzie. Dla niepoznaki. Cicho zatrząskuje za sobą drzwi. Oby za długo nie musiał czekać na windę.

Tak, wszystko idzie jak z płatka. Pomyka za nią, w bezpiecznym oddaleniu, w cudzej kurtce. Jego wzrok trzyma się jej pleców, ciekawe, czy ona czuje jakąś niewygodę, chyba nie, bo idzie prędko, zamasyście, mógłby powiedzieć: radośnie. Przeskakują oboje z dzieckiem przez kałuże, nie omijają, lecz przeskakują — dlaczego? Skąd w niej tyle energii tego dżdżystego jesiennego już ranka, czy kawa już zaczęła działać? Inni wydają się raczej powolni i senni, ona jest barwniejsza, jej wściekle różowy szal stanowi jaskrawą plamę na tle dnia, Kunicki trzyma się go jak brzytwy.

W końcu docierają do przedszkola. Jest świadkiem jej pożegnania z małym, lecz wcale go to nie porusza. Może ona w trakcie tych czułych uścisków szepcze coś chłopcu do ucha, jakieś słowo, właśnie to, którego tak rozpaczliwie poszukuje Kunicki. Gdyby je znał, mógłby je wpisać w ramki kosmicznej wyszukiwarki i ona w ułamku sekundy wyrzuciłaby mu prostą rzeczową odpowiedź.

Teraz widzi ją, jak zatrzymuje się na przejściu dla pieszych, czekając na zielone światło, wyciąga komórkę i wybiera numer. Przez chwilę Kunicki ma nadzieję, że jego komórka rozdzwoni mu się w kieszeni, ma swój dźwięk — cykadę, tak, przyporządkował jej głos cykady, tropikalnego owada. Ale jego kieszeń milczy. Ona przechodzi przez jezdnię, rozmawiając z kimś krótko. Teraz on musi czekać na zmianę świateł, jest to niebezpieczne, bo ona właśnie wchodzi za rog i znika, więc on natychmiast, gdy może, przy-

spieszą kroku i już boi się, że ją zgubił, już zaczyna być na siebie zły i na te światła. Och, zgubić ją dwieście metrów od domu. Ale jest; szal wchodzi w obrotowe drzwi sklepu. To duży sklep, dom handlowy, właśnie go otworzyli, jest prawie pusty, więc Kunicki waha się, czy wejść tam za nią, czy zdoła ukryć się między stoiskami. Ale musi, ponieważ jest tam inne wyjście, na drugą ulicę, więc narzuca na głowę kaptur — w końcu wolno mu, pada deszcz — i wchodzi do środka. Widzi ją — idzie między stoiskami powoli, jakby ją coś zatrzymywało, i patrzy na kosmetyki, na perfumy, przystaje przed półką i wyciąga po coś rękę. Trzyma w dłoni jakiś flakonik. Kunicki grzebie w przecenionych skarpetach.

Gdy ona przesuwa się zamyślona do stoiska z torbami, Kunicki bierze flakonik do ręki. Carolina Herrera, czyta. Zapamiętać to imię czy od razu wyrzucić z głowy? Zapamiętać, mówi mu coś. Wszystko coś znaczy, tylko nie wiemy co, powtarza w myślach.

Widzi ją z daleka — stoi przed lustrem z czerwoną torebką w dłoni, ogląda swoje odbicie raz z jednej, raz z drugiej strony. Potem idzie do kasy, wprost na Kunickiego. Ten odsuwa się w panice za półki ze skarpetami, schyla głowę. Ona go mija. Jak duch. Ale potem nagle odwraca się, jakby czegoś zapomniała i jej wzrok pada prosto na niego, zgarbionego, z kapturem nasuniętym na czoło. Kunicki widzi jej rozszerzone ze zdumienia oczy, czuje jej wzrok, który go dotyka, przesuwa się po nim, obmacuje go.

— Co ty tu robisz? Jak ty wyglądasz?

Potem w jednej chwili te oczy miękną, zasłania je jakaś mgiełka, mruga powiekami: — Boże, co się z tobą dzieje, co się stało?

To dziwne, nie tego się spodziewał Kunicki. Spodziewał się awantury. A ona go obejmuje i przytula do siebie, wtula twarz w tę jego dziwną kurtkę z second-handu. Kunickiemu wyrywa się westchnienie, małe okrągłe „och”, nie bardzo wie, czy ze zdziwienia jej niespodziewanym zachowaniem, czy dlatego, że nagle chętnie rozpłakałby się w jej pachnącą puchową kurtkę.

Dzwoni z komórki po taksówkę, czekają w milczeniu. Tylko w windzie ona go pyta:

— Jak się czujesz?

Kunicki odpowiada, że dobrze, ale wie, że jada teraz na ostateczną konfrontację. Ich kuchnia będzie polem walki, a oni przyjmą szturmowe pozycje — on zapewne przy stole, ona tyłem do okna, jak zawsze. I wie, że nie powinien zlekceważyć tej ważnej chwili, że jest to być może ostatni i jedyny możliwy moment, żeby się dowiedzieć, co się stało. Jaka jest prawda. Lecz wie też, że stoi na zaminowanym polu. Każde pytanie będzie bombą. Nie jest tchórzem i nie ustanie w próbach ustalenia faktów. Gdy winda zmierza w górę, on czuje się jak terrorysta, zamachowiec z bombą pod ubraniem, która wybuchnie, jak tylko otworzą się drzwi do ich mieszkania, i rozniesie wszystko w pył.

Przytrzymuje nogą drzwi, żeby wsunąć najpierw torby z zakupami, a potem wciska się za nimi do środka.

ka. Właściwie to nie zauważa nic dziwnego, zapala światła i rozpakowuje zakupy na bufecie w kuchni. Nalewa wody do szklanki i wkłada do niej przywiedły pęczek pietruszki. To go cuci, pietruszka.

Idzie przez własne mieszkanie jak duch, wydaje mu się, że przenika przez ściany. Pokoje są puste. Kunicki jest okiem, które bawi się w łamigłówkę: „Znajdź szczegóły, którymi różnią się dwa obrazki”. I Kunicki szuka. Nie ma wątpliwości, że się różnią — mieszkanie teraz i mieszkanie przedtem. To gra dla mało spostrzegawczych. Przecież nie ma jej płaszcza na wieszaku, ani szala, ani kurtki małego, rewii butów (zostały jego osamotnione klapki), nie ma parasola. Dziecinny pokój wydaje się zupełnie opuszczony, właściwie są tu tylko meble. Na dywanie leży pojedynczy samochodzik, jak wrak po niewyobrażalnej kosmicznej kraksie. Lecz Kunicki musi wiedzieć na pewno — więc z wyciągniętą ręką sunie do sypialni, do oszklonej szafy i odsuwa ciężkie drzwi; ruszają się niechętnie ze smutnym pomrukiem. Została tylko jedwabna bluzka, zbyt elegancka, żeby ją nosić. Wisi samotnie w szafie. Ruch drzwi porusza delikatnie rękawem — wygląda, jakby się cieszyła, że ją wreszcie odnaleziono, porzuconą. Kunicki ogląda puste półeczki w łazience. Zostały jego przybory do golenia, w samym kącie. I szczoteczka do zębów na baterie.

Potrzebuje wiele czasu, żeby zrozumieć ten widok. Cały wieczór, całą noc i jeszcze rano.

Około dziewiątej parzy sobie potężną kawę, a potem do torby zgarnia trochę przyborów z łazienki,

kilka koszulek z szafy, spodni. Przed wyjściem, właściwie stojąc już pod drzwiami, sprawdza portfel: dokumenty i karty. Potem zbiega na dół do samochodu. W nocy padał śnieg, więc musi odśnieżyć szyby. Robi to byle jak, ręką. Liczy na to, że wieczorem mógłby się już znaleźć w Zagrzebiu, a w Splicie — następnego dnia. Czyli jutro zobaczy morze.

Rusza prostą jak igła drogą na południe, w kierunku czeskiej granicy.

Symetria wysp

W psychologii podróży mówi się, iż wrażenie podobieństwa dwóch miejsc jest wprost proporcjonalne do odległości między nimi. To, co blisko, nie wydaje się do siebie podobne, wydaje się obce. Często największe podobieństwa odnajdujemy — mówi psychologia podróży — na odległych krańcach świata.

Fascynujące jest na przykład zjawisko symetrii wysp. Nieodgadnione, nie wyjaśnione; fenomen wart osobnej monografii. Gotlandia i Rodos. Islandia i Nowa Zelandia. Każda z tych wysp obejrzana bez swojej pary wydaje się niekompletna, niedoskonała. Nagie, wapienne skały na Rodos mają swoje dopełnienie w tych porośniętych mchem na Gotlandii; oślepiający blask słońca staje się bardziej rzeczywisty tylko wtedy, gdy zderzy się go z miękkim, złotym popołudniem północy. Średniowieczne mury miasta występują w dwóch wersjach: dramatycznej i me-

lancholijnej. Wiedzą o tym szwedzcy turyści, którzy założyli na Rodos swoją nieformalną, nie zgłoszoną ONZ kolonię.

Torebka do wymiotowania

W samolocie Warszawa-Amsterdam bezwiednie bawiłam się papierową torebką, na której dopiero *pf* chwili znalazłam napis długopisem:

„12.10.2006 Lot w ciemno do Irlandii. Miejsce do celowe Belfast. Studenci Politechniki Rzeszowskiej”.

Napis był widoczny na spodzie torebki, tam gdzie zostawiono puste miejsce między dwiema zadrukowanymi stronami. Na torebce druk powtarzał w kilku językach to samo: do you want air sickness bag... sac pour mal de l'air... Spuckbeutel... boisa de mareo. Między te słowa jakaś ludzka ręka wpisała tych kilka słów z pogrubioną jedyką na początku, jakby autor zastanawiał się chwilę, czy zostawić po sobie ten anonimowy wyraz niepokoju. Czy przypuszczał, że napis na torebce znajdzie swojego czytelnika? Ze stanę się w ten sposób świadkiem cudzej podróży?

Wzruszyłam się tym jednostronnym aktem komunikacji, ciekawa byłam, jaka ręka to pisała, jak wyglądały oczy, które prowadziły ją wzdłuż linii drukowanego napisu. Ciekawa byłam, czy im się tam powiedzie, w Belfaście, tym studentom z Rzeszowa. Właściwie to oczekiwałam w jakimś innym

samolocie w przyszłości odpowiedzi na moje pytanie. Chciałabym, żeby napisali: „Wszystko się udało. Wracamy do kraju”. Ale wiem, że do pisania na torebkach skłaniają tylko niepokój i niepewność. Ani klęska, ani największy sukces nie sprzyjają pisaniu.

Sutki ziemi

Ci młodzi ludzie — dziewczyna, najwyżej dziewiętnastoletnia, studentka skandynawistyki, i jej chłopak, drobny blondyn z dreadami, uparli się, że przejadą z Reykjavíku do Isafjordhur autostopem. Absolutnie im to odradzono z dwóch powodów: po pierwsze — zwłaszcza na północy — ruch nie jest imponujący, mogą utknąć gdzieś po drodze; po drugie — temperatura potrafi teraz spaść ni stąd, ni zowąd dość gwałtownie. Lecz ci młodzi ludzie nie usłuchali. Obydwa ostrzeżenia, jak się okazało, sprawdziły się co do joty: utknęli na pustkowiu, gdzie przed zjazdem do jakiejś odległej wioski wysadził ich poprzedni samochód, a żaden następny już się nie pojawił, i w ciągu godziny pogoda się zmieniła radykalnie, zaczął padać śnieg. Coraz bardziej przerażeni stali przy drodze, która przemierzała równinę pełną ławowych kamieni z jednego krańca na drugi, i rozgrzewali się paleniem papierosów, mając nadzieję, że jakiś samochód wreszcie przyjedzie. Ale nie przyjechał. Widocznie ludzie zrezygnowali tego wieczoru z podróży do Isafjordhur.

Nie było z czego zrobić ogniska — tylko wilgotny zimny mech i rzadkie krzaczki, których ogień nie chciał wziąć nawet do ust, a co dopiero strawa! Rozłożyli się w śpiworach między kamieniami i mchu, a kiedy śniegowe chmury zniknęły i odsłonił się gwiazdziste mroźne niebo, zobaczyli, że lawowy kamień dostały twarzy i wszystko zaczęło szeptać, mamrotać i szeleścić. Okazało się też, że wystarczy wsunąć dłoń pod mech, pod kamień, tak żeby dotknąć ziemi — jest ciepła. Dłoń wyczuwa daleki, delikatny wibrowanie, jakiś odległy ruch, oddech — nie ma wątpliwości: ziemia jest żywa.

Potem dowiedzieli się od Islandczyków, że nie by się im nie stało: dla takich zagubionych jak o ziemia potrafi odsłonić swoje ciepłe sutki. Trzeba się do nich przyssać z wdzięcznością i pić jej mleko. Podobno smakuje jak mleczko magnezowe — to, które sprzedaje się w aptekach na nadkwaśność i zgagę.

Pogo

Jutro szabat. Młodzi nieopierzeni chasydzy tańczą pogo na deptaku w rytm skocznej, południowoamerykańskiej modnej muzyki. „Tańczą” to niedobre słowo. To dzikie ekstatyczne podskoki, kręcenie się w miejscu, ciała odbijają się od siebie i odskakują — to tańiec wytupywany przez wszystkie nastolatki świata na koncertach, przed sceną. Tutaj muzyka dobywa się z głośników ustawionych na samochodzie, w którym siedzi baczący na wszystko rabin.

Jakieś rozbawione skandynawskie turystki dołączają do chłopców i niezdarnie, trzymając się za ramię, próbują kankana. Wtedy jednak zostają przywołane do porządku przez jednego z nastolatków:

• — Bardzo prosimy, jeżeli kobiety chcą tańczyć, to tylko na boku.

Ściana

Oto niektórzy sądzą, że dotarliśmy już do kresu podróży.

Miasto jest całkiem białe, jak kości pozostawione na pustyni, wylizane przez języki upału, wypolerowane piaskiem. Wygląda niczym zwapniała kolonia koralu, która obrosła wzgórze za czasów istnienia zamierzonego morza.

Mówi się też, że to miasto jest nierównym, trudnym dla każdego pilota pasem startowym, z którego odrywali się kiedyś od ziemi bogowie. Ci, którzy mają 0 tamtych czasach jakiegokolwiek pojęcie, powtarzają, niestety, sprzeczne rzeczy. I dziś nie da się ustalić jednej wersji.

Uważajcie wszyscy pielgrzymi, turyści i włóczędzy, którzy dotarliście aż tutaj — dopłynęliście statkami, samolotami, przeszliście piechotą przez cieśniny i mosty; kordony wojsk i zasieków. Wiele razy zatrzymywano wasze samochody i karawany, dokładnie sprawdzano wasze paszporty, zaglądano wam w oczy. Uważajcie, idźcie tym labiryntem uliczek po znakach,

stacjach, niech was prowadzi wskazujący palec wyciągniętej ręki, numeracja wersów w księdze, rzymskie cyfry wymalowane na ścianach domów. Niech was nie zwiodą stragany pełne koralików, kilimów, wodnych fajek, monet odkopanych (podobno) z piasków pustyni, ostrych przypraw usypanych w barwne piramidy; niech nie odciągnie waszej uwagi kolorowy tłum takich jak wy, wszystkich możliwych rodzajów, odcieni skóry, twarzy, włosów, ubrań, czapek i plecaków.

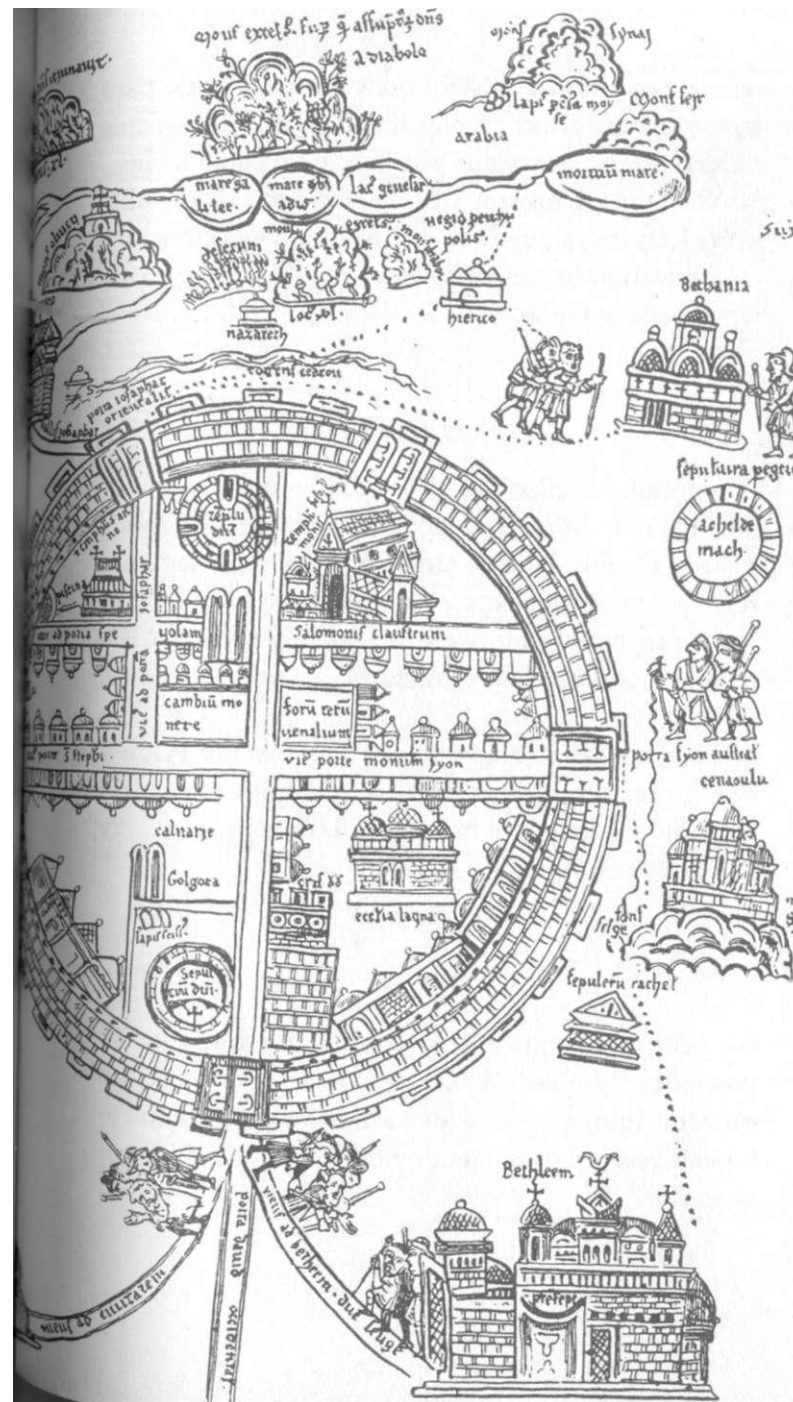
W środku labiryntu nie ma ani skarbu, ani minotaura, z którym trzeba stoczyć walkę; droga kończy się nagle ścianą — białą jak całe miasto, wysoką, mur nie do pokonania. Podobno jest to ściana jakiejś niewidzialnej świątyni, ale fakt pozostaje faktem — doszliśmy do kresu, dalej nic nie ma.

Dlatego niech was nie zdziwi widok tych, którzy stoją przed ścianą zaskoczeni, albo tych, którzy chłodzą czoła, dotykając zimnego kamienia, albo jeszcze innych, którzy ze zmęczenia i zawodu usiedli i teraz tulą się do ściany jak dzieci.

Pora wracać.

Amfiteatr we śnie

Pierwszej nocy w Nowym Jorku śniłam, że nocą błędzę po ulicach miasta. Mam wprawdzie plan i spoglądam na niego od czasu do czasu, poszukując wyjścia z tego kratkowanego labiryntu. Nagle wychodzę na wielki plac i widzę ogromny starożytny amfiteatr. Staję zu-



pełnie zaskoczona. Wtedy podchodzi do mnie para japońskich turystów i wskazują mi go na moim planie miasta. Tak, rzeczywiście jest tam, oddycham z ulgą.

W gąszczu prostopadłych i równoległych ulic, które krzyżują się ze sobą jak osnowa z wątkiem, pośród tej monotonnej sieci widzę wielkie okrągłe oko wpatrzone w niebo.

Mapa Grecji

Przypomina wielkie tao — jeżeli przyjrzeć się uważnie, można dostrzec wielkie tao, które składa się z wody i ziemi. Lecz w żadnym miejscu nie jest tak, żeby jeden żywioł zdobywał przewagę nad drugim — one się wzajemnie obejmują: ziemia z wodą. Cieśnina Peloponeska jest tym, co ziemia oddaje wodzie, a Kreta tym, co woda — ziemi.

Lecz, uważam, najpiękniejszy kształt ma Peloponez. To kształt wielkiej matczynej dłoni, z pewnością nie ludzkiej; która zanurza się w wodzie, badając, czy jej temperatura nadaje się do kąpieli.

Kairos

— Jesteśmy tymi, którzy wychodzą naprzeciw — powiedział profesor, kiedy wydobyli się z wielkiego gmachu lotniska i czekali na taksówkę. Z zadowoleniem zaciągnął się łagodnym ciepłym greckim powietrzem.

Miał osiemdziesiąt jeden lat i o dwadzieścia lat młodszą od siebie żonę, którą rozważnie poślubił, gdy z pierwszego małżeństwa uszło już powietrze, a dorosłe dzieci opuściły dom. I dobrze zrobił, bo tamta żona sama teraz potrzebuje opieki, dochodząc swoich dni w porządnym domu tak zwanej pogodnej jesieni.

Lot zniósł dobrze, kilka godzin różnicy nie miało specjalnego znaczenia; rytm snu profesora już od dawna przypominał kakofoniczną symfonię, losowe rozkłady godzin niespodziewanie sennych i oszałamiająco trzeźwych. Różnica czasu przesunęła tylko te chaotyczne akordy czuwania i snu o siedem godzin.

Klimatyzowana taksówka zawiozła ich do hotelu; tam Karen, owa młodszą żonę profesora, sprawnie zarządziła wyładowywanie bagaży, odebrała w recepcji informacje od organizatorów rejsu, pobrała klucze i z niemałym trudem, korzystając z pomocy uprzejmego portiera, wwiozła męża na drugie piętro, do ich pokoju. Tam starannie ułożyła go na łóżku, poluźniła fular i zdjęła mu buty. Natychmiast zapadł w sen.

No i są w Atenach! Ucieszyła się, podchodząc do okna i przez chwilę szarpiąc się z przemyślnym zamkiem. Ateny w kwietniu. Wiosna pracuje pełną parą, liście gorączkowo pchają się w przestrzeń. Na ulicach już wprawdzie pojawił się kurz, ale nie jest jeszcze dotkliwy; a hałas owszem, od zawsze. Zamknęła okno.

W łazience Karen zmierzwiła swoje krótkie siwe włosy i weszła pod prysznic. Tam od razu poczuła, jak jej napięcie spływa z pianą do stóp i na wieczność znika w odpływowym otworze.

Nie ma się czym denerwować — powtarzała sobie w duchu — każde ciało musi dostosować się do świata, nie ma innego wyjścia.

— Dobiegamy już do mety — powiedziała głośno, stojąc bez ruchu pod strumieniem ciepłej wody. A ponieważ w jakiś uporczywy sposób myślała obrazami, co, jak uważała, z pewnością przeszkodziło jej naukowej karierze — zobaczyła coś w rodzaju greckiego gimnazjonu z charakterystycznym blokiem startowym, uniesionym na linkach, i biegaczami — jej mężem i nią samą, jak niezdarnie biegną do mety, choć dopiero co wystartowali. Potem owinęła się w puszysty ręcznik i dokładnie posmarowała twarz, szyję i dekolt nawilżającym kremem. Znajomy zapach kosmetyku uspokoił ją na dobre, tak że położyła się na chwilę na zaścielonym łóżku obok męża i usnęła, nawet nie wiedząc kiedy.

Przy kolacji, którą jedli na dole w restauracji (gotowana sola i brokuły z wody dla niego oraz talerz sałaty z fetą dla niej), profesor dopytywał się, czy wzięli jego notatki, książki, notes, aż w końcu między tymi zwyczajnymi pytaniami padło jedno, które prędzej czy później musiało się pojawić, ujawniając najnowszą sytuację na froncie walk:

— Kochanie, gdzie my właściwie jesteśmy?

Zareagowała spokojnie. Wytłumaczyła w kilku prostych zdaniach.

— Ach, oczywiście — powiedział radośnie. — Jestem jednak trochę roztargniony.

Zamówiła dla siebie butelkę retsiny i rozglądała się po restauracji. Jedli tu na ogół bogaci turyści — Amerykanie, Niemcy, Anglicy, ale i tacy, którzy dzięki wolnemu przepływowi pieniądza, podążając za nim, stracili już jakiegokolwiek cechy szczególne. Byli po prostu ładni, zdrowi i z niewymuszoną łatwością przechodzili z języka na język.

Przy sąsiednim stoliku zasiadło na przykład miłe towarzystwo, ludzie trochę może od niej młodszy, radośni pięćdziesięciolatekowie, czerstwi i rumiani. Trzech mężczyzn i dwie kobiety. Karen wśród wybuchów ich śmiechu (kelner przynosi im kolejną butelkę greckiego wina) znalazłaby zapewne miejsce dla siebie. Pomyślała, że mogłaby zostawić męża, który właśnie drżącym widelcem rozdrapywał blade ciało ryby, zabrać swoją retsinę i naturalnie jak nasiono dmuchawca opaść na krzesło przy ich stoliku, żeby załapać się na ostatnie akordy śmiechu i dołożyć doń swój matowy alt.

Ale oczywiście nie zrobiła tego. Zebrała natomiast z obrusu brokuły, które oburzone nieudolnością profesora opuściły w proteście jego talerz.

— O, bogowie — powiedziała zniecierpliwiona i zawołała kelnera, żeby podał już herbatę ziołową. — Pomóc ci?

— Karmić się nie pozwolę — odpowiedział i ze zdwojoną siłą jego widelec zaatakował rybę.

Często była na niego zła. Ten człowiek był absolutnie od niej zależny, a jednak zachowywał się tak,

jakby było odwrotnie. Myślała sobie, że mężczyźni, ci najbardziej bystrzy, powodowani być może jakimś instynktem samozachowawczym, lgną do znacznie młodszych kobiet, nieprzytomnie, bliscy desperacji. — ale wcale nie z tych powodów, o jakie posadzają ich socjobiolodzy. Nie, nie chodzi tu wcale o reprodukcję, o geny, o wpychanie swojego DNA w drobne kanaliki materii, którymi płynie czas. Chodzi raczej o przecucie, które mają w każdej chwili swojego życia, przecucie starannie przemilczane i ukrywane — że pozostawieni sami sobie w cichym i nieciekawym towarzystwie upływającego czasu ulegną pospiesznej atrofii. Jakby zostali zaprojektowani na krótki intensywny czas, na uwerturę, pełen emocji wyścig, zwycięstwo i zaraz potem — wyczerpanie. Ze trzyma ich przy życiu ekscytacja, a to bardzo kosztowna życiowa strategia; zapasy energii wreszcie się kończą, wtedy żyje się z debetu.

Poznali się na przyjęciu u wspólnego znajomego, który właśnie kończył swoje dwa lata wykładow na ich uniwersytecie. Piętnaście lat temu. Profesor przyniósł jej wino, a gdy podawał jej kieliszek, zauważyła, że jego zupełnie niemodna wełniana kamizelka pruje się na szwie i na biodrze profesora powiewa łagodnie długa, ciemna nić. Właśnie przyjechała, żeby zająć miejsce profesora, który odchodzi na emeryturę, i przejąć jego studentów; właśnie mebluje swój wynajęty dom i zbiera się do kupy po rozwodzie, który mógłby być bardziej bolesny, gdyby mieli dzieci. Jej mąż po piętnastu

latach małżeństwa odszedł do innej. Karen ma pon czterdzieści lat, jest już profesorem, napisała kil książek. Specjalizuje się w mało znanych starożytny kultach wysp greckich. Jest religioznawczynią.

Ślub wzięli dopiero kilka lat po tym spotkaniu. Pierwsza żona profesora była poważnie chora, dlatego niełatwo było dostać rozwód. Ale nawet jego dzie były po ich stronie.

Często się zastanawiała nad tym, jak ułożyło się j życie, i dochodziła do wniosku, że prawda jest pr~ sta: mężczyźni potrzebują kobiet bardziej niż kobiet mężczyzn. Właściwie, myślała Karen, kobiety mogły~ by się spokojnie obejść bez mężczyzn. Dobrze znoszą samotność, dbają o zdrowie, są bardziej wytrzymałe, pielęgnują przyjaźnie — szukała w głowie jeszcze in~ nych cech i zdała sobie sprawę, że opisuje kobiety jak wielce użyteczną rasę psów. Z pewną satysfakcją zaczęła mnożyć te psie cechy: szybko się ucza, nie są agresywne, lubią dzieci, są przyjacielskie, trzymają się domu. Łatwo w nich, zwłaszcza gdy są młode, obudzić tajemniczy, obezwładniający instynkt, który tylko od czasu do czasu wiąże się z posiadaniem dzie~ ci. To zdecydowanie coś więcej, to ogarnianie świata, to udeptywanie ścieżek, ścielenie dni i nocy, ustalanie kojących rytuałów. Rozbudzić ten instynkt drobnymi wprawkami bezradności nie jest trudno. Potem ślepną, algorytm zaskakuje, a wtedy można rozbić namioty, rozgościć się w ich gniazdach, wyrzucając z nich wszystko, a one nawet nie zauważą, że pisklę jest monstrialne i że to podrzutek.

Profesor przeszedł na emeryturę pięć lat temu, otrzymał na pożegnanie nagrody i odznaczenia, wpis do księgi najbardziej zasłużonych dla nauki, okolicz~ nościowe wydawnictwo z artykułami jego uczniów; wydano też kilka przyjęć na jego cześć. Na jednym z nich pojawił się znany z telewizji komik i to, prawdę mówiąc, najbardziej ożywiło i ucieszyło profesora.

Potem usadowili się na dobre w niedużym kom~ fortowym domu w uniwersyteckim mieście i tam za~ jął się „porządkowaniem papierów”. Rano Karen pa~ rzyła mu herbatę i przygotowywała lekkie śniadanie. Odbierała jego korespondencję i odpisywała na listy i zaproszenia, co polegało głównie na grzecznych od~ mowach. Rano próbowała dorównać jego wczesnemu wstawaniu i zasnęła parzyła sobie kawę, a jemu goto~ wała owsiankę. Przygotowywała mu czyste ubranie. Około południa przychodziła pomoc domowa, więc Karen miała kilka godzin dla siebie, gdy on oddawał się drzemce. Po południu znowu herbata, tym razem ziołowa, wyprawienie go na jego codzienny samotny spacer. Głośne czytanie Owidiusza, kolacja i wieczor~ ne przygotowania do snu. A to wszystko urozmaica~ ne odmierzaniem tabletek i kropli. Co roku, od tych pięciu spokojnych lat, było tylko jedno zaproszenie, na które odpowiadała „tak” — letnie rejsy luksusow~ ym statkiem po wyspach greckich, gdzie profesor udzielał codziennie wykładu pasażerom. Nie licząc sobót i niedziel — było to dziesięć wykładów, na któ~ re składały się prywatne fascynacje profesora, co roku inne; żaden stały wykaz tematów nie istniał.

Statek nazywał się „Posejdon” (jego greckie czarne litery ostro odbijały się od bieli kadłuba: Π0£EIAQN), składał się z dwóch pokładów, restauracji, sali bilar-dowej, kafejki, salonu masażu, solarium i wygodnych kajut. Od kilku lat zajmowali zawsze tę samą, z du-żym podwójnym łóżkiem, łazienką, stolikiem z dwoma fotelami i mikroskopijnym biureczkiem. Podłogę wyłożono miękkim kawowym dywanem i Karen, pa-trząc na niego, wciąż miała nadzieję, że w jego dłu-gim włosiu znajdzie kolczyk, który zgubiła tu cztery lata temu. Z kajuty wychodziło się wprost na pokład pierwszej klasy i wieczorami, gdy profesor już spał, Karen lubiła korzystać z tego udogodnienia — sta-wała przy barierkach i wypalała swojego jednego pa-pierosa, patrząc na mijane w oddali światła. Pokład rozgrzany za dnia słońcem, oddawał teraz ciepło, a znad wody płynęło już chłodne, ciemne powietrze i Karen wydawało się, że to jej ciało stanowi granic dnia i nocy.

— Jakożeś statków wybawcą, a również pogrom-cą rumaków, bądź pozdrowiony, o Posejdonie, ziemię dzierżący, ciemnowłosa i szczęsny, żeglarzom sprzyjaj łaskawie — mówiła półgłosem, a potem rzucała bo-gu ledwie napoczętego papierosa, swój dzienny przy-dział; czysta ekstrawagancja.

Trasa rejsu nie zmieniła się od pięciu lat.

Statek z Pireusu kieruje się do Elefsis, potem do Koryntu, a stamtąd z powrotem na południe na wy-spę Poroś, żeby turyści mogli obejrzeć ruiny świątyni Posejdona i powąłęsać się po miasteczku. Potem dro-

ga prowadzi ich na wyspy Cyklady — wszystko to ma być niespiesznie, a nawet leniwie, tak żeby napawać się słońcem i morzem, widokami miast położonych na wyspach, miast o białych ścianach i pomarańczowych dachach, pachnących gajami cytrynowymi. Sezon się jeszcze nie zaczął, więc nie będzie chmary turystów .— profesor wyraża się o nich zawsze z niechęcią, nie potrafi ukryć zniecierpliwienia. Uważa bowiem, że oni patrzą, ale nic nie widzą, tylko ślizgają się wzro-kiem, dostrzegając to, co wskaże im przewodnik wydrukowany w milionach egzemplarzy, książkowy odpowiednik McDonalda. Zatrzymają się następnie na Delos, gdzie zainteresują się świątynią Apołlina, a w końcu ruszą poprzez wyspy Dodekanezu na Ro-dos, aby tam zakończyć wyprawę i z miejscowego lotniska samolotami wrócić do domu.

Karen bardzo lubiła te popołudnia, kiedy przybi-jali do małych portów i ubrani stosownie do spaceru — obowiązkowy fular profesora — szli do miasta. W porcie cumowały też często większe promy i wtedy miejscowi kupcy natychmiast otwierali swoje sklepiki, żeby oferować przyjezdnym ręczniki z nazwą wyspy, komplety muszli, gąbki, suszone mieszanki ziół w gu-stownych koszyczkach, ouzo czy po prostu lody.

Profesor szedł dziarsko i laską wskazywał zabytki — bramy, fontanny, ruiny ogrodzone wątlą barierką, opowiadając takie rzeczy, których nigdy jego słucha-cze nie znaleźliby w najlepszych przewodnikach. Tych spacerów nie miał jednak w umowie. Tylko jeden wy-kład dziennie.

Zaczynał: — Myślę, że człowiek potrzebuje do życia takiego mniej więcej środowiska klimatycznego jak cytrusy.

Unosił wzrok w górę, na sufit pełen małych okrągłych lampek i tak pozostawał na chwilę dłuższą, niż to było do przyjęcia.

Karen zaciskała ręce, aż białały jej kostki, ale udawało jej się chyba utrzymać zaciekawiony, lekko prowokacyjny uśmiech — uniesione brwi, ironia na twarzy.

— To jest nasz punkt odniesienia — ciągnął jej mąż. — Nieprzypadkowo obszar cywilizacji greckiej pokrywa się, mówiąc z grubsza, z występowaniem cytrusów. Poza tą słoneczną, życiodajną przestrzenią wszystko ulega powolnej, acz nieuniknionej degeneracji.

Wyglądało to jak długi niespieszny start. Karen zawsze widziała to obrazowo: samolot profesora zatacza się, koła wpadają w koleiny, może nawet zjeżdżają z pasa — będzie startował z trawnika. W końcu jednak maszyna podrywa się, chwiejąc się i rzucając na boki, ale już wiadomo, że poleci. Karen ukradkiem oddycha z ulgą.

Znała tematy wykładów, znała ich plan rozpisany na fiszkach drobnym pismem profesora i swoje notatki, którymi mu pomagała, właściwie gdyby się coś stało, mogłaby wstać ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie i podchwycić każde jego zdanie w połowie, i ruszyć utartym traktem. Ale to pewne — nie umiałaby mówić z taką swadą ani nie pozwoliłaby

sobie na drobne dziwactwa, którymi nieświadomie przyszpilał uwagę słuchaczy. Czekwała zawsze na pewien moment, kiedy profesor wstawał i zaczynał chodzić — dla Karen znaczyło to, że — używając znowu obrazu — jego samolot osiągał wysokość przelotową, że wszystko jest w porządku, że mogłaby teraz wyjść spokojnie na górny pokład i z radością rozciągnąć swój wzrok na powierzchni wody, zawiesić go na masztach mijanych jachtów, na widniejących w lekkiej białej mgiełce szczytach gór.

Patrzyła na słuchaczy — siedzieli w półokręgu; ci w pierwszym rzędzie mieli przed sobą na rozkładanych stolikach notatki, zapisywali skwapliwie słowa profesora. Ci w ostatnich, gdzieś pod oknami, rozparci i ostentacyjnie obojętni — też słuchali. Karen wiedziała, że to z nich rekrutowali się ci najdociekliwsi, którzy męczyli go potem pytaniami, a ona musiała z nimi staczać drobne walki, chroniąc męża przed dodatkowymi, już bezpłatnymi, konsultacjami.

Zdumiewał ją ten człowiek, jej własny mąż. Wydawało jej się, że na temat Grecji wie wszystko, co zapisano, odkopano, powiedziano. Jego wiedza była już nie tyle ogromna, ile monstrualna; składała się z tekstów, z cytatów, odniesień, przypisów, odcyfrowanych z mozołem słów na wyszczerbionych wazach, nie do końca zrozumiałych rysunków, z wykopalisk, z parafraz w późniejszych pismach, z popiołów, korespondencji i konkordancji. Było w tym coś nieludzkiego — żeby całą tę wiedzę w sobie umieścić, profesor mu-

siał dokonać jakiegoś biologicznego zabiegu, pozwolił jej wrosnąć w swoje tkanki, otworzył przed nią swoje ciało, stał się hybrydą. Inaczej to niemożliwe.

To jasne, że tak ogromny zasób wiedzy nie może być uporządkowany; ma raczej formę gąbki, morskiego koralu, który przyrasta latami, aż zaczyna tworzyć najbardziej fantastyczne formy. To wiedza, która osiągnęła już masę krytyczną i teraz przechodzi w inny stan — zdaje się rozmnażać, powielać, organizować w formy skomplikowane i bizarne. Skojarzenia podróżują nietypowymi trasami, podobieństwa odnajdują się w najmniej oczekiwanych wersjach — jak pokrewieństwo w brazylijskich operach mydlanych, gdzie każdy może okazać się dzieckiem, mężem, siostrą każdego. Wydeptane ścieżki okazują się nic niewarte, za to te, które uważane były za nie do przebycia, zmieniają się w wygodne trakty. Coś, co nie miało przez lata znaczenia, nagle — w głowie profesora — staje się punktem wyjścia do wielkiego odkrycia, do prawdziwej zmiany paradygmatu. Miała nie ulegającą wątpliwości świadomość, że jest żoną wielkiego człowieka.

Gdy mówił, jego twarz zmieniała się, jakby słowa przemywały ją ze starości i zmęczenia. Wyłaniała się inna: teraz oczy błyszcząły, policzki uniosły się i naprężyły. Przykre wrażenie maski, jakie robiła ta twarz jeszcze przed chwilą, pierchło. Taka zmiana — jakby dostał narkotyk, odrobinę amfetaminy. Wiedziała, że kiedy skończy działać ów narkotyk — czymkolwiek był — twarz na powrót znieruchomieje, oczy zma-

towieją, ciało ciężko spocznie na najbliższym krześle i przyjmie dobrze jej znany bezradny wygląd. I będzie musiała je ostrożnie unieść pod ramię, popchnąć leciutko i zaprowadzić drepczące, chwiejne na drzemkę do kajuty — wydatkowało za dużo energii.

Dobrze znała tok wykładów. Ale za każdym razem sprawiało jej przyjemność obserwowanie go, bo było to jak włożenie do wody pustynnej róży, jakby opowiadał o sobie, a nie o Grecji. Wszystkie postacie, które wymieniał, były nim, to oczywiste. Wszystkie problemy polityczne były jego problemami, jak najbardziej prywatnymi. Idee filozoficzne — wszak one spędzały mu sen z powiek, należały do niego. Bogowie — tych znał przecież osobiście, jadał z nimi obiady w restauracji niedaleko domu, przegadali niejedną noc, wypili morze egejskie wina. Znał ich adresy i numery telefonów, mógł się do nich dodzwonić o każdej porze. Ateny znał jak wnętrze swojej kieszeni, lecz oczywiście nie było to miasto, z którego właśnie wypłynęli — to, prawdę mówiąc, w ogóle go nie interesowało — ale Ateny dawne, z czasów, powiedzmy, Peryklesa, i ich plan nakładał się na dzisiejszy rozkład miasta i czynił to terazniejsze widmowym, nierealnym.

Karen zrobiła swój prywatny przegląd współpasażerów już rano, kiedy w Pireusie okrętowali się na statku. Wszyscy, nawet Francuzi, mówili po angielsku. Taksówki przywoziły ich prosto z lotniska w Atenach albo z hoteli. Byli grzeczni, ładni, inteligentni. Oto para, koło pięćdziesiątki, szczupli, na

pewno starsi, niż w istocie wyglądają, w jasnych naturalnych ubraniach, len i bawełna, on bawi się długopisem, ona siedzi wyprostowana i rozluźniona, jak ktoś, kto ma trening w technikach relaksacyjnych. Dalej — młoda kobieta z oczami szklistymi od szkielek kontaktowych, notuje, leworęczna, stawia duże okrągłe litery, na marginesach maluje ósemki. Za nią dwaj geje, porządni, zadbani, jeden z nich nosi zabawne okulary a la Elton John. Pod oknem — ojciec z córką, co podkreślają od razu przy powitaniu, mężczyzna boi się zapewne o posądzenie o romans z nieletnią; dziewczyna zawsze na czarno, ogolona prawie na łyso, ma piękne wydatne ciemne usta, na których widnieje trudny do ukrycia wyraz obrzmiałej niechęci. Kolejna para — zgodnie siwowłosa, to Szwedzi, podobno ichtiolodzy — to Karen zapamiętała ze spisu uczestników wykładów, jaki dostali wcześniej; ci są spokojni i bardzo do siebie podobni, choć nie tym rodzajem podobieństwa z urodzenia, lecz takim, nad którym trzeba się naprawdę napracować przez całe długie lata małżeństwa. Kilkoro młodych ludzi — ten rejs to ich pierwszy raz; nie są jeszcze pewni, czy dla nich jest ta starożytna Grecja, czy może woleliby zgłębiać tajemnice orchidei lub ornamenty bliskowschodnie z przełomu wieków. Czy to dla nich właściwe miejsce ten statek z owym starym człowiekiem, który zaczyna od cytrusów? Karen przyglądała się dłużej rudemu mężczyźnie o jasnej karnacji, w luźnych, opuszczonych na biodra dżinsach, który zamyślonym ruchem pociera kilkudniowy jasnożółty zarost. To chyba Niemiec.

Piękny Niemiec. I jeszcze kilkanaście innych osób, w skupionym milczeniu wpatrzonych w mówcę.

Oto nowy typ umysłu, myślała Karen, który nie ufa słowom z książek, z najlepszych podręczników, z opracowań, monografii i encyklopedii — sporniewierany w czasie studiów, a teraz ma czkawkę. Zdeprawował się łatwością rozkładania na czynniki pierwsze każdej, najbardziej nawet skomplikowanej konstrukcji. Sprowadzaniem do absurdu każdej nieprzemyślanej argumentacji, przyjmowaniem co kilka lat zupełnie nowego, modnego języka, który — podobny do najnowszej, reklamowanej wersji szczyryka — potrafi zrobić wszystko ze wszystkim: otworzy puszkę, oprawi rybę, zinterpretuje powieść i przewidzi rozwój sytuacji politycznej w centralnej Afryce. To umysł szaradzisty, umysł, który operuje odsyłaczami i przypisami jak nożem i widelcem. Umysł racjonalny i dyskursywny, samotny i sterylny. Umysł, który zdaje sobie ze wszystkiego sprawę, także i z tego, że niewiele rozumie; lecz porusza się szybko, bystry, inteligentny elektroniczny impuls, bez ograniczeń, łącząc wszystko ze wszystkim, przekonany, że wszystko to coś razem znaczy, ale nie wiemy — co.

Profesor zaczął teraz z werwą rozwodzić się nad etymologią imienia Posejdona i Karen obróciła twarz ku morzu.

Po każdym wykładzie potrzebował jej potwierdzenia, że poszło dobrze. W kajucie, gdy przebierali się do kolacji, przytuliła go do siebie, jego włosy pach-

niały delikatnym rumiankowym szamponem. Są gotowi do wyjścia — on w lekkiej ciemnej marynarce i z ulubionym staromodnym fularem pod szyją, ona w zielonej jedwabnej sukience — stanęli na środku ciasnej kajuty zwróceniami twarzami do okien. Podała mu jego czarkę z winem, upił łyk i wyszeptał kilka słów, a potem zanurzył w niej palce i rozpryskał wino po kajucie, ale ostrożnie, żeby nie pobrudzić kawowej puszystej wykładziny. Krople wsiąkły w ciemne obicie fotela, zniknęły między meblami; nie będzie po nich śladu. Zrobiła to samo.

Przy kolacji dosiadł się do ich stolika, który dzielili z kapitanem, ten złoty mężczyzna i widziała, że jej mąż wcale nie jest tym uszczęśliwiony. Tamten jednak okazał się taktowny i miły. Przedstawił się jako programista, powiedział, że pracuje z komputerami w Bergen, pod kołem podbiegunowym. Jest Norwegiem. W łagodnym świetle lamp jego skóra, oczy i cienkie drucziane oprawki okularów wydawały się zrobione ze złota. Biała lniana koszula niepotrzebnie przykrywała złoty tors.

Mężczyźni chodzili o jedno słowo profesora, które padło w czasie wykładu i które mówca zresztą rzeczowo wyjaśnił.

— Kontuicja — powiedział profesor ze starannie ukrywanym zniecierpliwieniem — to, jak mówiłem, rodzaj wglądu, który spontanicznie odsłania obecność jakiejś większej niż ludzka siły, jakiejś jedności ponad zróżnicowaniem. Jutro rozwinę ten temat — dodał z pełnymi ustami.

— Tak — odezwał się na to tamten bezradnie. — Ale co by to miało znaczyć?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo profesor zadumał się przez moment, widocznie przeszukując zbiorę swojej przepastnej pamięci, i w końcu pomagając sobie dłonią, którą zataczał małe kręgi w powietrzu, wyrecytował:

— Musisz to wszystko precz odrzucić i nie patrzeć, musisz jakby zmrużyć powieki i zmienić wzrok, zbudzić inny, który wprowadzie każdy posiada, ale którego mało kto używa.

Był z siebie tak dumny, aż poczerwieniał.

— To Plotyn.

Kapitan pokiwał ze znawstwem głową, a potem wznosił toast, był to bowiem ich wspólny piąty rejs:

— Za małą okrągłą rocznicę.

To dziwne, ale Karen pomyślała wtedy, że i ostatni.

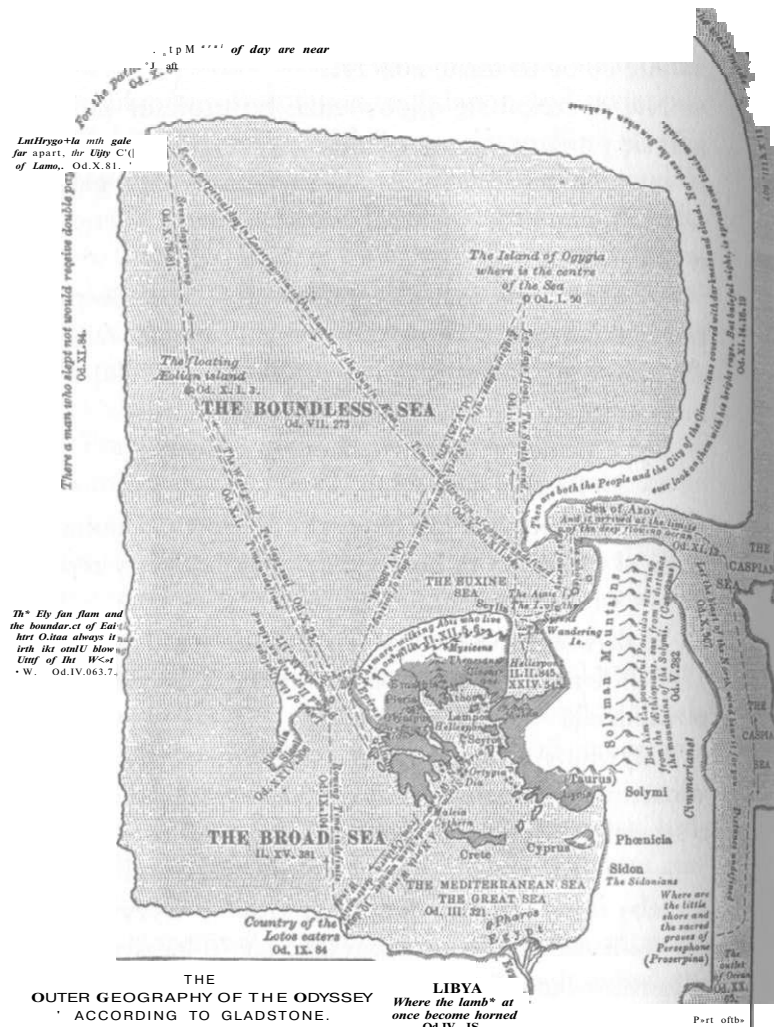
— Obyśmy się tu spotkali w przyszłym roku — powiedziała.

Ożywiony profesor opowiadał kapitanowi i rudowłosemu mężczyźnie, który przedstawił się jako Ole, o swoim następnym pomysle.

— Podróż tropami Odyseusza — odczekał chwilę, żeby mieli czas się zdumieć tą ideą. — Oczywiście przybliżona. Trzeba by pomyśleć, jak to logistycznie zorganizować — spojrzał na Karen, a ona rzuciła:

— Odyseuszowi zajęło to dwadzieścia lat.

— Nie szkodzi — odparł profesor wesoło. — W dzisiejszym świecie można to zrobić w dwa tygodnie.



/. The inner or real Geography is indicated by heavy shading.
 II. Voyage of Ulysses, by broken line.
 III. Identified places, by shaded boundary lines. They are often transposed.

THE ETHIOPIANS
 dwelling far away, who are divided into two parts, the most distant of men
*ai.ua**

N. B. Where the arrows are doubled on the same line of date, the meaning is, that the passage was made both ways.

[THK STREAMS OK OCEAN

Wtedy ona z tym Olem niechęcy wymienili się spojrzzeniami.

Tej albo następnej nocy miała orgazm, sama z siebie, we śnie. Był w jakiś sposób związany z rudowłosym Olem, ale nie było to jasne, bo niewiele pamiętała z tego, co się tam, we śnie, działo. Po prostu przeniknęła złotego mężczyznę. Obudziła się, czując wyraźne skurcze w dole brzucha, zaskoczona, zdumiona i w końcu zawstydzona. Nieświadomie zaczęła je liczyć i uchwyciła ostatnie cztery.

Następnego dnia, gdy płynęli wzdłuż wybrzeża, Karen przyznała przed sobą uczciwie, że w wielu miejscach nie ma już czego oglądać.

Droga do Elefisis — asfaltowa szosa, po której pędzą samochody; trzydzieści kilometrów brzydoty i banału, wyschnięte pobocze, betonowe domy, reklamy, parkingi i ziemia, której nie opłaca się w żaden sposób uprawiać. Magazyny, rampy przeładunkowe, ogromny brudny port, ciepłownia.

Gdy wyszli na brzeg, profesor prowadził za sobą całą grupę do ruin świątyni Demeter, które wyglądały teraz dość smutno. Pasażerowie nie ukrywali rozczarowania, więc kazał im sobie wyobrazić, że cofnięto czas.

— Ta szosa z Aten była wtedy ledwie utwardzona kamieniami i wąska, zobaczcie, ciągnie po niej w stronę Elefisis mrowie ludzi, idą, wzbijając kurz, którego się boją najwięksi władcy świata. Ten gęsty tłum woła setkami gardeł.

Profesor przystanął, zaparł się obcasami o ziemię, podparł laską i powiedział:

— Mogło to brzmieć mniej więcej tak — zawiesił na chwilę głos, żeby wziąć oddech, a potem zakrzyczał z całych sił swojego starego gardła. I jego głos okazał się nagle donośny i czysty. Jego zawodzenie poniosło się przez rozgrzane powietrze, aż podnieśli głowy zdziwieni pojedynczy turyści, którzy szwendali się między kamieniami, i sprzedawca lodów, i robotnicy, którzy ustawiali barierki, bo sezon już się zaczął, i małe dziecko, które patykami poszturchiwało przerażonego żuka, i dwa osły, które pasły się daleko, po drugiej stronie zbocza.

— Iakchos, Iakchos... — krzyczał profesor z zamkniętymi oczami.

Nawet gdy już umilkł, to jeszcze jego okrzyk wisiał w powietrzu, tak że wszystko wstrzymało oddech na pół minuty, na kilkadziesiąt dziwnych sekund. Wstrząśnięci tym ekscentrycznym zachowaniem, słuchacze nie śmieli nawet popatrzeć na siebie, a Karen zrobiła się zupełnie czerwona, jakby to ona krzyczała. Odeszła na bok, żeby ochłonać z zażenowania i gorąca.

Lecz staruszek wcale nie wyglądał na skonfundowanego.

— ...a może to jest możliwe — słyszała — zaglądnąć w przeszłość, rzucić tam okiem, jak do jakiegoś panoptikum, albo, drodzy przyjaciele, traktować przeszłość tak, jakby ona nadal istniała, a została jedynie przesunięta w inny wymiar. Może trzeba tyl-

ko zmienić swoje patrzenie, spojrzeć na to wszystko jakoś z ukosa. Bo jeśli przyszłość i przeszłość są nieskończone, to nie istnieje w rzeczywistości żadne „kiedyś”. Różne momenty czasu wiszą w przestrzeni jak prześcieradła, jak ekrany, na których wyświetla się jakiś moment; świat składa się z takich nieruchomych momentów, wielkich metazdjęć, a my przeskakujemy z jednego w drugi.

Przerwał na chwilę, żeby odpocząć, bo szli lekko pod górę, i po chwili Karen usłyszała, jak wyciska słowa spomiędzy świszczących oddechów:

— W rzeczywistości żaden ruch nie istnieje. Jak ten żółw z paradoksu Zenona, donikąd się nie poruszamy, wędrujemy zaledwie do wnętrza momentu i nie ma żadnego kresu ani żadnego celu. I to samo mogłoby dotyczyć przestrzeni — skoro wszyscy jesteśmy jednakowo oddaleni od nieskończoności, to nie istnieje również żadne gdzieś — nikt nie tkwi w żadnym dniu ani w miejscu.

Karen wieczorem zrobiła w myślach zestawienie kosztów tej wyprawy: oparzone od słońca nos i czoło, otarta do krwi noga. Pod pasek sandała dostał mu się ostry kamyk, a on go nie wyczuł. To niewątpliwie poważny objaw postępującej arteriosklerozy, na którą profesor cierpi od wielu lat.

Znała dobrze to ciało, aż zanadto — zapadnięte i drobne, wysuszoną skórę pełną brązowych plam. Resztki siwych włosów na piersiach, wątłą szyję, która z trudem unosi drżącą głowę, cienkie kości pod

cienkim poszyciem skóry i szkielet, wydawałoby się, aluminiowy, bo tak lekki, ptasi.

Bywało, że zasypiał, zanim zdążyła go rozebrać i przygotować łóżko, wtedy delikatnie musiała zdjąć mu marynarkę i buty i skłonić, rozspanego, do przeniesienia się do łóżka.

Każdego ranka mieli ten sam problem — buty. Profesor cierpiał na dokuczliwą dolegliwość — wrażały mu paznokcie. Palce robiły się wtedy zaognione, spuchnięte, paznokcie podnosiły się, wydzierając dziury w skarpetkach, i ocierały się boleśnie o sklepienie butów. Umieszczenie takiej zbolałej stopy w czarnym skórzanym pantoflu byłoby niepotrzebnym okrucieństwem. Tak więc, na co dzień profesor nosił sandały, a kryte buty zamawiali u jedyne go szewca, jaki pozostał w ich okolicy, i za niebywałe pieniądze kroił profesorowi piękne miękkie buty, wysoko sklepione, luźne.

Pod wieczór, chyba od słońca, dostał gorączki, więc Karen zrezygnowała z kolacji przy stole i zamówiła jedzenie do kabiny.

Rano, gdy statek dopływał do Delos, zaraz po umyciu zębów i mozolnym ogoleniu się, wyszli razem na pokład z wczorajszymi ciastkami z podwieczorku. Kruszyli je i rzucali do morza. Było wcześniej, zapewne wszyscy jeszcze spali. Słońce już przestało być czerwone, jaśniało, z chwili na chwilę nabierało mocy. Woda zrobiła się złota jak miód, gęsta, fale umilkły i wielkie żelazko słoneczne prasowało je bez

najmniejszej fałdki. Profesor objął Karen ramieniem i właściwie był to jedyny gest, jaki można uczynić wobec tak ewidentnej epifanii.

Spojrzyć wokół siebie jeszcze raz jak na obrazek, w którym pod milionem szczegółów mieści się ukryty w chaosie kształt. Kiedy raz się go ujrzy, nie można już go potem zapomnieć.

Nie będę opowiadała o każdym dniu z tego rejsu, relacjonowała każdego wykładu — zresztą może Karen je kiedyś wyda. Statek płynie, co wieczór na pokładzie odbywają się tańce, pasażerowie z kieliszkami w ręku, oparci o barierki, toczą leniwe rozmowy. Inni przyglądają się nocnemu morzu, chłodnej, krystalicznej ciemności, którą rozświetlają od czasu do czasu światła wielkich statków, tych na tysiące pasażerów, co dzień zawijających do innego portu.

Wspomnę tylko o jednym wykładzie, zresztą moim ulubionym. Wymyśliła go Karen. Ona właśnie podrzuciła tę myśl — opowiedzieć o tych bogach, którzy nie weszli na kartki znanych i popularnych książek, tych, o których nie wspominał Homer i których potem zignorował Owidiusz; którzy nie dość zasłużyli się awanturami i romansami; nie dość strasznych, nie dość przebiegłych, ulotnych, znanych zaledwie ze skalnych okruchów, ze wzmianek, z ewidencji spalonych bibliotek. Ale dzięki temu zachowali coś, co tamci dobrze znani utracili na zawsze — boską zmienność i nieuchwytność, płynność kształtu, niepewność genealogii. Ci wyłaniali się z cienia, z bezkształtu i na

powrót ulegali zaciemnieniu. Jak choćby ów Kairos, który działa zawsze w punkcie przecięcia się ludzkiego czasu linearnego i boskiego — kolistego. A także w punkcie przecięcia się miejsca i czasu, w momencie, który otwiera się na krótko, żeby pomieścić tę jedną, właściwą, niepowtarzalną możliwość. To punkt, w którym prosta biegnąca znikąd donikąd styka się na jeden moment z okręgiem.

Wszedł dziarskim krokiem, drepcząc i sapiąc, stanął przy swojej katedrze — zwykłym restauracyjnym stoliku i wyciągnął spod pachy zawiniątko. Znała jego metody. Zawiniątko było ręcznikiem, prosto z łazienki w ich kajucie. Dobrze wiedział, że gdy tylko zacznie je odwijać, na sali zapadnie cisza, a głowy tych w ostatnim rzędzie wyciągną się do przodu. Ludzie to dzieci. Pod ręcznikiem był jeszcze jej czerwony szal i tam, w końcu, błyskało coś białego, kawałek marmuru, mogłoby się wydawać, jakiś odłamek skały. Napięcie na sali szczytowało, a on, świadomy, jaką wzbudził ciekawość, celebrował ją z krzywym uśmiechem pod nosem, rozciągając swoje gesty, jakby grał w filmie. Potem uniósł ten kawałek jasnej płyty prawie na wysokość oczu, na wyciągniętej dłoni, parodiując Hamleta, i zaczął:

— Kim i skąd rzeźbiarz?

Sykiończyk.

A jego imię?

Lysippos.

A ty kim jesteś?

Kairos wszechujarzmiciel.
Dlaczego stąpasz na czubkach palców?
Nieustannie obiegam świat.
Dlaczego masz skrzydełka przy każdej stopie?
Bo przemijam z wiatrem.
A w prawicy, czemu niesiesz brzytwę?
Dla ludzi to znak, że jestem ostrzejszy od wszelkiego ostrza.

A włosy, dlaczego spadają ci na oczy?
Aby mógł mnie pochwycić ten, kto wychodzi naprzeciw.

Lecz, na Zeusa, czemuś z tyłu łusy?!
Aby nikt, mimo kogo raz przebiegłem na mych skrzydlatych stopach,

Nie mógł mnie pochwycić z tyłu, choćby pragnął.
Dlaczego stworzył cię rzeźbiarz?

Ze względu na was, cudzoziemcze, i ustawił mnie w wejściu jako pouczenie.

Zaczynał tym pięknym epigramatem Posejdippos — z pewnością powinno się go umieszczać jako epitafium, Profesor podszedł do pierwszych krzesel i podawał dowód na istnienie boga do rąk publiczności. Dziewczyna, ta o obrzmiałych, pogardliwych ustach, sięgnęła po płaskorzeźbę przesadnie ostrożnie, z przejścia lekko wysuwając język. Podała go dalej, a profesor czekał w milczeniu, aż mały bóg osiągnie połowę drogi, a potem, z kamiennym wyrazem twarzy, powiedział:

— Proszę się nie przejmować, to gipsowy odlew z muzealnego sklepu. Piętnaście euro.

Karen usłyszała szmer śmiechu, poruszenie ciał słuchaczy, szurnięcie jakiegoś krzesła — widomy znak, że opadło napięcie. Dobrze zaczęła. Chyba miał dzisiaj dobry dzień.

Cicho wymknęła się na pokład i zapaliła papierosa, patrząc na zbliżającą się wyspę Rodos i wielkie promy, plaże jeszcze pustawe o tej porze roku i miasto, które niczym kolonia owadów wspięło się po stromym zboczu w stronę jaskrawego słońca. Stała tam, ogarnięta spokojem, który nagle spłynął na nią nie wiadomo skąd.

Widziała brzegi wyspy i jej grotę. Kruźganki i nawy wyrzeźbione w skale przez wodę przywodziły jej na myśl dziwne świątynie. Coś je sobie starannie budowało przez miliony lat, ta sama siła, która niosła teraz ich mały statek, kołysała nim. Gęsta przejrzysta moc, która także na lądzie miała swoje warsztaty.

Oto są pierwowzory katedr, smukłych wież i katakumb — myślała Karen. Te równo ułożone warstwy skał na brzegu, perfekcyjnie okrągłe kamienie, starannie obrabiane przez wieki, ziarnka piasku, owale jaskiń. Żyły granitu w piaskowcu, ich niesymetryczny, intrygujący wzór, regularna linia brzegu wyspy, odcienie piasku na plażach. Monumentalne budowle i drobna biżuteria. Czymże są wobec tego małe sznureczki domów nanizanych na linie wybrzeża, te małe porty, stateczki, te ludzkie sklepiki, gdzie w zadufaniu wyprzedaje się stare pomysły, uproszczone i zminiaturyzowane?

Przypomniała jej się teraz wodna grotą, którą widzieli kiedyś gdzieś na Adriatyku. Grotą Posejdoną, do której raz dziennie przez otwór w sklepieniu wpadało słońce. Pamiętała własne wzruszenie na widok słupa światła, gdy ostry jak igła przenikał zieloną wodę i na krótką chwilę odkrywał piaszczyste dno. Trwało to tylko moment, zanim słońce nie ruszyło dalej.

Papieros z sykiem zniknął w wielkich ustach morza.

Spał na boku, z dłonią podłożoną pod policzek, z rozchylonymi ustami. Nogawka spodni podwinęła się i odsłaniała teraz szarą bawełnianą skarpetkę. Delikatnie położyła się koło niego, objęła go w pasie i pocałowała plecy w wełnianej kamizelce. Przyszło jej do głowy, że kiedy on odejdzie, ona będzie musiała zostać jeszcze jakiś czas, choćby po to, żeby uporządkować po nich i zrobić miejsce dla innych. Zbierze jego notatki, opracuje i zapewne wyda. Załatwi sprawy z wydawnictwami; kilka jego książek stało się już podręcznikami. I właściwie nie ma żadnych przeszkód, żeby mogła kontynuować jego wykłady, choć nie jest pewna, że uniwersytet jej to zaproponuje. Ale na pewno zechce przejąć po nim to ruchome posejdonowe seminarium na spacerowym statku (jeśli ją zaproszą). Wtedy zapewne doda wiele od siebie. Myślała, że nikt nie nauczył nas się starzeć, nie wiemy, jak to jest. Gdy jesteśmy młodzi, wydaje nam się, że ta choroba dotyka zawsze tylko innych. My

zaś, z jakichś nie do końca jasnych względów, pozostaniemy młodzi. Starych traktujemy, jakby sami sobie byli winni, jakby się przysłużyli swojej dolegliwości, podobnie jak cukrzycy czy miażdżycy. A przecież na tę chorobę, na starzenie, zapadają najwięksi niewinni. I, gdy już się jej zamykały oczy, pomyślała jeszcze coś: że jej plecy pozostają nieosłonięte. Kto ją przytuli?

Rankiem morze było tak spokojne, a pogoda tak piękna, że wszyscy wyszli na pokład. Ktoś upierał się, że przy takiej pogodzie będzie widać w głębi tureckiego wybrzeża górę Ararat. Ale widzieli tylko wysoki skalisty brzeg. Z morza masyw wydawał się potężny, cętkowany jasnymi plamami nagich skał, które wyglądały jak kości. Profesor stał skulony, z szyją owiniętą jej czarnym szalem, mrużył oczy. Karen zobaczyła obraz: że płyną pod wodą, bo w istocie poziom wody jest wysoko, jak w czasach potopu, że poruszają się w rozświetlonej zielonkawej przestrzeni, która zwalnia ruchy i zagłusza słowa. Szal już nie trzepocze hałaśliwie, ale wije się bezgłośnie i ciemne oczy jej męża patrzą na nią miękko, łagodnie, rozmyte przez wszechobecne słone łzy. Jeszcze bardziej lśnią złotrudę włosy Olego i cała jego postać jest podobna do kropli żywicy, która wpadła do wody i zaraz stwardnieje na wieczność. A wysoko nad ich głowami czyjeś dłonie wypuszczają właśnie ptaka w poszukiwaniu stałego lądu i za chwilę okaże się, że rzeczywiście już wiadomo, dokąd płyniemy; i właśnie teraz ta sama

dłoń wskazuje czubek góry, bezpieczne miejsce nowego początku.

W tym samym momencie usłyszała z przodu krzyki i zaraz potem ostrzegawczy, histeryczny gwizd, a kapitan, który przedtem stał niedaleko, teraz biegnie w stronę mostku, co ze względu na prezentowane wciąż przez niego dystygowanie przeraziło Karen. Za chwilę pasażerowie zaczęli krzyczeć i machać rękami; ci, którzy wychylili się przez barierki, mieli teraz szeroko otwarte oczy i skierowane nie 'na mityczny Ararat, ale na coś w dole. Wtedy poczuła, jak wielki statek zahamował ostro, aż pokład nagle ruszył irrispod nóg, a ona w ostatniej chwili chwyciła się metalu barierki i natychmiast próbowała złapać za rękę męża, ale zobaczyła, że profesor drobnymi kroczkami truchta do tyłu, jakby widziała film puszczonej w odwrotnym kierunku. Na jego twarzy maluje się rozbawienie połączone ze zdziwieniem, żadnego lęku. Jego oczy mówią coś w rodzaju: Złap mnie. Potem widzi go, jak uderza plecami i głową o żelazne rusztowanie schodów, odbija się od nich i pada na kolana. W tej samej chwili z przodu słychać huk uderzenia; i krzyki ludzi, a potem plusk kół ratunkowych i potężne uderzenie o wodę łodzi ratunkowej, bo — jale Karen domyśla się z okrzyków — staranowali jacyś mały jacht.

Wokół niej ludzie podnoszą się z pokładu, nic nikomu nie stało, a ona klęczy przy mężu i próbuje go delikatnie ocucić. On mruga oczami, mruga zbyt długo, a potem mówi całkiem wyraźnie: „Podnie

mnie!". Ale tego nie da się już zrobić, jego ciało odmawia posłuszeństwa, więc Karen kładzie sobie jego głowę na kolanach i czeka na pomoc.

Odpowiednio dobrane ubezpieczenie zdrowotne profesora sprawiło, że jeszcze tego samego dnia został przewieziony helikopterem z Rodos do szpitala w Atenach i tam poddano go szczegółowym badaniom. Tomograf wykazał rozległe uszkodzenia lewej półkuli i że wylew jest ogromny. Nie da się tego zatrzymać. Karen siedziała przy nim do końca, głaszcząc jego bezwładną już dłoń. Prawa strona ciała zupełnie znieruchomiała, oko pozostawało przymknięte. Karen zadzwoniła do dzieci i zapewne już były w drodze. Siedziała przy nim całą noc, szeptała mu do ucha, wierząc, że słyszy i rozumie. Prowadziła go zakurzoną drogą wśród reklam, magazynów, ramp, brudnych garaży, poboczem autostrady całą noc.

Ale czerwony wewnętrzny ocean w głowie profesora wzbierał z dopływów krwionośnych rzek i powoli zalewał kolejne obszary — najpierw niziny Europy, gdzie się urodził i wychował. Zniknęły pod wodą miasta, mosty i tamy z takim trudem budowane przez pokolenia jego przodków. Ocean podchodził pod próg ich domu krytego trzcina i śmiało wkraczał do środka. Okrywał czerwonym dywanem kamienne podłogi, deski w kuchni szorowane co sobota, i w końcu zgasił ogień w kominku, sięgnął po kredensy i stoły. Potem rozlał się na dworce i lotniska, skąd profesor wyruszał w świat. Tonęły w nim

miasta, do których podróżował, a w nich ulice, gdzie przemieszkiwał w wynajętych pokojach; tanie hotele, gdzie mieszkał, restauracje, gdzie jadał. Czerwona połyskująca powierzchnia morza sięgnęła już pierwszych półek w jego ulubionych bibliotekach, pęczniały kartki w książkach, także w tych, w których jego nazwisko widniało na tytułowej stronie. Karminowy język lizał litery i rozplątywał się pod nim czarny druk. Czerwienią nasiąknęły podłogi i schody, gdzie chodził odbierać świadectwa szkolne swoich dzieci, i chodnik, po którym uroczyście szedł, żeby objąć swoją profesurę. Czerwone plamy wezbrały już na pościeli, w którą po raz pierwszy padli z Karen, żeby rozwiązać troczki swoich dojrzałych, niezdarnych ciał. Lepka ciecz zaklejała na zawsze przegródki portfela, w którym trzymał karty kredytowe, bilety lotnicze i zdjęcia wnuków. Nurt zalewał dworce, tory, lotniska i pasy startowe — nie wystartuje już z nich żaden samolot, nie wyjedzie donikąd żaden pociąg.

Poziom morza podnosił się nieubłaganie, zagarniał słowa, pojęcia, wspomnienia; gasły pod nim światła na ulicach, pękały żarówki lamp; w kablach powstawało zwarcie, cała sieć połączeń zamieniła się w martwą pajęczynę, nieprzydatną, kaleką, głuchy telefon. Gasły ekrany. I w końcu ten powolny, nieskończony ocean zaczął podchodzić pod szpital, i same Ateny stanęły we krwi, świątynie, święte drogi i gaje, pusta o tej porze agora, jasny posąg bogini i jej oliwkowe drzewko.

Była przy nim, gdy definitywnie odłączono niepotrzebną już aparaturę i gdy łagodne dłonie greckiej pielęgniarki jednym ruchem przykryły jego twarz prześcieradłem.

Ciało zostało skremowane, a prochy wspólnie z dziećmi rozsypali do Morza Egejskiego, wierząc, że taki pogrzeb podobałby mu się najbardziej.

Jestem

Rozwinęłam się. Na początku, budząc się w obcych miejscach, myślałam, że jestem w domu. Dopiero po chwili rozpoznawałam nieznane szczegóły, odstosowane teraz przez światło dnia. Ciężkie hotelowe zasłony, bryła telewizora, moja rozbebeszona walizka, białe, schludnie złożone ręczniki. Nowe miejsce ukazywało się zza firanek, zakwefione, tajemnicze, najczęściej białokremowe lub żółte od ulicznych latarni.

Potem jednak weszłam w fazę, którą psychologowie podróży nazywają „Nie wiem, gdzie jestem”. Budziłam się zupełnie zdezorientowana. Usiłowałam — jak alkoholik w ciągu — przypomnieć sobie, co robiłam poprzedniego wieczoru, gdzie byłam, dokąd wiodły mnie drogi, odtwarzałam szczegół po szczególe, aby odczytać teraz i tutaj. A im dłużej trwała ta specjalna procedura, tym większa pojawiała się panika, nieprzyjemny stan, podobny do choroby błędnika, utraty podstawowej równowagi, zbierający na mdłości. Gdzie ja, do cholery, jestem. Lecz detale świata są

litościwe i w końcu naprowadzały mnie na właściwy trop. Jestem w M. Jestem w B. To jest hotel, a to mieszkanie mojej przyjaciółki, pokój gościnny u rodziny N. Kanapa u znajomych.

Takie przebudzenie było jak podstemplowanie biletu na dalszą drogę.

Następny jest jednak etap trzeci, jak mówi psychologia podróży, wieńczący, kluczowy, etap, który stanowi ostateczny cel; dokądkolwiek byśmy podróżowali, podróżujemy zawsze w jego kierunku. „Nieważne, gdzie jestem”, wszystko jedno, gdzie jestem. Jestem.

O powstawaniu gatunków

Jesteśmy świadkami pojawienia się na Ziemi nowych istot, które już podbiły wszystkie kontynenty i większość nisz ekologicznych. Są stadne i wiatropylne, przemieszczają się bez trudu na wielkie odległości.

Teraz je widzę z okien autobusu, te powietrzne ukwiały, całe stada, koczujące na pustyni. Pojedyncze osobniki kurczowo trzymają się drobnych pustynnych roślinek i trzepoczą hałaśliwie — może to ich rodzaj komunikacji.

Specjaliści mówią, że torebki plastikowe to nowy rozdział istnienia, że wywracają na nice odwieczne nawyki natury, bo składają się tylko ze swej powierzchni, w środku są puste i ta historyczna rezygnacja z wszelkiej zawartości daje im niespodziewanie wielkie ewolucyjne korzyści. Są mobilne i lekkie; chwyt-

ne uszy pozwalają im zaczepiać się o przedmioty lub organy innych istot i w ten sposób poszerzać swój habitat. Zaczęły od miejskich przedmieść i wysypisk śmieci, i zajęły im kilka wietrznych sezonów, by dotrzeć na prowincję i na odległe pustkowia. Wzięły w posiadanie ogromne połacie Ziemi — od wielkich skrzyżowań autostrad do krętych plaż, od opustoszałych placów przed supermarketami aż do kościstych zboczy Himalajów. Na pierwszy rzut oka wydają się delikatne i słabe, ale to złudzenie — są długowieczne, prawie niezniszczalne; ich ulotne ciała rozłożą się za jakieś trzysta lat.

Nigdy nie mieliśmy do czynienia z tak agresywną formą bytu. Niektórzy w metafizycznym uniesieniu uważają, że jej naturą jest zagarnianie świata, podbój kontynentów; że jest czystą formą, która poszukuje swojej treści, lecz natychmiast nudzi się nią i na powrót rzuca się na wiatr. Ze jest wędrującym okiem, przynależnym do jakiegoś nierealnego „tam”, tajemniczym obserwatorem uczestniczącym w tym panoptikum. Inni, ci mocniej stojący na ziemi, twierdzą, że ewolucja promuje dziś formy ulotne, które zasiedlają świat chwilowo, lecz za to zyskują wszechobecność.

Ostateczny rozkład jazdy

Celem tej pielgrzymki był inny pielgrzym; dziś, na koniec — zatopiony w pleksi albo (jak w innych salach) poddany plastynacji. Musiałam odstać swoje

w kolejce, żeby to widzieć i sunąć z innymi wzdłuż przepięknie oświetlonych, dwujęzycznie opisanych eksponatów. Rozłożone przed naszymi oczami w>glądały jak drogocenne towary, które przywozi się z morza za niemałą cenę i teraz wykłada na że oczu.

Najpierw oglądałam starannie wykonane preparaty zatopione w pleksi, małe fragmenty ciała — *moi* na by powiedzieć: wystawa śrub, przeseł, spawów i przegubów, tych drobnych, nie docenianych zwykle części ciała, o których nawet nie pamiętamy, że są. To dobra metoda — żadnego dostępu powietrza; parowania, niebezpieczeństwa uszkodzenia. Gdyby przyszła jakaś wojna, ta zuchwa, którą miałam w sobie nie przed sobą, ma ją szansę przetrwać, nawet po gruzami, w popiele. Gdyby wybuchł wulkan, wylał morze, obsunęła się ziemia — przyszli archeologowie mogliby się cieszyć z tego znaleziska.

Ale to dopiero początek. Pielgrzymi sunęli w mijaniu, sznureczkiem, ci z tyłu delikatnie popędza tych z przodu. Co tu mamy, co teraz będzie, jaką część ciała pokażą nam przebiegli plastynatorzy, spadkobiercy balsamistów, wypychaczy zwierząt, anatomów i wyprawiaczy skór.

Oto kręgosłup wyciągnięty z ciała, rozłożony w szklanej gablocie. Zachowując swoje naturalne krzywizny, przypominał Obcego — pasażera, który podróżuje w ludzkim ciele ku swoim celom, ogromnie wielonóg. Georg Samsa złożony z czułek, spłoc[^] nerwowych, wykonany z różnca kosteczek przeple

cionych naczyniami krwionośnymi. Można by na nim odmawiać „Wieczne odpoczywanie”, wiele razy, aż ktoś się w końcu zlituje i pozwoli odpocząć na wieki.

Dalej był już cały człowiek, ciało — powiedzieć by lepiej: korpus — przecięty wzdłuż na pół, ukazywał fascynujący porządek narządów wewnętrznych. Zaskakującym pięknem wyróżniała się nerka, monstrualne ziarno bobu, święte ziarno bogini podziemi.

Jeszcze dalej, w następnej sali — człowiek, ciało męskie, smukłe i skośnookie, pomimo braku powiek i skóry ukazało nam, pielgrzymom, punkty początkowe i docelowe mięśni. Czy wiesz, że mięśnie zawsze zaczynają się bliżej centralnej linii ciała, a kończą dalej, peryferyjnie? I że dura mater to nie egzotyczna aktorka porno, lecz opona mózgowa? I że mięśnie biegną z punktu początkowego do końcowego? I że najsilniejszym mięśniem ludzkiego ciała jest język?

Przed okazem składającym się z samych mięśni pielgrzymi mimowolnie sprawdzali, czy to, co mówi opis, jest prawdziwe, i napinali swoje mięśnie prężowane, mięśnie posłuszne naszej woli. Niestety istnieją także mięśnie nieposłuszne, nie mamy nad nimi władzy, nic nie możemy z nimi zrobić. Zasiadliły nas w zamierzchłej przeszłości i teraz rządzą naszymi odruchami.

Potem dowiedzieliśmy się wiele o pracy mózgu i o tym, że właśnie ciało migdałowatemu zawdzięczamy istnienie zapachów, wyrażanie emocji oraz reakcje walki i ucieczki. Hipokampowi zaś, temu morskemu konikowi — pamięć krótkoterminową.

Septal area natomiast — to mały segmencik w cieśle migdałowatym, który reguluje związek między przyjemnością a uzależnieniem. O tym powinniśmy wiedzieć, gdy przyjdzie pora zmierzyć się ze swoim nałogiem. Należy wiedzieć, do kogo modlić się o pomoc i wsparcie.

Następny okaz składał się z mózgu i nerwów obwodowych starannie rozłożonych na białej płaszczyźnie. Można było wziąć ten czerwony rysunek na białym tle za mapę metra — oto stacja główna i o niej wychodząca główna arteria komunikacyjna, na bok z kolei rozprzestrzeniały się inne linie. Trzeba przyznać — dobrze pomyślane.

Nowoczesne preparaty były wielokolorowe, jajkrawe; naczynia krwionośne, żyły i tętnice pokazano w płynie, aby pięknie uwypuklić ich trójwymiarowe sieci. Roztwór, w którym spokojnie pływają; to zapewne Kaeiserling III, on, jak się okazuje, **Zi** chowuje najlepiej.

Tłoczyliśmy się jeszcze przy Człowieku Zrobionym z Samych Naczyń Krwionośnych. Przypomnął on anatomiczną odmianę ducha. To duch, który nawiedza miejsca jasno oświetlone, wykafelkowane między rzeźnią a laboratorium kosmetycznym. Wzdychaliśmy, nigdy nie sądziliśmy, że mamy w sobie tyle żyłek, nic dziwnego, że krwawimy przy takim wielkim nawet naruszeniu ciągłości skóry.

Widzieć to wiedzieć, nie mieliśmy wątpliwość. Najbardziej podobały nam się wszelkie przekroje precyzyjne.

Jeden taki człowiek-ciało leży przed nami pokrojony w plastry. Mamy dzięki temu możliwość uzyskania zupełnie niespodziewanych punktów widzenia.

Prezerwacja polimerowa,
krok po kroku:

- najpierw tradycyjnie przygotowuje się ciało do sekcji, między innymi przez wypompowanie krwi;
- w czasie sekcji uwidacznia się to, co się chce pokazać — na przykład gdy chodzi o mięśnie, trzeba pozbyć się skóry i tkanki tłuszczowej. Na tym etapie nadaje się ciału pożądaną pozycję;
- następnie zanurza się tak przygotowany preparat w kąpieli acetonowej, by pozbyć się zeń wody;
- odwodniony preparat zanurza się potem w kąpieli z polimerów silikonowych i zamyka w komorze próżniowej;
- w próżni aceton paruje, a na jego miejsce dostaje się polimer silikonowy, który dociera do najgłębszych zakamarków tkanki;
- silikon twardnieje, lecz pozostaje sprężysty.

Dotykałam taką nerkę i wątrobę — przypominały gumową zabawkę z twardego kauczuku, piłkę, którą rzuca się psom do aportowania. Granica między tym, co sztuczne, a tym, co prawdziwe, stała się tutaj bardzo podejrzana. Miałam też niepokojące poczucie, że ta technika na zawsze zamienia oryginał w kopię.

Boarding

Zdjął buty, plecak ustawił przy nogach i teraz czeka, aż zaczną nas wpuszczać do samolotu. Ma kilkudniowy ciemny zarost, jest już prawie łysy, jego wiek — rozpięty gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Wygląda na człowieka, który niedawno uświadomił sobie, że nie różni się zbyt wiele od innych, czyli można powiedzieć: osiągnął swego rodzaju oświecenie. Na jego twarzy widnieją jeszcze resztki tego szoku: oczy, które patrzą tylko w dół, w okolice butów, pewnie żeby nie ślizgać się spojrzeniem po innych, brak mimiki i gestykulacji, są już niepotrzebne. Po chwili wyciąga zeszyt, ładny notes, ręcznie szyty, kupiony zapewne w jednym z tych sklepów, w których drogo sprzedaje się tanie wyroby z Trzeciego Świata; na okładce z recyklingowanego papieru widnieje czarny druk Traveller's Log Book. Jest zapisany w jednej trzeciej. Rozkłada go na kolanach i jego żelowy czarny długopis napocząyna pierwsze zdania.

Więc i ja wyciągam swój dziennik pokładowy i zapisuję tego piszącego mężczyznę. Jest całkiem prawdopodobne, że i on teraz pisze: „Kobieta, która zapisuje. Zdjęła buty, plecak postawiła przy nogach...”.

Nie wstydźcie się — myślę o innych, o tych czekających na otwarcie gejtów — wyciągnijcie swoje dzienniki i piszcie. Przecież jest nas wielu, tych zapisujących. Nie damy po sobie poznać, że patrzemy na siebie, nie podniesiemy oczu ponad nasze buty.

Będziemy się zapisywać, to najbezpieczniejszy sposób komunikacji, będziemy się wzajemnie zamieniać na litery i inicjały i uwieczniać na kartkach papieru, będziemy się plastynować, zatapiać w formalinie zdań.

Po powrocie do domu zapisany dziennik dołożymy do innych — jest takie pudło za szafą, gdzie je trzymamy, najniższa szuflada w biurku, półka w nocnej szafce. Tam zrelacjonowaliśmy już nasze podróże, przygotowania do nich i nasze szczęśliwe powroty. Zachwyty nad zachodem słońca na jakiejś brudnej plaży, pełnej plastikowych butelek, i pewien wieczór w przegrzanym hotelu. Egzotyczną ulicę, gdzie chory pies prosił nas o coś do jedzenia, ale nie mieliśmy ani okruszka, i dzieci, które nas obstały w miasteczku, gdzie autobus musiał studzić rozgrzane chłodnice. Jest tam przepis na zupę z orzeszków ziemnych, która smakowała jak wywar ze ścierki, i jest połykacz ognia o poparzonych wargach. Skrupulatnie podliczaliśmy wydatki i bez powodzenia próbowaliśmy narysować kształt ornamentu, który na moment przykuł naszą uwagę w metrze. Dziwny sen śniony w samolocie i uroda buddyjskiej mniszki w szarych szatach, która przez chwilę stała przed nami w jakiejś kolejce. Będzie tu wszystko, nawet marynarz, który stepuje na pustym nabrzeżu, skąd kiedyś odchodziły pasażerskie statki.

Kto to przeczyta?

Zaraz otworzy się brama. Już stewardesy krzątają się przy pulpicie, a pasażerowie, którzy do tej pory tkwili w letargu, podnoszą się z miejsc, przywołując

do porządku swój podręczny bagaż. Szukają kart; pokładowej, odkładają bez żalu nie doczytane gazety. Każdy robi w głowie niemy rachunek sumienia — czy ma wszystko, paszport i bilet, i karty, czy wymieni gotówkę. I dokąd leci. I po co. I czy tam znajdzie to czego szuka, czy obral właściwy kierunek.

Stewardesy, piękne jak anioły, sprawdzają nasze kompetencje do podróży i łagodnym ruchem ręki pozwalają nam zanurzyć się w miękkich, wyłożonych dywanem kragłosciach tunelu, który powiezie nas na pokład samolotu i potem powietrzną, chłodną drogą w stronę nowych światów. W ich uśmiechniętej ukryta jest, jak się nam zdaje, jakaś obietnica, że by może urodzimy się ponownie i tym razem będzie to właściwy czas i właściwe miejsce.

Itinerarium

1. Wiedeń — Narrenturm — Pathologisch-anatomisches Bundesmuseum, Spitalgasse 2
2. Wiedeń—Josephinum, Museum des Instituts für Geschichte der Medizin, Wahringerstrasse 25
3. Drezno — Deutsches Hygiene Museum, Lingnerplatz 1, Gläsernen Menschen
4. Berlin — Berliner Medizinhistorisches Museum der Charité, Schumannstrasse 20—21
5. Lejda — Museum Boerhaave, St. Caecilia Hospice, Lange St. Agnietenstraat 10
6. Amsterdam — Vrolik Museum, Academisch Medisch Centrum, Meibergdreef 15
7. Ryga — Paula Stradina Medicinas vēstures muzejs, 1 Antonijas iela, oraz Jēkaba Primāria anatomijas muzejs, Kronvalda bulvāris 9
8. Sankt Petersburg — Muzej antropologii (Kunstkamera), Uniwersytecka nabrzeżna 3
9. Filadelfia — Mutter Museum, 19 South 22nd Street

Źródła cytatów

s. 30 — Wj 27, 19 według *Biblii*, Towarzystwo Biblijne Warszawa 1975;

s. 30 — Emile Cioran, *Wyznania i anatemy*, przeł. Krzyszto Jarosz, Kraków 2006;

s. 81-82 — Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny*, Kraków 2003;

s. 91-109 — Herman Melville, *Moby Dick* czyli *Biały Wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, Szczecin 1987 (ze względu-w artystycznych cytaty z *Moby Dicka* nie zostały wyodrębniona w tekście);

s. 358—359 — *Requiem aeternam*;

s. 389-391 — *Słownik grecko-polski*, ułożył Zygmunt Węc-
lewski, Lwów 1929; *Podręczny słownik grecko-polski*, Teresa Kam-
bureli, Thanasis Kamburelis, Warszawa 1999; *Słownik grecko-
-polski*, pod red. Zofii Abramowiczówny, Warszawa 1962.

Podziękowania

Dziękuję fundacji Het Fond voor de Letteren a Amsterdamu oraz Nederlands Literair Productie — en verfaligen Fond, a także Międzynarodowemu Domowi Literatury Passa Porta w Brukseli.

Jestem wdzięczna Lechowi Trzcionkowskiemu za piękne przetłumaczenie epigramatu Poseidipposa o Kairosie i za zgodę na jego druk.

Olga Tokarczuk